



ARKADIA

LAUREN

CAHOFF

znak

**LAUREN GROFF**

# **ARKADIA**

Tłumaczenie  
Wiesław Marcysiak

Wydawnictwo Znak  
Kraków 2017

*Dla Becketta*

Kobiety w rzece. Śpiewają.

To jest pierwsze wspomnienie Lutka, chociaż wtedy jeszcze się nie urodził. Jednak drogę wijącą się pośród gór widzi wyraźnie, parking z żółtymi kwiatami, które zamykały się pod dotknięciem dzieci. Zmierchało, gdy za zakrętem Karawana ujrzała zieleniejącą rzekę i zatrzymała się na noc. Był błękitny, wiosenny wieczór, do tego chłodny.

Nad brzegiem niczym bizony kręciły się pod wiatr ciężarówka, autobusy i vany, z piętrowym autobusem Różowym Grajkiem w samym środku. Rączka, ich przywódca, oddawał hołd słońcu umierającego dnia na dachu Grajka. Naga dzieciarnia pokryta gęsią skórą śmigła na obrzeżach obozu. Mężczyźni rozniecali ogniska, stroili gitary, gotowali na kolację warzywny gulasz i smażyli placki. Kobiety robiły pranie w lodowatej wodzie, tłukąc mokrymi ubraniami i płótnem o kamienie. W gasnącym świetle cienie ciągnęły się od ich kolan, a nurt rzeki pstrzyły mydliny.

Hanna, matka Lutka, wyprostowała się, by oderwać od powierzchni wody membranę prześcieradła. Cała była krągła: policzki, nogi i ręce, włosy w złotej pętli warkoczy. Dżinsowe ogrodniczki opinały brzuch, w którym siedział Lutek, powstając komórka po komórce. Na brzegu Abe, jego ojciec, z cieniem uśmiechu na ustach zatrzymał się i przyglądał Hannie, która z przekrzywioną głową przysłuchiwała się śpiewającym kobietom.

Później kolacyjne zapachy przykrył dym, a ogień odganiał zimno. Rozbrzmiewały pieśni: *Froggy Went A-Courting* słynnym, ochryplym głosem Rączki, *Michael, Row the Boat Ashore, The Sound of Silence*. Pranie schło na krzakach, było jak zjawy na granicy wzroku.

To niemożliwe, aby Lutek pamiętał to wszystko – tygodnie przed swoim urodzeniem, trzy lata przed Arkadią, gdy w radiu dominował rok 1968: bitwa o Khe Sanh i olimpiada w Grenoble, Karawana pośrodku diagramów do gry w klasy ciągnących się przez cały kraj, błękitna poświata wieczoru, blask ognisk i upiorne prześcieradła w ciemnościach. Ale pamięta wszystko. To wspomnienie przywiera do niego, opowiadane przez Arkadię, aż stało się powszechne, powtarzane ciągle na nowo, aż urosło w nim i stało się jego własnym. Noc, ogień, muzyka, Abe plecami chroni przed zimnem, Hanna opiera się o gorący tors męża, Lutek zwinięty między rodzicami, otulony ich szczęściem, szczęśliwy.

## MIASTO SŁOŃCA

Lutek rusza się zaraz po przebudzeniu. Jest zima, nadal ciemno. Ojciec wkłada sobie syna pod kurtkę, gdzie jest najcieplej, i zapina ją, a Lutek słyszy, jak serce Abe'a uderza niczym bęben. Chłopiec zasypia, gdy wychodzą z Furgonu Piekarza, w którym mieszkają, i idą po zmarzniętej ziemi Namiastki Arkadii. Ciemne bryły ciężarówek, autobusów i dobudowanych do nich szałasów majaczą pośród nocy; to ich dom, dopóki nie skończą budowy Domu Arkadii w nieokreślonej przyszłości.

Skądś wzywa ich poranny gong na Niedzielne Spotkanie. Pośród ciemności płynie rzeka ludzi. Lutek wyłapuje woń chleba mamy, czuje zimny wiatr znad Wielkiego Jeziora na północy, słyszy odgłosy budzącego się lasu. W powietrzu wibruje podniecenie, słychać ciche, czułe powitania; jest trochę śniegu, dym z czyjegoś dzointa, kobiecy głos, niewyraźny.

Kiedy Lutek znowu otwiera oczy, pierwsze światło wygładziło już świat. W zdeptanym śniegu sterczą kępki ścierniska. Są teraz na Owczej Łące, a on wyczuwa bliskość innych, ich natłok. Za Lutkiem rozlega się głos Rączki, który w zimowy poranek zwraca się do wszystkich w Arkadii, do osiemdziesięciorga czworga prawdziwych wiernych. Lutek wierci się, aby zobaczyć Rączkę siedzącego pośród rdzawych pędów skupni na skraju lasu. Odwraca się i wciska policzek w szyję ojca, wyczuwając jego puls.

Lutek jest mały, drobinka. Często biorą go na ręce i noszą. To mu nie przeszkadza. Z poziomu siły dorosłych, dającej pocieszenie, jest niezauważalny. Może obserwować, może słuchać.

Nad ramieniem Abe'a, daleko na wzgórzu, majaczy ceglana bryła Domu Arkadii. Brezentowe plandeki na przegniłym dachu na wietrze zapadają się i nadymają na przemian, niczym brzuch dyszącej bestii. Na wpół wybite okna są jak otwarte paszcze, a te w pełni przeszklone to oczy świdrujące Lutka. Chłopiec odwraca wzrok. Za Abe'em siedzi starzec w wózku inwalidzkim, ojciec Midge, który lubi pędzić jak szalony z góry na dzieci, żeby się rozbiegły. Lutka znowu ogrania przerażenie – groźba i skrzywienie, błysk bezzębnej paszczy i flaga z sierpem i młotem łopocząca w pędzie. Mknący Staruch, tak nazywa go Hanna, wykrzywiając usta. Inni mówią na niego syjonista, bo do tego wzywa po zachodzie słońca: Syjon, kraina mlekiem i miodem płynąca, dobrobyt, gdzie jego lud znajdzie wytchnienie. Pewnej nocy, nasłuchując, Lutek powiedział: Czy Mknący Staruch nie wie, gdzie jest? Abe spojrzał rozbawiony na Lutka wśród drewnianych zabawek i rzucił: A gdzie jest? A Lutek na to: W Arkadii. Miał na myśli słowo często powtarzane przez Rączkę o okrągłej twarzy Buddy, tworzącego społeczność gładkimi zdaniem, aby inni też ujrzeni pola pełne owoców i ziarna, słońca i muzyki, ludzi z miłością opiekujących się sobą nawzajem.

W chłodny poranek jednak Mknący Staruch jest zbyt mały i przykurczony, aby siać przerażenie. Przysypia pod kraciatym pledem, którym opatulili go Midge. Ma myśliwską czapkę, klapki ściągnięte na uszy. Świszczy przez nos, puszczając parę, a Lutkowi na myśl przychodzi czajnik na fajerce. Dociera do niego głos Rączki: ... w pracy, tak samo jak w przyjemnościach, różnorodność jest najwyraźniej pragnieniem natury... Słowa zbyt ciężkie jak na tak wczesną porę. Gdy światło nabiera ostrości,

Mknący Staruch staje się wyraźniejszy. Na nosie pojawia się pajęczyna żył, cienie żłobią mu twarz. Unosi się, marszczy czoło na Lutka, pociera dłońmi uda.

... Bóg, mówi Rączka, albo Wieczna Iskra znajduje się w sercu każdego człowieka, w każdym skrawku ziemi. W tym kamieniu, w tym lodzie, w tej roślinie, w tym ptaku. To wszystko zasługuje na naszą czułość.

Twarz starca zmienia się. Zdziwienie pojawia się pośród starczych rysów. Lutek zaskoczony nie może oderwać wzroku. Oczy mrugają, aż zatrzymują się i pozostają otwarte. Lutek czeka na następny kłęb pary z pobrużdżonego nosa. Kiedy się nie pojawia, czuje w piersi ucisk. Podnosi głowę z ramienia Abe'a. Powoli wargi starego człowieka robią się fioletowe; mgła, lód zasłania mu gałki oczne. Nici znieruchomienia oplatają starca.

Za plecami Lutka Rączka rozmawia o trasie koncertowej, w którą wyjeżdża za kilka dni, aby rozpowszechnić wieść o Arkadii... Nie będzie mnie dwa miesiące, ale wierzę w was, Wolnych Ludzi. Jestem waszym guru, waszym Nauczycielem, ale nie Przywódcą. Bo jak wasz Nauczyciel będzie wystarczająco dobry, sami będziecie sobie przewodzić... I ludzie wokół Lutka śmieją się cicho, gdzieś krzyczy mała Puchatka, a z boku pojawia się dłoń Hanny, aby poprawić mu czapkę, która zjechała do połowy, odsłaniając mu ucho.

Pamiętajcie o podwalinach naszej społeczności, mówi Rączka. Powtarzajcie je ze mną. Podnoszą się głosy: Równość. Miłość. Praca. Otwartość na potrzeby każdego.

Rodzi się śpiew: *Niech zabrzmi pieśń wiary – nauka ciemnej przeszłości.* Abe porusza się pod Lutkiem do rytmu. *Śpiewajcie pieśń nadziei, którą daje nam dzień dzisiejszy. Twarz ku słońcu wschodzącemu zwróćcie, gdzie nowy jest dzień...* kończy się pieśń.

Cisza. Wdech. W wielkim *Om* powstającym z gromady Wolnego Ludu przestraszone wrony zrywają się z dachu Domu Arkadii. Wschodzące słońce jaśniej nad nimi wszystkimi.

W tak idealnym świecie nawet staruch jest piękny, sina broda pod lśniąca na nowo skórą jego policzków, miękkość jego szczęki, kępy włosów w uszach mienią się złotem. Złagodniał w żywym świetle. Stał się dobry.

Kiedy milknie ostatni głos, tuż przed *Dziękuję, przyjaciele* Rączki, Midge kładzie rękę na ramieniu ojca. Potem ściąga rękawiczkę i przyciska gołą dłoń do policzka starca. A kiedy Arkadia porusza się, tuli, podaje ręce, dzieli się swoją dobrą energią, głos Midge przedziera się przez wrzawę: Ojczy?, krzyczy, cicho. Potem głośniejsz: Ojczy?

To nie prędkość, z jaką Hanna chwytą Lutka i zanoszą go do domu w Furgonie Piekarza, ani to, że Abe zostaje, aby pomóc Midge. To nie przez specjalny smakołyk, suszone jagody w owsiance, ani nie przez to, że Hanna stoi bez słowa w oknie, dmuchając na zieloną herbatę. Nawet nie to, co mówi Abe, gdy wchodzi: Karmiczna energia wraca do eteru albo Natury, kręgu życia, bo każdy umiera, Ridley, kochanie. Abe stara się, jak może, ale Lutek nadal nie rozumie. Widział, jak starzec wypiękniał. Dziwi go zmartwienie na twarzach rodziców.

Ich smutek uwalnia się, dopiero gdy Hanna upuszcza brudne talerze na stół i zalewa się łzami. Biegnie przez Kwadrat do Różowego Grajka, by znaleźć pocieszenie

u położnych Marilyn i Astrid.

Abe uśmiecha się sztywno do Lutka. Mamie nic nie jest, Malutku, mówi. Tylko dzisiejszy ranek poruszył ją bardzo, bo jej tata też nie czuje się najlepiej.

Lutek wyczuwa w tym siarkę kłamstwa. Od jakiegoś czasu Hanna nie jest sobą. Lutek pozwala, aby ta nieprawda powoli się rozplynęła.

Tata Hanny, który mieszka w Louisville?, pyta. Jesienią odwiedzili ich dziadkowie, gruby pan w kapelusiku, kobietka cała w różu, kłębek nerwów. Lutka obściskano i komentowano: Taki malutki, szczebiotała kobiecina, nie powiedziałabym, że ma pięć lat, ledwo trzy! Zerkano na niego z ukosa, a Hanna cedziła przez zaciśnięte zęby: Nie jest upośledzony, jest zdrowy, tylko mały, Boże, mamo. Było jedzenie, którego różowa pani nie tknęła, tylko co kilka sekund unosiła chusteczkę do kącików oczu. Potem nastąpiła poważna kłótnia i gruby z kłębkami pojechali.

Po wyjeździe rodziców Hanna płakała ze złości. Niech zgniją w swoim burżuazyjno-kapitalistycznym piekle, powiedziała. Abe cicho się z niej śmiał. Po chwili złość ustąpiła z twarzy Hanny. Sama, chcąc nie chcąc, też się zaśmiała.

Teraz mówi Abe: Tak, twój dziadzia z Louisville. Cierpi na wyniszczającą chorobę. Babcia chce, żeby twoja mama tam przyjechała, ale mama się nie zgadza. W każdym razie nie poradzimy sobie bez niej.

To przez Sekret, mówi Lutek. Od miesiąca wszyscy szeptali o Sekrecie, odkąd Rączka obwieścił swoją trasę koncertową. Kiedy Rączki nie będzie, ukończą Dom Arkadii, żeby wszyscy mogli wyprowadzić się z Namiastki Arkadii, tej zbieraniny autobusów i szałasów, i wreszcie zamieszkać razem. Chcieli tego przez te trzy lata, odkąd kupili ziemię i znaleźli dom, ale zaprzętała ich ciężka praca i dokuczał im głód. Dom Arkadii będzie darem dla Rączki, gdy wróci.

Abe mruży oczy i rozchyła usta, ukazując silne zęby okolone rudym zarostem. Mówi: Pewnie to nie jest tajemnica, skoro nawet ten maluch to wie.

Grają w karty do powrotu Hanny; jest czerwona na twarzy, ale spokojniejsza. Mówi, że Astrid i Marilyn wezwano do amiszów na poród. Na dzień dobry Hanna wtula policzki w kark Abe'a i delikatnie całuje Lutka w czoło. Jak westchnienie zamienia się w oddech, życie przechodzi w życie. Hanna odwraca się, aby dołożyć do pieca. Abe zatyka szczelinę przed zimmem w miejscu, gdzie dobudował szałas do Furgonu Piekarza. Jedzą obiad, a Abe gra na harmonijce, kiedy zapada noc, cała trójka kuli się razem na sienniku i Lutek zasypia jak orzeszek w łupinie z rodziców.

Las jest ciemny i głęboki i tak mocno napiera na Lutka, że chłopiec musi uciekać przed sękatymi pniami, przed wiatrem zawodzącym pośród gałęzi. Mama woła, aby trzymał się na widoku, ale on nie zwalnia. Kiedy wybiega na polanę przed Stróżówką, twarz go szczypie od zimna.

Tytus, dziobaty i ogromny, podnosi bramę. Wydaje się stary, nawet starszy od Rączki, bo ucierpiał w Wietnamie. Lutek podziwia Tytusa. Tytus nazywa Lutka Paluszkiem i potrafi go unieść jedną ręką. Czasami przemycza z Zewnątrz kilka łakoci – różowe ciastka kokosowe w celofanie albo miętówki jak przekrwione oczy – pomimo krzywd wyrządzanych zwierzętom przy produkcji tych smakołyków i wbrew zakazowi używania cukru. Lutek wierzy, że świat poza Arkadią musi smakować tak jak chemiczna

zgaga po tych łakociach. Tytus puszcza do niego oko i podsuwa mu mleczny karmelek w szeleszczącym żółtym papierku, cukierek gęstnieje w gardle, a Lutek chowa na moment twarz w przetłuszczonych dzinsach przyjaciela i zaraz biegnie dalej.

Cała Arkadia zgromadziła się na skutej lodem drodze. Rączka siedzi w pozycji lotosu na masce Niebieskiego Autobusu z czwórką swoich blond dzieci: Erykiem, Leifem, Helle i Ikiem. Jego główna żona Astrid, wysoka, o białych włosach, przygląda im się z góry. Rozwiązuje konopny naszyjnik i zakłada go Rączce, całując go w trzecie oko. Nawet mimo ryku silnika z radia grającego na cały regulator dociera skoczna piosenka country. Druga żona Rączki to Lila, która w czarnych włosach nosi pióra, obok niej siedzi kościsty mały Hiero, jej drugi mąż. Zespół uściskami żegna tych, którzy zostają, i targa bagaże do autobusu, potem Rączka ściąga dzieci: Ike'a, parę centymetrów wyższego od Lutka, chociaż młodszego o rok; Helle, żabowatą jak jej ojciec; Leifa, który jest zawsze zły; puciołowatego Eryka, który sam zjeżdża na ziemię i ląduje na kolanach, ale stara się nie płakać.

Na ganku Stróżówki kłócą się Wells i Caroline o zaczerwienionych twarzach. Jincy, koleżanka Lutka, przygląda się na zmianę każdemu z rodziców. Chociaż wiatr rozgania jej loki w różne strony, twarz ma bladą i nieruchomą.

Od ścieżki dobiega słodycz dzwonek i głosów. Pośród gałęzi pojawiają się znikąd wielkie, szerokie głowy olbrzymów. Lutek czuje w brzuchu radość. Na drodze pojawili się Cyrkowi Śpiewacy: Hans, Fritz, Summer i Koziołek Billy, w białych szatach, niosą kukły Adama i Ewy. To nowo zrobione postacie, nagie i ogromne, o poczerwieniałych genitaliach. Cyrkowi Śpiewacy wyjeżdżają na weekendy na protesty i wiece, gdzie tańczą na koncertach, czasami żeby zarobić trochę drobnych. Teraz poprzebierani aktorzy pochylają się i śpiewają pod górującymi nad nimi olbrzymimi i niesamowitymi postaciami. Kiedy kończą, wszyscy wiwatują i pakują pękate bestie do vana volkswagena.

Pa, pa, pa, pa – krzyczy mały brązowy Dylan na ramionach Słodkiej. Lutek biegnie do swojego kolegi Coltrane'a, który stuka kijem w zamarznąętą kałużę. Cole daje Lutkowi patyk i Lutek też stuka, a potem podaje kijek bratu Cole'a Dylanowi, a ten nim wymachuje.

Ruda Eden, w ciąży, z ogromnym brzuchem, otwiera butelkę oranżady nad maską Niebieskiego Autobusu i stojąc, rozciera sobie plecy. Na widok jej olśniewająco białych zębów pod rudymi włosami Lutek ma ochotę tańczyć.

Rączka krzyczy, że wróć przed Wiosennym Sadzeniem, a Wolni Ludzie wiwatują; Tarzan podaje przenośną lodówkę z piwem, na które Baza sprzedała jeden silnik. Astrid długo całuje Lilę w śliczne usta, Hiero też ją całuje, po czym ześlizguje się na ziemię; i jest więcej całowania. Dziewczyny i żony muzyków pchają się do okien, w końcu silnik ryczy głośniej i autobus rusza ku szosie. Wszyscy wiwatują, a niektórzy płaczą. W Arkadii ludzie płaczą cały czas. Inni dziwnie tańczą i zanoszą się śmiechem.

Helle niezdarnie biegnie za autobusem i płacze za tatą. Zawsze zalewa się łzami, dziwna, mała dziewczynka o wielkiej głowie, zawsze rozkrzyczana. Astrid bierze ją na ręce i Helle zawodzi w pierś mamy. Warkot autobusu cichnie i zanika. Pozostają pośród odgłosów, które w ciszy wydają się dwakroć głośniejsze: lód pęka w gałęziach, wiatr trze jak papier ścierny o powierzchnię śniegu, łopoczą flagi modlitewne rozwieszane nad



gankiem Stróżówki, piszczą gumowe buty na zamrzniętym błocie.

Kiedy Lutek się odwraca, wszyscy patrzą na jego ojca.

Abe uśmiecha się do nich, do tych, którzy nie potrafią grać na instrumentach, prawie pięćdziesięciorga, którzy zostali w domu. Wydaje się ich tak mało. Abe głośno woła: W porządku, ludzie. Jesteście gotowi zedrzeć ręce do krwi?

Tak, odkrzykują. Lutek wraca do Hanny i kładzie głowę na jej biodrze. Mama zasłania go przed wiatrem i ogrzewa mu twarz własnym ciepłem.

Bazo, jesteście gotowi pojechać do dzikiego Nowego Jorku plądrować, kraść, sprzedawać spermę i krew, aby kupić to, czego nam trzeba?

Cholera, tak!, krzyczy Fistaszek, a za nim Cudowny Bill i Tarzan wyrzucają pięści w powietrze.

Kobiety, jesteście gotowe czyścić, polerować, malować, skrobać, szorować i dbać o wszystkie te dzieciaki, prowadzić piekarnię, pralnię, produkować mleko sojowe, rąbać drewno i robić wszystko, co trzeba, abyśmy my, Wolni Ludzie, mieli siły do tej pracy?

Kobiety radują się, a wysoko nad głową Lutka Astrid mruczy coś do Hanny w swoim dziwnym zaśpiewie: Jakbyśmy już tego nie robiły. Lutek odwraca głowę. Gdy Astrid mówi, pokazuje zęby, które są tak żółte i krzywe, że Lutek czuje, jakby patrzył na coś bardzo intymnego.

Wy wszystkie Ciężarne z Kurnika, jesteście gotowe szyć firanki, tkąć dywany, sprawiać, by pokoje stały się przytulne i miłe? Rozlegają się potakiwania z różnych stron, Kury zaskoczone ulegają. Jakies dziecko zaczyna wrzeszczeć.

Abe krzyczy: Wszyscy mężczyźni, jesteście gotowi do pracy w zimnie i smrodzie tego starego domu, by go wznieść i przygotować, założyć hydraulikę i zbudować dach i całą resztę? Mężczyźni pokrzykują i jodłują.

Abe poważnieje; unosi rękę. Jedna rzecz, moje chłopcy i baby. Wiem, że w naszej społeczności nie ma hierarchii, ale skoro jestem dyplomowanym inżynierem, a Hiero ma w dorobku tak wiele lat jako brygadzysta na budowie, uznaliśmy, że powinniście przed nami odpowiadać, tak? Będziemy szefami tylko symbolicznie, więc jak ktoś ma lepszy pomysł, niech nam powie. Ale dajcie nam znać, zanim zaczniecie wprowadzać własną inicjatywę i będziemy musieli marnować wasz czas i kasę, żeby to odkręcić. W każdym razie koniec tego poważnego gadania. Zostały nam cztery dobre godziny światła dziennego i trzy miesiące, aby odbudować tę ruinę dziewiętnastowiecznego pałacu. Albo ochronki, czymkolwiek to było. Więc ruszmy nasze piękne bitnikowskie dupy.

Krzyk, ruch i grupa rusza w długą na milę pokrytą lodem drogę na górę. Śmieją się, jest im ciepło, są gotowi. Ostatnim razem kiedy Lutek był w Domu Arkadii, zobaczył młode drzewko rosnące w wannie na ozdobnych nóżkach i zapadnięty dach, przez który widać było chmury i słońce. Cudownie będzie wyremontować ten dom, żeby był szczelny i ciepły. Jeżeli spać z dwojgiem rodziców w gniazdku to szczęście, to co dopiero spać z osiemdziesięcioma ludźmi! Dzieci płaczą się pod nogami dorosłych, aż Słodka zagania je i prowadzi skrótem na zabawę do Różowego Grajka.

Lutek zostaje z tyłu, przekonany, że coś poszło źle. Odwraca się.

Hanna stoi sama przy bramie. Ziemia wokół niej jest błotnista. Lutek słyszy stłumiony krzyk ptaka. Rusza z powrotem do mamy. Kiedy pokonał prawie całą drogę,

a Hanna nadal wydaje się mała, zaczyna biec. Mama kuli się w starym swetrze Abe'a; drży. Twarz ma zrozpaczoną i chociaż Lutek wie, że mama ma dwadzieścia cztery lata, wydaje się młodsza od Eryka, młodsza od Jincy, jest w wieku samego Lutka. Chłopiec ściąga rękawiczki, żeby schować ręce w jej dłoniach. Mama ma palce jak lód.

Gdy Hanna wyczuwa jego dłoń, uśmiecha się z wysoka, a on znowu widzi swoją mamę w tej skurczonej kobiecie. Mama mówi: Już dobrze, Lutek. Już dobrze.

Uderza zamieć. Lutkowi śnią się wielkie, głodne wilki o przekrwionych ślepiach krążące wokół Furgonu Piekarza. Wyją, drapią do drzwi. Chłopiec nagle się budzi. Chce do mamy, ale to Abe wstaje i pokazuje mu przez okno czyste białe ściany padającego śniegu, nienaruszone białe góry. Abe podgrzewa mleko sojowe i zawija Lutka jak naleśnik w najdelikatniejszy kocyk. Ma nadzieję utulić go do snu, więc opowiada mu historię jego narodzin, którą Lutek zna od bebeczków. Legenda Lutka Stone'a, pierwszego Arkadianina, to inna historia tyle razy powtarzana, że każdy ją zna. Starsze dziewczęta odgrywają to w Różowym Grajku, podstawiając najmłodsze maluchy za Lutka.

Urodziłeś się w Karawanie, opowiada cicho Abe, kiedy jeździliśmy jako fani za Rączką, spragnieni duchowej strawy. Było nas maksymalnie dwadzieścia parę osób. Chodziliśmy na koncerty, a po nich zostawaliśmy na spotkaniach. Gdziekolwiek pojechaliśmy, widzieliśmy komuny, niektóre się sprawdzały, inne nie. Jurty, kopuły geodezyjne, indiańskie sauny i squaty w walących się domach w miastach; i przyszło nam do głowy, że chociaż inni robili coś w ten deseń, nasze plany były wyjątkowe. Czyste. Życ w jedności z ziemią, nie na niej. Życ poza złem komercji i rozpocząć wszystko od nowa. Niech miłość rozświetli świat.

W każdym razie wtedy jedynie Rączka miał jakiegokolwiek przeszkolenie medyczne, gdyż był sanitariuszem w Korei, i uznał, że Hanna jest w piątym miesiącu, ponieważ nie była duża. Jedziemy więc przez góry, z Oregonu do Boulder, gdy nagle zrywa się burza śnieżna z płatkami wielkimi jak przednia szyba, i nie uwierzysz, ale Hanna wybiera ten moment na poród. Jechaliśmy małym volkswagenem camperem, którego Baza używała do wyjazdów do miasta. Wyposażyłem go w piecyk i całą resztę całkiem zmyślnie, ale jako że był to jeden z mniejszych pojazdów, utknęliśmy na końcu kolejki na tych wąskich, górskich przełęczach. Musiałem się dostać do Rączki, bo, cholera, zupełnie nie wiedziałem, jak odebrać poród, obojętnie, czy przed terminem czy nie. Wyprzedzamy więc wszystkich na wariata po kolei lewym pasem, a zginęlibyśmy jak nic, gdyby jechał ktoś z naprzeciwka. W końcu mijamy Różowego Grajka i zatrzymuję cały ten cyrk. Skręcam przy znaku Ridley WY, ludność jakies pięć tysięcy, myślę, że musi być tu szpital, ale drogowskaz zasypany jest śniegiem i oczywiście skręcam w złą stronę. Dalej, dalej, dalej, mila za milą, czarno dookoła, aż w końcu widzimy światła i zatrzymujemy się, a zewsząd otacza nas i Różowego Grajka Karawana, żeby osłonić od wiatru; wtedy otwierają się drzwi i wpada jakaś zaśnieżona postać. Spodziewałem się Rączki, a kto to był? Astrid.

Rączka widzi twarze na suficie autobusu, powiedziała (Abe mówi to z norweskim zaśpiewem Astrid; Lutek chichocze). Właśnie zjadł trzy tabletki meskaliny, ale ja mam doktorat z literatury wiktoriańskiej i sama urodziłam trójkę. Przywykłam do porodów.

Mogła myśleć o pijawkach, o ile mi wiadomo, a wiem mniej od niej, więc mówię:

Dobrze, pewnie. Rozbieramy się wszyscy, bo tak jest naturalnie, a Astrid wydaje mi polecenia: Zagotuj wodę! Wyparz te noże! Daj czyste ręczniki! Ale zanim woda mi się zagotowała, Hanna mdleje, a ty, ot tak sobie, wylatujesz z pluskiem cały zakrwawiony. Hm, nie miałem nadziei. Byłeś taki mały jak jabłko i nie ruszałeś się. Nawet nie mogłeś płakać. Miałeś za małe płucka. Lecz Astrid oczyściła cię i przyłożyła mamie do cycka, a ty byłeś tak głodny życia, mały człowieczku, że po prostu zacząłeś ssać sutek jak wielki, cukrowy smoczek, duży jak twoja mała buzia. Astrid krzyknęła i wróciła do joni Hanny, bo, wiesz, wychodziło coś jeszcze, łożysko.

Abe przerywa, głaszcze Lutka po głowie w zamyśleniu.

Astrid zawija to wszystko w batik i wysyła mnie ze szpadlem, a ja przedzieram się przez śnieg do czarnego jeziora i przekopuję się przez zmarznięty żwir do ziemi, aż w końcu przykrywam to wszystko, wypowiadam kilka słów wdzięczności i brnę z powrotem.

Potem przyszedł ranek i wyszło słońce, i mówię ci, było pięknie. Rozświetlało zamrażnięte jezioro, aż lśniło od środka, a lód wyglądał jak rozgrzany ołów u stóp tych cudownych, fioletowych gór; i w mieście zadzwonił dzwon w kościele na twoją cześć, nasze cudowne dziecko. Potem wyszli mieszkańcy, wszyscy nieśmiali, z jedzeniem i chlebem, i złożyli wszystko na masce naszego campera. Tego ranka Astrid wiedziała, że odnalazła swoje powołanie. Jej ręce miały pomagać dzieciom w przyjściu na świat. Zawinęła cię mocno w gruby, wełniany szal i zaniósła do sklepu spożywczego, aby cię zważyć. Miałeś dokładnie trzy funty. Byłeś wielkości kabaczka.

Stara sklepikara to zrzędząca Niemra; przeklinała nas wszystkich długowłosych pośród swoich poskręcanych ziemniaków, kapusty, ale starczyło, że raz tylko spojrzała na ciebie i rozchmurzyła się, nagle oniemiała, naprawdę z jej gęby padło światło. I powiedziała: Och, a niech mnie, jaki malutek hipis!

I tak się stałeś Ridleyem Sorrelem Stone'em, od nazwy miasta, którego nigdy nie zobaczyliśmy. Nasz Malutek Hipis! Najstarsza dusza w Arkadii. Nasz następca bez tronu, mówi Abe i oczy go pieką, potem znowu są klarowne, i wtula się w szyję Lutka, co chłopca łaskocze, i Lutek śmieje się, usuwając niewidzialny ból Furgonu Piekarza, aż obaj zapominają o wilkach z czerwonymi oczyma i o zamieci, o zmęczeniu Hanny i poranku znoej pracy.

Na kilka pierwszych dni bez Rączki świat traci równowagę. Nie ma go, gdy ktoś płacze albo gdy przedawkował, brak jego codziennych, radosnych odwiedzin w każdej grupie roboczej i zachęt. Brak strzępiastej, siwej brody, szybko mrugających oczu, ciąglego pobrzękiwania jego gitary, ukulele albo banjo. Przez kilka dni ci, którzy zostali, stąpają nazbyt cicho po ziemi, a co drugie słowo, jakie pada z ich ust, to *Rączka*. Ale mija kolejny ranek i Lutek wcale nie myśli o Rączce, aż potyka się o małą Puchatkę, która wpada mu pod nogi, i zdziera sobie dłonie, a potem czeka, aż Rączka wyjdzie z Różowego Grajka, aby go podnieść, zajrzeć mu głęboko w oczy, zebrać kosmiczną energię i powiedzieć: Och, Malutku, jesteś dzielny chłopak, nie wariuj. Ból mówi ci, abys był ostrożniejszy. Zamiast tego kochana Słodka całuje mu rączki i opłukuje je zimną wodą, a potem bandażuje. Abe organizuje brygady. Astrid łagodzi konflikty, każe się przytulić albo poćwiczyć jogę, by usunąć napięcie. Dwóch mężczyzn z Namiotu Singli

tak się na siebie powściekało, że pewnego dnia podczas jogi zdarli niemal cały przegniły tynk na piętrze w Domu Arkadii, cudowny czyn, a teraz są najlepszymi przyjaciółmi, biorą się pod ramię. Muzyka nie jest tak dobra, ale nadal jest: flety, gitary, harmonijki. Jest tak, jakby wszystkie ich zadry zlały się w jedno miejsce, gdzie był Rączka, tak jak oddzielne kawałki gulaszu dążą ku sobie po talerzu, gdy ryż ze środka został zjedzony.

Późno, w północy, Lutek słyszy, jak Hanna mruczy: To nic takiego. Jestem tylko zmęczona.

Na pewno? Potrzebujesz przerwy? Może skrócimy dzointa...

Nie, skarbie.

Odgłos materiału, coś na jego stopie.

O tym mowa.

Hej, czekaj. Przepraszam. Skarbie, przepraszam, nie.

Czy my jeszcze? Jak myślisz? Jeszcze kiedyś?

To tylko. Wolałabym nie.

Dobrze, Bartleby\*.

Rodzice śmieją się cicho, a kiedy milkną, nastaje inny rodzaj ciszy. Lutek nasłuchuje, aż słuch mu słabnie i niesie z sobą do snu tylko odgłos pocałunku.

Niczym ciągnik, który rusza, gdy trąci się gaz, Arkadia wskakuje na wysokie obroty. Komuś zawsze brakuje tchu, ktoś zawsze biegnie. Ludzie długo rozmawiają o gnijącym drewnie i żywicy epoksydowej. Do Furgonu Piekarza ktoś stuka w środku nocy, Śmieciarze ściągają z Syracuse, Rochester, Albany i Utiki, z opuszczonych pałaców, które rozbierają na części. Nad ranem Abe gwizdże, pieszcząc wyrafinowane, rzeźbione belki kominkowe albo zlewy ze steatytu, które w magiczny sposób pojawiły się na Kwadracie w Ośmiokątnej Stodole. W głowie wirują mu plany, nagłe śmiechy i jego energia przechodzi na innych, aż nawet Lutek chce tańczyć.

Lutek układa piosenkę i cały czas śpiewa ją sobie: *Renowelacja, renowelacja, renowelacja, maluj, smaruj i reperuj... renowelacja.*

W nocy Abe, robiąc ser z soi i cebulowe quesadillas, uśmiecha się do niego i poprawia: Renowacja, kochanie. Lecz Hanna ścisza Lutka i szepcze: Twoje słówko jest trafne. Re-nowelizacja. Re-inwencja naszego opowiadania. Delikatnymi palcami ujmuje go za brodę, a on cieszy się, że rozbawił mamę.

Jest rano. Hanna nalewa gorącej kawy do termosu dla Abe'a. Smaży im jajecznicę z miękkiego, świeżego tofu zabarwionego odżywczymi drożdżami. Kiedy Abe maszeruje pod górę, żeby reperować Dom Arkadii, jego pas z narzędziami podzwania, a Hanna idzie do pracy w Piekarni.

Lutek, z Leifem i Cole'em, buduje zamek z drewnianych klocków; widzi, jak Hanna przemierza z powrotem Kwadrat i wchodzi do Furgonu Piekarza. Lutek czeka cały dzień, ale ona nie przychodzi po niego. Zmierch zaciąga okna. Dookoła Kwadratu zimne powietrze niesie głosy i kroki mężczyzn i kobiet wracających do domów. Rodzinne Baraki ogarnia wrzawa, z Różowego Grajka wylewają się dzieci na mrok, woń smażonej cebuli i tempah unosi się z Namiotu Singli, natrętnemu skomleniu małej Felipe odpowiada echem mniejsza Norah albo Tzivi wyrwana ze snu. Otwierają się drzwi, trzaskają drzwi, co jakiś czas, nieregularnie, rozlegają się głosy powracających do

Namiastki Arkadii. W końcu Słodka wyszykowie go i wraca sam do domu.

Hanna siada w pościeli, przeciąga się i wynosi Lutka na barana, aby zrobić siusiu, przeskakując boso po zamarznętej ziemi. W ubikacji pachnie mokrym szcurem piźmowym, ale nie dociera tam wiatr i jest ciepło. Hanna przeklina, widząc na gwoździu błyszczące kwadraty wycięte z „Life’a”. Lśniące, czyli ostre i zimne na pupie; potem będzie swędziało.

Kiedy wracają, wilgotny chłód Furgonu Piekarza wydaje się jeszcze dotkliwszy od tego, co na zewnątrz, a przy stole stoi Regina, przed nią bochen chleba. Odwraca się i lekko macha. Hej – mówi.

Hej, odpowiada Hanna, stawiając Lutka na podłodze, chłopiec biegnie do chleba i odrywa kawałek. Żuje. Lutek schował się, kiedy mama nie przyszła po niego w porze obiadu, a nie jadł od śniadania. Jest wygłodniały. Hanna przykuca, aby sosnowymi szyszkami, wonną rozpałką, rozniecić ogień w białym popiele w piecyku.

Brakowało nam ciebie po południu w Piekarni – mówi Regina. Chciałam zapytać o granolę, a ciebie nie było. Ma mąkę na czarnej koronie warkoczy, a na policzkach coś lśniącego. Oczy ma małe i głęboko osadzone, a brwi niczym wronie skrzydła.

Zachorowałam, mówi Hanna. Głos ma spięty, ale kiedy przykłada zapalnik do naftowej lampy, w blasku jej twarz wygląda normalnie. Nie chciałam, żeby ktoś inny się zaraził, więc postanowiłam zostać w domu.

Och. Uhm, odpowiada Regina. Dobrze. Tylko że przy budowie Domu Arkadii jedynie ja i Ollie jesteśmy w Piekarni, kiedy ciebie nie ma. Jest w porządku, jeżeli mi powiesz wcześniej, ale kiedy liczymy na ciebie, to robi się kiepsko.

Przepraszam, mówi Hanna. Jutro będę cały dzień.

Czy chodzi o to, co zdarzyło się jesienią... – zaczyna Regina, ale Hanna ją ucisza. Lutek podnosi wzrok na Reginę, która mu się przygląda.

Naprawdę?, pyta Regina. Nie w naszym stylu jest coś skrywać, wiesz? To kwestia życia...

On nadal jest taki mały, odpowiada Hanna. Powiemy mu, kiedy przyjdzie czas. To nasz wybór.

Rączka twierdzi, że dzieci nie należą do jedno...

Moje dziecko, Hanna upiera się z większym naciskiem. Nie obchodzi mnie, co mówi Rączka. Gdybyś sama miała, tobyś wiedziała.

Kobiety odwracają się od siebie i wbijają wzrok w różne rzeczy: Hanna w zapalnik, Regina w ekspres do kawy. Powietrze przepelnia milczący język dorosłych, którego Lutek nigdy nie rozumie.

W porządku, mówi Regina. Z hukiem stawia ekspres. Podnosi Lutka i patrzy na niego uważnie. Malutek, dopilnuj, żeby mama przyłożyła się do pracy. W Arkadii nie ma miejsca dla leniuchów.

Dobrze, szepcze Lutek.

Kiedy drzwi zamykają się za Reganą, Hanna mówi: Wścibska suka.

Lutek czeka, aż minie mu kwaśność w żołądku, a potem pyta: Co to suka?

Piesek dziewczynka, wyjaśnia Hanna, gryzie się w wargę i nadyma policzki.

Aha, mówi Lutek. W Arkadii nie wolno trzymać zwierząt. Lutek nie pyta o to, co

zna z teorii z książek z obrazkami, ale pragnie lepiej zrozumieć: co to dokładnie jest pies albo dlaczego ludzie chcą je trzymać. Jincy kiedyś karmiła małego króliczka mlekiem sojowym, aż jej mama Caroline znalazła go i kazała jej wynieść zwierzątko do lasu. Kiedy Jincy płakała i płakała, Caroline wzruszyła ramionami i dodała: Daj spokój, Jin. Wiesz, że nie wolno mieć rzeczy na własność. Poza tym czy naprawdę chcesz zniewolić stworzenie boże?

Petey nie był moim niewolnikiem. Jincy pociągała nosem. Kochałam go.

Petey urośnie i będzie dużym, silnym królikiem, będzie skakał po łąkach, tak jak powinien, stwierdziła kategorycznie Caroline. Nazajutrz wierzące się różowe stworzonko znikło z polany z liści, gdzie zostawiła je Jincy. Teraz dzieci bawią się w przeszukiwanie podszytu, aby odnaleźć małego przyjaciela. Często ktoś biegnie z krzykiem do Stadka, przekonany, że kątem oka zauważył Peteya, różowego jak kulka mięsa, przemykającego w zaroślach, stworzonko cudowne i delikatne, ich wspólny sekret.

Hanna przyniosła Lutka przed świtem do niskiej, kamiennej Piekarni i chłopiec obudził się na workach mąki w kącie. Jest gorąco; bochny pęcznią na półce. Na widok ciasta Lutek robi się głodny, coś ciepłego budzi się w jego rozspanej głowie, jakby miał zawroty, i pełźnie do Hanny opartej biodrem o mikser, gdzie mama rozmawia z Reginą i Olliem. Lutek ciągnie ją w dół, a ona pochyla się automatycznie; on unosi jej koszulkę i przywiera ustami do piersi.

Hanna uwalnia sutek, delikatnie dłonią odsuwa jego policzek i obciąga koszulkę.

Jesteś na to za duży, skarbie, mówi i prostuje się.

Pomieszczenie drży w oczach Lutka. Ollie mruczy coś o tym, że Astrid karmiła Leifa aż osiem lat, Regina też coś mówi i podaje Lutkowi miękkiego precla. Hanna mówi *Coś-coś-nie*, ale Lutek nie słyszy słów dokładnie, jego smutek jest jak nazbyt głośny wiatr w uszach.

Kiedy robi się zbyt ciemno, aby pracować, Abe wraca do domu. Z jego kurtki, kombinezonu i koszuli sypią się trociny. Kiedy ściąga rękawice, dłonie ma pokaleczone i spierzchnięte. Podczas kolacji Hanna ziewa. Lutek i Abe widzą, jak mały ludzik podskakuje w pieczarze jej gardła. Jestem skonana, mówi. Czasami obmywa twarz i szcztokuje zęby sodą, zanim zaśnie, a czasami nie. Noce są długie. Abe bierze na kolana Lutka i czyta na głos, cokolwiek akurat studiuje (magazyny „New Politics”, „Anarchy and Organization”, „Mad”). Lutek rozróżnia zdania, podąża za narastającą emocją w głosie Abe’a, potrafi sam wypowiedzieć tytuły. Części świata składają się w jedno, jak elementy układanki. Lecz ta układanka żyje, rośnie. Pojawiają się nowe dla niego elementy, które dopasowują się szybciej, niż on ogarnia je umysłem.

Walczy ze snem, aby o tym myśleć. Ojciec zmywa naczynia i przynosi wodę ze strumienia, żeby nie musieli robić tego rano, a kiedy ciężkimi dłońmi rozpina koszulkę, przewraca się, już śpiąc, do łóżka.

Lutek wie, że istnieje to, co dzieje się na powierzchni, i to, co ciągnie się pod spodem. Myśli, żeby stanąć w nurcie rzeki, gdy wieje silny wiatr z przeciwnej strony. Nawet w najszczęśliwszych czasach – w Dzień Kukanii w środku lata, w Dzień Błogosławieństwa pod koniec roku, w trakcie dożynek czy spontanicznej zabawy – nawet podczas tych wszystkich tańców i radosnych przekomarzań, picia cydru, bankietów,

w kątach zawsze siedzi kilku umięśnionych młodych mężczyzn, którym źle patrzy z oczu. Kiedy zjawiają się w Arkadii, rozlegają się szepty: *obibok, narkusy, raczej... szczoty... dźgać cizie?* Jest stara Harriet – bez stanika, z piersiami zwisającymi do pępka – która gromadzi jedzenie pod łóżkiem (*Biedactwo*, podszuchał, jak ktoś kiedyś mówił, *patrzyła, jak rodzice umierali z głodu podczas oblężenia Leningradu*). Jest Ollie, jeden z pierwszych członków Karawany, który pracował sam przez pierwsze dwa lata, aby wzmocnić arkuszami blachy tajny tunel między Ośmiokątną Stodołą a Domem Arkadii, gromadząc w nim beczki z wodą, żywność w konserwach, zapałki, brezent, sól jodowaną. Ollie jest miękki i blady jak salamandra nad strumieniem; czasami wzdryga się, mruga oczyma i milknie w środku zdania.

Zło nawet przenosi się czasami na dzieciaki. Lutek nie chce wchodzić do sali z owocami w Wolnym Sklepie, pomimo tych wszystkich smakowitych, marszczących się jabłek w beczkach. Ktoś powiesił czarno-biały plakat z groźnym mężczyzną z sumiastym wąsem. Są słowa, których Lutek boi się wypowiadać przy *Wielkim Bracie*; a nawet kiedy pojawiają się dorośli, spoglądają na plakat i szybko wychodzą.

Hannę i Abe'a nawiedza ten sam koszmar od dzieciństwa: mroczny pokój, w którym stoją przed grubą kobietą, nad nimi wyje syrena, szamotanina pod deskami, biały błysk. Ostatnio te sny często niepokoiły Hannę jak pajęczyny zaciskające się coraz mocniej, gdy próbuje uciekać. W większość dni, kiedy pierwsze słońce rozlewa się po linoleum w Furgonie Piekarza, panika ze snu powoli znika, pozostawiając oleisty posmak wyczuwalny w powietrzu.

Lecz tego ranka Lutek budzi się sam z walącym sercem. Sople lodu w oknach przenika czerwone światło świtu, Lutek idzie boso po śniegu, aby zerwać jeden, wróciwszy do środka, wylizuje go, aż nic nie zostaje, zjada samą zimę, schwytny dym ze spalonego drewna, senną ciszę i przejmującą lodową czystość. Rodzice śpią dalej. Przez cały dzień sekretny soplek siedzi w nim, jego własność, zimne ostrze, i Lutek czuje, że jest dzielny, kiedy o nim myśli.

Patrzy, jak rodzice całują się na do widzenia. Ich usta ześlizgują się z policzka drugiego, i kiedy się odwracają, Abe poklepuje poziomicę na pasie, a Hanna marszczy czoło, gdy Astrid, czekająca po drugiej stronie Kwadratu z naręczem prania, woła coś. Szok; Lutek nie rozumiał tego aż do teraz; jego rodzice różnią się mocno od siebie. Jest tylko jeden Abe, promienny, czerpiący energię zewsząd, z solidnie zbudowanego Domu Arkadii; ale są dwie Hanny. Letnia Hanna odchodzi, ta, która kochała ludzi, która zabierała dzieciom buty, gdy spały, aby namalować na czubkach pyszczki zwierząt, świń, koni, ptaków i żab, w zależności od tego, kto je nosił. Jego roześmiana mama, głośna: w miejscu, gdzie wszystkie funkcje ciała są zrozumiałe, gdzie nawet w poważnych momentach pojawia się cała dęta sekcja pierdnieć; jej gazy słyną z głośności. La Pétomane, takie znalazła sobie przezwisko, rumieni się na poły dumna. Ta Hanna dorównuje siłą mężczyznom. Kiedy ktoś krzyczy: Pomocy!, żeby go wesprzeć przy ciężarówce, która utknęła w błocie, albo przy kopaniu w strumieniu żwiru potrzebnego na beton do Łaźni, ona zjawia się pierwsza, pracuje najdłużej, z grzbietem pod bluzką bez rękawów napiętym i umięśnionym jak u każdego z mężczyzn. To jest Hanna, która sypie żartami pod nosem, aż kobiety dookoła rechoczą; ta, co zaciąga zasłony w Furgonie

Piekarza i otwiera swój mały, sekretny kuferek, którego nie wolno jej trzymać. Potem wyjmuje delikatny obrus, belgijską koronkę swojej babci. Wydobywa filiżanki z porcelany cienkiej jak skóra, dziesięć olejnych miniatur i mahoniowe pudełko ze srebrem z pięcioma różnymi rodzajami widelców, wszystkie oplecione drobnymi liliami. Ustawia to wszystko i zaparza miętową herbatę, i robi ciasteczka z pomarańczową skórką i z przemyconym białym cukrem, i razem z Lutkiem urządzają sobie podwieczorek trwający całe popołudnie.

Ridleyu Sorrelu Stone, żuje się z zamkniętą buzią!, mówi Letnia Hanna zjadliwym głosem nauczycielki manier z czasów dzieciństwa: Na kolana kładzie się serwetkę! Ona i Lutek podzwaniają filiżankami z powagą, współwinni.

Lecz ta Hanna ukrywa w środku nową, która wpuściła zimę. Zaczęła wpatrywać się w ściany. Jej złota skóra staje się blada, pod oczyma pojawiają się sińce. Ta Hanna spogląda na Lutka jakby z bardzo daleka.

Lutek rąbie drewno razem z Tytusem Thrasherem przy Stróżówce. Odlatujące spod siekiery drzazgi do wiadra na podpałkę.

Chcesz pogadać o tym, co cię trapi?, pyta Tytus, a Lutek po cichu mówi: Nie.

Patrzą, jak Kapitan Ameryka przejeżdża obok skrzypiącym kombi, które wziął z Bazy Pojazdów. Ćpun jedzie do Summertona na psychoterapię, za którą płaci państwo. Wielu z Arkadii dostaje talony na żywność albo rentę inwalidzką. Kiedy był długi okres bez nowych ludzi, którzy dołożyliby pieniądze do puli, utrzymywała ich opieka społeczna. Kapitan Ameryka był profesorem angielskiego, ale ćpał tak dużo, że pomieszało mu się w głowie. Teraz przycina sobie długą brodę w dwa szpice i nosi sarong z amerykańskiej flagi. Lutek raz słyszał, jak Astrid go broni: Tak, to świr, tak to już jest, mówiła. Ale miewa przebłyski świadomości. Lutek przypuszcza, że chodziło jej o momenty, kiedy Kapitan Ameryka krzyczy: Wuj Sam mnie chce. Albo: Nixon to kula u nogi!

Dlaczego nazywa się Kapitan Ameryka?, pyta Lutek, obserwując, jak niebieskie spaliny za kombi zwijają się i nikną, a nie profesor Merton?

Tytus opiera się o trzonek siekiery. Paruje od potu, ma podkoszulek koloru herbacianego osadu w kubku. Z Tytusem nie mieszka żadna kobieta, żeby mu prała, więc ma wszystko brudne, chyba że Hanna albo jakaś inna wykradnie mu ubranie, jak go nie ma. Śmierdzi jak zgniła rzepa.

Mawia: Ludzie muszą wybierać, kim chcą tutaj być. To część umowy. Prawie każdy ma przyzwisko, które sobie nadał. Ludzie przyjeżdżają tu, aby być tym, kim chcą. Tarzan. Cudowny Bill. Zalotna Sally. – Rumieni się przy tym ostatnim imieniu, a Lutek przygląda się przyjacielowi w milczeniu.

Długą gruntową drogą podjeżdża samochód. Tytus podchodzi do bramy, wycierając twarz bandaną. Z wozu wylewa się czterech mężczyzn w skórzanych kurtkach z frędzlami i aparatami fotograficznymi, trzaskają drzwiami za sobą.

Hej, człowieku – mówi jeden.

Tytus odpowiada: Nie, nie, nie. Witamy was, jeżeli rzeczywiście chcecie tu mieszkać, człowieku, ale jeżeli nie, to musicie szanować naszą prywatność.

Och. Hm, jesteśmy z gazety college'u w Rochester?, mówi jeden z chłopców.



A wy nie macie telefonu. Chcieliśmy przeprowadzić wywiad z Rączką.

Kocham jego muzykę, mówi gnojek o czerwonych uszach. Prawdziwie amerykańska.

Cała czwórka uśmiecha się pewna, że jej podziw to bilet wstępu.

Przykro mi, mówi Tytus.

Daj spokój, człowieku.

My hipisi, dodaje inny. Wyciąga piętnastokilowy worek z bagażnika. Kupiliśmy bataty dla Wolnego Sklepu. Tylko pozwól pogadać z ludźmi, co? Wyjedziemy po obiedzie.

Twarz Tytusa hardziej.

Nie jesteśmy zwierzętami w zoo, mówi. Nie przekupicie nas orzeszkami.

Batatami, mówi chłopak.

Tytus zarzuca siekiere na ramię i podchodzi bliżej do chłopaków. Wahają się, rozdzielają, tylko jeden trwa przy swoim. Czasami Tytus musi użyć przemocy, aby zniechęcić ciekawskich. Lutek boi się, kiedy jego łagodny przyjaciel zamienia się w brzydkiego obcego, którym czasami musi się stać. Ucieka. Przez całe popołudnie zostaje w lesie, dźgając kijem w sople i zamarzniete kałuże, aż robi mu się za zimno i dłużej nie może zwlekać z powrotem do domu, do Furgonu Piekarza. Kiedy wchodzi i kładzie palce na karku mamy, ta wzdryga się i budzi.

Abe wraca do domu i krzyczy: Skrzydło dzieci ma dach! I hydraulikę. Jest ocieplone i osłonięte. Dzieci będą miały gdzie mieszkać!

Lutek tańczy, a Hanna rozciąga się na całą długość, uwalniając swój ciepły zapach ze swetra, i mruczy: To fajnie.

O poranku świeżym od śniegu orszak kobiet z mopami i wiadrami wspina się do Domu Arkadii. Będą szorować, polerować i malować to wszystko, odświeżać podłogi, gipsować na nowo. Hanna idzie z nimi. Chwieje się na nogach, worek kości.

Lutek, kochanie, zachęca go Hanna. Idź, pobaw się ze Stadkiem w Różowym Grajku, ale on odpowiada: Nie, nie, nie, nie, nie. Nie widział domu od wielkiej kampanii, kiedy Rączka wyjechał w trasę koncertową. W końcu Hanna pozwala iść Lutkowi z nimi. Chłopiec siada w małym Czerwonym Wózku z octem, szmatami i kartonem gąbek na kolanach. Hanna, ciągnąc go po błotnistej ziemi, zostaje w tyle. Kobiety nawołują się w ostrym powietrzu; śmieją się. Mężczyźni na dachu Domu Arkadii stoją niczym świstaki na polu i obserwują kobiety zmierzające przez terasy sadów jabłkowych. Pogwizdują. Abe szeroko wymachuje rękami nad głową.

Jednak gdy kobiety pokonują dziedziniec i wchodzi do Szkoły, mężczyźni milkną. Są tu wielkie, usmolone okna; stara, dziwna, pękata koza; haczyki na płaszcze, jedne wysoko, inne nisko. Sterty ławek obrosły tęczowym grzybem. Na ścianach drżą pajęczyny poruszone prądem powietrza. Ktoś dawno temu obozował na środku i wypalił wielką czarną dziurę w deskach. Tynk z sufitu odpada płatami, odsłaniając surowe deszczułki, na duchach antycznej kaligrafii na tablicy ktoś wydrapał nożem wielkie *Fuck*. Lutek literuje je w głowie i wypowiada to słowo pod nosem. Kobiety nieruchomieją i szeroko otwierają oczy.

Wtedy prosta Dorotka w babcynych okularach odstawia wiadro i podwija rękawy.

Wiąże na głowie długie, szare warkocze, sprawiając sobie koronę. Moje panie, woła, aż porusza się kozuch na ścianach, przemieszcza się i faluje niczym włosy pod wodą. Mamy robotę, co.

Mamy, mamy, cicho powtarzają echem kobiety.

Lutek dostaje szmatkę, zostaje posadzony w ławce, którą ma szorować, ale patrzy, jak kobiety omiatają ściany miotłami, aż powoli opadają peruki pajęczyn.

Spostrzega, że może wyjść niezauważony.

W holu dochodzą go skądś stukania mężczyzn. Jest muzyka, coś znajomego, Hendrix w radiu, ale zniekształcony przez odległość, mury i uderzenia młotków, aż wszystko razem, muzykę i odgłosy sprzątanania i budowy zalewa zamieć śnieżna, tylko wiatr i łomot.

Na końcu holu pod małym oknem schowało się siedzisko. Lutek próbuje się wspiąć, ale poduszka zapada się, kiedy jej dotyka. Lutek ucieka przed tumanem kurzu, śniegiem z pleśni i martwych pajaków, idzie w ciemniejsze miejsce, skręca tam, gdzie ściana zamienia się w szczyby schodów. Wspina się po nich. Brakuje niektórych stopni; przeskakuje je, a wtedy coś porusza się w pustce pod nim, a on gramoli się w górę z walącym sercem, byle dalej, przerażenie chwyta go za gardło, na wyższe piętro. Tu pachnie sosną i trocinami, świeżymi belkami nowego dachu, ale musi obejść wielkie, szczyrbate dziury w podłodze. Skrada się, mija zakręt. Jedne drzwi otwierają się, gdy je mija, i zagląda do środka. To obszerny i ciemny pokój, Proscenium, przypomina sobie, że ktoś kiedyś tak go nazwał. Nad sufitem rozpościera się brezentowa płachta, gdzie kiedyś widać było całe niebo.

Hanna mówi mu, że to niemożliwe, aby pamiętał dzień, kiedy przyjechali do Arkadii. Miał tylko trzy lata, tak mówi; żaden trzylatek nie może pamiętać ani jednego konkretnego dnia. Ale on pamięta. Karawana była zbyt długo w drodze i rozrosła się zbyt wiele. Gdziekolwiek pojechali, ludzie przyłączali się do nich, ciągnęło się z nimi coraz więcej samochodów i autobusów. W końcu cała pięćdziesiątka Wolnych Ludzi była zmęczona. Kiedy zabrali Tytusa Thrashera ze sklepu wojskowego, opowiedział im o swoim ojcu, który po wuju odziedziczył sześćset akrów w północnej części stanu Nowy Jork. Tytus był z nimi tylko tydzień, kiedy wyszedł z budki telefonicznej w drogerii i powiedział po prostu: Gotowe.

Jechali przez całą noc w głąb kraju i dotarli na miejsce w deszczowy, wiosenny poranek. Barton Thrasher był pulchnym mężczyzną, który wyszedł zapłakany z kamiennej Stróżówki, wyciągając ręce ku utraconemu synowi. Weszli do Różowego Grajka, a Harold, niegdyś prawnik, sprawdził papiery. Państwo domagało się nazwiska na umowie, więc zgodzili się, że będzie to nazwisko Rączki, chociaż posiadłość miała należeć do wszystkich po równo. Dopiero kiedy papiery zostały podpisane, Tytus mógł powiedzieć do ojca: Była zła krew między nami, tato, ale teraz wszystko się wyrównało. W odpowiedzi Barton Thrasher oparł się o szeroką pierś syna, a Tytus stał nieruchomo, przyjmując tę czułość.

Wtedy ktoś odpalił ognie rzymskie i wszyscy wiwatowali.

Resztki deszczu spadały na nich z drzew, gdy Wolni Ludzie po raz pierwszy w milczeniu powędrowali przez las, by zobaczyć swoją ziemię. Mężczyźni maczetami

torowali drogę przez zarośla, a kobiety trzymały dzieci i szły za nimi. Weszli na Owczą Łąkę i odebrało im dech. Na wzgórzu wznosiła się olbrzymia budowla, czego nikt się nie spodziewał; Barton Thrasher powiedział, że myślał, iż to wszystko to ziemia uprawna, i nie wiedział nic o istnieniu budynków. Nad nimi wznosił się Dom Arkadii różowością cegieł pokrytą płataniną dzikiej róży, za nią ogromny, szary statek Ośmiokątnej Stodoły, a resztę kamiennych przybudówek pochłonęła trawa. Wchodzili Terasami, brnąc przez błoto i chwasty, po ukrytych kamiennych płytach. Jabłonie były nagie i stare, zgarbione skrzaty, a maliny rozrastały się dziko między pniami. Stracone zeszłej jesieni jabłka lepiły się przesłodkim błościem do ich podeszew. Weszli na wyłożony łupkiem ganek i zebrali się przed olbrzymimi drzwiami.

*Et in Arcadia ego*, powiedział ktoś. Spojrzeli na nadproże, gdzie pochopnie wykuto te słowa.

Astrid wyjaśniła: Arkadia. To znaczy: *I w Arkadii byłem*. Poussin namalował taki obraz. Cytat pochodzi z Wergiliusza...

Lecz Rączka przerwał głośno: Żadnych ego w Arkadii! A oni odkrzyknęli z radością. Astrid mruknęła: Nie, nie ego, to nie znaczy to, to... Ale ucichła. Nikt jej nie słyszał poza Lutkiem.

Arkadia, wyszeptała Hanna we włosy Lutka, a on poczuł na skórze głowy jej uśmiech.

Wejście: urwany żyrandol, kryształ pod stopami zmieszane z piachem, ślady zwierząt, przegniłe liście. Schody łukiem prowadzące do nieba, bo dach zerwało. Wolni Ludzie rozdzielili się, szperali, odkrywali. Hanna niosła Lutka przez ten bałagan, mieszanina piachu i resztek roślin, antyczne graffiti, drzwi nie otwierane od wieku. Dom Arkadii nie miał końca, ciągnął się w kształcie podkowy, okalając dziedziniec, gdzie dominował dąb o pniu szerokim na dwa i pół metra. Skrzydła budynku były obrzydliwie brudne, popsute i ciągnęły się w nieskończoność. Przez okno Lutek zobaczył połyskujący Staw i zabudowania niczym statki w morzu chwastów. Wszędzie były dziury: w dachach, ścianach, podłogach. Był przestraszony. W końcu wszyscy spotkali się w Proscenium, wielkiej Sali z ławkami, sceną, zeszmakonymi zasłonami koloru pomyj, z głębokim czerwonym aksamitem w środku fałdów. Wolni Ludzie byli brudni, wygłodzeni i spragnieni zabawy. Po długich latach debatowania nad swoją społecznością, wspólnych lektur, rozmów o kibucu, Drop City i aśramach, w których część z nich mieszkała, znaleźli dom. Pragnęli uczyć to muzyką i marychą, a może czymś mocniejszym. Jeżeli teraz nie dokonamy tego, moi bitnicy – powiedział Rączka – to kiedy? Tak więc zostali w Proscenium, gdy popołudnie przeszło w wieczór i północ, omówili to wszystko, zasady ich Domu.

W podłodze była dziura, pod spodem ciemniało Wejście, widać było jedynie kilka błyszczących kryształów w piachu; w dachu też była dziura, w której noc robiła się atramentowa, a wkrótce rozpaliała się gwiazdami.

Wszystkie rzeczy będą wspólne, wszelka własność – konta bankowe, fundusze powiernicze – trafi do wspólnego garnka, każdy, kto się przyłączy, musi oddać wszystko, co posiada. Tymi pieniędzmi zapłacą podatki i rachunki. Jak zarobią coś, to przez akuszerstwo albo wynajem siły roboczej do pracy na polach, będą jeść tylko to, co sami

zbiorą, a nadwyżki sprzedadzą. W Arkadii plugawa mamona będzie zakazana.

Każdy będzie mile widziany, jeśli obieca pracować; ci, którzy są zbyt słabi, upośledzeni, starzy albo w ciąży i nie mogą się męczyć, zostaną otoczeni opieką. Nikt nie zostanie bez pomocy. Ale żadnych Uciekinierów; nie potrzebują, żeby władza spadła im na głowę.

Będą prowadzić czyste i szczerze życie; bez żadnych nielegalnych czynów. Hm, dodawali, kiedy uniósł się znajomy, konopny zapach, nic, co powinno być nielegalne.

Kary nie będą konieczne; wszyscy muszą poddać się Kreatywnej Krytyce, kiedy popełnią błąd albo nie sprostają swoim obowiązkom, będą musieli przyjąć zbesztanie przez społeczność i przejść rytualne oczyszczenie.

Ten, kogo rzniesz, staje się twoim mężem lub żoną, mówił Rączka; i w ten sposób w początkach powstały cztero-, pięcio-, sześćo-, ośmiuosobowe małżeństwa, z których większość rozpadła się na singli lub pary.

Będą traktować wszystkie żywe stworzenia z szacunkiem; będą weganami, odzwierzęce produkty i zwierzęta są zabronione.

Do dnia, kiedy wyremontują ten wielki, dziwny statek nazywający się Dom Arkadii i zamieszkają razem w miłości i dobroci, zbudują Namiastkę Arkadii.

Zanim ich zasady zostały wyłożone, uzgodnione, nazwane, nastąpiło prawie rano. Wielu z nich zasnęło. Nieliczni, którzy nie spali, zobaczyli szeroką twarz Rączki o świcie jaśniejącą w brudnych oknach. Wykonał szeroki ruch w stronę sterty wokół nich, mówiąc: Ta ziemia, te domy, które dzisiaj tu znaleźliśmy, to podarunki miłości od Wszechświata.

Wtedy lata przemijania wybuchły w nim i Rączka zapłakał.

Minęły trzy lata pełne ciężkiej pracy, trochę nieudanych zbiorów, trochę dobrych. Pożyczali woły od sąsiadów amiszów, aby orać pola. Później milczący, pracownicy mężczyźni amisze przyszli – niespodzianka – aby pomóc kosić sorgo, jęczmień, soję. Starczyło tego tylko do jedzenia, nie na sprzedaż. Położne jeździły do niedalekich miasteczek, do Ilium i Summertona, aby odbierać porody za pieniądze. Założono Bazę Pojazdów, żeby świadczyć usługi transportowe za opłatą i szukać porzuconych samochodów na części zapasowe. Co jesień najmowali się do pracy na polach albo w sadach jabłkowych, żeby zarobić jak najwięcej gotówki. Sporządzali alkoholizowany cydr, mus i szarlotki z własnych jabłek. Zaprawiali tyle poziomek i malin, i innych plonów z ogrodu, aby starczyło na całą zimę. Lecz nawet poprzedniej zimy nastąpił tydzień głodu, który byłby jeszcze gorszy, gdyby Hannie nie udało się wyrwać funduszu powierniczego od prawników rodziców. Razem przetrwali.

Pewnej nocy w grudniu po uroczystości Przesilenia, kiedy Rączka udał się na Poszukiwanie Wizji w saunie, którą zbudowali przy Łażni, Abe zwołał tajną naradę dla Projektu Renowacji Domu Arkadii. Wybrał kilka osób, aby mu towarzyszyły, symbolicznych szefów zespołów robotniczych: Pola, Ogrody, Oczyszczanie, Wolny Sklep, Piekarnia, Sojowa Mleczarnia, Zaprawy, Położne, Dział Biznesowy, Baza Pojazdów, Stadko Dzieci. Hanna przyprowadziła Lutka pod swoim poncho, bo wtedy figurowała jako szefowa Piekarni, a nie chciała zostawić go samego w Furgonie Piekarza. Spotkali się między Domem Arkadii a Ośmiokątną Stodołą w tunelu, który Ollie umocnił na wypadek ataku nuklearnego.

Słuchajcie, powiedział Abe. Tak pomyślałem sobie, że znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym. Wkrótce musimy się przenieść do Arkadii, bo inaczej opóźnimy wprowadzenie w czyn wszystkich naszych wielkich idei. Możemy wygodnie siedzieć w Namiastce Arkadii i przepuścić swoje marzenia i nigdy się tam nie przeprowadzić.

Ktoś zaprotestował, coś w związku z pieniędzmi, ale Abe podniósł rękę. Dajcie mi chwilę. To jasne, że pracujemy za ciężko, bez efektów, robimy niepotrzebne rzeczy, tylko żeby przeżyć. Chodzi o podział pracy. Gdybyśmy scentralizowali opiekę nad dziećmi i gotowanie i nie musieli się martwić wożeniem wody dla siebie ze Stawu albo przynoszeniem jedzenia z Wolnego Sklepu na kolację, albo rąbaniem wystarczającej ilości drewna, żeby mieć ciepło przez cały tydzień, moglibyśmy w zasadzie pracować tyle, żeby utrzymać siebie i zarobić. Zrobiłem rachunki – powiedział i podniósł kartkę pokrytą drobnym pismem. – Jeżeli wyremontujemy Dom Arkadii i będziemy żyć wszyscy razem, damy radę. Może nawet w tym roku będziemy mieli zysk.

Broda Abe'a rozdzieliła się. Uśmiechał się tak szeroko, że Lutek obawiał się o policzki taty.

Zapadła cisza, tylko w Ośmiokątnej Stodole ktoś przeciągał coś ciężkiego po podłodze. Słomiani szefowie zaczęli mówić jeden przez drugiego, chodząc tam i z powrotem tunelem, uwalniając swoje marzenia, budując wizję szczegół po szczególe.

Im głębiej Lutek wpycha się w Dom Arkadii, tym bardziej dokuczają mu paskudne, wilgotne zimno. Ludzie jeszcze nie tknęli tych pokojów; są zapleśniałe i ciemne. Naciska klamkę i drzwi ustępują z cuchnącym wydechem. Waha się między ciemnością holu a światłem nad klatką schodową, wybiera światło i idzie na górę, chociaż kurz sięga mu do kostek. Znajduje się na pomoście, który biegnie dookoła ciemnego pomieszczenia, nietknięta kanapa, wielki, ceglany kominek, morze brudu porusza się trzy metry pod nim za sprawą przemieszczanego przez niego powietrza. Z tego miejsca w domu nie słyszy już mężczyzn na dachu, ich muzyki ani kobiet daleko w Skrzydle Dziecięcym, gdzie śpiewają i rozmawiają.

Spod pierwszych drzwi wylewa się coś czarnego, zło, które rozprzestrzenia się od szczeliny. Przeskakuje je, skrada się dalej. Zza drugich dochodzi odgłos, westchnienie, szept, czuje zimno metalowej gałki, więc je też omija. Trzecie otwierają się, gdy popycha je mocniej, i wchodzi.

Pokój pokrywa kożuch kurzu głębokiego na centymetry. Kurz zarasta ściany, podłogę, rozchodzi się po bryłach mebli; Lutek odkrywa to, gdy wkłada w to dłoń i wyczuwa drewno pod spodem. Dotyka czegoś miękkiego, materiału, i już wie, że to łóżko.

Pośrodku podłogi rozkoszna bryła, Lutek zanurza obie dłonie. W dole jest coś twardego. Wyciąga pięści, spogląda na zbiór kosteczek, mysia czaszka i szkielet. Potem garść guzików w dziwnym, gęstym materiale, kremowobiałym i lśniącym. W końcu przedmiot, twardy i miękki zarazem. Dmucha na niego, aż ukazuje się książka.

Na skórzanej okładce są wytłoczone kwiaty, chłopiec wyglądający zza drzewa i złote litery. Lutek odczytuje cztery – G-R-I-M – a potem robi się niecierpliwy i otwiera książkę.

Wpierw widzi ilustrację. To najbarwniejsza rzecz w całym Domu Arkadii; wciąga

światło do wnętrza. Dziewczynka o wykrzywionej twarzy najwyraźniej używa odciętego palca jako klucza. Na kolejnej stronie jest drobny mężczyzna, który rozpada się na dwie połowy, a z jego ran tryska krew. Na następnej dziewczynka z otwartą buzią w długiej sukni przechodzi obok lwów, a włosy ma upięte na kształt włochatej czapeczki żołędzia.

Lutek znajduje najkrótszą historię. Przesuwa palcem pod każdym słowem, gdy je rozszyfrowuje. To o matce z gromadką dzieci w czasach głodu, co znane jest Lutkowi: przerażenie w brzuchu. Jagody ostrokrzewu. I soja – to wszystko, co im zostało w słojach. Matka chce zjeść swoje dzieci. Są jak aniołki i postanawiają umrzeć dla niej, lecz ją tak zawstydzają ich poświęcenie, że ich nie zjada. Zamiast tego ucieka.

Piętrzą się okropieństwa: matka zjada dzieci, dzieci umierają, matka znika na zawsze w ciemnościach opowieści.

Lutek upuszcza książkę w stertę kurzu, zasłania dłońmi oczy. Świat napiera mocno i ściska go. Chłopiec trzyma twarz, aż przerażenie ustępuje i znowu może oddychać.

Z daleka dobiega rozpaczliwy głos Hanny: Lutek! Chodź tu natychmiast! Zanim rusza, chwytając książkę, wpycha ją sobie w spodnie i biegnie po własnych śladach w kurzu, biegnie i biegnie, skręca w złą stronę, gubi głos Hanny, wpada do znajomej Sali, teraz słyszy jej głos z bliska. Schodzi po schodach, przeskakując brakujące stopnie, wpada do Wejścia, idzie korytarzem, gubi jej głos, idzie w inną stronę i w końcu trafia do szklanej sali z koślawymi, długimi stołami, gdzie Hanna stoi odwrócona do niego plecami i woła go. Tak się cieszy, kiedy widzi Lutka, że bierze go w ramiona i tuli tak mocno, że on nie może oddychać; odstawia go i wyciera o ramię moką twarz. Lutek, nigdy więcej nie odchodzi, mówi. Może ci się coś stać. Jest tu bardzo, bardzo niebezpiecznie.

Trzyma go w wyciągniętych ramionach. Boże, mówi. Cały jesteś czarny.

Gdy wyczuwa okładkę w jego spodniach, wykrzywia usta. Spogląda na niego, a Lutek ją obserwuje i jest niemal rozczarowany, kiedy nie zwraca na książkę uwagi. Ostatnio ze wszystkim tak robi.

Midge wraca z zaplecza. Kiedy jej ojciec zamienił się w lód podczas Porannego Spotkania w lutym, Midge zrobiła się cierpka, jakby nieustannie ssała agrest. To nie jest miejsce dla dziecka, Hanno, rzuca. Weź go do domu.

Midge nie ma szyi, zauważa Lutek. Głowa obraca się jej na ramionach jak na kole zębatym.

Znowu jadą przez wzgórze pobrękującym Czerwonym Wózkiem. Lutek zostawia książkę pod butami i spodniami, kiedy z mamą wchodzi do Łaźni z cementowych bloczków, chociaż ich dzień kąpieli wypada dopiero w niedzielę. Przeważnie robią coś, co Hanna nazywa kąpielą PPKP: zamoczyć ścierkę w gorącej wodzie, namydlić, objechać Pysio – Pachy – Krocze – Pupę. Dzisiaj w pustej Łaźni niesie się echo. Wszyscy inni pracują. Para jest jak luksusowe niebezpieczeństwo, różowa delikatność jego matki pod gorącą wodą, twarze śpiących dzieci, które ożywają w kolanach Hanny, w jego własnych pokładach ciemności, jaka zapada, gdy Hanna trze go spierzchłymi dłońmi, szoruje go do żywego, aż Lutek znów wygląda jak noworodek.

Hanna, czysta w ciszy wczesnego popołudnia, robi sobie herbatę. Siada w oknie, z gramofonu płynie Édith Piaf. *Non* – swiergocze niewidzialna piosenkarka – *je ne regrette rien*. Lutek słyszy: *No, Gina gryź ryż, ten ryż*. Lutek myśli sobie: *Biedna Gina*,

żał mu jej.

Hanna jest tak zamyślona, że Lutek staje się niewidzialny. Macha jej dłońmi przed oczyma, ale ona nie mruga. Lutek wyciąga ze spodni książkę wykradzioną z Domu Arkadii i wymyka się z głównej części Furgonu Piekarza po stopniach do chłodnej przybudówki, wkłada ją do swojej Puszki-Schowka, gdzie ledwo się mieści, nawet gdy wyjmie wszystko: skórę węża i szklane oko z zieloną tęczówką, grot strzały i wróbla z ruchomymi skrzydłami, którego kiedyś wyrzeźbił mu Abe.

Ośmielony wychodzi po południu i zanosí swoje skarby do Wolnego Sklepu, gdzie kładzie je na półce, na której żyją inne niezwykle przedmioty. Dotyka konopnych naszyjników uplecionych przez Sylwię, pojedynczej wrotki, zapleśniałych książek, schludnych stosów połatanych i poskładanych dżinsów, flanelowych koszul. W rogu Cheryl waży suszoną żurawinę i wsypuje ją do papierowych tutek, aby starczyło sprawiedliwie dla każdej rodziny, a kiedy stoi odwrócona plecami, Lutek wpycha dłoń do beczki z mąką i zaciska je, aż proszek rozkosznie przelatuje mu przez palce. Muffin rozlewa olej do półlitrowych słoików i podnosi wzrok, a krople oleju na jej okularach powielają jej oczy w niezliczonych, mrugających miniaturkach, ale nie skarży na niego. Lutek bierze kawałek suszonego jabłka z kosza z przekąskami i biegnie do domu przez ziąb. Kiedy wchodzi, mama przekrzywia głowę i mówi: Gdzie byłeś, Mały Człowieku, ale nawet nie słucha jego odpowiedzi.

Lutek ma plan. Jutro wykradnie się ze Stadka, wróci do domu i spędzi radosne godziny ze swoją książką, składając w jedno te straszne, przerażające opowieści, aż świat będzie ich pełen i już więcej nic innego się nie wciśnie.

Śnieg roztapia się pod lodowatym deszczem, a niebo ma kolor kłaków kurzu. Podchodzi Jincy. Ma twarz czerwona od płaczu. Ma osiem lat, a na głowie dziką płataninę białych loków. Jest dużo starsza od Lutka, ale to jego najlepsza przyjaciółka. Zamykają się w jego śpiworze, a w tym zbliżeniu ona szepcze: Moi rodzice się kłócą.

Lutek ma tak dużo do powiedzenia, ale nie mówi nic.

Odgrywają Nianię i Dziecko, odgrywają Bojkot, grają Rączkę i Lilę. Odgrywają Nixona, Jincy rozluźnia twarz, układa palce w literę V. Bawią się w połoźną: Jincy to Astrid, a Lutek wypycha porcelanową lalkę ze swojej udawanej joni, a Hanna to widzi i błednie. Hej, dzieci!, mówi. Upieczmy ciastka! Wtedy mieszają mąkę, dodają pozostałe składniki i pieką owsiane ciasteczka z migdałami, rodzynkami i melasą, gdy Hanna przy kuchennym stole wydaje im polecenia.

W Lutku wznosi się dobra bańka i chłopiec porusza się lekko, aby utrzymać ją w całości.

Abe wraca do domu, kiedy jeszcze jest jasno, i gotuje obiad dla nich wszystkich: naleśniki z tempeh, marynowanymi grzybami i serem sojowym. O dziewiątej rodzice muszą iść do Ośmiokątnej Stodoły na Kreatywną Krytykę Tarzana, bo kilku dziewczynom czynił niechciane seksualne awanse, nawet Ciężarnym, co naprawdę potęgowało złe wibracje. Hanna kuli się w za dużym swetrze i wygląda jak wąż przed zrzuceniem skóry.

Abe, marszcząc czoło, mówi: Nie wiem, czy dzieci powinny zostać tu same...

Będziemy grzeczni, odzywa się Jincy! Nie będziemy dotykać pieca ani wychodzić

na dwór! Jak się będziemy bać, to pobiegniemy do Różowego Grajka! Hanna i Abe niechętnie wychodzą na dwór.

Z powrotem w śpiworze Jincy przytula Lutka zbyt mocno. Kiedy on się skarży, ona puszcza go i zaczyna szeptać historie.

Pod kładką nad rzeką, mówi, mieszka troll, który żąda ofiary, zanim będziesz mógł przejść. Wystarczy ładny liść albo śruba z Bazy Pojazdów, kawałek owocu, ale tylko mały, aby nie marnować.

A babok?, pyta Lutek.

Może być babok, odpowiada Jincy i śmieją się oboje.

Jincy ścisza głos. Jeannise uprawiała seks z Hankiem i Koniem i teraz bliźniacy nie rozmawiają z sobą. To źle, bo są w Oczyszczaniu i wywożą szambo.

Wes i Haven będą mieli dziecko, a Wes i Flannery też, opowiada Jincy. I Haven z Flannery chwyciły się za pióra i podrapały się po twarzach.

W zeszłym tygodniu Jincy słyszała rozmowę myszy. Piszczwały cienkimi głosami, że są tak tak tak tak głodne.

Kiedy Fistaszek i Clay odpalają jednego papierosa od drugiego, to się nazywa robić Hiszpana, chociaż nie ruchają się na prawdziwo, bo lubią dziewczyny.

W lesie mieszka jędza. W zeszłe lato na Festynie Kukanii, kiedy wszyscy dorośli upili się jabcokiem, Jincy poszła do Klonowego Lasku, bo jej rodzice krzyczeli, i zobaczyła wielką, starą, garbatą kobietę w czerni, która zatrzymała się, spojrzała na nią i odeszła. Miała długie białe włosy i straszną twarz. Unosiła się w powietrzu.

Lutka usypia, gdy Jincy dalej mruczy. Widzi cienie pełne stworzeń, trolle jak powielony zdeformowany, zielony Rączka. Widzi Lasek Klonowy, ponury i złowieszczy. Widzi Staw połyskujący w świetle księżycy. Tam wiedźma o zepsutych zębach Astrid, włosach jak zimowe strąki Hanny i pożółkłej twarzy Midge majaczy pośród cieniów, pojawia się i znika, aż staje się tak znajoma, że Lutek niemal zaczyna jej wyczekiwać, tęskni za nią, i nawet mówi sobie w tym śnie, że już więcej się nie boi. I nie boi się.

Rwetes w środku nocy; mężczyźni przychodzą do Abe'a, mówiąc jeden przez drugiego. Kiedy Hanna wstaje i robi kawę, Hiero mówi: Och, cześć, Hanno, kochanie. Fred Major kładzie wielką dłoń na jej ramieniu. Lecz żaden z mężczyzn nie zostaje na kawie, gdy ta się zaparzyła w ekspresie. Hanna siedzi przy stole. Jej oczy błyszczą w cieniu.

Pizama jest za ciasna na Lutka; podjeżdża mu na łydkach i przedramionach i w brzuch mu zimno. Lutek podchodzi do Hanny i wdrapuje się jej na kolana, kładzie głowę na jej piersi i słucha powolnego chlupotu serca.

Hanna mówi: Rano, mój przyjacielu, ktoś, kogo kochasz, odejdzie.

Lutek się nie odzywa, ale myśli: *Abe?* I coś zaczyna się w nim zapadać. Hanna na pewno wie, co mu chodzi po głowie, bo uspokaja go: Nie, nie, nie. Cudowny Bill. Inaczej się nazywał, zanim tu przyszedł. Zrobił złe rzeczy, o których nie wiedzieliśmy aż do wczoraj, i musi odejść.

Psotny Cudowny Bill? Cudowny Bill, który na rękach potrafi przeskakiwać z gałęzi na gałąź w Klonowym Lasku? Cudowny Bill, który wydaje zwierzęce dźwięki lepiej od samych zwierząt, na jego indyczy gulgot jesienią (oj, jak dawno temu, liście jaskrawe jak



klejnoty, złoto-srebrny zapach jesieni) indyk wysoki jak Lutek wyskoczył krzepko ku nim z zarośli?

Rano Świnie szukają Cudownego Billa. Arkadia zbiera się na Kwadracie, gdy Świnie węszą po domach. Nikt nic nie mówi. Lutek siedzi na stopach Hanny, aby odizolować się od zamarznętej ziemi.

Chłopiec jest zdezorientowany. Wyobrażał sobie ich różowych, z ryjami, zakręconymi ogonami, jak na obrazkach w bajkach w Stadku. Ci są w czarnych garniturach i lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Są różowi: przynajmniej to jest prawda. Może ogony mają schowane pod wygniecionymi spodniami. Rozchodzą się od nich dziwne zapachy: *To woda kolońska*, szepcze Hanna, krzywiąc twarz.

Świnie wchodzą do pierwszego Rodzinnego Baraku, potem do drugiego. Te, które otaczają las, trzymają broń, a Lutek ze zdziwieniem widzi zieleń pod ich stopami. Czosnaczek, turzyca – mówi Dorotka, kiedy ją pyta. Nadchodzi wiosna. Mężczą go ci mężczyźni, którzy mruczą coś do krótkofalówek.

Lutek słyszy, jak Leif pyta Astrid: Zastrzela nas? Astrid kręci głową na „nie”, chociaż spojrzenie ma surowe, a twarz syna przyciska sobie do brzucha.

Łomot w Namiocie Singli. Świnie wchodzą do Różowego Grajka, opuszczają go, idą do przybudówki Franza i Hansa, z niedokończoną głową kukły zwisającą z krokwi jak przerośnięta piñata, chociaż wszyscy Cyrkowi Śpiewacy są w trasie. Wycofują się stamtąd, idą do Kurnika i zostają tam jakiś czas. Ciężarne wybiegają z wrzaskiem, wielkie i oburzone, w butach i swetrach mężów.

Na wzgórzu w Domu Arkadii roi się od Świń. Lutek spogląda uważnie na dach, ale Abe tam dzisiaj nie pracuje. Nie ma tam wcale mężczyzn z Arkadii. Muszą poczekać z pracą, aż Świnie w czerni odejdą.

W końcu jedna Świnia o grubej, złej twarzy podchodzi. Szeryf z Ilium jest obok niej, mężczyzna w koszuli khaki, którego Lutek widział, jak pił kawę w Stróżówce z Tytusem: jego piaskowe włosy unoszą się i opadają jak fartuch błotnika na łysinie. Puszczą oko do Lutka i odwraca wzrok.

Trójka rozmawia razem. Rozeźlony szef Świń zaczyna krzyczeć. Szeryf wydaje uspokajające dźwięki. Tytus mówi bardzo mało.

W końcu mężczyźni wędrują gromadnie po śniegu do Domu Arkadii. Wolni Ludzie idą za nimi. Ze szczytu wzgórza, z kamiennego ganku patrzą, jak Świnie wsiadają do samochodów ze światłami migającymi czerwono i niebiesko i odjeżdżają.

Kiedy ostatni wóz odjeżdża, wokół rozlega się głośno i niespodziewanie okrzyk radości, Lutek się boi i odwraca do najbliższych nóg, spuchniętych nóg Eden, aby się schować. Jej czoło jest jak księżyc nad ciężarnym brzuchem, kiedy uśmiecha się do niego z góry.

Abe wraca po południu volkswagenem ze skrzynką rurek spustowych i wiaderka na ich pierwsze puszczenie soku z klonów; Klonowy Lasek jest wielki i stary, a syrop to jeszcze jedna rzecz, którą mogą sprzedać. Mieszkali blisko niego przez prawie trzy lata, nie podejrzewając, czym tak naprawdę są te drzewa, aż Dorotka wstała raz podczas Niedzielnego Zebrania w Ośmiokątnej Stodole i nerwowo zaproponowała wyprodukowanie cukru w tym roku. Z czego?, spytał Rączka. Trzcina jakoś nie obrodziła.

Dorotka wyglądała na zmieszaną, a potem dodała: Och, z klonu cukrowego? To dojrzałe, stare stanowisko, możemy mieć z niego całe litry. A na to Rączka: Co to klon cukrowy? Dorotka odrzuciła głowę zaskoczona i zaprowadziła ich do zagajnika cukrowego, cudownego lasu po drugiej stronie Stawu, i nikt nie mógł uwierzyć w nowy dar; rzucali śniegiem, który tego dnia był zbyt sypki, aby lepić śnieżki, i całą społeczność pokrył słoneczny pył.

Rączka chciał nazwać ten produkt Cukrem Wolnych Ludzi, Tytus po indiańsku Sinzibuckwud; Abe wytrwał ze spokojem i uporem, jak czasami potrafi, i wszyscy nazywają syrop Arkadyjskim Kryształem.

Hanna i Lutek wychodzą mu na spotkanie na Kwadrat i pomagają wyładować rzeczy. Abe podjeżdża do Furgonu Piekarza, z radia leci zawodząca: *Tiptoe through the Tulips*.

Jak było w Vermoncie?, pyta Hanna.

Abe otula Hannę ramionami i szepcze jej do ucha. Jest wysoki, ona jest wysoka, a między nimi Lutek wciśnięty jakby między ciepłe pnie starych drzew. Chce, aby ten uścisk trwał wiecznie, ale po minucie kończy się. Ich ciała odsuwają się. Rodzice się odwracają.

Poza wszystkim innym kobiety muszą zbierać syrop: mężczyźni pracują w Domu Arkadii od wschodu do zachodu słońca, a często później. Skrobą i stukają, montują rury i kładą tynki i farbę, którą dostali okazjnie w sklepie w Ilium w zamian za to, że Słodka i Kitty w reklamie sklepu pozowały prowokacyjnie z wałkami malarskimi.

Stadko Dzieciaków idzie pewnego dnia z kobietami na zbieranie syropu, żeby się nauczyć. Z wielkich klonów zwisają sople, a korzenie są tak splecione, że tworzą matę nad ziemią. Tu nie ma wiatru, a kiedy słońce w końcu pada na lasek, promienieje delikatnie niczym lampa naftowa.

Jak w kościele, Maria wzdycha i odwraca się, aby na osobności wykonać czteropunktowy znak od głowy do brzucha, od ramienia do ramienia, który Lutek naśladuje raz za razem za drzewem i podoba mu się jego powaga. Nie chce, aby inni to widzieli. Przesąd, parska Hanna, kiedy inni mówią o Bogu. Chociaż ludzie mają tu własne rytuały, Muhammad klęka na dywaniku w ciągu dnia, żydowskie sedery i chrześcijańskie choinki, religia uznawana jest tutaj za higienę: osobistą sprawę najlepiej trzymaną pod kontrolą, aby nie drażnić innych.

Mikele wierci dziury w jednym pniu za drugim, a Eden wkręca rurki. Drzewa krwawią przezroczystą posoką do wiader. Metaliczne dzyń-dzyń-dzyń jest podobne do odgłosu ciepłego deszczu bębniącego o dach Furgonu Piekarza. Lecz ten odgłos wydaje się inny; będzie z niego słodycz.

Mowa zaczyna poruszać się w Lutku. Codziennie pojawiają się małe eksplozje zrozumienia. Pamięta ostatni sierpień, kiedy leżał w ogrzanych słońcem płyciznach Stawu, a pod wodą skubało go coś niewidzialnego. Dzięki książce Grimmów jest tak, jakby miał oczy pod powierzchnią i w końcu widział te małe rybki. Mowa rozpada się na słowa, a każda fraza ma własny porządek: Pszam staje się Przepraszam, Wadzadalulu staje się Władzą dla Ludu, wszystkie słowa rozumie już osobno i złączone.

Teraz w jego głowie wyłaniają się osobne szuflady, w których segreguje ludzi.

Rączka to żabi król. Tytus – samotny ogr w Stróżówce, niedopuszczający Świń ani ciekawskich. Wysoki Abe z narzędziami, z siekierą i brodą to drwal. Eden o jasnorudych włosach i bladej skórze, zjadająca mięsiste rośliny wyhodowane w południowym oknie Kurnika dla Ciężarnych to królowa. Lutek ma nadzieję, że nie jest tą dobrą matką, która musi umrzeć, aby ustąpić złej macosze. Ma nadzieję, że nie jest to ta zła matka, która sprzeda dziecko za zioła. Cudowny Bill, o ruchomej twarzy, który wspina się jak małpa, był głupcem. Astrid jest trudna: włosy jej lśnią jak księżniczce, ale twarz ma starą, a zęby straszne; odbiera porody i daje ludziom lekarstwa jak wiedźma, ale jest żoną Żabiego Króla, jak królowa. Co do niej zdecyduje później.

Jednak najwyraźniej: Hanna. W łóżku, gdy wstaje dzień i trwa wokół niej, jest śpiącą królową, zaczarowaną.

Lutek odkłada książkę na miejsce i wrzuca kolejną szczapę do pieca. Gdyby tego nie zrobił, kapałoby mu z nosa, a Abe wróciłby do domu po strasznie długim dniu na zimnym dachu i gniewnie spojrzalby na Hannę na posłaniu. Ona zamknęłaby oczy i pozwoliła, aby spłynęła po niej jego pogardliwa cisza. Lutek zamyka piec i zjada kawałek suszonego ananasa, przez dłuższy czas obserwując bryłę Hanny.

Obudzi się sama? Dzień zaczyna szarzeć. W lesie zbiera się wiatr i Lutek słyszy, jak zmierza ku nim z posępnym szelestem.

W końcu Lutek myje ręce starannie; i zęby trzy razy sodą do pieczenia. Klęka za poduszką mamy. Ujmuje w dłonie jej policzki. Powoli opuszcza swoje usta do jej ust i całuje ją z całej mocy, jaka jest w nim, mocno przyciska wargi, aż czuje kształt jej zębów i smak jej cierpkiego oddechu.

Hanna nie budzi się, kiedy Lutek podnosi głowę. Ze smutkiem cofa dłonie. Tego się obawiał. Nie jest tym właściwym. Nie jest jej księciem.

Kobiety gotują oskołę w podgrzewaczu do wody, który Tarzan wspawał do wielkiego podwójnego bojlera, aż powietrze w całej Arkadii pachnie słodko z nutą spalenizny. Lutek niemal wyczuwa cukier, kiedy wytknie język. Pewnego ranka, kiedy Słodka przyprawia Stado po świeżym śniegu do Cukrowej Chaty, Mikele i Suzie, które gotowały przez całą noc, są roztrzepane i malują miękki śnieg pasemkami syropu. Syrop zapada się, gdy stygnie, a kiedy go wyciągają, jest twardy jak landrynka.

Nie mówcie Astrid – przestrzega Suzie. Kroci ciągutkę na kawałki i wręcza dzieciom. Kawałek Lutka jest tak słodki, że aż go dławi, ale żeby nie ranić ich uczuć, połyka go mimo to i udaje, że chce więcej.

Ubranie Abe'a śmierdzi potem i trocinami; mężczyźni skończyli cały dach. Jutro w stawach dłoni Abe nie będzie cały czas czuł lodu, a Lutek nie przestraszy się, kiedy przypadkiem otrze się o nie we śnie. Jutro Abe zacznie montować łazienki i hydraulikę w Restauracji, a wielka sterta zdobycznych rur miedzianych w Bazie Pojazdów skurczy się i zniknie.

*Kiedy będziemy w Domu Arkadii* – ludzie powtarzają teraz przez cały czas, a na ich twarzach maluje się tęsknota. Zawsze marzenie o *kiedy*. Będzie lepiej, będzie nam cieplej, ludzie nie będą się kłócić, wyślemy w świat dodatkową pomoc, założymy wydawnictwo, nikt nie będzie miał niedoboru witaminy D, dzieci pójdą do szkoły, położne będą pod ręką, niedźwiedzie nie będą wychodzić z lasu i przetrząsać kubłów na śmieci

ani rozrzucać brudnych pieluch i podpasek po całym Kwadracie, nie będzie wychodków.

Muffin, która kiedyś mieszkała z ich matkami w mieszkaniu w Albany, próbuje opisać dzieciom ubikację: Pociągasz za spłuczkę, mówi, woda spływa i połyka kupę.

Helle zaczyna płakać. Jak potwór, zawodzi. Zjada ci kupę!

Inni wzdychają i odsuwają się jak zawsze, kiedy Helle płacze. Lecz Lutek podchodzi do niej i przytula ją, tę twardą beksę, same łokcie i sadło. Z początku Helle cofa się, ale kiedy chłopiec ją puszcza, ona się w niego wtula. Jest większa od niego, lecz on czasami myśli, że ona jest młodsza nawet od maluchów. Jest dziwna. Pachnie jak wanilia. Lutek zawsze przez nią czuje się chory.

Nie jak potwór, tłumaczy Muffin pogardliwie. To jest to samo co wychodek, ale nie śmierdzi i nie jest zimno, nie ma tam pajaków, a Oczyszczanie nie musi tego pompować i nie trzeba zalewać ługiem. Po prostu pociągasz za spłuczkę i znika.

Gdzie znika?, pyta Leif.

Nie wiem, odpowiada Muffin.

Patrzą po sobie, zastanawiając się. W końcu Eryk, który ma jedenaście lat, mówi: Chyba w oceanie; Lutek wyobraża sobie, że ocean jest jak Staw w wietrzny dzień, a po drugiej stronie czekają ludzie w dziwnych strojach: kobiety w kimonach i drewnianych butach, mężczyźni w słomianych kapeluszach i w tunikach kolorowych jak strój Muhammada, małe flotylle gówna mkną po falach ku nim, z żaglami z papieru do podcierania.

Gdy śpią, chmura zrzuca na nich śnieg. Namiastka Arkadii staje się gładką, śliczną wioską w bieli, z której sterczą zabawne, dymiące kominy, jak na starodawnym obrazku z książki Hanny o rosyjskich chłopach pańszczyźnianych. Dzisiaj znowu Hanna nie wstaje. Wszystkie jej części są pokryte olejkami. Mruczy coś i chwytą Lutka, wciąga go delikatnie pod koce, do swego ciepła. Kiedy Lutek nieruchomieje, oddycha wraz z nią i zapada w sen w ślad za nią, widzi fragmenty jej snów: szarą ulicę, której Lutek nigdy nie widział, drzewo o rdzawej korze, fontannę pod dębami okolonymi zmierzchem, wielkiego, czarnego ptaka z dziobem pękniętym tak, aż widać czerwony język. Wchodzi głębiej i jest w trzewiach szafy i coś miękkiego ociera się o jego skroń, a na zewnątrz podnoszą się głosy. Stoi tam wielki stół nakryty do obiadu z mnóstwem widelców i łyżek ułożonych rzędami i mała srebrna waza, w której zanurza się biała ręka. To powrót do czegoś osobistego, śliskiego, co się przewraca i rozlewa. Kiedy Lutek się budzi, jest zlany potem, ale drży.

Późny ranek jest oślepiająco jaskrawy. Jego przyjaciele zwijają przędzę z już nie noszonych swetrów, a w Grajku czuć spoconą owsianką. Kiedy Lutek mija Wolny Sklep wraz ze Stadkiem na – jak to nazywa Słodka – Popołudniowej Przechadzce, spostrzega Kapitana Amerykę na ganku. Gwiazdy na sarongu Ćpuna łopoczą na wietrze. Kościstym palcem przywołuje Lutka bliżej. „... i w uchu moim spanie sobie umościła. I spała we mnie. I wszystko było jej snem”, mruczał z kwaśnym oddechem. Rilke. Oczywiście w moim tłumaczeniu, mówi. Lutek nie rozumie. Stadko mija Sklep, a Lutek biegnie, aby je dogonić, i znowu bezpieczny odwraca się i widzi, jak stary Ćpun wpatruje się w niego. Słowa Kapitana kłębią mu się w głowie przez całe popołudnie jak szkraby w małym pokoju.

Caroline, mama Jincy, wyjechała. Zostawiła swoje rzeczy i uciekła. I chociaż Jincy płacze, Wells, jej ojciec, przeklina to porzucenie i zanosí ubrania Caroline do Wolnego Sklepu.

Tego ranka, kiedy trawę przykrywał grafitowy śnieg, Lutek wyszedł na siku i zobaczył wielkiego białego ptaka na dachu autobusu Jincy, jaśniejącego o brzasku. Zobaczył, jak rozłożył skrzydła i odwrócił się, raz. Zatrzepotał. Wtedy matka Jincy wzniosła się w powietrze i odleciała.

Jincy przychodzi i zostaje u Lutka, śpi z nim w jego śpiworze, ścisza go, aż poczuje się lepiej. On wiotczeje i znosi to.

W nocy: Słodycz. Hej, słodka dziewczyno, zbudź się. Umph. Co.

Martwię się o ciebie. Regina mówi, że od kilku dni nie chodzisz do Piekarni. Dorotka mówi, że po południu nie chodzisz z kobietami do Domu Arkadii.

Jestem zmęczona. Wiesz, że zima zawsze mi doskwiera.

Tak. Tak. Ale teraz jest gorzej niż zwykle. Są dni, kiedy nie wstajesz z łóżka?

Hanna nic nie odpowiada.

To tylko. Wiem, że przez twojego tatę i tamto jesteś smutna. Ale ja naprawdę tyram jak cholera. Jest już marzec, na hydraulikę potrzeba jeszcze tygodnia, a potem zabierzemy się do reszty, ale i tak już jesteśmy spóźnieni, a Rączka w ostatnim liście pisze, że zrezygnują z Oregonu, żeby móc wrócić tu na tydzień przed orką, i wykorzystamy całą Siłę Roboczą, żeby zdążyć przed ich powrotem.

Nic. Lutek słyszy tylko bicie własnego serca w uszach.

Słodka dziewczyno? Nie chcesz rozmawiać?

Tylko drzewa drżą na zewnątrz.

Dobrze. Nie spiesz się. Weź tydzień wolnego, wyśpij się. Ale dobrze by było, jakbyś wstała w przyszłym tygodniu, jak oni będą. Dobrze?

Równy oddech jego mamy.

Nagły wypadek. Bojler w Łażni padł. Abe zabiera z sobą Lutka. Kiedy dochodzą do niskiej chaty nad Stawem, nie ma już gorącej wody, a czwartkowi użytkownicy patrzą nieszczęśliwi na mydło w swoich zmrożonych włosach.

Abe musi sprawdzić połączenia pod zbiornikiem, a Tytus, Hiero i Tarzan pomagają ruszyć zbiornik. Ktoś sapie, ktoś krzyczy: pod spodem znajdują kłębowisko węży, hibernujące grzechotniki.

Mięśnie Abe'a reagują szybko. Rozgniata węże ciężkimi obcasami butów roboczych, aż tryska krew, dużo jej, fragmenty węży są wszędzie. Lutek chce się pochylić i dotknąć jednej z grzechotek wystających z posoki, delikatnej jak grzyb. Lecz Abe podnosi go i wpycha w ręce Tytusowi. Gdy ktoś krzyczy z przerażenia, Tytus wychodzi z Lutkiem w noc, kroki tego długonogiego olbrzyma są niewiarygodnie szybkie. Hanna nie budzi się, kiedy Lutek wpełza do niej do łóżka. We śnie wiatr wiejący przez las staje się oddechem Hanny, staje się żarem w piecu, odległym rykiem.

Słodka ubiera dzieci w anoraki i buty i zabiera je nad Staw, który w końcu, dopiero tak późno, mocno zamarzną. Czekają na Lutka, bujają Furgonem Piekarza na resorach, aż chłopiec niechętnie wychodzi. Jest w rozterce, nie wie, czy ma zostawić Hannę. Lecz kiedy staje na świeżym, zimnym powietrzu, czuje się jak wyszorowany. Cały ranek

ślizgają się po lodzie na butach. Krzyczą. W gardłach rodzi im się histeryczny krzyk. Robią pociąg, w którym większe dzieci, Leif albo Eryk, Muffin, Molly albo Fiona, są lokomotywą, a najmniejsze wagonikami na samym końcu. Lutek, jeden z najmniejszych, mniejszy nawet od Puchatki, która ma trzy latka i jest dziewczynką, odrywa się i leci daleko, daleko, daleko po lodzie na stopach, potem na kolanach, aż ląduje w miękkich zaspach na brzegu.

Słońce wyziera sporadycznie, a wtedy lód błyszczy zielono. Drzewa okalające Staw oślepiają sopłami, które podzwaniają, gdy zawieje wiatr, i spadają z brzękiem.

Wokół stawu Helle robi w śniegu grube anioły połączone jeden z drugim jak papierowe lalki. To zajmuje jej całe godziny. Jincy i Muffin wirują, aż kręci im się w głowie. Leif znajduje wielką rybę zamrożoną z pyskiem przy powierzchni i przemawia do niej cicho. Maluchy, które już chodzą, Felipe, Ali, Sy i Franklin, moczą rękawiczki w śniegu, drepczą chwiejnie i upadają w zasy. Chłopcy przewracają się nawzajem. Astrid i ciężarne nastolatki: Zalotna Sally i Flannery, przynoszą kanapki z grillowanym serem sojowym i termosy z herbatką rumiankową dla dzieciaków i zabierają maluchy do domu. Większe dzieci odzyskują energię na kolejną godzinę, ale później jedno po drugim zaczynają padać.

Lutek czuje przez zimowe ubranie, że jest zziębnięty i sztywny. Czuje, że zima i dobra, ostra zabawa obmywają do czysta jego ciało. Kiedy wchodzi do Furgonu Piekarza, mama siedzi z Abe'em przy stole.

Abe ma zaczerwienione oczy; całuje Lutka w czoło, zanim zdejmuje mu kurtkę, spodnie wierzchnie, czapkę i rękawiczki. Przepraszam za to, co stało się wczoraj wieczorem, Mały Człowieczku, mówi. To był instynkt, to wszystko. Nigdy, przenigdy nie chciałem zabić czegokolwiek, nawet węży. Wiesz, że źle jest zabijać. To naprawdę zła Karma.

Lutek poklepuje tatę po twarzy, wybacząc mu. Jest nieśmiały przy mamie, lustruje powietrze wokół jej głowy. Hej, mały, wita go Hanna i wciąga na kolana. Lutek cicho syczy z bólu przez zęby, a mama odstawia go z powrotem, zdejmując mu dżinsy. O mój Boże, mówi. O mój Boże, dziecko, co się stało z twoimi nogami?

Lutek z początku nie poznaje ich, są takie fioletowe i posiniaczone. Kolana ma zdarte do krwi, do żywego. Chłopiec wzrusza ramionami, a ona całuje go w każde delikatnie. Abe odwraca się na pięcie i idzie do Domu Arkadii, jakby go ktoś gonił.

Teraz lepiej, Lutek? – pyta Hanna, wsmarowując mu w skórę balsam.

Lutek ma zmarznięty język. Kiedy próbuje mówić i nie udaje mu się, uświadamia sobie, że nie mówi już od dłuższego czasu. Próbuje liczyć dni, ale gubi się. Słowa zagrzebały się w nim, zasnęły, zmrożona kula pod ziemią w nim, zwinięta ciasno i czekająca na odwilż.

Jesteś taki cichy ostatnio, mały – mówi Hanna, przerywając senne rozczesywanie swoich włosów długich do pasa. Rezygnuje, gdy trafia na zmierzwiony kłęb. Przyciąga Lutka do siebie. Lutek odczuwa w sobie ból, gdy patrzy na nią, więc odwraca się i siada na jej kościstych kolanach i pozwala jej, aby go czesała. Zęby grzebienia są tak delikatne na skórze głowy, że chce mu się płakać. Zapomniał o tej drobnej przyjemności. Hanna mówi, przyciskając usta do jego głowy: Mój silny, milczący synu. Zaśpiewajmy. Hanna

zaczyna, głos ma chropawy, Lutek nie chce z nią śpiewać kołysanki, a wtedy ona też przestaje.

Lutek budzi się i widzi, jak Abe przygląda się śpiącej Hannie. Och – myśli Lutek. Czeka, ale Abe kładzie się. I to Lutek dotyka matki, poklepuje ją po twarzy, dłoniach, i znów, i znów, i znów.

Po południu chowa się za skrzynią z zabawkami w Różowym Grajku, gdy wszystkie inne dzieci wkładają zimowe ubrania i bawią się na zewnątrz. Zostaje sam w cichym autobusie. Krzyki innych tłumi śnieg, a maluchy są na dole z Marią, przegryzają coś albo piją z butelki. Lutek obejmuje się rękami i opowiada sobie historię dziewczyny i jej braci łabędzi, przechowuje ją w głowie i patrzy na nią z jednej strony, z drugiej, by doszukać się, co ona dla niego znaczy.

Pewnego razu, opowiada sobie, była księżniczka. Mieszkała z sześcioma braćmi w głębokim lesie, gdzie chowali się przed niedobrą nową żoną ich ojca. Macocha dowiedziała się, gdzie mieszkają, i utkała jedwabne koszule, zaczarowane, i zarzuciła je na chłopców, i zamieniła ich w łabędzie. Księżniczka zasmuciła się, kiedy jej bracia odfrunęli, i wędrowała po lesie, aby ich odnaleźć. Szła i szła, aż znalazła małą chatkę. O zmroku usłyszała odgłos skrzydeł i sześć łabędzi załopotało pod oknami. Zdjęły skrzydła i zamieniły się w jej braci, ale chłopcy mogli pozostać ludźmi tylko przez krótki czas, zanim rabusie mieszkający w domku wrócą z łupem. Siostra zapytała braci, jak cofnąć czar, a oni powiedzieli, że przez sześć lat nie wolno jej się śmiać, śpiewać ani mówić i musi zrobić sześć koszul ze śniedków.

Ale pamiętaj, powiedzieli, jak powiesz choćby jedno słowo, czar się nie uda i zostaniemy łabędziami na zawsze.

Tak więc dziewczyna poszła zbierać kwiaty i szyć. Milczała jak myszka. Pewnego dnia jacyś ludzie wędrowali nieopodal i zobaczyli dziewczynę na drzewie, gdzie mieszkała. Zawołali do niej, aby zeszła, a ona pokręciła głową i zrzuciła ubranie, aby zmusić ich do odejścia, aż stała się naga. Wtedy zaciągnęli ją do odległego miasta do króla, który ożenił się z nią, chociaż ona nie powiedziała ani słowa. Lecz kiedy dziewczyna urodziła dziecko, matka króla wykradła je i powiedziała synowi, że to jego żona je zjadła. Tak zdarzyło się po trzykroć, aż król uwierzył, że jego żona zjada dzieci, i kazał ją zabić. Dzień, kiedy miała umrzeć, był ostatnim dniem z sześciu lat milczenia, a ona uszyła wszystkie koszule, tylko w jednej brakowało rękawa. Bracia przylecieli do niej, ona narzuciła na nich kwiatowe odzienie i bracia stali się na powrót ludźmi, tylko jeden brat, który dostał niedokończoną koszulę, miał zamiast ręki łabędzie skrzydło. Wtedy dziewczyna przemówiła i wyjaśniła, co się stało, i przyprowadzono do niej dzieci, a matka króla trafiła na krzesło elektryczne. Dziewczyna i jej bracia żyli odtąd szczęśliwie. Koniec.

Lutek ma wizję, uroczystość: beczka cydru pod gwiazdami, chłopiec leci na skrzydłach spiralami ku księżycowi, dziewczyna złota i krągła jak Hanna latem, jak dawna Hanna, która stała na ogrodowej ławce i krzyczała o wolności, o miłości, o wspólnocie. Lutek wyobraża sobie te dzieci, które przez tyle lat żyły bez matki. Jak to jest zostać przytulonym przez nią po raz pierwszy, w końcu poczuć na ciele jej ciepło. Jak one wczepiłyby się w nią i nigdy nie puściły. Wyobraża sobie, jak by to było nie mówić

przez sześć lat, aż miałyby prawie dwanaście lat, tak długo, więcej, niż dotąd przeżył. Dni ciągną się przed nim. Stara się nie płakać, ale świat, który widzi ze swojej kryjówki (stryszek w Różowym Grajku, sterta hamaków przechowywanych tam w ciągu dnia, dziecięcy but przewrócony na bok), drga w jego oczach.

W końcu myśli o Hannie, o jej twarzy ściągniętej tak mocno, że jej nie poznaje. Ta myśl wypełnia go elektrycznym pulsowaniem; rzuca się jak ryba w jego brzuchu. Musi coś zrobić. Musi.

Koncentruje się. Odpycha słowa, już chorobliwe, aż umierają na cierpkim koniuszku języka. Wysyłają złe macki w jego pierś. Skaczą jak ropucha w jamie jego buzi. Kiedy idzie, je i bawi się, wyobraża sobie to obślizgłe coś, które wyczekuje złośliwie, aż jakieś słowo się wymknie, wypatruje okazji, by przekląć ich wszystkich.

Tego wieczoru na powierzchni wszystko jest spokojne w Furgonie Piekarza. Hanna ugotowała obiad i cała ich trójka słucha jakiegoś chropawego głosu śpiewającego *Your Eyes Have Told Me What I Did Not Know* z gramofonu Victor na korbkę, który Baza wygrzebała w stercie śmieci w Buffalo. Lutek siedzi na kolanach Abe'a, śledząc, jak tata czyta na głos gazetę. Lutek raz wskazuje na nagłówek: „Gęś ugryzła dziecko”, i śmieje się, po nowemu, bezgłośnie, a kiedy patrzy na Abe'a, ojciec mu się przygląda z wessanymi kącikami ust.

Hanna odkłada książkę i pociąga nosem raz, głośno.

Lutek też pociąga. Coś gdzieś się pali.

Abe rzuca gazetę. Rodzice spoglądają po sobie. Zrywają się, aby w kapciach i szlafrokach wybiec na zewnątrz.

Zimne powietrze niesie kłęby dymu. Cienie wylewają się z drzwi; gong bije Bang, Bang, Bang. Pali się Barak Rodzinny 1.

Abe biegnie z Lutkiem do Różowego Grajka. Wrzuca go do wnętrza, a dzieci mieszkające w Rodzinnym Barakach są też zaganiane do środka: Jincy, Sy, Franklin, Ali, Puchatka, Molly, Fiona, Cole, Dyllie. Położne zniknęły. Dzieci, które już mieszkają w Grajku, zbiegają po schodach, a Ciężarne nadchodzą z Kurnika, otrzepując błotnisty śnieg z butów, roztrzęsione Flannery, Eden i Zalotna Sally biorą na ręce najmniejsze z dzieci i pocieszają je. Któraś myśli, że Lutek należy do najmłodszych, i jego też przytula do napiętego, ciepłego brzucha. A Lutek znowu czuje wdzięczność, że jest taki mały, że przygarniają go te ciepłe ręce.

Gdzie jest Felipe?, szepcze Flannery, a Imogene, która mieszka w Rodzinnym Baraku 1, robi wielkie oczy.

Leif i Eryk podsadzają Lutka do okna, żeby coś zobaczył, chociaż niewiele widać: świat za Kwadratem wiruje żółcią i szarością, resztki śniegu na ziemi odbijają ogień, cienie ludzi biegających z wiadrami.

Podchodzi Dylan. Jest młodszy, ale wyższy od Lutka.

Był huk, mówi cicho. Tam gdzie mieszkają Ricky, Felipe i Maria. I wtedy Maria dostała ognistych skrzydeł.

Cicho bądź, Dylan, mówi Coltrane, popycha młodszego brata i wbiega spiralnymi schodami na górę, gdzie wiszą hamaki.

Do oczu Dylanowi napływają łzy. Podchodzi jeszcze bliżej do Lutka.



Ona też miała ogniste skrzydła, szepcze, a jego głos jest pełen snu. Włosy też miała z ognia, Lutek. I jeszcze głowę pełną ognia.

Lutek wpatruje się tak długo w płonący barak, że aż świat rozlewa się plamami w jego oczach. Inne dzieci poszły spać. Ciężarne siedzą przy stole w kuchni, tłumiąc szloch, popijając wodę albo rumianek.

Lutek widzi wracających do domów. Niektórzy z mieszkańców spalonego Baraku idą do przybudówki Hansa i Fritza, bo ci dwaj wyjechali z Rączką; Ciężarne wracają do Kurnika. Tylko kilku Arkadian pozostaje na zewnątrz i przygląda się poskręcaneemu metalowi i żarowi w środku. W ledwo rozświetlonych ciemnościach Lutek dostrzega swoich rodziców tulących się do siebie: wysoka Hanna, wysoki Abe, jej warkocze na jego ramieniu, jego ręka wokół jej talii. Lutek zamyka oczy i po omacku odnajduje drogę do śpiwora Jincy, aby jego rodzice stali tak razem.

Rano Ricky'ego, Marii i Felipe nie ma.

Lutek podsłuchuje, jak Astrid opowiada starszym dzieciom, że niemowlę umarło. Płacze, zaciska usta na okropnie żółtych zębach, tak jak koń, którego amizze przyprawdzają na żniwa, zamyka wargi na marchewce.

Spaliło się?, pyta Molly, która nie może przestać płakać. Jej siostra Fiona zaczyna zawodzić w dłonie, tak że widać tylko jej szerokie, białe czoło.

Spalone dziecko. Lutek wyobraża sobie cukierka ślazowego, zanim Astrid wypowiedziała wojnę cukrowi, skurzonego i czarnego na skraju ogniska.

Nie, mówi Astrid. Od dymu. We śnie. Małe błogosławieństwo. Maria jest poparzona, ale wkrótce wróci do domu. Ricky jest z nią w szpitalu.

Leif odzywa się ze złością: Rączka musi się o tym dowiedzieć. Jak Rączka się dowie, to wróci do domu i naprawi wszystko. Mój tata da radę.

Astrid robi swój śmieszny wdech, co oznacza tak. Zgoda na wdechu, Hanna tak to nazywa. Dzwoniłam do Rączki do Austin, mówi Astrid, całując Leifa. Do Teksasu. Kazał mi wam przekazać, że kocha nas wszystkich i wysyła w eter wibracje. Chciał wracać do domu, ale Maria i Ricky powiedzieli: nie, nie wracaj wcześniej, potrzebujemy pieniędzy z koncertów. Poza tym nie są jeszcze gotowi na memoriał. Będziemy mieli nabożeństwo w intencji Felipe wiosną.

Chcę do taty, mówi Leif; i twarz dużego chłopca marszczy się. Leif zaczyna płakać.

Astrid przyciąga go do siebie, przygarnia wszystkie swoje dzieci, Eryka i Leifa, zabowatą Helle, hiperaktywnego Ike'a, i przemawia w ich niemal białe blond włosy: Cóż, to już inna historia.

Rano Lutek biegnie nad strumyk szemrzący w lesie. Żółte zęby lodu okalają wodę. Lutek klęka na lodzie i wkłada głowę do strumienia, a zimno wystarcza, aby wyrwać z niego oddech, ulga.

Rączka przysyła list, ekspres. Astrid zwołuje zebranie w Ośmiokątnej Stodole, zbierają się późnym popołudniem, by posłuchać, jak Hiero głośno czyta. Rączka pozdrawia wszystkich swoich pięknych bitników. Jest wstrząśnięty wiadomościami i jest całym sercem z Wolnymi Ludźmi, że nadal wierzą w Domu. Zachęca ich, aby pamiętali, że cierpienie jest jak hartowanie stali w ludzkiej duszy, a kiedy ktoś cierpi w społeczeństwie, to ono robi się silniejsze.

Hiero czyta trzęsącym się głosem: „Ból, kiedy znajdzie właściwe miejsce w ludzkim sercu, może się stać drzwiami prowadzącymi do poczucia jedności z Wszechświatem. To droga do głębszej empatii”.

W porę Rączka mówi im, że będą wszyscy razem. Wytrwajcie w sile, a zniesiecie niemożliwy ciężar smutku we wspólnocie. *Namaste*.

*Namaste*, mówią, kobiety płaczą, trzymając się jedna drugiej. Dzieci wpatrują się w mamy i poklepują je po twarzach.

Po tygodniu Maria wraca ze szpitala, głowę i ręce ma zawinięte w białe bandaże jak podarunki. Ricky i ona jakby nosili się nawzajem, gdziekolwiek idą.

Lutek siedzi pod stołem, gdy Marilyn i Hanna piją dziurawiec. Mówią o embargu na ropę naftową, o stopach z błoną pławną Marilyn, o dzieciach ofiarach talidomidu urodzonych z płetwami. Lutek myśli o noworodkach pod wodą machających płetwami, jak bobry, które mieszkały w strumieniu za Barakami i pewnej wiosny zaraziły ich wszystkich giardiozą.

Wraca do swojej książki, do historii o rybaku i jego żonie. Kobiety zapominają o nim. Zaczynają szeptać.

Nie wiem, jak długo jeszcze dam radę to znosić, mówi Hanna. Nie na to się pisałam, to nie jest lepsze życie, to tylko bieda, ciężka praca, brak pieniędzy, żeby kupić dzieciom buty na zimę.

Wiem, mówi Marilyn.

Głos Hanny jest przytłumiony, kiedy mówi: ... *chcę... stąd*. Wydaje nieludzki odgłos. Lutek z niepokojem obserwuje jej nogi, boi się, że jest chora.

Marilyn ma głos delikatniejszy niż kiedykolwiek. Wytrzymaj. Przeprowadzimy się do Domu Arkadii za niecały miesiąc. Będziemy mieszkać razem i będzie lepiej. Dasz radę.

Nie dam, mówi Hanna. Pieprzony Rączka...

Dasz, powtarza Marilyn, jej głos brzmi jak trzaśnięcie drzwiami i Lutek wie, że są rzeczy, których nawet wygadanej Hannie nie wolno powiedzieć.

Smak makowca Zalotnej Sally, to, jak Leif potrafi zakręcić Lutkiem, trzymając go za nogi, że aż świat wiruje delirycznie dookoła, bieg po ostatniej skorupie śniegu, kiedy inni się zapadają, miękkość na końcu gałęzi, która jest szeptem pąku. Dodaje to do listy w głowie. Dżem malinowy na świeżo upieczonym chlebie. Zapach kieszeni woskowanej kurtki Tytusa, tytoń do fajki, kłaczki, cedr. Cztery blond głowy dzieci Rączki wokół listu. Dotyk świeżego tynku. Lutek siada przy matce, podsuwa jej te fragmenty i próbuje wysłać je do jej głowy. Raz lub dwa ma pewność, że mu się udaje. Hanna wzdycha przez sen, kiedy Lutek przypomina sobie zapach głowy noworodka albo dotyk jej jedwabistego policzka na swojej twarzy.

Stadko jest nad strumieniem. Kładka nie jest bezpieczna: kołysze się, jej końce są zanurzone w dzikim rozlewisku. Białe rybki kłębią się w górze strumienia, ich sine brzuszki tworzą jeden pulsujący. Lutek przygląda się, a patyk robi się ciężki w jego dłoni. Łuskiewnik wynurza się na brzegu.

Zrób to!, krzyczy Leif, który zmienia się w tańczącego skrzata. Przemoc wywołuje w nim histerię.

Lutek, woła Jincy, przekrzykując wrzawę, a on spogląda na nią. Jej loki są jeszcze dziksze niż zazwyczaj. Od tygodnia ma na twarzy rozmazany węgiel drzewny. Nie wolno zabijać – krzyczy bliska łez.

Inni stoją masą zbici w gromadkę, niepewni, czekają, co on zrobi. Helle zaczyna zawodzić, chociaż wybałusza oczy ze zniecierpliwienia. Lutek patrzy na przyjaciół. Cole i Dylan, jeden przy drugim, robią taką samą minę jak Słodka, kiedy jedno dziecko skaleczy drugie. Jincy zakrywa usta dłonią.

Myśli o ciele ryby szamoczącej się na patyku, o mnóstwie krwi.

Lutek chwytą kij, który Leif ostrugał nożem Abe'a o perłowej rękojeści. Odsuwa nóż za głowę i ciska do strumienia. Odbija się od czegoś i wraca do niego, uderzając go nad okiem. Ból jest straszny, jakby połknął cegłę z lodu. Leif, Eryk, Ike, Fiona wrzeszczą i tańczą, Helle zawodzi, Jincy powtarza: Nie, nie, nie, nie. Molly, która myśli, że jest koniem, i od zeszłego lata każe im mówić na siebie Sekretariat, chociaż Sekretariat to chłopiec, rży, potrząsa grzywą i tupie nogą. Lutek wściekły chwytą patyk i rzuca go z całych sił na brzeg, gdzie kaleczy Muffin w kolano.

Za okularami robi się czerwona na twarzy i krzyczy. Wdrapuje się po błotnistym brzegu i ucieka przez las, przez pola.

Teraz masz kłopoty, mówi Fiona głosem wilgotnym z podniecenia. Jej grzywka jest mokra od potu i czoło jej połyskuje. Ucieka. Inni za nią, chłopcy pohukują jak Indianie pośród cętkowanych cieni popołudnia. Helle zostaje przez sekundę i krzyczy NienawidzęNienawidzęNienawidzęLutekStone, potem ona też czmycha. Jej okrągła, mała postać zostaje w tyle za braćmi, po drodze niszczy płacheć pięknych, wiosennych kwiatów. Macha rękami i przebiera nóżkami jak kolby kukurydzy, aby ich dogonić, ale oni odchodzą bez niej, jak zawsze.

Lutek zostaje sam i ogarnia go żal. Ostrożnie podchodzi do brzegu strumienia i próbuje wskoczyć, ale buty ma pełne wody. Ma wrażenie, że porażona stopa w bucie tak samo odczuwa jak jego żołądek.

Przykuca na chwilę na brzegu, obserwując, jak ryby szaleńczo napierają. Wysła stłumione przeprosiny, czeka, aż wypłynie na powierzchnię wielki Król Ryb o poważnej twarzy, szorstkiej i strasznej, otworzy wielką paszczę i przeklnie go. Albo zje. A może, myśli z bijącym sercem, odeśle go, by szukał czegoś, co uratuje mamę. Wstrzymuje oddech, aż robi mu się słabo, i kiedy nic się nie dzieje, wspina się na brzeg i siada wśród młodych pędów paproci, które śmiało wypychają łyse główki z ziemi. Chłodny wiatr wieje z czubków drzew, spływa w dół, a zeschnięte liście szeleszczą pod jego dotykiem. W dziuplach od północnej strony w niektórych pniach tworzą się kieszenie śniegu, a on zagłębia w nie dłonie.

Lutek siedzi na tyle długo, że pojawia się wiewiórka i niemal przebiega mu po nodze. Nad strumieniem nurkuje jastrząb, chwytą coś i wznosi się na powrót, jakby niosło go wahadło.

Na kilka oddechów zapomina się zanurzony w przyrodzie dookoła. Jej rytm jest tak inny od jego własnego, ludzkiego, jednocześnie bardziej nerwowy i bardziej cierpliwy. Widzi pluskwę mniejszą od kropki na stronie. Widzi niebo większe od wszystkiego, co ma w głowie. Przytłaczające z obu stron, ogrom i małość.

Kroki z tyłu. Słyszy je, kiedy są jeszcze daleko. Dudnią po ziemi. Wie ze swojej książki Grimmów, że jest to prawdopodobnie olbrzym, który chce go zjeść, ale nie ma w sobie energii, by walczyć. Lutek pochyla głowę i czeka na wielką rękę, na zęby. Zamiast tego wyczuwa coś pełnego i kobiecego, krew, ropę, pot i mydło różane. To Astrid. Siada obok niego, a on czeka, aż będzie krzyczeć.

Nie krzyczy. Po prostu siedzi. Kiedy Lutek nabiera śmiałości, podnosi głowę, aby spojrzeć na nią. Astrid przygląda się swoim stopom bez butów, rozkoszując się zimnym błotem. Uśmiecha się do niego. Uwielbiam wiosenne błotko między palcami – mówi Astrid. – Przypomina mi dom. Norwegię, wiesz.

Lutec zdejmuję buty i wsuwa je w błoto.

Po pewnym czasie Astrid klepie go w udo i wstaje. Bierze go na rękę. Taki lekki, mały Lutec, mówi. Ważysz pewnie dziesięć kilo? To nowe dziecko, które odebrałam, ważyło pewnie tyle samo. Cudak z ciebie.

Wychodzą z lasu na ścieżkę do Klonowego Lasku, potem na Owczą Łąkę. Już na ziemi ścielą się kwiaty niczym małe, otwarte buzie, fioletowe dzwonki, białe gwiazdki o złotych sercach.

Lutec opiera głowę na jej ramieniu, a ona mówi: Nie martw się. Urośniesz. I kiedyś nie będzie to takie dziwne. To ci mogę obiecać.

Kiedy wchodzi do Namiastki Arkadii, Astrid mówi mu do ucha ostatnią rzecz: Nie myśl, że nikt nie wie, że nie mówisz, że nikt się nie martwi o słowa, które tkwią w tobie. Ale nie spiesz się. Jak będziesz mógł, opowiesz mi historię wszystkiego, co czujesz, a ja zrobię wszystko, aby to naprawić. To ci też obiecuję – mówi Astrid, a jej twarz jest dobra jak pole dmuchawców.

Astrid niesie go do Kurnika i dopiero teraz, w ciepłe, Lutec uświadamia sobie, jak mu było zimno. Pachnie tu rumiankiem, krwawnikiem i lawendą, inne zioła zwisają z krokwi w kuchni. Ktoś jęczy na górze, Flannery zbiega po schodach naga, z miednicą w rękach, z olbrzymim brzuchem, z przerażoną twarzą. To jedna z nastolatek, które pojawiają się co kilka tygodni przerażone, ale wiedzą, nie wiadomo skąd, że położne zaopiekują się Ciężarnymi, które do nich przyjdą.

Och, dzięki Bogu, że wróciłaś, wyrzuca z siebie. Marilyn została wezwana do córki Amosa Amisza, a Midge musiała iść wyciągnąć gwóźdź ze stopy D'Angela.

Astrid spogląda w dół i dotyka głowy Lutka. Mówi: Zostaniesz tu, w kuchni, z Flan? Możemy porozmawiać później, jak Eden urodzi dziecko, prawda? A Lutec kiwa głową, chociaż wie, że nie powie ani słowa. Astrid zdejmuje całe ubranie i myje się długo mydłem i wodą tak gorącą, że aż paruje. Kiedy wchodzi na górę, to też nago.

Flannery wkłada szlafrok i robi minę do Lutka. No to co powiesz – pyta. To ty jesteś ten zapóźniony, tak? Lutec kręci głową, ale ona prychnie i daje mu kawałek jabłecznika, i idzie położyć się na kanapie. Jezu – mówi. – Na pewno nie mam ochoty wyciągać z siebie tego małego bękarta, jak to ma tak wyglądać. Drżącym palcem wskazuje ku niebu.

Po chwili zasypia i ciężko oddycha. Lutec wchodzi na górę.

W pokoju, gdzie leży Eden, jest mroczno. Z początku widzi tylko jej połyskujące rude włosy, potem nabrzmiąłą pupę kobiety i wielką opuchliznę ciała. Astrid siedzi na

niej okrakiem i naciera jej brzuch czymś lśniącym, oddychając wraz z nią. Musisz pamiętać, mówi, to pośpiech, to dobra energia, to ta energia pomoże wydobyć dziecko na świat. Tu nie ma bólu. Nie przyj. Wszystko w swoim czasie.

Eden wykrzywia twarz i cicho zawodzi, najwyraźniej coś uwalnia, a Astrid mówi: Dobrze, dobrze.

Astrid wkłada dwa długie palce w fałdy Eden i maca. Są zakrwawione, kiedy je wyciąga. Kiwa głową i stęka.

W Eden znowu kręci się spirala. Podwija palce u stóp. Wtedy otwiera oczy i widzi Lutka przy drzwiach, wbija w niego wzrok, a Lutek wpatruje się w nią, prac, tak jak ona prze. Wtedy ona znowu się rozluźnia i odchyła głowę do tyłu, a Astrid przemawia uspokajająco, Eden podnosi głowę i puszcza do Lutka oko. Hej, mówi. Dzięki za to, Małpko.

Astrid odwraca się. Ty!, mówi, Ridley Sorrel Stone! Ale zanim przegoni Lutka, Eden mówi: Nie, nie. Pomógł, Astrid. Niech tu będzie, dobrze? Jest w tym dobry.

Astrid idzie do drzwi i woła Flannery, która zabiera Lutka na dół, zrzędząc, i szoruje go, aż boli. Jest goły, kiedy wchodzi z powrotem po schodach, i trzęsie się z zimna. Zagrzebuje się w łóżku z Eden i kładzie jej głowę na ramieniu. Eden pachnie cykorią, zmęczeniem i cebulą; jest duża i gorąca. Lutek kładzie dłonie na jej czole i wygładza zmarszczki.

Światło gaśnie w oknach. Ludzie wchodzi i wychodzą, wśród nich Abe, zmartwiony. Próbuje rozmawiać z Lutkiem, ale Lutek koncentruje się. Ludzie znikają. Astrid zmienia prześcieradło, przetaczając ich oboje. Ktoś daje Lutkowi ciepły chleb z masłem jabłkowym, ale nie chce mu się jeść. Zostaje z Eden. Śpi, kiedy ona drzemie między falami, i budzi się, kiedy do niej powraca ból.

Coś nagle porusza się w Astrid: staje się szybka, wydajna. Flannery masuje ramiona Eden. Nowe światło rozpala się w taflach szkła i nasila. Jakoś nastał dzień. Astrid wydaje zachęcające odgłosy, a Eden wysokie jęki, ale Astrid chce, aby były niższe. Wchodzi Marilyn, świeża i uśmiechnięta, niesie dwie kołdry i ciasto z bakaliami, głos jej drży na cud nowo narodzonego dziecka amiszów, grubego, o niebieskich oczach i różowego jak prosiaczek. Eden krzyczy, a Marilyn zaciska usta i wychodzi.

Eden udaje się zjeść trochę owsianki, która nagle skądś się zjawia. Pije herbatę. Chwyta Lutka za drobne ramiona, a on nie czuje na razie jej stalowego uchwytu, dopiero później, kiedy Hanna weźmie go do Łaźni i krzyknie na widok jego fioletowej skóry, gdy dotknie delikatnie palcami sińców, jakby chciała je strzepnąć.

Ciało Eden zaciska się w pięść, gdy prze. Lutek słyszy głosy: Dobrze, kochana, tak dobrze, główka już jest, cudownie, jeszcze raz. Eden. Ale Eden spogląda w twarz Lutka, kłami chwyta dolną wargę; i nagle ogarnia ich zapach gówna. Wtedy następuje pęknięcie, wyslizgnięcie i Astrid ma w dłoniach zakrwawioną, woskową, szaloną piękność, stworzenie, które macha drobnymi rączkami i zaczyna krzyczeć jak mewa. Eden i Lutek odpoczywają wsparci o siebie i przyglądają się przez na wpół zamknięte oczy.

Eden podnosi rękę po dziecko, które Marilyn już umyła i zawinęła w kocyk. Astrid naprowadza usteczka na sutek Eden wielkości pięści, i pokazuje maleństwu, jak się przyczepić. Dziecko stęka i parska, Lutek nigdy nie widział czegoś tak zapalczego.

Skąpana w mrocznym świetle poranka, spocona, wyczerpana Eden pływa w ostatnich spazmach bólu. Trzyma dziecko i spogląda w starą twarz. Lutek chłonie wszystko, co teraz czuje, i zagrzebuje głęboko w sobie, w tajnej, lśniącej przestrzeni, by je odwiedzić w spokoju, w najlepszym miejscu, jakie jest mu znane.

Kobiety przychodzą po Hannę do Furgonu Piekarza, gdy jest tam jeszcze Abe, przed wschodem słońca. Wnoszą wiosenne zimno w kieszeniach ubrań. W ciepłe Furgonu ich oddechy parują. Wstawać, wstawać, powtarzają i Hanna wstaje. Cudowne kobiety, kobiety Arkadii, same nogi i szczupłe ręce, bandany, białe gardła, zmarszczki w kącikach oczu, gdzie słońce poznało ich skórę. Sadzają Hannę przy stole, szczotkują jej włosy, zaplatają ciasno. Podgrzewają wodę i rozbierają ją. Ciało matki Lutka jest chude, widać jej kości, kobiety wycierają ją gorącymi szmatkami. Powoli jej zapach rozcieńcza różane mydło Astrid. Jej skóra, jej włosy, jej sen są rozwadniane, aż w końcu to, co jest jej własne, znika.

Kobiety ją zabierają.

Abe jest rozkojarzony podczas kolacji, kasza owsiana z sosem sojowym, świeży twaróg z fasoli. Hanna nie wróciła, odkąd zabrały ją kobiety. Lutkowi wolno mieć własne myśli, więc planuje, że niedługo pójdzie do lasu, aby pomóc mamie. Chciałby, aby ktoś mu powiedział, czego ma szukać, i ma nadzieję, że nie będzie to ktoś przerażający albo brzydki. Wsłuchuje się w wiatr w sosnach, ale nie przemawia do niego tak, jak do chłopców w bajkach.

Kiedy w Furgonie jest posprzątane, kiedy jest czysto, Abe oddaje Lutka do Różowego Grajka, aby spał w hamaku Cole'a. Całuje go poważnie i odchodzi.

Metalowy dach pstryka drobnym, zlodowaciałym śniegiem. Dzieci Astrid oddychają lekko. Chłopcy Słodkiej chrapią i wiercą się, Cole dźga Lutka piętami. Dzieciaki z Baraków Rodzinnych tworzą jedną wielką gmatwaninę pod kocami.

Lutek odwraca się i widzi, że Helle ma otwarte oczy, żółte, w mroku. Kijanka Rączki – myśli sobie – jak cebulka, dziwna. Patrzy na Lutka, jej usta nabrzmiewają informacją. Jest wścibska, podsłuchuje pod drzwiami, skarżypyta.

Szepcze: Robią wieczorem Krytykę. Krytykę Hanny. Twojej mamy.

Lutek słyszy Marilyn, jak z kimś rozmawia na dole, słyhać jakby Zalotną Sally. Wstaje z hamaka i skrada się po schodach. W oknie palą dziwne papierosy, chociaż Sally jest w ciąży. Gadają, nie uważają. Lutek wychodzi.

Lód tworzy szklankę na trawie, a on ma gołe stopy. Zimno mu w nogi pod cienką piżamą. Stopy go parzą, aż przestaje je czuć, i musi wymachiwać rękami, żeby mieć pewność, że jeszcze biegnie. Wiatr chłósze go w twarz zimną ręką. Kiedy pragnie położyć się w złowrogich rzędach sadu jabłkowego, myśli o Hannie i idzie dalej.

Po schodach z łupku do Domu Arkadii. Nie może dosięgnąć klamki, ale pcha wielkie drzwi i ustępują.

Mocny odór: lakier, poliuretan i farba, wosk pszczeli, ocet i pot, trociny, miedź i zimne gwoździe. Schody są skończone, ale ciemne, bo nie ma nad nimi nieba, tylko tynk i sufit. Wielki żyrandol został złożony w całość i góruje nad głową w półcieniu.

Po jeszcze lepkich deskach podłogi, do schodów wygiętych łukiem ku górze. W połowie drogi słyszy głosy. Kolejny korytarz, farba lepka pod ręką. Kolejne schody.

Głosy silniejsze. Kiedy dociera do drzwi na zaplecze Proscenium, głosy są bardzo donośne.

Lutek przykuca i przykłada oko do szczeliny. Jego stopy znowu ożywają i krzyknąłyby z bólu, gdyby wpierw nie zagryzł do krwi policzka od środka.

Stąd widzi sylwetki, niektóre ruszają się, cień ręki unoszonej do twarzy, głowy, które przemieszczają się razem, a potem osobno. Dalej, wyniesiona na scenę, oświetlona trzema lampami naftowymi, jest Hanna.

Drobna, skurczona, tak odległa od niego. Jest sama. Ręce ma złożone na kolanach, spogląda w dół i kiwa głową. Ktoś, mężczyzna, mówi: ... znaczy, Hanno droga, kochamy cię i chcemy, abyś poczuła się lepiej, ale to taka udręka, odbierasz nam całą energię, a mamy cholernie dużo roboty, zanim Rączka i reszta wrócą, i potrzebujemy całej tej energii na sadzenie, rozumiesz?

Hanna kiwa głową, kiwa, kiwa.

Słuchajcie, mówi spokojnym, zimnym głosem ktoś inny: Mahajana, wielka łódź, dba o wszystkich, ale ty manifestujesz czystą Hinajanę, małą łódź dbającą o siebie... Hanna kiwa głową.

I ktoś, kobieta, mówi: Słuchaj... kiedy jesteś dobra, nie ma nikogo lepszego... wiemy, że miałaś jesienią wypadek... smutno stracić dziecko... przeszło ci to już?

A dłonie Hanny zaciskają się na spódnicy, jej twarz kurczy się, potem wygładza, a ona ciągle kiwa głową.

Teraz znajomy głos, Tytusa. Mówi: ... pieprzeni idioci, to tak, jakby odjąć komuś złamaną nogę i skakać, kurwa, po niej, nikomu nic dobrego z tego nie przyjdzie, byłem tu, Hanno, byłem tam, gdzie ty, byłem na dnie, z czarnym psem u szyi\*\*, ludzie, wiem, jak to jest, więc nie słuchajcie tych obłudnych durniów...

Wrzawa, krzyki zagłuszają Tytusa. Hanna patrzy na zebranych, znajduje twarz, na której się skupia, wpatruje się w nią. W tym momencie jest obecna całą sobą. Jego matka, taka krucha, taka odległa.

Lutek nie może się powstrzymać: wyskakuje z miejsca, gdzie przykucał, i zaczyna biec. Niekończącą się nawą, obok ludzi siedzących na ławkach, obok ludzi zalegających podłogę, do schodów, w górę. Z cienia, w płytki krąg naftowego światła, I tuli jej głowę w ramionach. Czuje, jak wszyscy wbijają w niego ciężki wzrok. Przez długą chwilę nic, cisza.

Na krótko mokry oddech na brzuchu, twarz matki wciśnięta w niego.

Na krótko jej usta dotykają go, całują go przez koszulę.

Teraz Abe jest na scenie i podnosi Lutka, a Lutek szybuje przez połowę nawy w stalowych dłoniach Abe'a. Abe szepcze wściekle do jego ucha; Lutek wierci się i walczy, aby wrócić do Hanny. W milczeniu siłuje się zdesperowany, kiedy schodzą na trzecie piętro po łukowatych głównych schodach i dalej na zewnątrz w noc, słyszy, co mówi Abe: ... wiem, mały, wiem, że cię boli, wiem, że trzymasz to w sobie, małpko... Abe przyciska do siebie Lutka, a Lutek trzyma się ojca, jego ciepła, jedyne stabilnego gruntu w tym wirującym, okropnym świecie, jego grawitacji. Przyciska się do Abe'a i próbuje go odepchnąć, próbuje pofrunąć z powrotem do Hanny, łapie się ojca; pcha go, chwyta. Abe mówi: ... nie musisz tego jeszcze wyrzucać..., dopiero kiedy są

w połowie drogi do domu, i zaczyna biec po twardym gruncie, wewnętrzny krzyk w Lutku wzbiera, bulgocze, wyłania się w kwaśnym potoku wymiocin.

W nocy słyszy: Teraz albo nigdy, kochana. Zostawiłem wóz na zewnątrz, kluczyki w stacyjce.

Cisza tak długa, że Lutek niemal zasypia. Potem wyszeptane: Nie.

To musisz spróbować. Musisz zacząć się starać. Musisz.

Jego ojciec ma głos gruby i drżący, aż Lutek robi się w środku gruby i drżący.

Bardzo długa cisza. Lutek niemal zasypia. A potem słyhać ciche, ciche: Spróbuję.

Budzi się udręczony. Oddycha wraz z Hanną, aż Abe wstaje, karmi ich, podrzuca Lutka do Grajka. Przed odejściem Abe klęka przed Lutkiem i odgarnia mu włosy z oczu, i mówi: Kiedy tylko zechcesz, możesz ze mną rozmawiać, dobrze?

Przez cały dzień Lutek jest zjadany od środka. Bezimienne zło naciska na jego nogi, sprawia, że bolą go ramiona. Lutek pragnie porozrywać poduszki i rozrzucić hamaki po całym Kwadracie.

Jego milczenie nie działa samo. Będzie potrzebował Poszukiwania. A jeżeli wkrótce nie wyruszy na Poszukiwanie, aby znaleźć coś, co uratuje Hannę, boi się, do czego może się posunąć.

Słodka próbuje czule do niego przemawiać, ale on ucieka. Stadko jest dzisiaj spokojne. Dorotka ma czas, aby zasiać nasiona w szklarni, a teraz prowadzi dzieci do lasu, aby opowiedzieć im o drzewach. Lutek wlecze się za dziećmi, tupie butami. Musi. Co? Jego pragnienie skręca się w nim i obraca.

Stadko wędruje łąką do zimnego lasu. Lutek zostaje w tyle pięć kroków, dziesięć.

Tutaj błoto zaschło w dziurach i dołach. Puchate wierzby pokrywają aksamitem brzegi. Słodka i Maria zabierają maluchy z powrotem do Grajka na wózkach. Jincy, Muffin i Fiona staczają się ze zbocza po miękkiej trawie. Chłopcy przestają bić kijami we wszystko, aby słuchać Dorotki: Patrzcie, zachęca ich, *Ulmaceae*, wiąz. Ma proste, naprzemianległe liście, właśnie wyrastają, patrzcie! Pochodzi z Azji. Rozpyła się skrzydlakiem, popatrzcie, aha, aha. Tu jest jeden zeszlóroczny.

Dorotka podnosi nasionko, a ono opada jak na śmigielku.

Uśmiecha się. Dzieci się uśmiechają. Wiosna, mówi, list od ukochanego.

Dorotka przytula pień i dzieci, jedno po drugim, naśladują ją. Wchodzą głębiej między cienie. Bryczesy Holendra, *Dicentra Cucullaria!* woła. Patrzcie, utajma. Patrzcie, kalina!

W szarym niebie jest szczelina i przedziera się przez nią słońce, spada na ziemię, przyprósza nowe pąki. To jest to, rozumie Lutek, czując silny puls w gardle, tam gdzie kiedyś mieszkaly słowa. Tu zaczyna się jego Poszukiwanie. Lutek przykuca za przegniłą kłodą, gdzie na łożu mchu rośnie paproć. Patrzy, jak tamci odchodzą. Wkrótce wcale ich nie słyszy.

Pod kłodą zimne miejsce, śnieg. Przez śnieg przedzierają się drobne poziomki, które zjada, i jasny, słodki sok plami mu ręce. To dobrze, to znak, aby iść głębiej, aby znaleźć to, co musi znaleźć.

Schodzi ze ścieżki w las. Jest sam, a wszystko jest ostre, pełne żarłocznego życia. Dwie wiewiórki gonią się po gałęziach, jedna spada, odbija się od ziemi, znowu ucieka.



Gąszcz chwyta go i puszcza niechętnie. W oddali śpiewa potok: Lutek skręca i niemal wpada do wody. Kładzie się na brzuchu i wychyla, gładkim patykiem niemal może dotknąć jej powierzchni. Jego głowa to biała plama na niebie, okolona czarnym odbiciem drzew; na ubraniu ma pełno rzepów. Widzi, że ma ranę na twarzy, dopiero kiedy kropla krwi spada i zostaje zassana do strumyka, gdzie znika jak dym.

Teraz wypłynie, myśli. Z wody, chyba. Ma nadzieję, że to będzie złoty łabędź albo nimfa wodna, ale przyjmie też trolla, małego, brzydkiego człowieka wielkości Lutka, potwora. Czeka. Nic się nie dzieje.

Z czasem rusza dalej. Czuje zmęczenie w kościach. Dzień zrobił się zimny, a niebo nad zieleniącymi się gałązkami przybrało ciemniejszy błękit. Znikąd pojawia się czerniec – roślina o wyłupiastych, wielkich białkach; przygląda się mu. Przez dziurę w pniu drzewa widzi cały, młody księżyc, który przypomina mu zapiekankę. Ale kiedy przygląda się bliżej, widzi ukrytą w nim twarz. Dlaczego nikt mu nie powiedział, że ten człowiek na księżycu krzyczy z przerażenia?

Jest taki mały. A las jest taki ciemny i głęboki.

Nogi mu zdrętwiały, kiedy trafia na przeszkodę w lesie, polanę. Wyczuwa tu brak powietrza. Kamienie sterczą z trawy wypalanej śniegiem i Lutek myśli o zębach Astrid, są tak samo przypadkowe i żółte.

Siada, aby się pozbierać, i przesuwając palcami po słowach wykutych w kamieniach. *Minerva, czyta. Której imię jest wypisane w powietrzu.*

1857, jest napisane na innym.

Drobny, mleczny ząb po prostu oznajmia: *Wydał jedno tchnienie i przepadł.*

Nie wie, jak długo siedzi. Drzewa szepczą między sobą. Zapada zmierzch, a kamień pod nim robi się chłodniejszy. Czuje, że coś się zbiera, ręka, która chwyta środek rozciągniętego materiału, unosi go.

Kątem oka dostrzega biały ruch. Z ukosa obserwuje go przez dziesięć oddechów, potem odwraca głowę, aby spojrzeć. Spodziewa się zobaczyć jeden z kamieni pełną w ciemność, ale to nie jest kamień.

Stoi tam zwierzę, spiczaste, białe, wysokie, z grzywą. Jest zgrabne jak biały jeleń, ale to nie jeleń.

Zwierzę mierzy Lutka żółtym okiem i węszy. Z jego boku pogłębia się cień. Faktura podnosi się do pionu i staje się materiałem. Lutek pozostaje mały i nieruchomy i spogląda w suknię, gdzie odnajduje twarz. Patrzy na niego kobieta, bardzo stara kobieta. To wiedźma, ta, o której śnił. Lecz nie jest brzydka: włosy ma miękkie, białe, z czarnym pasmem, i ma róże na policzkach. Chociaż jej usta okalają głębokie zmarszczki, same wargi są pełne. Lutek czuje się przyszpilony jej spojrzeniem.

Oboje wpatrują się w siebie, kobieta i Lutek.

To jest to, cel Poszukiwania, to, co miał znaleźć, moment, w którym wszystko się odmieni. Czeka, aż ona przemówi albo da mu worek złota, klątwę albo antidotum, fiołkę, jabłko, żołądzia, by pękł i się rozsypał, jedwabną szatę, podkowę, pióro, słowo. Powie mu, da mu, pomoże. Lutek czuje swoje ciało, takie drobne w tym wielkim świecie o zmierzchu, ale wie, że zrobi to, o co ona go poprosi. Nawet jeżeli będzie musiał żyć z nią na zawsze w małej kamiennej wieży w lesie i nigdy więcej nie zobaczy Arkadii,

zrobi to.

Myśli o Hannie, o kształcie w łóżku. Myśli: Proszę.

Chciałby krzyknąć, ale boi się starej kłątwy, która może spaść na Hannę, jeżeli otworzy usta i wyleje się z nich jego tęsknota.

Czeka, ale kobieta tylko się cofa i znowu staje się lasem. Wtedy zwierzę podnosi cienką przednią nogę, puszczając kłęb pary z nozdrzy, i też odbiega. Ich odgłosy cichną. Lutek siedzi sam w błękitnym zmierzchu. Dłonie ma puste jak zawsze.

Serce na nowo odnajduje rytm, a Lutek ufa sobie i rusza. Dżinsy ma mokre na siedzeniu i niżej, po wewnętrznej stronie ud. Las napiera na niego tak mocno, że ledwo może oddychać. Nie może płakać, nie teraz.

Lutek zaczyna biec, z trzaskiem pokonuje patyki, potyka się o nagłe wykroty w ziemi. Przed nim drzewa majaczą jak sny w mroku. A on może je tylko wymijać. Coś rozsypuje za nim suche liście, coś go dogania, coś łapie go kościstymi palcami. Biegnie coraz szybciej i to coś też, naciska na niego, Lutek wyczuwa okropny oddech i w końcu słyszy chłopot wody, i wypada na kamienny brzeg Stawu. W nocy wydaje się olbrzymi i chłopiec orientuje się, że jest naprzeciwko miejsca, gdzie zazwyczaj pływają. W górze na długim, ciemnym trawniku widzi przycupnięte budynki, Mleczarnię Sojową, Piekarnię, Ośmiokątną Stodołę; widzi Dom Arkadii z kilkoma oknami oświetlonymi nowym generatorem, który Baza Pojazdów skądś buchnęła. Nawet po tej samotnej stronie stawu słyszy ten warkot.

Poświata ociepla okno na piętrze, gdzie Lutek wyobraża sobie swojego ojca, dobrego Abe'a z brodą, montującego drzwi. Lutka uspokaja wyobrażanie sobie, jak naprawia w świetle latarni, buduje, ulepsza. To robi Abe: jest pewny, uspokaja. Złote ciepło jest także w łukowatych oknach Restauracji. Dzisiaj – przypomina sobie Lutek – jest pierwsza wspólna kolacja w Domu Arkadii, ugotowana w kuchni z nierdzewnej stali, wyjętej z porzuconej restauracji w Ithace. Ma nadzieję, że jego mamę przyciągnęło światło, ciepło i jedzenie. Boli go, kiedy myśli o innych, roześmianych w Restauracji, podczas gdy ona leży sama w łóżku.

Lód na granicy jeziora jest cienki jak szkiełko. Kruszy go, gdy biegnie. Kiedy dociera do ścieżki, gdzie latem rosną lwie paszcze, puszcza się sprintem. W oddali ludzie poruszają się tyralierą oświetloną latarniami i latarkami, w górę ścieżką od Namiastki Arkadii.

Wpada do środka, do wszechogarniającego ciepła. Tutaj, też, jest gąszcz nóg niczym pnie brzoź, niemal wpada na jedną. Hej, już, ludzie, mówi ktoś. Ejże, gdzie się pali, mówi ktoś inny. Co to, do diaska?, pyta ktoś, a ktoś inny odpowiada: Och, to zwykły leśny elf. Rozlega się śmiech, a on wciska piąstki i napiera mocniej.

Kuchnia uderza gorącem, do bólu. Pachnie tak dobrze, że chce mu się płakać. To coś smażonego, gulasz warzywny. Znajduje Hannę, gdy wlewa ocet do pieczonych buraków w wielkiej stalowej misie, i chwytą ją za nogi. Ona uśmiecha się do niego z góry. Podnosi go i myje mu twarz ciepłą wodą nad jednym ze zlewów. Mówi: Brr, kiedy dotyka jego dłoni, i wyjmując liście i gałązki z jego włosów, podnosi go i wacha jego spodnie przy pupie, wykrzywia lekko twarz, wzruszając ramionami. Wszyscy mamy wypadki, szepcze. To nic posusiać się od czasu do czasu, moim zdaniem.

Lutek przysuwa twarz blisko do ciepłych ust matki i ot tak to coś goniące go w lesie odsuwa się i rozpuszcza w nocy.

W Restauracji, pod odsłoniętymi krokwiemi, siedzą przy odnowionych stołach na moment dziękczynienia. Ktoś mówi: *Itadakimasu*, przyjmuję to pożywienie z wdzięcznością dla wszystkich istot; potem składają talerze. Hanna wciąga sobie Lutka na kolana i tuli go. Karmi go swoim widelcem małymi kawałkami chleba i gulaszu i Lutek czuje, jak spływa na niego cały dzień. Słowa wypowiedane przez innych tracą znaczenie w jego uszach. Z kawałkiem seitanu jeszcze w ustach zamyka oczy i zasypia.

Zrobił to, chociaż jest zdezorientowany, chociaż nie wie, co zrobił. Nie dostał żadnego klucza, nie powiedział żadnego słowa.

Hanna nie jest całkiem sobą, ale wychodzi z tego. Wstaje codziennie. Czesze włosy. Pracuje w Piekarni. Tylko czasami, kiedy Abe nie patrzy, zamyka oczy na długo, a Lutek wstrzymuje oddech. Lecz z wysiłkiem, który wydaje się ją rozrywać, otwiera je na nowo.

Chociaż Abe marudzi z początku, Astrid zarządza wolne popołudnie. Będziemy się bawić, mówi, i niech ktoś tylko odważy się zaprotestować. Mężczyźni idą na miękki, zielony trawnik między gankiem a budynkami gospodarczymi, niosą odzyskane prochowce i kije do hokeja, które pewnej zimy Billy Koziółek, prawdziwy Indianin Onondaga, wystrugał z jesionowych patyków. Kobiety zaplatają mężczyznom warkocze, takie, jakie same noszą, a wtedy mężczyźni rozbierają się aż do bawełnianych szortów, ich torsy bieleją zimową bladością. Lutek siedzi z roześmianymi kobietami, które palą marychę, gawędząc między sobą, piją mrożoną herbatę z dzbanków, podają jedna drugiej maluchy i dmuchają im w brzuszki. Inne dzieciaki bawią się gdzieś, ale Lutek siedzi na chudych kolanach Hanny, obserwuje falującą masę mężczyzn, którzy gonią za małą piłką, zderzają się, oddzielają, śpiewają i się spierają, upadają, pocą się. Patrzy, jak jego tata wyrzuca piłkę z koszyka na kiju, zarumieniony cały na szyi i torsie, jak oponka na brzuchu Tytusa podskakuje; Hiero jest taki zwinny, że wydaje się, że nawet nie biega, tylko zjawia się tam, gdzie musi być. Lutek widzi, jak Tarzan z łatwością strzela gola i jego drużyna skacze, krzyczy, poklepuje się i ściska, widzi, że wszyscy ci wielcy, dorośli mężczyźni, pomimo swoich zapachów i siły, są jak chłopcy. Nie różnią się od samego Lutka. Świat kurczy się wokół niego w przyjazny sposób.

Pewnego ranka przychodzi do niego czas, zakrada się. Nagle patrzy na szmacianego lwa na swojej ręce, którym macha, aby rozbawić dziecko Eden, małego kartofelka, i wtedy pojmuje coś, nad czym się nigdy nie zastanawiał. Widzi wyraźnie, teraz, że czas jest giętki niczym gumowa opaska. Może się rozciągać długo i może się ciasno ścisnąć, może się związać w supeł i najść na siebie, a przez cały czas jest nieskończony, jest pętłą. Będzie noc, a potem ranek. Rok się skończy, zacznie się następny, skończy się. Starzec umrze, dziecko się urodzi.

Letnia Hanna zastąpi zimową Hannę z powolnym, kruchym głosem i nową parą ogrodniczek. Jeszcze nie zupełnie. Ale wkrótce.

Przechodzi Słodka i zimnymi dłońmi chwyta go pod brodą. Co jest, mały?, mówi, wycierając mu policzki. Boli cię coś?

Jego tajemnica wzbiera w nim, niemal wybucha; jest dobrze, jest cudownie, i kręci

głową. Ona starannie osusza mu policzki czystym fragmentem rękawa i daje mu ciastko, co każe mu utrzymać w tajemnicy przed Astrid, którą nazywa Cukrowym Nazistą. Potem go całuje. Chciałby, aby tak zostało, miękkie usta Słodkiej na jego skórze, ale po długim oddechu niechętnie pozwala, aby czas płynął dalej.

O świcie tego dnia, kiedy Rączka ma wrócić z koncertów chmury rozpruwają sobie brzuchy nad ich głowami i warstwami spada na nich śnieg niespodzianka. Las ucicha pod niespodziewanym ciężarem, zielone pąki zaskoczone kurczą się, ptaki kulą się do siebie w cierpieniu. Późno w nocy Abe padł na łóżko w roboczym ubraniu, doglądał ostatnich prac ciesielskich, ostatniego malowania, ostatniego lakierowania, wieszania kinkietów i zasłon, jakie mają, zdobywszy z wyprzedzący, zasłon uszytych z prześcieradeł, zasłon zrobionych ze starych indiańskich narzut na łóżko nadal pachnących drzewem sandałowym. Luźno zaplatane dywaniki ze szmatek, nawet ceraty ozdobione wzorem z szablonu udają dywany, są porozkładane wszędzie. Jeden wielki burdel, Lutek podszuchał, jak Midge się skarży; ale jest cały, farba i tynk, drewno i szkło. Lutka, który nigdy nie mieszkał w domu, zachwyca, zapiera mu dech, nie widział nic cudowniejszego: sama przestrzeń grozi, że go pochłonie. Pot Abe'a na sienniku zeszłej nocy. Jednak cuchnął niepokojem niedokończenia. Rzucał się, marudził: mówił przez sen o zepsutych oknach, niedopasowanych gzymsach, niepomalowanych drzwiach.

Lutek spał na wystających żebrach matki. Kiedy Hannie coś się śniło, sen był tak żywy, że wchodził do niego; widział olbrzyma w grafitowym garniturze, wielkiego jak Dom Arkadii, jak połowa nieba. Poczł, jak jego ręka, ręka Hanny, unosi się ku opuchniętemu, wilgotnemu ciału. Paznokcie naciął skórę olbrzyma i powietrze zaczęło uchodzić z sykiem jak z pękniętej opony. Człowiek powoli flaczał, wiotczał, kurczył się. Był wielkości dębu na dziedzińcu, potem Różowego Grajka, potem Łażni, potem Furgonu Piekarza. Był wielkości Abe'a, potem Hanny. Twarz miał pustą jak lalki amiszów, które kiedyś przyniosła Astrid jako zapłatę za pomoc przy porodzie. Garnitur męczyzny stał się stawem. Skurczył się do wielkości Lutka, potem był jeszcze mniejszy. Stał się noworodkiem, potem załążkiem dziecka, cielistym balonikiem w małej czerwonej kałuży.

W końcu balon pękł. Męczyzna znikł.

Lutek otworzył oczy; Hanna patrzyła na niego.

Mój tata nie żyje, wyszeptła.

Lutek przyłożył dłoń do gardła mamy, tam, gdzie puls, a ona z powrotem zasnęła.

Słońce nieśmiało wychodzi teraz na białe pola. Zanim będzie po kawie, wiosenne ciepło roztopia śnieg na dachu Domu Arkadii, który staje się delikatny jak koronka.

Z okna Lutek obserwuje, jak Tytus Thrasher idzie przez Kwadrat ze smutną twarzą. W jego dłoni trzepocze telegram.

Hanna jest czerwona i spuchnięta, lecz niewidzialne rzemienie, które trzymały jej ręce przy bokach, rozpuściły się i teraz jej ręce unoszą się. Nawet jej oddech nie jest już taki ciężki. Oczy ma zbyt duże w stosunku do twarzy.

Nic mi nie jest – opiera się przed Abe'em, kiedy on ją przygarnia. – Naprawdę nic. Abe całuje ją w skroń, ale jego twarz jest blada, nie wierzy.

Znowu stają przy Stróżówce, czekają na Rączkę w słońcu tak gorącym, że śnieg znikł. Kilkunastu Nowicjuszy czeka na ganku, tłum Niemców wysypał się z karawanu

pomalowanego w kwiaty passiflory; dwie ciężarne dziewczyny przytulają się do siebie; Ćpun o sfilcowanych włosach mamrocze coś nerwowo do swoich sznurowadeł. Namiot Nowicjuszy jest pełen. Rączka będzie wiedział, co zrobić z tymi ludźmi.

Ta fala ulgi najwyraźniej krąży nad tłumem i w tłumie: „Rączka wraca, Rączka będzie wiedział, co zrobić”.

Dzień jest cudowny i kiedy czekają, mężczyźni rzucają frisbee na długiej drodze. Kobiety stoją w luźnych grupkach. Dotykają nawzajem swoich ramion i talii. Dziecko Eden jest najmłodsze i podają je sobie z rąk do rąk. Zaglądają w jej orzechową twarz, każda po kolei podejmuje podróż kosmicznej energii, by poznać nową duszę. Kitty jest tak podekscytowana, że zdejmuje swoją koszulkę, a jakiś mężczyzna gdzieś mówi niskim głosem: Odlotowo, a Kitty potrząsa tym, co ma, i uśmiecha się lekko; do Lutka dociera z nagłą siłą, że ona jest piękna. Z brązową grzywką i ostrym podbródkiem jest jak ożywiony orzeszek laskowy.

Wydaje się, jakby Rączka i Band Wolnych Ludzi wyjechali przed wiekami, trzy miesiące. Lutek był wtedy bardzo małym chłopcem. Widzi siebie tamtego dnia, niższego o pół głowy, z mózgiem pustym, nie wypełnionym niczym poza fragmentami obrazów. Widzi swoją matkę samą w zimowym błocie, jak wpatruje się w drogę.

Teraz odgłos silnika i ryk czyjejs trąby. W oddali, za zakrętem, widać Niebieski Autobus z Lilą w bikini zrobionym na szydełku i w chustce pozującą na masce jak dziewczyna z plakatu. Po stronie kierowcy Rączka wychyla się przez okno, pulsując klaksonem, a z jego brody Konfucjusza wydobywa się krzyk. Inne głowy wychylają się teraz przez okna. Silnik gaśnie i autobus wjeżdża rozpędem, wylewają się z niego ludzie w smrodzie dymu, wszyscy się obejmują, a Rączka krzyczy. Cyrkowi Śpiewacy są w autobusie koloru szczygła, który ze zgrzytem zahamował za Niebieskim. Wysypują się. Wyciągają zabrudzone teraz kukły Adama i Ewy, a potem dwie nowe, które właśnie zrobili, starca z bokobrodami i wychudłą kobietę w psychodelicznej sukni. Czterech nowych lalkarzy dołączyło po drodze; śpiewają i dzwonią, a ich pieśń jest teraz jeszcze dziwniejsza, drży i rozstępuje się w powietrzu, aż rozgorączkowane wiosną ptaki cichną, aby słuchać. Kończą swoją melodię i rozlega się ryk.

Lutek widzi nowych ludzi, którzy gramolą się z pojazdów, rozciągają kończyny, uśmiechają się; dwudziestu paru Nowicjuszy, których Rączka wybrał po drodze. Jeden z Nowych mówi: ... chcieliśmy jechać na Wystawę Światową, ale tu jest o wiele lepiej... Jedna kobieta zaczyna klaskać i rozpoczyna piosenkę, starzy, znajomi Arkadianie dołączają się i teraz wszyscy śpiewają: *Mid pleasures and palaces though we may roam, be it ever so humble, there's no place like home*; a na końcu wszyscy wrzeszczą i pohukują, a Rączka wskazuje na maskę Niebieskiego Autobusu z małą Helle-żabką na ramionach; dziecko wczepia się w głowę ojca i całuje go bez ustanku w łysiejący czubek. W kapeluszu z małej dziewczynki, w okularach pełnych słońca, Rączka rozpoczyna kolejną swoją nawijkę: „Moi dobrzy ludzie, przyjaciele, moi Wolni Ludzie. Jakże błogosławiać nam Wielcy Bogowie, że w tym świecie odnaleźliśmy się znowu, w końcu...”. Lutek jest u Hanny na rękach, trzyma dłoń w jej dłoni i chociaż wszyscy inni obserwują Rączkę, Lutek widzi, jak stare kwiaty zaczynają na nowo rozkwitać na policzkach mamy, i ledwo może to znieść, takie to dobre.

Kiedy Rączka kończy, Abe bierze Lutka od Hanny i sadza go sobie na barana, wchodzi na zderzak Niebieskiego i krzyczy: Ci z was, którzy zostali tu, zrobili wam niezły prezent. Przygotujcie się, wy wszyscy, którzy byliście w trasie!

Teraz Orzeszek i Tarzan toczą taczkę udekorowaną wiankami wiosennych kwiatów i gałązek jabłoni, zaganiają do niej Rączkę i ruszają pędem, a wszyscy biegną obok i z tyłu, i na zmianę pchają Rączkę po piachu na okrągły, żwirowy podjazd u podnóża Wzgórza Domu Arkadii.

Wybuchy śmiechu! Taki radosny bieg! Lutek trzyma się włosów Abe'a, gdy tata galopuje pod nim.

Wtedy ktoś zawiązuje Rączce oczy niebieską bandaną i wnoszą go na krzeselku z rąk, a on chichocze. Abe otwiera wielkie drzwi i zrywa mu chustę, podnosi Lutka, aż ten czuje gorąco i puls ciała ojca. Abe odwraca się do wszystkich zgromadzonych na Terasach.

Dokonałiśmy tego, krzyczy. Harowaliśmy aż do wycieńczenia, ale skończyliśmy Dom Arkadii, starczy miejsca dla stu pięćdziesięciorga, może więcej, licząc dormitoria dla dzieci i małe sypialnie, wyszykowaliśmy sobie nawet Bibliotekę i Restaurację, toalety, nawet generator na kilka godzin światła i muzyki wieczorami.

Wiwatują tak głośno, że Lutek nigdy czegoś takiego nie słyszał. Na twarzy Rączki maluje się zdumienie. Szybko mruży oczy. To jest... piękne, mówi Rączka, powoli i cicho, do samego Abe'a.

Pod Lutkiem Abe zdaje się tracić powietrze, ramiona robią się luźniejsze, głowa się pochyla. Ludzie gromadzą się za nim i wpychają do Wejścia pod wielki żyrandol. Wszyscy milkną, ponieważ pomieszczenie jest wielkie i pełne słońca, a wszyscy Starzy Arkadianie, pierwotni, prawdziwi wyznawcy, pamiętają dziury, ślady zwierząt, ciemność, dom sypiący się dookoła. To, kontrast, przestronność miejsca, której nigdy nie będą w stanie wypełnić, osiemdziesiąt małych sypialni, dormitorium dla dzieci; cały ten przepych pozbawia ich tchu w płucach.

Rozchodzą się. Niektórzy odnajdują swoje nazwiska na kartkach na drzwiach wypisane kaligraficznym pismem Harriet. Inni biegną od pokoju do pokoju, aby znaleźć miejsce do zamiany. Ta nowa para chce być razem, ci Nowicjusze chcieliby mieć miłszy pokój, to małżeństwo rozstało się po drodze i chce oddzielnej przestrzeni.

Ktoś krzyczy z piętra: Ubikacje pomalowali złotą emalią! Pośród ogólnej wesołości unoszącej się echem w całym domu coś rozluźnia się w twarzy Rączki.

To niesamowite, szepcze. Rozumiem. Diamenty i karbunkuły, świecidelka dla dzieciarni. Też czytałem tę książkę. Co to było?

*Utopia* More'a, mówi Abe, nieco pośpnie.

Tak, odpowiada Rączka i przygląda się Abe'owi. Wtedy cud, pojawia się słynny uśmiech Rączki, promienny, z dołeczkami, jak u Buddy. Zamienia prostego, starego Rączkę w kogoś czarującego. Kładzie rękę na ramieniu Abe'a i obaj opierają się o siebie przez chwilę. Rączka mówi: Hm, w porządku. W porządku. To jest dobre. Dobrze zrobiłeś, utrzymując nas razem, to jest dobre. Wielki podarunek. Dziękuję, Abrahamie Stone, z całego serca.

Na te słowa starszego mężczyzny Abe rumieni się z zadowolenia i chowa głowę

jak dziecko.

Tego popołudnia, przed beczkami z piwem Olimpia i dzbanami czerwonego wina, przed cydrem i ciastami, zanim Rączka i Wolni Ludzie zaczną grać swoją muzykę na trawie podczas dzikiej imprezy na powitanie, która rozciągnie się dzięki generatorowi głęboko w noc, aż do cichego poranka, zanim dzieci zwałą się na kupę, by spać jak pisklęta w gnieździe, przed całą tą wrzawą przeniosą z Namiastki Arkadii wszystko, czego potrzebują na noc, materace i pościel. Szczoteczki do zębów i mydło. Wszystko inne zostanie przeniesione nazajutrz.

Wtedy ktoś odpala racę i w woni siarki zaczyna się zabawa.

Późno po północy Rączka staje na stole. Jaki Rączka jest mały, ale jak bardzo wypełnia całą Arkadię. Ludzie śpią na trawie. Lutek leży na kocu z innymi dziećmi, mają buzie usmarowane dżemem i sokiem, noc robi się zimna, czują to przez ręce i nogi. Rączka zaczyna śpiewać, podczas trasy głos zrobił mu się ostry jak nóż. Wrywa Lutka ze snu, kiedy słyszy „Ole, oleanna, ole, oleanna ole, ole, ole, ole, oleanna”. Norweski tekst ciągnie się w coś ulotnego. Ideał, o którym przez cały czas mówi Rączka, o którym śni, tka swoje uwodzicielskie słowa, aż wznosi się, cały i piękny przed nimi wszystkimi. Rączka śpiewa, jakby dzisiaj, w dniu powrotu, mógł wyciągnąć rękę i dotknąć tego, co widzi, jakby zmieszana ze zwycięstwem jest nostalgia, ale ta dobra chwila wkrótce stanie się przeszłością. Lutek spogląda za Rączkę, na koc na ziemi, gdzie Hanna i Abe są tak mocno wtuleni w siebie, że trudno odróżnić jego skórę od jej skóry. Jednak Lutek widzi to wyraźnie, kiedy patrzy na nich: nawet w ciemności, pustka, która oddziela jedno od drugiego, rzecz wielkości pięści, serca, bochenka, róży; wielkości jego siostry, której nigdy nie zobaczy. Coś pęka w Lutku i chłopiec zaczyna płakać. Wypłakuje swoje przepełnione serce, wylewa je w oślepienie niebo. Płacze bezgłośnie. Jeszcze nie na głos. Jeszcze nie nadszedł czas.

Jest dzień po powrocie Rączki, dzień przed majowym sadzeniem, a słońce jest gorące i dobre. Trawa jeży się zielono. Kobiety przenoszą ostatnie rzeczy z Namiastki Arkadii, a dzieci drzemią w Dormitorium. Lutek dziwnie się czuje, śpiąc bez zapachu rodziców w pościeli, i obserwuje okno, gdzie na szybie bzyczy leniwa mucha.

Jak mrówki, które dźwigają kawałki liści i chleba, kobiety wnoszą na wzgórze naręcza rzeczy. Lutek wstrzymuje oddech: pod zielonymi, zapraszającymi ramionami dębu widzi Hannę.

Jego matka zatrzymuje się na dziedzińcu i odkłada poduszki. Otwiera pięści. Unosi rękę, zamyka oczy i kieruje podbródek ku niebu.

Hanna, ręce pełne słońca.

Łagodny świt pod rdzawym bukiem, który kochała Felipe. Śpiewa Maria, łamiącym się głosem: „*Gracias a la vida*”. Ricky niezdarnie porusza palcami po gitarze. Pod baldachimem z liści skóra na spalonych ramionach Marii łśni, lekko pomarszczona jak kora drzewa ponad nią. Ma twarz podobną do Hanny, kiedy ta śpi głębokim snem. Piosenka kończy się, ktoś przełyka, a to tu, to tam odzywają się długie fale, ciche fale płaczu. Minuta ciszy do zapamiętania.

Jednak wszystko, co Lutek może sobie przypomnieć, to jeden moment z Felipe, rozkoszna chwila, twarz dziecka szeroko uśmiechnięta z radości, trzy niezdarne kroki.

Potem koziołek i dziecko promiennie uśmiecha się do niego. Nawet to zniknie. Wkrótce, Lutek wie, Felipe nie będzie dłużej w Lutku, ale stanie się opowieścią, którą oni wszyscy będą razem pamiętali, i lepiej, w ten sposób.

Lutek myśli: Jesteśmy ulem. Wstajemy, kiedy słyszymy, że inni się budzą. Ćwiczymy jogę razem w Proscenium. Pozycja wojownika, pozycja nieboszczyka. Dobre jedzenie pachnie w Restauracji, śniadanie, obiad, kolacja. Ciastka przez cały dzień. Koniec z zimnem na pupie w wychodku, ciepła toaleta. Koniec z pajakami i wiatrem w Furgonie Piekarza. Teraz grzejniki zgarbione pod oknem stukają i syczą w zimne noce jak sapiące potwory. Teraz, kiedy rodzice wracają do domu wieczorem z pracy, mają czas, aby rozmawiać. Hanna w klubie książki, *White Niggers of America*, jej głos płonie jasno w Bibliotece; Abe w grupie teorii politycznej, dziesięć bród pochyla się w kręgu, miękkie policzki kobiet w cieniu. Budują społeczeństwa z powietrza, a potem starannie je burzą. Dorośli stają się bardziej miękczy. Ściskają się za ramiona przy mijaniu, radośnie przytulają. W Dormitorium dzieci leżą jedno obok drugiego w porze drzemki. Ciepły stos dzieci, zapach kredek, gliny i kleju. Zewsząd dobiega głęboki i radosny głos Rączki.

Lutek myśli: Och, teraz kochamy się bardziej.

Przez jeden tydzień Lutek śpi w Dormitorium na skrzypiących łózkach polowych, daleko od ciał innych. Leif chrapie, Jincy chodzi we śnie. Dormitorium jest tak szerokie, że w kątach cienie gęstnieją i poruszają się. Lutek budzi się trzy razy na noc, beznadziejnie brakuje mu mamy. W końcu pisze list do Słodkiej. Mozoli się nad nim czerwonym ołówkiem.

„Ja za mały, pisze. Muszę spać z Abe’em i Hanną”.

Kiedy wręcza go Słodkiej, odbiera jej mowę. Umiesz czytać?, mówi.

Słodka daje liścik Hannie, której usta układają się w O.

Och, Lutek, ty umiesz pisać?, pyta. Przyklęka, aby być na równi z nim, i całuje go.

Przenosi się do ich małego pokoiku na pierwszym piętrze Głównego Domu i śpi na starym sienniku na podłodze obok ich małego, żelaznego łóżka.

Kiedy śpi, na świat spada wielki wiatr i deszcz siecze horyzontalnie. Lutka budzi szum lasu w dziwnej zielonej poświacie.

Błyskawica, błękitny trzask i świat robi się poszarpany. W błysku widzi Hannę w pół ruchu, włosy spadają jej na usta, pościel przywiera jej do talii. Jedna pierś jest odsłonięta. Owłosione ramie obejmuje jej ramiona.

W czerni, która spada na nich po błysku, Lutek rozumie, co było w cieniu nad jej koroną: twarz Abe’a, zamknięte oczy, usta to głębsza czerń w czerni jego brody, sięgająca po coś, najwyraźniej, co ma właśnie schwytać.

Lutek przykuca na trawniku pod wiśnią. Mokre płatki spadają mu na głowę, słońce jest łagodne. Dorośli są w polu, sadzą, poza Abe’em, który musi naprawić dach w miejscu, gdzie podczas burzy spadł konar dębu. Lutek widzi bladoniebieski sweter pracującego ojca, odbity do góry nogami w kałuży. Stąd głowa ojca wskazuje środek ziemi.

Kiedy Lutek zamyka oczy, widzi to, co widzi Abe, Arkadia rozciąga się pod nim: ogród, gdzie inne dzieci wpychają w ziemię ziarna kukurydzy i fasoli rzędami, Staw. Świeżo zaorane pola jak sztruks, pracujących niczym wczepione w niego rzepy.



Czerwoną stodołę Amosa Amisza, małą w oddali. Wał lasu upchnięty pod wzgórzami. I cokolwiek jest dalej: miasta ze szkła, ze stali.

Tam, gdzie jest tata, pewnie silniej wieje. Pewnie jest gorąco, bo jest bliżej słońca.

Lutek widzi, jak różowe płatki pokrywają powierzchnię wody, przechodząc jak duchy przez ciało taty. Jest cudownie, absurdalnie. Śmieje się z nagłą lekkością, a dźwięk wyłania się w całości z jego ust, zanim udaje mu się go stłumić, dokuczliwy odgłos jak skrzypienie starych zawiasów. Przyciska dłoń do ust, a jego skóra ma smak trawy, ziemi.

Przez chwilę po dźwięku wydanym przez Lutka nie ma nic. Wiatr marszczy wodę. Ptak przelatuje nad głową, na krótko zimny cień zasłania słońce.

Lecz teraz odbity w kałuży Abe stacza się z dachu; kulka, kamyk. Na jeden krótki moment tata Lutka zawisa w powietrzu.

Utknął zawieszony; musi go trzymać jakiś sznur. Ale sznura nie ma. Abe przesuwa się na powierzchni kałuży.

Lutek odrywa oczy od wody i przenosi je na świat. Mruży je. Wszystko jest niewyraźne. Jakby patrzył w noc z oświetlonego pokoju. Na trawniku dziedzińca widzi małą, niebieską plamę. Gdzieś rozlega się ryk silnika, a na gałęzi w górze syczy wrona. Stopa Lutka rozbija kałużę i chłopiec zaczyna biec.

\* Odwołanie do noweli Hermana Melville'a *Kopista Bartleby* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

\*\* Aluzja do depresji.

## HELIOPOLIS

Tak miło, dziewczęta z gęsią skórką w strojach zwiotczalnych, dziewczęta o ustach okalanych błękitem. Królową wszystkich jest Helle. Nie było jej i Astrid od początku zimy, wróciła przed tygodniem i olśniła. Siedzi blada jak trup na głazie nad Stawem. Ma dredy, ćwieki w nosie, łokcie zmarszczone od zimna. Jest taka blada, że Lutek nie może na nią patrzeć.

Nad stawem panuje wrzawa, aż Lutka bolą uszy. Początek maja, mroźno, ale dzieciaki i Nasto Arkadii przyszli tu chłonać zimne słońce. To, co kiedyś wydawało się Lutkowi niemożliwym bezmiarem wody, skurczyło się od dwustu ciał wierzgających w nim. Wypływa na środek Stawu i nurkuje. Chłopcy bieleją na powierzchni; nogi dziewcząt zwisają z kamieni, małe, ruchliwe. Nurkuje głębiej, do dna, gdzie wyczuwa stopami młode wodorosty i chwyta go chłód.

W tej głębi panuje spokój. Jest wolny od nawarstwiających się napięć Arkadii, przepelnienia, głodu. Lecz tam, gdzie powierzchnia spotyka się z niebem, plamka staje się otwartą dłonią, gwiazdą powoli spadającą ku niemu. Odczuwa pulsowanie w trzewiach, kiedy widzi, że to Helle otwiera oczy, szukając go. Spod jej stóp drobiny mułu padają na jego kolana. Helle dochodzi do Lutka, dotyka jego boku. Niedobra Helle, łaskocze go.

Lutek musi gonić srebrny szlak utraconego powietrza ku powierzchni. Już, chwyta oddech i dławi się, łzy napływają mu do oczu. Zjawia się Helle, roześmiana. Dredy unoszą się dookoła jej głowy jakby same wodorosty.

Unikasz mnie, Lutek, mówi z ustami w połowie pod wodą.

Nie, odpowiada, ale nie może spojrzeć jej prosto w twarz. Nie unika jej; po prostu nie widzi dawnej Helle pod nowym blichtrzem z Zewnątrz.

Ona mówi, już się nie śmiejąc: Spójrz na mnie. To tylko ja, Lutek.

Płyną do nich inne dziewczyny, ich głowy są jak blade kaczkki na wodzie. Zanim dopływają do Helle, Lutek spogląda na nią. Przez tę jedną chwilę widzi dawną Helle, tę bezbronną dziewczynę bardziej zagubioną, bardziej czujną od niego.

W końcu dzieciaki zsiniały i uciekły, zostały tylko najtwardsze, dwanaścioro nastolatków – Nasto – a wszyscy oni ze Starej Arkadii. Jego najlepsi przyjaciele trzęsą się na mżawce obok Lutka. Ike, szczupły i lśniący tym samym białym światłem co jego siostra; Cole i Dyllie, z piękną twarzą Słodkiej, w cieniach różowych i brązowych. Siedzą razem, udając swobodę, słuchają Helle, która nigdy nie była znana z daru opowiadania, a mówi im o Zewnątrz: „Wszyscy są grubi i czuć od nich chemię. Noszą głupie guziki na marynarkach i mówią tylko o Wystawie Światowej”.

Nagle, jak się wydaje, wszyscy jego przyjaciele wyteżają słuch. Potem do niego to też dociera i wie, że słuchał tego rytmu już od dawna, pod ptakami, pod wiatrem, pod liśćmi poruszającymi się wśród drzew. Helikoptery. Nagle wystrzelują nad drzewami, lśniąc czarne, szponiaste, lecą nisko. Lutek widzi pilotów w słuchawkach i ponurych mężczyzn w drzwiach z karabinami maszynowymi.

Wiatr z wirników ciska im wodę w oczy. Uderza ich w skórę żwirem. Śmigłowce odlatują, a Staw uderza falami o brzeg. Lutek zrywa się i goni przyjaciół do Domu

Arkadii, z łatwością wyprzedzając całą resztę na błotnistych ścieżkach wcinających się w trawnik, chociaż Cole też jest szybki. Ludzie cisną się w drzwiach Mleczarni Sojowej, Piekarni, Restauracji; głowy wyrastają jak grzyby w oknach i nieśmiało cofają się. Stadko Ćpunów rozchodzi się, zostawiając w tyle Opiekunów. Ludzie wylewają się na Terasy, gromadzą na półokrągłym podejździe, a Lutek przeskakuje przez opalone ciała, widły i szpadle, zabłocone stopy, zasmrodzoną i wrzeszczącą dzieciarnię, zawodzące niemowlęta zawieszane w chustach, niemal cała zatłoczona dziewięćsetką ludzi Arkadia porzuca swoje najprzeróżniejsze zajęcia, aby tu się zgromadzić. Lutek lustruje tłum, w panice szuka Hanny. Kiedy ją odnajduje – włosy ma splecione w korony na głowie, teraz jest pełniejsza dzięki tabletkom, marszczy czoło, patrząc w niebo – czuje, jak spływa na niego ulga. Ma fartuch umazany soją; Lutek bierze ją za rękę i staje między nią a maszynami. Lecz ona krzyczy mu do ucha: Abe, i znowu to się pojawia, ostry kamień w Lutku, jego wina; ostatecznie to zawsze Abe. Lutek rozgląda się, widzi ojca na wózku, na ganku Domu Arkadii. Chude, blade nogi w szortach, prążkowana broda. Abe jest uwięziony na wzgórzu śliskim od deszczu. Bez Hanny zostałby tam. Lutek wbiega po Terasach. Ojciec poklepuje go po ramieniu, mówi: Dobre dziecko, zjedź ze mną.

Lutek ledwo może utrzymać wózek, kiedy ślizgają się na wąskiej ścieżce obok schodów, jego mizerne pięćdziesiąt kilogramów nie stanowi przeciwwagi dla ciężaru i przyspieszenia Abe'a, zimne błoto pryska na gołą pierś i twarz Lutka.

Helikoptery znikają za lasem na północy, chociaż nadal są głośnie. Rączka przekrzykuje hałas. Wyłysiał do połowy, odkąd zaczęły się kłopoty, i zakrywa powiększone czoło złożoną bandaną. Stoi jak orator na tarasie, aby do nich przemówić.

... szukają powodu, aby nas zlikwidować, krzyczy, a my jesteśmy na tyle głupi, żeby im go dać. Stary drań Reagan i jego wojna z narkotykami trafiły tutaj, cholera. Więc zrobimy tak: wykopimy to cholerne zielsko i spalimy je. Już, już, już.

Spokojny Rączka, Rączka Budda, wściekły, o poczerwieniałej twarzy. Ładuje powietrze elektrycznością. Lutek orientuje się, że znalazł się za wózkiem ojca.

Lecz ramię Abe'a jest sękaty i drżący w dłoni Lutka. Zabiera głos, a wtedy świat zdaje się kurczyć: Cholera, Rączka, bez konsensusu?, krzyczy. Bez Rady Dziewięciu? Tylko wydajesz dyktaty?

Rączka szuka Abe'a, a gdy go znajduje, zdejmuje okulary i starannie je czyści rąbkiem podkoszulka. Ruchy ma powolne i rozmyślne, a w przestrzeni, którą stworzył swoim milczeniem, ludzie zaczynają szemrać, wołać jeden do drugiego. Lecz kiedy Rączka zakłada okulary, staje się, jakby w cudowny sposób usunął złość ze skóry. Jego ciało zmiękło, rozluźnił dłonie, twarz rozciągnęła się w stary, magnetyczny uśmiech, tylko teraz maści go szary ząb oczny. Zmiana nastroju osób wokół Lutka jest szybka. Czuje, jak tłum się rozluźnia, energia uwalnia się, unosi ku Rączce.

Dobrze, stary, mówi Rączka swoim koncertowym, donośnym głosem. Masz rację. Jak tylko Rada Dziewięciu zagłosuje, pozostanie mi dalej prowadzić was duchowo. Ale, słuchaj, mam w tym wszystkim osobisty udział. Kiedy tata Tytusa sprzedał nam to miejsce za dolara, na umowie umieścili moje nazwisko. Martin „Rączka” Friis, to cudowne norweskie nazwisko, które podarowała mi Astrid, kiedyśmy się ochajtnęli. Umowa jest w Bibliotece, idźcie sprawdzić. A zatem nie zaaresztuj wszystkich

dziwięciuset bitników, aresztują mnie. A jeśli pamiętacie, ja już odsiedziałem swoje za was wszystkich.

Przenosi wzrok z twarzy na twarz. Kiedy jego spojrzenie pada znowu na Abe'a, mierzy, jak jego słowa są przyjmowane, Lutka przejmuje pustką zbiorowej winy. Przed pięciu laty federalni znaleźli chałupniczą produkcję grzybków halucynogennych poza Arkadią i aresztowali Rączkę. To Harold z dyplomem prawa z Harvardu go wy dostał.

Powiem wam, mówi Rączka. Nawet siedem miesięcy w kiciu to nie zabawa. Tak więc z całym szacunkiem proszę was, piękni Wolni Ludzie, abyście mnie wsparli i poszli ze mną do lasu, wyrwali konopie, które tam hodowaliśmy, chociaż to może was boleć w głębi duszy, gdy będziecie patrzeć na taką marnację. Popatrzcie na to, jakbyście ratowali swojego starego przewodnika duchowego od kosy w żebra.

Po raz kolejny ich zdobył. Rączce zawsze to przychodzi z łatwością; ma w sobie pstryczek, który może włączać i wyłączać. Arkadia śmieje się. A najgłośniejsi są Nowicjusze przejęci widokiem legendarnego Rączki, ostatnio tak rzadko widywanego. Otaczają go starzy zwolennicy, nadal w nim zakochani, a jeszcze bliżej jego rodzina. Lila i Hiero chichoczą obok Fiony, teraz już kobiety, która opiera głowę o nogi Rączki. Ike'a rozpira duma. Leif, jak ufoludek, stoi ze Śpiewakami Cyrkowymi, Eryk jest na studiach. Tylko Helle siedzi ponuro na kamiennym murku terasy, spoglądając na ojca, ma nieruchomą twarz, a długie, blade usta tworzą kreskę.

Rączka, znowu spowity uwielbieniem Arkadii, zaczyna organizować wyrywanie i palenie.

Abe obraca koło wózka, aby spojrzeć na Lutka i Hannę. Spiętym głosem mówi: Zebranie Stone'ów. Teraz.

W pokoju Abe'a i Hanny na parterze Domu Arkadii Hanna zamyka okno. Lekcje wznowiono na dziedzińcu: mały Peter powtarza coś po hebrajsku za nauczycielem, Theo, oddalony o półtora metra. Theo wydaje się nieszkodliwy, ale teraz trudno powiedzieć, kto jest po czyjej stronie. W parnym, ciasnym i mrocznym pokoju dociera do nich smród Arkadii: pot, cebula, sperma, tanie kadzidełka.

Ojej, mówi Hanna. Perfumy trzystu ludzi.

Lutek śmieje się, ale Abe mówi: Nie mamy czasu na żarty. Hanna unosi brew i rozpoławia pomarańczę na nocnym stoliku, smakołyk odłożony po kolacji sprzed kilku dni. Mgiełka ze skórki natychmiast przynosi ulgę.

Co się dzieje?, pyta Lutek. Obgryza skórkę przy paznokciu, uspokajając się smakiem krwi.

Rodzice patrzą na niego. Przystojny Abe, Hanna złota od wczesnej opalenizny. Nie powinniśmy go w to mieszać, Abe, mówi mama. To jeszcze dziecko, w zeszłym tygodniu skończył dopiero czternaście lat. Wyjmuje Lutkowi rękę z buzi, całuje ją i trzyma, aby nie obgryzał. Na jej palcach jest jeszcze kwas od pomarańczy, a jego cieszy ten ostry smak.

Potrzebujemy go, Hanno, tłumaczy Abe. I nie dlatego, że jeszcze nie wyczułem tego w jego oddechu.

Hanna wzdycha i zaciska rękę na dłoni syna, a Lutek powstrzymuje się, aby nie wdrapać się jej na kolana.

Proszę, szepcze Lutek, tylko powiedzcie mi.

Abe mówi: Przepraszam, że was wplątałem w to wszystko, ale sługusy Rączki niszczą teraz nasze przyszłoroczne plony. Jeszcze zimą niektórzy z nas w Dziale Biznesowym postanowili zainwestować w wysokiej jakości nasiona marihuany gotowej na Dzień Kukanii w lipcu. Arkadianie, którzy odeszli, zgodzili się sprzedawać ją dla nas na Zewnątrz. Nazywamy to Planem Masz Hasz.

Lutek nic nie mówi, ale rozczarowanie rodzicami zbiera się w nim do lotu jak uwięziony w pokoju ptak.

Słuchaj, mówi Hanna. Wiemy, że to złe.

Hm, odzywa się Abe. Dyskusyjne. Po prostu nielegalne.

Musieliśmy rozważyć zło, wyjaśnia Hanna. Nigdy byśmy tego nie zrobili, gdybyśmy nie byli tacy biedni. Jesteśmy winni za nasiona za dwa lata. I, cholera, te wszystkie nowe projekty Rączki mają zielone światło. Szkoła Położnych Astrid na oddziale w Tennessee, głupia trasa Cyrkowców. Jezu, Rączka, weź zrób najpierw porządek w swoim domu. Mamy za duże długi. Wszyscy umrzemy z głodu. Jak tego nie zrobimy, kończy i zrogowaciałe dłonie wbija w prześcieradło, na którym siedzi.

Lutek marszczy czoło. A co z Bazą Pojazdów? Ceramiką? Co z Siłą Roboczą? Co z całym jedzeniem, które produkujemy? Musi istnieć jakiś inny sposób.

To wszystko nie wystarcza, odpowiada Hanna. Z Ćpunami i Kurami, i tymi wszystkimi Uciekinierami mamy za dużo gęb do wykarmienia. Nie mieliśmy wyboru. Wolałabym zaryzykować więzienie niż pozwolić naszym dzieciom głodować.

Święta racja, przytakuje Abe i rodzice wymieniają spojrzenia, aż Lutka przechodzi dreszcz zażenowania. Seks to tornado, które niemal nagle rozwaliło go przed rokiem. To gwizd zbyt wysoki dla ludzkich uszu, ale pewnego ranka obudził się psem. Znajduje seks wszędzie, szczególnie tam, gdzie go przeraża: w nabrzmiąłych, ociekających płótnach w Mleczarni Sojowej, olbrzymich sutkach; w widłach wsuwanych w kompost jak na wpół nieczysty mechanizm stosunku. Jest tu, w rumieńcu ojca, gdy patrzy na Hannę, a jej twarz rozjaśnia się pewnie.

Potrzebujemy cię teraz, Malutku, mówi Abe. Twoja mama i ja postanowiliśmy utrzymać największą uprawę w tajemnicy przed Tytusem i Sally, Hankiem i Koniem. Dokładnie na taką sytuację jak dzisiaj.

Nawet, kurwa, Tytus, cierpko dodaje Hanna. A Lutek pamięta. Zaraz po helikopterach twarz Tytusa rozjaśnił promienny uśmiech, po staremu. Gdy patrzył, jak przemawia Rączka.

Ale ja, odzywa się Lutek, jestem tylko dzieckiem.

Jesteś dzieckiem, które umie biegać, mówi Abe. Lutek stara się nie patrzeć na nogi taty, ale nie udaje mu się; znajome wyrzuty sumienia, mdławe, tłuste, przykrywają winę. Lecz Abe nadal ciągnie: ... dobiegnij tam pierwszy i zrób cokolwiek, aby oni nie znaleźli tego poletka. Udawaj, że wracasz stamtąd; powiedz, że patrzyłeś, ale nic nie znalazłeś. Udawaj wściekłego łosia albo coś innego. Walnij ich w głowę kamieniem.

Żadnej przemocy, mówi Hanna.

W wejściu słychać szuranie, zatrzymują się, aby nasłuchiwać, kiedy ktoś, ktokolwiek to jest, pójdzie dalej. Lutek, kochanie, nie mogę cię zmusić do niczego, co ci nie odpowiada, szepcze Hanna. Jeśli powiesz nie, pobiegnę tam jak najszybciej, ale nie

znam tajnych ścieżek w lesie tak dobrze jak ty. Jesteś taki szybki i cichy. Lecz musisz wiedzieć o konsekwencjach udziału w tym. Możemy iść do więzienia albo wyrzucą nas z Arkadii, jak nas złapią. To twój wybór. Zawsze będziemy cię kochać, obojętnie na co się zdecydujesz. Uszanujemy to, co mówi ci sumienie.

Jednak jej głos: napięcie w nim. Po prostu zabija go. W porządku, mówi Abe. Wypuszcza powietrze. W porządku, powtarza. To ta mała wysepka w strumieniu, na północ od Verdy. Verda wie wszystko o Masz Hasz, sympatyzuje. Biegnij jak najszybciej, tylko nie ścieżką, a kiedy Hanna tam dojdzie, przejmie od ciebie wartę. Gotów?

Lutek myśli: Nie.

Mówi: Gotów.

Biegnij, dodaje Abe.

Lutek biegnie. Dym z ogniska na Owczej Łące jest silny. Musieli już ogołocić jakieś poletko. Jest za namiotami, które przez lata rozciągnęły się do lasu, dla ludzi nie mogących znaleźć łóżka w wyznaczonych obozowiskach; mija zapach pól, wychodków, stert kompostu. Słyszy ludzi, jak przedzierają się przez las, niezdarne ogry. Lutek zna ścieżki saren. Idzie niewidzialny, z dala od nich. Mija hałas, napiera na niego stara, czujna cisza lasu: zdaje się na własne nogi, aż drzewa tylko go chłoszczą. Płoszy żurawia w sadzawce; widzi białe lusterka saren pokonujących kłody. Biegnie milami, aż zwalnia i trafia na wyspę wynurzającą się jak żółw ze strumienia. Dopiero kiedy przebrnął przez wodę sięgającą bioder i wszedł w głąb wyspy na kilka kroków, dostrzega poletko sprytnie ukryte po wschodniej stronie drzew. Helikoptery, Hanna wiedziała, nadlecą z bazy marynarki wojennej na zachodzie albo z bazy wojskowej na południu.

Kiedy serce przestało mu się tłuc w piersi, Lutek zmywa zaschnięte błoto z torsu i ramion, znajduje wiadro przywiązane do drzewa i korzysta z niego, podlewa.

Chowa się znowu w zimnym dole wśród wierzb i spogląda ku Arkadii. Nic nie widzi, nic nie słyszy poza zwyczajnymi odgłosami lasu uspokajającego się po jego wtargnięciu. Smuga kondensacyjna puszy się nad niebie. Szczur piźmowy rysuje dwie cienkie linie w wodzie. Po pewnym czasie Lutek obraca głowę i patrzy w stronę chatki Verdy, z której unosi się cienka nitka dymu.

Zna Verdę od zawsze, odkąd miał sześć lat. Zanim poznał ten bezkres lasu jak własne małe ciało, gubił się podczas swoich wędrówek. Spotkał tę starą kobietę pewnej nocy, kiedy złapała go burza śnieżna i szybko zapadały ciemności. Zgubił czerwoną rękawiczkę i obie dłonie schował do tej jednej, która mu została, i trzymał ją przed sobą, jakby to była latarnia oświetlająca mu drogę. Lecz las był zachłanny: chciał go tej nocy pożreć. Lutek brnął przez tumany śniegu, przez czern. W końcu poczuł wybawienie w drzewnym dymie i podążył za nim do kamiennej chatki przycupniętej na skraju pola. Stukał i stukał. Drzwi otwarły się nagle i ukazały jędzę, którą wpierw widział w lasach minionej wiosny, dziwnego psa u jej boku, którego Lutek uznał za oswojoną białą łanię. Był zbyt zmęczony i zmarznięty, aby się bać, gdy ściągnięto mu mokre ubranie i znalazł się pod kocem pachnącym słońcem i lawendą. Wtedy jędza pochyliła się nad piecem i światło podkreśliło jej ostry nos, zmarszczki, proste włosy i w jego głowie pojawiła się iskierka rozpoznania, i Lutek zaczął krzyczeć. Od strony paleniska obserwowała go biała bestia, dysząc z gorąca. Wiedźma pozwoliła Lutkowi krzyczeć, aż stracił głos, a wtedy

podawała mu miskę zupy. To była sarnina, pierwsze mięso, jakie jadł w życiu. Smakowało śmiercią. Zwymiotował je. Znalazł się w samochodzie, a do drzwi Stróżówki podeszli Tytus, Zalotna Sally i dziecko w blasku latarni za nim. Tytus rozplakał się z ulgi: Och, Lutek, znalazłeś się, powiedział, biorąc go w wielkie, mocne ramiona. Myśleliśmy, że zamarzęś na śmierć. Lutek spojrzął z powrotem w noc, a wiedźma położyła kciuk na jego brodzie. Mały Ridleyu, powiedziała cicho, wróc kiedyś odwiedzić swoją Verdę. I znikła ze snu, w którym był, jak mu się wydawało.

Teraz próbuje wysłać Verdzie fale mózgowe, aby przyniosła mu garść ciastek i koc, ale ona nie słyszy albo nie zważa na jego bezgłośnie wołania. Lutek stara się nie myśleć, co by było, gdyby trafił do więzienia. Jeszcze jest taki mały; wygląda na dużo młodszego, niż jest. Słyszał o poprawczaku złe historie, które przeciekły od Uciekinierów, i jego myśli oddalają przemoc, paskudne jedzenie, brak rodziców. Na niebie jaśnieje Wenus, spokojny błękit, i Lutek myśli o zeszlorocznym syzygium, ustawieniu planet w jednej linii, o tym, że Ollie był tak przekonany o apokalipsie i że spędzi marzec w zbrojonym tunelu między Arkadią a Ośmiokątną Stodołą. Kiedy Lutkowi doskwiera niepokój, zwija zielony liść w małego papierosa i zapala go zapalnikami, które wszystkie dzieciaki ze Starej Arkadii trzymają w plastikowych torebkach w kieszeni razem ze scyzorykiem i mieszanką bakalii. Kiedy jest spokojniejszy, śmieje się cicho do siebie, aż spłoszona wiewiórka ucieka na drzewo.

W cieniastym lesie robi się zimno. Obcięte dżinsy Lutka zaschły mu na nogach. Musi przyciskać ręce i nogi do torsu, aby powstrzymać się przed drżeniem. Mrok gęstnieje. Las oddycha tak głośno, że chłopiec nie słyszy, kiedy znalazł się w zgiełku Arkadii. Na ścieżce kilkaset metrów dalej coś szeleści, odległe odgłosy ludzkich kroków; wstaje z absurdalnie ciężkim kamieniem w rękę. Lecz to jest Hanna. Ma na sobie tę samą co wcześniej flanelową koszulę z oddartymi rękawami, ale teraz ma jeszcze plecak i buty robocze, jakby szła na niewinną wędrowną.

Przykłada palec do ust i brodzi w strumieniu. Kiedy przytula Lutka, na pewno wyczuwa, jak mu zimno, ściąga koszulę, odsłaniając stanik. Otula go koszulą. W splocie materiału zostało jej ciepło, jej chlebowy woń. Jesteś najlepszy, Malutku, szepcze. Lila i Hiero nie byli daleko ode mnie na ścieżce, więc uważaj.

Lutek biegnie do domu, niosąc ciężar jej uścisku, ducha Hanny. Wychodzi na Owczą Łakę o bladym zmierzchu, gdy rozlega się gong zwołujący na kolację pierwszą zmianę Arkadii, tych najdelikatniejszych: Kury, Ćpunów i dzieciaki.

Lutek budzi się, dygocząc ze strachu. Z pryczy nad nim Cole sięga i poklepuje go po piersi. Tylko owce, mruczy przyjaciel Lutka, nic ci nie jest.

Bee, bee, mruczy Ike, nadal śpiąc we własnym łóżku.

Lutek koncentruje się na oddechu ujjayi, aby się uspokoić, wyobraża sobie wiatrak głęboko w gardle. Ten sam koszmar krążył w Lutku, od kiedy był mały, a Rączka umieścił prawdziwe owce na Owczej Łące: nie żeby je eksploatować, wyjaśniał, to nie są zwierzątka domowe i nie zostaną zjedzone, ale dla ich wełny, którą z radością oddają, a Arkadianie mogą sprzedawać. Dzieciaki uwielbiały owce; kobiety marzyły o wełnianych swetrach, lanolinie na spękane dłonie. Wtedy Tarzan, który mianował się pasterzem, padł zamroczony, z rozległymi, otwartymi ranami, a Astrid wróciła pędem ze

szpitala w Syracuse, dokąd zabrało go pogotowie; włosy miała rozczochrane, twarz dziką. Potem przez cztery godziny Abe, Rączka, położne i Tytus, ludzie dźwigający władzę w Arkadii, naradzali się. Tej nocy Lutka zbudził nieznajomy smród. Wykradł się z Dziecięcego Dormitorium i podążył za gryzącym dymem. Znalazł ponurą grupę trojga ludzi przy ognisku na łące. Kiedy zbliżył się, ognisko przedstawiało straszliwy widok, ciała owiec ułożone w płomieniach w ziggurat. Lutek patrzył, jak oczy jagnięcia eksplodują. Usiadł w ciemnościach sparaliżowany; Astrid, która stała z dala od Hanka i Konia, podniosła dłoń, aby odgarnąć włosy z twarzy, a ręce po łokcie miała czarne od krwi.

Kiedy w Arkadii narasta pewne ciśnienie – przeludnienie, brak jedzenia, dziwne, ukryte podteksty, od których dorośli wykrzywają twarz – owce przychodzą do Lutka w snach; owce skaczące w ciemnościach jak żywe pochodnie, odór palonego tłuszczu. Skaczą i skaczą, aż nagle te stworzenia zwracają się do Lutka. Tłoczą się wokół niego, otwierają pyski, niemal coś mówią. On wie, że to coś, czego nie będzie mógł wysłuchać, i budzi się niemal z krzykiem.

Cztery godziny czeka na sen. Tuż przed świtem poddaje się. Kiedy wstaje, nasłuchuje oddechu przyjaciół. Śpią dalej. Otwiera okno, aby wywietrzyć pokój, okropne martwe stwory to stopy Ike'a, mieszany smród ciał nastolatków. Ostrożnie wkłada koszulę i dzinsy. Kiedy idzie, pęknięte trampki otwierają się na czubkach jak usta, a palce liżą powietrze niczym języki.

Przez Świetlicę Nastolatków, przez korytarze z dziurami w tynku odsłaniającymi deski, po gładko wypolerowanej poręczu, aby nie hałasować. Przez bibliotekę zawaloną „Katalogami Whole Earth”, starymi „New Yorkerami”, książkami rojącymi się od rybników, wydobytymi z piwnic, gdzie zgromadzili je pierwsi mieszkańcy: „Americian Eclectic”, „Walden”, „News from Nowhere”. Także Carlos Castaneda, Julia Kristeva, Herman Wouk, tanie książki wygrzebane z kontenerów na śmieci albo kupione za grosze. Sunie przez Restaurację pachnącą enchiladą z kolacji. Jest za wcześnie na Śniadaniową Zmianę, która wkrótce zacznie pobrzękiwać patelniami, mieszać drożdże, soję i jajka, myć jabłka robaczywe, ale dobre. Panuje bezruch, nikt jeszcze nie wstał poza Lutkiem.

Chłopiec wybiega w ciemność po kamiennych schodkach zupełnie po omacku. Obozowiska na terenie Arkadii są ciemne, tylko w dali podskakuje kilka światełek, latarki ludzi idących za potrzebą. Z Piekarni dochodzi intensywna woń chleba. Od zimna przechodzą mu ciarki po skórze; rosa przeskakuje mu z pięt na plecy. Niebo jest wyraziste, sosny pachną ostro w powietrzu, kamienie rozsypują się jak żywe stworzenia pod stopami. Biegnie tak szybko, jak niosą go nogi, bardzo szybko jak na swoje małe ciało, potem zwalnia, aby cieszyć się ciemnością delikatniejącą w lesie.

Kardynał czerwieni się na krzaku, ale Lutek zapomniał swojego nowego aparatu, który przysłała mu babcia. Zastanawia się, czy wrócić, ale to daleki bieg, a świt nie będzie na niego czekał.

Tuż przed świtem rusza na wzgórze. Siada na szczycie, w kępie słodkich goździków pod sosnami, by patrzeć, jak dzień zaczyna się wykluwającą się żółcią. Jastrząb rozpościera skrzydła i wznosi się kręgami. Mgła wytacza się z ziemi niczym koc i szybko spada na odległe góry, pola, Staw, strumienie; przykrywa daleką stodołę Amosa



Amisza, cienkie sznurowadło – dym z chaty Verdy. Wyglądiała istota ta mgła; połyka łąpczywie. Wspina się po Terasach z karłowatymi jabłoniemi. W końcu tylko Lutek i Dom Arkadii siedzą zwróceniu ku sobie, każde samo na wzgórzu, ponad mlecznym morzem mgły. Są jak dwie wyspy bielejące o świcie.

Świat to czasami zbyt wiele dla Lutka, zbyt wiele przerażenia i piękna. Codziennie spada na niego nowe zaskoczenie. Wszechświat pulsuje na zewnątrz z niewyobrażalną prędkością. Lutek czuje jego wirowanie w nicości. Poza ogromem Arkadii rzeczy, o których śnił: muzea, stalowe wieże, baseny, ogrody zoologiczne, teatry, oceany pełne dziwnych stworzeń.

Wie, że jego pojmowanie Zewnątrza jest niedokładne, z drugiej ręki, wyciszone. To wszystko, co dociera do jego uszu, historie, jakie przynoszą z sobą ludzie, to, co przeczytał. Nigdy nie wyjeżdżał z Arkadii, od kiedy przyjechali Wolni Ludzie, gdy był szkrabem, nie licząc chatki Verdy na skraju lasu, małego atolu świata. Były momenty, kiedy Baza Pojazdów proponowała mu przejażdżkę do Summerton, albo miał okazję, aby pojechać z Hanną do biblioteki uniwersytetu w Syracuse, ale za każdym razem odmawiał. Boi się Zewnątrza: tego, że albo to będzie wszystko, co sobie wyobraża, albo nie będzie.

Claus, Śpiewak Cyrkowy, uwielbia zadawać Lutkowi pytania stosowne dla małych dzieci: „Jak duży jest słoń? Jak wygląda metro? Ilu ludzi pomieści Yankee Stadium?”. Lutek nie do końca rozumie, dlaczego Claus śmieje się, aż łzy płyną mu po policzkach, gdy mu odpowiada: „Słoń jest duży jak Ośmiokątna Stodoła? Metro jest jak pociąg z volkswagenów garbusów w wielkiej stalowej rurze? Yankee Stadium może pomieścić... dwa tysiące ludzi?”. Dwa razy tyle co Arkadia to granica, do której umie wyobrazić sobie tłum.

Wy, dzieciaki, mówi Claus, siadając ciężko w swoim fotelu, ocierając twarz, jesteście jak jakieś dzikie plemię z dżungli z nosami przebitymi kością. Socjolog miałby z wami używanie.

Lutek wie, że to nieprawda. Nie są ani prymitywni, ani niewinni. Na Lekcjach, jakie wybiera po Nauce o Kraju rano, poznał miejscową florę, klasykę literatury angielskiej, geometrię, fizykę, fizjologię człowieka. Pomagał przy ponad sześciu porodach w Kurniku. On i inne dzieciaki ze Starej Arkadii potrafią grać na gitarze, piec, rąbać drewno, lepić garnki i prząść len, zrobić sobie na drutach skarpety, siać, hodować warzywa, ułożyć dobre opowiadanie, przyrzędzić cydr ze spadów i zrobić prawie wszystko z soi.

Nie odczuwa braku. Jeżeli się skoncentruje, może wyobrazić sobie świat w jego licznych formach: parną gęstość dżungli; czysty zgrzyt piasku pustyni; zimną klarowność Arktyki. Wyobraża sobie miasta jak większe Arkadie, ale twardsze, niebezpieczniejsze, ludzi wpychających sobie nawzajem gotówkę. Widział monety jak wytłoczone podkładki, prostokąty zielonego papieru. Ludzie na Zewnątrzu są groteskowi: Skrooge i Jellyby, brudne sieroty w czeluściach czarnych fabryk, w samotnych, wyludnionych domach, plaga zwana telewizją jak ciasna jaskinia Platona w każdym pokoju. Na Zewnątrzu jest bardziej ponuro. Na Falklandach trwa wojna, są sandiniści i *contras*, są pobicia i gwałty, straszne rzeczy, o których rozmawiają dorośli, o których sam czyta, kiedy uda mu się znaleźć starą, zmiętą gazetę w Wolnym Sklepie. Prezydent jest aktorem obdarowanym

władzą, aby gładko podawać kłamstwa korporacji. Wśród gwiazd są bomby i morderstwa w miastach, czerwony deszcz nad Londynem, nawet teraz istnieją kidnaperyzy i niewolnicy, nawet w Ameryce.

Zdecydował, że wyjedzie na studia, kiedy będzie miał osiemnaście lat, aby nauczyć się magii wyciągania obrazów z kąpielii w ciemni. Myśli o Eryku w wysłanej grupie, o jego obwisłej twarzy promieniejącej wyczekiwaniem na urok Zewnętrzza. Lutek wpakuje się w ten sam powab na kilka lat, a potem wróci do Arkadii na zawsze. Poświęci każdy dzień od teraz aż do wyjazdu, aby się przygotować na to, co go czeka. Wie, że jedyną bronią przeciw zagrożeniom z Zewnątrz jest wiedza i słowa: kiedy pośród myśli pojawiają się pęcherze niepokoju, musi powtórzyć imię Hanny sto razy albo recytować *Dezyderatę*, aż słowa stracą znaczenie. Jeżeli jego myśli zbliżają się do tego, co zabronione, albo ma mokre sny o małej Puchatce, która ma tylko dwanaście lat, ale ma słodkie ciało i pełne usta. Albo jeżeli po lekcji niemieckiego u Marlene biegnie do ciemni, aby dać upust ciśnieniu w spodniach, i w głowie obiecuje Helle poprawę. Uczy się na pamięć wierszy i wypowiada je w jej stronę: „Idzie w piękności”, myśli. „Lecz jeden człowiek miłował duszę wędrowną w tobie, I wtedy miłował najbardziej, gdy w smutku twe oczy gasły”\*, myśli. I nawet wiedząc to i znając słowa, czuje czasami, że posępne wieści z Zewnątrz mogą go zmiażdżyć. Zachowuje dla siebie najgłębsze przekonanie: ludzie są dobrzy i chcą być dobrzy, jeżeli tylko da im się szansę. Wie, że to najcudowniejsze w Arkadii. To skorupa, która ich chroni.

Podnosi się wiatr. Kamień naciska na kość kulszową. Chmura mgły schodzi ze wzgórza. Pierwsza Zmiana Śniadaniowa będzie tłoczyć się w Arkadii. Twarz mu wyschła i skóra zrobiła się napięta. Lutek może zatrzymać bezimienną tęsknotę, która rodzi się w nim jedynie wówczas, gdy zbiega z góry tak szybko, jak tylko nogi dają radę go nieść.

Lutek wraca do Arkadii w pełnym świetle poranka. Jest zupełnie wypompowany. Las wydaje się głębszy w porannym świetle, nie taki łagodny jak ciemny las z książki Grimmów, który zapełniał jego dzieciństwo koszmarnymi stworzeniami. Trafia na krzew świdośliwki ciężki od owoców i napełnia nimi podołek, aż musi zdjąć koszulkę i zawiązać ją jak worek, żeby mógł zanieść je wszystkie.

Czuje woń Arkadii, zanim ją jeszcze zobaczy albo usłyszy: dzisiaj opróżniane są wychodki. Dział Rolniczy zakompostuje gówno, wymiesza je z trawą i rozrzuci po polach jako nawóz. Dział Oczyszczania już pracuje.

Słyszysz, jak ludzie krzyczą w oddali, codzienne spotkanie Ćpunów – wszystkie świry, ćpuny wykończone kwasem, zbierają się, aby opowiedzieć swoje sny. Mamy nadzieję, że dzięki społeczności i miłości staną się na powrót sobą, chociaż tylko kilkorgu to się udało. Ćpuny zjawiają się co tydzień, niekończący się ciąg pokrzywdzonych. Każdy dostaje dwóch dorosłych Opiekunów, którzy dbają o niego. Chociaż odzywa się w nim sumienie, Lutek nadal jest za młody, aby pracować na pełną zmianę. Nienawidzi opieki nad Ćpunami, ich złość i strach są tak żywe, że też go zarażają.

Lutek wchodzi na Owczą Łąkę, trawę pokrywa rosa, odkłada śliwki i zrywa garść młodej koniczyny; pociera nią twarz, aż czuje się świeży, a ślady łez znikają. Szczygły śmigają jak latające ryby z trawy ku słońcu, z powrotem w trawę, nurkują i wzlatują na wietrze. W końcu czuje się na tyle silny, aby stawić czoło Restauracji, gwarowi śniadania.

Wie, że kobiety ukochają go za śliwki. Może nawet pozwolą mu wziąć dokładkę chleba. Tuli owoce do nagiego torsu i znowu zaczyna biec.

Musi iść podlać poletko marychy. Poprosiła go o to Hanna, sama zajęta w Piekarni; ale zanim się zorientował, wciągnęli go do zespołu robotników. Cole i Ike idą razem do ogrodów, a on z trzepotaniem w piersi chce powiedzieć kolegom, aby stanęli, aby poczekali na niego, wiedząc, że z łatwością może wymigać się od wyrywania chwastów. Lecz Helle jakimś sposobem dobrała się w parę z Lutkiem. Już zaczęła mówić.

... nie mogę pracować na dworze, mówi i zsuwa dekolt koszulki na ramiona; Lutek widzi oparzenia od słońca na jej skórze. Chce położyć na niej rękę, poczuć gorączkowe ciepło, ale już na sam nacisk cienkiego materiału Helle wzdryga się. Ona nie ma stanika. Popracujmy na szybcie Nowicjuszy, co?, proponuje Helle. Sciszonym głosem dodaje: Zobaczymy, czy zdobędę jakieś prochy.

Aha, mówi Lutek. Patrzy na nią z ukosa, zastanawiając się nad narkotykami. Ona to widzi i mówi: Lutek, dlaczego mnie nienawidzisz?

Wcale nie, odpowiada. To znaczy, naprawdę cię lubię.

Ja też cię lubię, mówi Helle, ściskając go za rękę. Jej obgryzione paznokcie, jej zimne dłonie. Jesteś tu poza moimi braćmi jedynym facetem, który jeszcze do mnie nie startuje.

Tak wiele Lutek może na to odpowiedzieć, że milknie. Idą razem w milczeniu do Stróżówki i Wioski Nowicjuszy, tego obozowiska namiotowego przy szosie. Myśli o usychających sadzonkach marychy na ich małej wyspie, o tym, że liście zwijają się na brzegach, i musi się skoncentrować na następnym kroku po miękkim gruncie, a potem aby nie rzucić się biegiem.

Bo mimo ciężaru jego zadania coś w jego płucach mruczy ze szczęścia, jakie daje mu spacer obok tej ładnej Helle. Ma wyostrome zmysły. Każdy listek jest wyraźny jak na zbliżeniu, splot ptasiego śpiewu intrygujący i przejrzysty. W oddali ludzie pochylają się w ogrodzie. Mężczyzna niesie robotnikom wodę w wiadrze, to jeden z kilkunastu facetów z bokobrodami w Arkadii, którzy mówią o sobie Wilki. Wilki przychodzą i odchodzą: Niedźwiedzie, Lisy, Jastrzębie, Sokoły i Szakale wędrują. Kobiety to Tęcze, Słoneczka, Lato, Deszcze, Łąki, Gwiazdy. Codziennie pojawiają się nowe Wrony, nowe Jesienie. Trudno poznać wszystkich. Na filmach wyświetlanych czasami wieczorem w Ośmiokątnej Stodole kolorowe podwodne eksploracje z narracją po francusku albo dziwne, smutne czarno-białe reportaże (stosy ciał w Auschwitz; rozcięta gałka oczna), Lutek czasami podnosi wzrok i wtedy widzi grupy obcych. Rozgląda się spanikowany za jakąś znajomą twarzą. Są dobrzy Nowicjusze, którzy wierzą w pracę, ubóstwo i proste jedzenie. I są inni, darmozjady, Ćpuny i Uciekinierzy, tacy, co się tu ukrywają, osłabiają czystą wiarę Starych Arkadian.

Tyłu nowych ludzi, mówi Helle. Szkoda, że nie możemy jakoś się ich pozbyć. Kreatywna Krytyka nie działa, jeżeli ludzie dookoła gównem cię obchodzą.

Ku własnemu zaskoczeniu Lutek ośmiela się spojrzeć Helle prosto w twarz. Ona uśmiecha się do niego, magnetycznie jak Rączka, i językiem kląska o nowy aparat na zębach, który skombinowała podczas pobytu na Zewnątrz. To krab koloru ciała w jamie jej ust, nieskończenie fascynujący.

Skąd wiedziałaś, co myślę?, pyta. Ma nadzieję, że Helle nie czyta w myślach.

Jesteśmy podobni, mówi Helle. Ty i ja. Zauważamy. To, co myślisz, jest zapisane na całym tobie. Na przykład wczoraj na Lekcji Fotografii bardzo uważnie wpatrywałeś się w szereg mrówek. Widziałam, że zaczynasz wyobrażać sobie siebie jako jedną z nich. Myślałeś o poćwiartowaniu świerszcza, o tym, jak wielki jest w stosunku do twoich małych rozmiarów, jak zaciągnąłbyś go pod ziemię, a potem myślałeś o ciemnościach tam w środku, o tych wszystkich szlakach, małych norach i salach, a potem o tym, jak tam pachnie, jak to jest żyć w zbroi na całym ciele. Wydaje się, że wszyscy są tak bardzo zajęci, nikt inny nie zauważa takich rzeczy. Oprócz ciebie.

Lutek czuje, jakby w nim się coś przelewało, kiedy ktoś czyta z niego tak wprost jak z książki.

Doszli do Wioski Nowicjuszy. Lisa trzyma podkładkę, a Scott zapisuje nazwiska ludzi, którzy zjawili się tego ranka. Są to typowi podejrzani: Ćpuni o twarzach jak podeszwa i dzikich aurach. Matka w ciąży z dwójką wygłodniałych dzieci, młoda para obściskująca się na pomarańczowym ręczniku. Lisa ma zmęczoną twarz, pod oczyma sińce.

Jesteście, woła do Lutka i Helle, odwraca się i wywołuje dwa nazwiska z listy: Armand Hammer i Penelope Connor. Mężczyzna to młody, muskularny Uciekinier z gwoździem w zainfekowanej przegrodzie nosowej. Co kilka sekund pociąga nosem, rana mu ropieje, a on syczy z bólu. Kobieta to naturystka, sześćdziesięciolatka o jędrnych piersiach i siwiejących włosach łonowych.

Lisa mówi radośnie: Gratulacje. Udowodniliście nam, że jesteście gorliwi i potraficie wykonać powierzona pracę, i spędziliście wymagany miesiąc w Wiosce Nowicjuszy. Teraz zapraszamy was do naszej Społeczności.

Pośród łóżek polowych i namiotów rozlega się umiarkowany aplauz. Stremowany chłopak i stara kobieta wstają. Niosą swoje rzeczy w kartonach, trochę ubrań, książek, kilka listów, niewiele.

Dzisiaj łatwa praca, dzieci, mówi Lisa do Lutka i Helle. Wiecie, co robić.

Witamy w Arkadii, mówi Lutek. Helle powtarza za nim bezwiednie, lustrując Nowicjuszy. Żuje końcówkę jednego z dredów rozczarowana widokiem. Lutek bierze od Penelope karton, a stara kobieta przeczesuje włosy. Słodki chłoptaş, mówi. Kiedy się przeciąga, Lutek bardzo się stara nie patrzeć na jej dziwnie piękny biust.

W milczeniu schodzą ze wzgórza do strumienia za Namiastką Arkadii i Lutek musi powiedzieć Penelope, aby uważała na trującego sumaka, którego właśnie chciała dotknąć: przed nim zły obraz delikatnej skóry jej pośladków, pojawiają się na niej pęcherze. Im bliżej podchodzą do obozowiska Naturystów, tym więcej widzą ciała, różowego i opalonego, a wszędzie białe linie. Wszystkie osoby pochylające się mniej więcej w środku poletka fasoli limeńskiej przy pieleniu są nagie.

Dwie kobiety, bardzo duża i różowa, bardzo mała i szara, wybiegają z Baraków i przytulają nowo przybyłą Penelope. Przejmują karton od Lutka i eskortują do środka najnowszych Arkadian. Pa, pa!, woła Penelope do Lutka, który zastanawia się, jak długo ona wytrzyma. Naturyści mają najwyższy odsetek fluktuacji: zimowy wiatr wkrada się do ich blaszanego Baraku, który jest bardzo zimny. Lutek myśli, że może ją jeszcze zobaczyć,

a potem w to wąpi.

W drodze powrotnej na górę Helle mówi: Jak to możliwe, że Naturystów nigdy nie chce się oglądać nago? Lutek i Armand Hammer śmieją się.

Ten śmiech likwiduje nieśmiałość Armanda, który zwraca się do Helle: Wiem, że to banał i w ogóle, ale to niesamowite być tutaj. Mieszkałem na squacie w Portlandzie i widziałem ten godzinny program o Arkadii? I to było jak niebo. Tylko śpiew i praca na polu i ludzie mogą robić, co chcą, a Rączka jest taki wygadany. A sam Dom! Rodzice mają gówniane mieszkanie dwupoziomowe w Pittsburghu. Kiedy w ogóle można zamieszkać w Arkadii? Poza tym dziewczyny są tu najładniejsze.

Teraz otwarcie pożera wzrokiem Helle, ten chłopak pokryty trądzikiem. Lutek się dziwi, jak bardzo chce uderzyć go w gardło; Lutek, którego Armand mógłby złamać w pół jedną ręką.

Zatrzymują się w Baraku Uciekinierów. Na materacu w brązowe plamy siedzi trzech Uciekinierów, gruba dziewczyna zaplata warkoczyki chłopakowi o trójkątnej twarzy lisa, dziewczyna bez stanika o delikatnych nadgarstkach. Dziewczyna o nagich piersiach uśmiecha się do Armanda, który się na nią gapi, a Lutek dziwi się jak zawsze, gdy widzi idealne zęby u kogoś w jego wieku. Wielu Uciekinierów, głównie dzieciaków z przedmieść, miało aparat nazębny, a dzieci w Starej Arkadii często mają krzywe zęby, czasami osadzone zbyt głęboko.

Helle mówi obojętnie: To jest twój nowy dom, Armandzie Hammer. A potem śmieje się, czując, jak jego śmieszne nazwisko wychodzi jej z ust.

Co to jest?, pyta Armand.

To tu zamieszkas, mówi Lutek, starając się czerpać radość z kwaśnej miny chłopaka. Wiem, że spodziewałaś się Domu Arkadii, ale tam panuje tłok. Możesz próbować znaleźć pryczę w którymś z obozów. W Namiotach Singli, w Namiotach Swingersów, jeżeli to cię interesuje, u Naturystów. Jak zbierzesz wystarczającą liczbę ludzi do rodzinnej komórki, możesz złożyć podanie o autobus albo furgon z Bazy Pojazdów i zaparkować w Namiastce Arkadii. Potem, jeżeli Rada cię zaakceptuje, możesz przenieść się do Domu, kiedy tam będzie miejsce.

Tak, racja, mówi ta bez stanika. Jestem tu od dwóch miesięcy i nie pozwalają nam wchodzić na górę, co najwyżej do Restauracji.

To kłamstwo, mówi obojętnie Helle. Ta bez stanika mierzy ją wzrokiem i mruczy coś, co brzmi jak „chuda cipa”.

Lutek widzi, że Helle uśmiecha się tak jak Astrid, kiedy jest zła, i chwyta ją luźno za nadgarstek. Mówi jak najspokojniej: Możesz korzystać z Biblioteki i masz chodzić rano na Lekcje o Społeczeństwie. Możesz chodzić na wszystkie wykłady, pokazy slajdów i koncert w Proscenium albo w Stodole.

Lecz dziewczyna bez stanika przetacza się na brzuch i mówi do materaca: Gdybym chciała się uczyć, to zostałabym jeszcze w szkole.

Jeden kit, odzywa się chłopak o lisiej twarzy, to wszystko gówno. Rączka mówi o równości i obaleniu hegemonii, ale Arkadia wcale nie różni się od innych miejsc. Wy wszyscy jesteście na wzgórzu. A my tu na dole w błocie. Jestem tu półtora roku. Jak to nie jest hierarchia albo nawet, kurwa, brak szacunku, to ugryzę się w dupę.

Nie widzę, żebyś pracował, ty gówniarzu, mówi Helle. Spróbuj raz kiedyś popracować, a wtedy może zasłużysz na szacunek.

Chłopak wstaje powoli, Armand rzuca swój bagaż na ziemię, zaplata ramiona na piersi i staje przed nim.

Lecz ten o lisiej twarzy mówi tylko: W porządku. Dobra. Umówmy się. Jak tylko zobaczę, żeby Rączka tyrał jak cała reszta, to z chęcią sam popracuję. A tymczasem będę robił to, co on.

Chłopak układa się między pulchnymi nogami dziewczyny na materacu i dotyka nagich pleców drugiej długim, powolnym ruchem. Obie chichoczą.

Helle blednie i wychodzi zdecydowanym krokiem.

Lutek chciałby wyjaśnić więcej Armandowi, ale drugi chłopak wściekle wprowadza kopniakami swój karton do Baraku, mrużąc: Chcę mieszkać w Domu. Kurwa, przyjechałem tu dla Domu. Lutek ucieka pod salwą gwizdów i śmiechów siedzących na materacu. Dogania Helle w Namiastce Arkadii.

Helle płacze, a Lutek mówi, współczując jej: Helle. Och, nie płacz. Nie są tego warci. Ten facet to idiota.

Helle ociera oczy przedramieniem. Śmieje się nerwowo i znowu nowa, twardsza Helle zastępuje tę starą. Przy tej skomplikowanej dziewczynie Lutek czuje bezpośrednie przyciąganie Poletka Marychy: przynajmniej wie, w co się pakuje i dlaczego.

Tak, mówi Helle. Wiem. Ale, dodaje, znowu z kwaśną miną: wkurza to, że tamten ma trochę racji, Lutek.

Jest gorąco jak na czerwcowe popołudnie. Zapach herbaty z dzikiej róży Verdy przepelnia powietrze; w ustach czuje słodycz jej anyżowych ciastek. Obok niego, na wyblakłym dywanie w popielate róże, Eustachy, ten biały pies, gryzie się w części intymne i patrzy pytająco na Lutka. Lutek drapie Eustachego po łbie i pies z westchnieniem zasypia z powrotem. Lutek kadruje mamę i Verdę swoim aparatem, ich głowy po przeciwnych stronach stołu, luźne kosmyki odbijają światło z okna. Hanna skupia się na Verdzie, która zrobiła się chłodna, magnetofon wiruje przy jej łokciu.

To byli mocno dziwni ludzie, mówi suchym głosem. Nazywali siebie Diwinistami, bo wierzyli, że ludzie mogą stać się idealni, a zatem boscy. Wierzyli, że stosunek płciowy jest darem od Boga, i uprawiali sporo seksu z każdym w społeczności. Aby uniknąć konsekwencji, czyli dzieci i miłości, stosowali rotację: co noc nowa kobieta z nowym mężczyzną, a mężczyźni musieli spuszczać się do chusteczki.

Lutek odrobinę kurczy się w sobie. Verda spogląda na niego. Wybaczysz mi, Ridley, moją obcesowość, mówi w swój wyniosły i chłodny sposób.

Ale wtedy ich przywódca, opowiada, John Noland, mój pradziadek, postanowił, że przyszła pora rozmnożyć się. Poszedł do osady Shakerów i zobaczył, że grozi im wymarcie, a nie życzył tego swoim ludziom. Tak więc wprowadzili program o nazwie Kultura Eugeniczna. Najbardziej uduchowionym mężczyznom i najbardziej uduchowionym kobietom wolno było się rozmnażać, po bardzo starannym doborze. Oczywiście ponieważ najbardziej uduchowieni mężczyźni byli starcami, a nie było nikogo bardziej uduchowionego od Johna Nolanda, z czterdzieściora ośmiorga urodzonych dzieci dwadzieścioro troje było jego. Jednym z nich była moja babka Martha

Sutton. Jej matka Minerva miała wówczas zaledwie trzynaście lat.

Verda uśmiecha się zmęczona. Wiadomo, że kiedy dzieci są angażowane w te rzeczy, opowiada, pęknięcia w systemie stają się oczywiste. O dzieci poszczególnych matek ubiegali się ojcowie. Istniała romantyczna miłość, oczywiście zabroniona, a program rozrodczy przeszkadzał sercu. I oczywiście rodzice musieli godzić się z tym, że ich dwunasto- lub trzynastoletnie córki śpią ze starszymi mężczyznami. Słowo rozeszło się na zewnątrz, w gazetach ukazywały się ogniste artykuły, a Johna Nolanda mieszkańcy wygnali z Summerton. Uciekł do Kanady. Nic już nie jednoczyło społeczności. Ośrodek się nie utrzymał.

Twarz Hanny łśni. Lutek robi jej kolejne zdjęcie, a potem Verdzie, odbitej ciągle na nowo w zaśnieżonej srebrnej zastawie do herbaty na stole. Verda mówi: Moja droga Hanno. Muszę przerwać. Jestem bardzo zmęczona i chcę być sama.

Dziękuję, mówi Hanna. Ręce jej drżą, kiedy unosi filiżankę do ust. Nie masz może przypadkiem jakichś materiałów źródłowych? Gazet, takich rzeczy?

Sporo, mówi Verda. Wstaje i ściąga pudło na kapelusze, a kiedy zdejmuje pokrywkę, ze środka wylewa się woń szaławii i tytoniu. Dam ci pamiętnik mojej prababki, mówi. Ale to wszystko, przynajmniej na tę wizytę. Chciałabym, abyście mieli po co wracać, choćby to była stara, zakurzona książka.

Widzi, że Lutek gapi się w pudełko i wyjmuje zmatowiały, połyskujący przedmiot, który chce obejrzeć.

*Scrimshaw*, mówi Verda, wkładając mu go w dłonie. Rzeźbiony kiel morsa. Jeden z synów Johna Nolanda wypłynął w morze i rzeźbił ciągle twarz swojej żony. Po roku niebytności wrócił do portu i dowiedział się, że zmarła na żółtą febrę na drugi dzień po jego wypłynięciu.

Zaciekawiony Lutek wieszka palcem po twarzy kobiety wyżłobionej w kości. To Helle, jak żywa.

Proszę, mówi teraz Verda, zabierając *scrimshaw* i zamykając pudło. Dokucz mi głowa. Ale wróćcie i przynieście trochę tego waszego chleba. I te liście do palenia. Pomagają mi na artretyzm. Przyrowadź też młodego panicza Ridleya, który tak się dzisiaj nudził, że aż zasnął.

Nie nudziłem się, odzywa się Lutek. Relaksuję się w twojej obecności.

Uśmiechają się do siebie, a ona niemal go dotyka, jej pazur unosi się nad jego ramieniem. Dajesz mi wiarę w następne pokolenie, mówi Verda. Nie żebym wierzyła, że ludzkość przetrwa kolejne stulecie. Śmieje się szorstko.

Lutek odpowiada: Koniec świata bliski, Verdo.

Verda dodaje: Idźcie do swoich złoczyńców. Idź, Hanno, pisać książkę.

Coś szczególnego przebiega przez twarz Hanny, śmiałość, pragnienie, przegania je i mówi cicho: To tylko wykład.

Nonsens, odpowiada Verda, zamykając oczy. Przyszła moja migrena. Z fagotami i kotłami. Wypuście Eustachego, aby sobie radził.

Wychodzą na palcach i zamykają drzwi. Z powrotem w jasnym bezmiarze dnia Lutek chce ruszyć biegiem. Lecz Hanna mruży półgębkiem: Chodźmy zająć się poletkiem, i Lutek wraca do świata zmartwień. W małej chatce Verdy rośliny na wyspie

migotały mu gdzieś w głowie, cień myśli, która tylko czasami zapanowywała nad nim.

Rośliny są duże, niemal przerośnięte: wszystkie żeńskie, męskie wyrwali wcześniej, wysokie prawie na cztery metry. Lutek przykuca na brzegu, rzucając kamieniami, aż Hanna skończy, brną przez strumień do ścieżki. Jeszcze dwa tygodnie, mówi Hanna. Wtedy je pozbieramy, wysuszymy i nie będzie czym się martwić. Dotyka jego ramienia, uśmiecha się krzywo. Wtedy znowu będziesz dzieckiem.

Lutek stara się zająć rozpoznawaniem roślin pod stopami. Bieluń dziedzierzawa, którą ktoś zasiał dawno temu, trójlist, arizema. Ale kiedy są w połowie drogi do domu, Hanna dostrzega twarz Lutka. Oj, dziecko, co się stało?, pyta.

Lutek mówi: Chodzi o to. To znaczy, jak ktoś wpadnie w kłopoty, to może my, ale także Rączka. To nie *fair*.

Rączka Srączka, mówi Hanna. Wcale nie byłoby konieczne, gdyby Rączka nie podjął tych swoich decyzji i nie zobowiązał nas, a potem nie wycofał się z Rady Dziewięciu. Porzucił nas. Narobił bałaganu i zostawił nas z tym wszystkim.

Nie porzucił nas, mówi Lutek. Nadal jest naszym duchowym przywódcą.

Hanna parska i mówi: Racja. Joga Wszecharkadii? Pamiętasz, jak kazał nam wszystkim uprawiać jogę oczu? Żadnych szkieł korekcyjnych, bo oddzielają cię od świata duchowego? Pamiętasz, co się stało?

Muffin wpadła do studni, odpowiada Lutek.

A tygodniowa joga milczenia?

Dzieciaki się przestraszyły i miały koszmary, mówi chłopiec.

A joga biedy? Kiedy nie wolno nam było przyjmować leków ani dodatkowego jedzenia przez trzy miesiące i musieliśmy odsyłać zaoszczędzone pieniądze ofiarom wybuchu wulkanu Mount St. Helen?

Lutek wzdryga się, przypominając sobie: Hanna bez leków, które przyjmowała skrupulatnie, na nowo stała się posepną istotą zalegającą w łóżku, musiał powoli wyciągać ją na światło tak wiele razy przez te wszystkie lata. Pamiętam dobrze, mówi.

Kiedy wchodzi na pole słoneczników, Hanna zasłania oczy przed blaskiem i śmieje się, widząc Simona spawającego swoją rzeźbę. Lutek był blisko Hanny, kiedy Simon dosiadł się do niej w Restauracji; był na tyle blisko, aby podsłuchać rozmowę. Simon, sławny na Zewnątrz, artysta. Był przystojny, o wyrazistych, niebieskich oczach i spiętej, gniewnej twarzy. Mruknął do Hanny, że robi jej rzeźbę pośród słoneczników. Jesteś moją muzą, powiedział. Na chwilę, przez spojrzenie Simona na Hannę, jej matczyność znikła i Lutek ujrzał ją wybuchającą i atrakcyjną, jaka musiała być dla mężczyzn, z tymi długimi, złotymi warkoczami, krągłościami i ciepłem w dużych oczach. Wykrzyknęła radośnie: Och, to miłe z twojej strony, Simon, a Lutek poczuł, jak zaczyna się w nim poruszać stary niepokój, że Hanna zerwie delikatną więź rodzinną i znajdzie nowy związek z dala od niego.

Kiedy Lutek mówi do Hanny, wpychając ją z powrotem na ścieżkę: Naprawdę chcesz napisać książkę?, wie, że tak naprawdę ma na myśli: Proszę, nie zmieniaj się i nie zostawiaj mnie.

A kiedy ona dotyka jego policzka spracowaną dłonią i mówi: Może tak, może nie, Lutek wie, że tak naprawdę chce powiedzieć: Nie musisz się o mnie martwić.



Helle podchodzi do Lutka. Cole, Dyllie i Ike odsunęli talerze na bok i grają w hokeja na stole kapslem znalezionym w Bazie Pojazdów.

Hej, Lutek, szepcze Helle, potrzebny mi jesteś.

Ike podnosi wzrok, twarz mu wykrzywia odraza; nienawidzi swojej siostry, tak mówi, ale obserwuje i przedrzeźnia ją. Cole też spogląda na nią zmieszany. Dylan nawet nie widzi Helle; posiada dar koncentrowania się i pstrykając palcami, posuwa kapsel po stole.

Dajcie mi chwilę, chłopaki, mówi Lutek. Przechodzi z Helle przez Restaurację, po raz pierwszy w życiu czując się wysoki. Idą holem, gdzie kąpiący się we wtorek wieczór czekają na swój cotygodniowy przydział ciepłej wody, i wchodzą do Biblioteki. W odległym kącie toczy się zaciekle dyskusja na temat książki *The Mismeasure of Man* Stephena Goulda. Abe tam jest, radośnie argumentując. Widzi Lutka i jeszcze bardziej się rozpromienia, macha do niego, posyłając mu wielkiego całusa. Lutek udaje zażenowanie.

Helle zwraca się do Lutka. Potrzebuję cię, powtarza tak cicho, że tylko on słyszy, i skręca w dłoniach rąbek koszulki. Jest roztrzęsiona, nerwowa. Jesteś idealnym współnikiem, nikt się nigdy na ciebie nie wścieka. Proszę, proszę, proszę, powtarza.

W słowach idealnym współnikiem jest magia i Lutek mówi bez namysłu: Dobrze.

Wchodzą po wspaniałych schodach głównego Wejścia, gdzie docierają do nich głosy z przeludnionego domu: ktoś gra na pianinie w świetlicy (zablokowany d-moll), grupa fletu ćwiczy madrygał, podnoszą się głosy, ludzie krzyczą albo tylko dyskutują, niemowłeta wrzeszczą i są uciszane piersią albo szeptami, dzieciaki w Dormitorium po drugiej stronie dziedzińca śpiewają piosenkę na dobranoc: „Marzenia senne przechodzą pod oknem. A sen pod płótem...”. Lutek wchodzi za Helle do najjaśniejszej, największej świetlicy. Dom Arkadii zaaranżowany jest wokół sześciu centralnych świetlic, każda strefa dzieli się na dwanaście–piętnaście sypialni na tyle dużych, aby pomieścić dwóch dorosłych albo ciasno upchanych trzech Nasto. Ta świetlica jest najwspanialsza: okna wysokie na dwa piętra wypełnia umierający zachód słońca, ludzie wylewają się na trawnik, w Namiastce Arkadii zapalają się światła. Kolejne piętro sypialń nad półokrągłymi schodami łączy pomost, na który Lutek zawsze spogląda ze złym przecuciem.

Helle kładzie Lutkowi dłoń na ustach i pcha drzwi Rączki. Zanim Lutek może zaprotestować, są w środku. Rączka i Astrid mają największy pokój w Domu Arkadii, dwa mniejsze połączone w jeden, już od niepamiętnych czasów, kiedy w Arkadii było więcej miejsca. Niedorzeczna myśl! W ścianie są drzwi prowadzące do pokoju, gdzie śpią Lila i Hiero.

Po co tu przyszliśmy?, szepcze Lutek i coś zbiera mu się w gardle. Kiedy społeczność rozrosła się poza Dom Arkadii, cztery lata temu, ustalili Radę Dziewięciorga, wybieralną komisję, i chociaż Rączka i Astrid dostali stałe miejsca, Rączka zaprotestował: „Niech to wszystko rozrasta się organicznie”. Lecz reszta bała się, że potrzeby ludzi w Namiastce Arkadii, Kur, Singli, Nowicjuszy i Naturystów zostaną zignorowane na rzecz tych uprzywilejowanych w Domu. W przypływie złości Rączka wycofał się, przeważnie pozostawał w swoim pokoju. Chociaż wszystkie sypialnie w Arkadii są z pozoru otwarte dla wszystkich, sam Rączka czuje się nienaruszalny. Lutek

nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek po prostu tu wszedł.

Helle klęczy i przeszukuje kartonową komodę Rączki. Lutek dotyka po kolei instrumentów zawieszonych na ścianie: gitary, ukulele, banjo, sitar, skrzypiec. Zagląda do szafy. Strona Astrid jest surowa, długie suknie worki, chodaki, poskładane szale. Stronę Rączki przepelniają hawajskie koszule i kurtki wojskowe, sztruksy i istny luksus – sterty prawie nowych skarpet.

Kiedy Lutek odwraca się do Helle, ona leży na łóżku. Lutek pamięta indiańską narzutę z Różowego Grajka z dawnych czasów, ale w klinie późnego, słabego słońca róż i złoto zdają się ożywać. Koszulka Helle jest tak wytarta, że staje się przezroczysta, a on widzi kształty jej żeber, ciepłe zagłębienie jej pępka, spiczasty stanik, takie noszą wszystkie kobiety w Arkadii, bo natrafiono na wypełniony nimi śmietnik przed fabryką bielizny w Binghamton. Kokardka między miseczkami wydaje się Lutkowi delikatna jak płatek, jakby przy dotknięciu miała odpaść.

Helle widzi, że Lutek jej się przygląda. Chodź tu, mówi. Lutek podchodzi i kładzie się w gasnącym świetle obok niej. Masz dziewczynę, Lutek?, pyta Helle. On pachnie wanilią, o którą dziewczyny proszą w Piekarni i muskają nią sobie przeguby rąk, pępek, miejsce za uszami.

Nie, mówi Lutek. Stara się nie dotykać jej nigdzie, nawet materiału jej koszuli. Z profilu ma wgłębienia pod kośćmi policzkowymi. Wygląda jak zdziczały kot, który straszy w Ośmiokątnej Stodole: kanciasty, głodny.

Miałam chłopaka na Zewnątrz, wyznaje Helle. Miał czterdzieści lat. Był barmanem. Helle uśmiecha się do siebie. Mówi: Opiekował się mną. Helle odwraca głowę, a Lutek czuje jej oddech na policzku.

Wiedział, że masz tylko piętnaście lat?, pyta Lutek.

Helle zamyka oczy, odwraca głowę. To nieważne, odpowiada.

Leżałby tak już na zawsze. To nieważne, że się nie dotykają. Materac ugina się pod jej ciężarem, jej ciepło promieniuje na całą jego rękę. Helle ukrywa coś w dłoni, wsadza do ust i połyka. Kiedy odwraca się do niego, trzyma w dłoni jeszcze jedną tabletkę, coś czerwono-białego, i delikatnie wkłada mu do ust.

Połknij, szepcze.

Lutek długo trzyma tabletkę między wargami, zastanawia się. Kiedy pierwsza zmarszczka pojawia się między jej brwiami, połyka tabletkę. Helle zamyka oczy. Dobry Lutek, mówi, głaszcząc go po rękę.

Nie wie, jak długo jest tu z Helle; okno czernieje. Lutek patrzy, jak Helle odpoczywa. Podnosi powieki jak na sprężynach, gdy otwierają się drzwi i zapala się górne światło. Lutek czuje, jak gdzieś głęboko w nim budzą się mdłości.

Co to?, rozlega się znajomy, chropowaty głos; Rączka wrócił do domu. Och, Helle, mówi.

Chowa futerał gitary do szafy i siada na krześle z boku.

Heja, Malutek. Rączka kiwa do niego. Mogę zapytać, co wy dwoje robicie w moim pokoju?

Helle siada z trudem, obciągając T-shirt, jej ruchy są przesadnie wolne. Rączka, mówi Helle. My tylko odpoczywamy.

Nie mogliście wybrać innego miejsca w tych wielkich, starych barakach na odpoczynek, hm?, pyta Rączka. Jakiegoś ogólnie dostępnego terenu? Może własnego pokoju?

Uśmiecha się, ale policzki ma zbyt napięte. Gdyby tylko Lutek mógł odnaleźć język, chętnie opowiedziałby mu wszystko.

Astrid pozwoliła mi wchodzić do waszego pokoju, kiedy tylko zechcę, odpowiada Helle.

Astrid tu nie ma, mówi Rączka. Helle, wyobrażałaś sobie w ogóle, że mogłem mieć dzisiaj wieczorem gościa?

My jesteśmy twoimi gośćmi, przekonuje Helle.

Wiesz, o co mi chodzi, odpowiada Rączka.

Wiem. Tabletka, którą Helle zażyła, zniekształciła jej głos, ale już przestała działać: teraz jest niezwykle rześki. Mówi: Fionę, tak, Rączka? Według mnie to chore. Ona jest jakieś trzy lata starsza ode mnie. Znałeś ją, jak miała cztery latka.

Jest dorosła, stwierdza Rączka. I to nie twój interes.

Och, nie, mówi Helle. To nie mój interes, chociaż jesteś moim tatą. A Astrid to też nie mój interes, chociaż to moja mama. Dlaczego zdecydowała się otworzyć szkołę aż w Tennessee, daleko od ciebie, to też nie mój interes, najwyraźniej. Nigdy, nie, zupełnie. Nie interesujemy się sobą w rodzinie Friisów.

Moje prywatne życie należy do mnie. Głos Rączki staje się lekko stalowy. Tak jak twoje należy do ciebie.

Racja, mówi Helle. Właśnie. Mogę się różnić, z kim chcę, i ciebie to nie obchodzi.

Masz prawo, odpowiada Rączka. Tylko rób to gdzie indziej.

Dobra, mówi Helle. Może zrobię. A może z Kapitanem Ameryka? Jest stary, brzydki i nagrzany. Nasze dzieci miałyby skrzela albo coś takiego. Może go uwiodę, och, nie wiem. A Hiero? Co o nim myślisz?

Według mnie byłoby to strasznie dziwne, gdyby Hiero uległ twojemu, och, tak oczywistemu urokowi, mówi Rączka.

Urok mam po ojcu, odpowiada Helle. Spodoba mu się. A może... pomyślmy. Lutek tu jest. Malutek. Słodki i łagodny Malutek, dzieciak, którego zawsze bardziej kochałeś od innych dzieci w Arkadii, a przynajmniej tak ciągle powtarzałeś przy nas, gdy byliśmy mali. Ciągle w kółko: Ten Lutek Stone jest połączony ze Wszechświatem, naśladuje głos Rączki, potem odwraca się wściekła do Lutka. I co o tym myślisz? Chcesz, żeby zrobiło się przykro?

Helle, daj spokój, łagodzi Rączka. Starczy.

Helle?, Lutek odzywa się tak cicho, jakby to wypowiedział bez otwierania ust.

Co starczy, Rączka? Co starczy? Co jest nie tak z Lutkiem?

Nic nie jest nie tak z Lutkiem. I wiesz o tym, mówi Rączka. Zostaw Malutka w spokoju i nie mieszaj mu w głowie swoimi dramatami, dobra?

Tak, odpowiada Helle. Świetnie. Rozumiem. Lutek, który z tobą nie jest spokrewniony, budzi w tobie ojcowski instynkt opiekuńczy. Cudownie.

Odwraca się do Lutka, krzywiąc twarz, a on nie rozumie, co się dzieje ani dlaczego dziewczyna teraz go tak bardzo nienawidzi. Helle?, odzywa się Lutek. Ona wybiega

z pokoju. Rączka zrywa się i zagradza jej drogę. Siłują się w drzwiach, Rączka wpycha rękę do prawej kieszeni Helle i wyciąga plastikową torebkę. Ty mała idiotko. Wypuszcza ją do wspólnego pokoju, gdzie Helle rozciera sobie ramię. Już siniec tworzy się na jej białej skórze. Rączka mówi: Myślałaś, że możesz mnie okradać. Ona cofa się do wspólnego pokoju, nie spuszczać oczu z twarzy ojca, a kiedy dociera do drzwi do holu, wyciąga kolejną torebkę z lewej kieszeni.

Dzięki za poczęstunek, najdroższy tato. Helle potrząsa torebką jak dzwonkiem. I znika.

Lutek stoi pośrodku pokoju, a cały świat wiruje wokół niego. Rączka odwraca się do Lutka, który poczerwieniał na twarzy. Patrzą na siebie z daleka i Rączka mówi: Słuchaj, Malutek. Wiem, że teraz nie układa się między twoimi starymi i mną, chociaż byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, i to mnie martwi. Ale lubię cię dla ciebie samego. Niektóre dzieci mają po prostu dobroć w sobie, dobre duszyczki. Więc zrób mi przysługę i trzymaj się jak najdalej od mojej córki. Ta dziewczyna ma popierdalone w głowie, mówię ci. Słyszysz?

Tak, odpowiada Lutek; teraz irracjonalnie boi się, że Rączka zapyta go o poletko marychy na wysepce w lesie, że wygada się przed nim, a potem Hanna i Abe zostaną wyrzuceni z Arkadii w zimną noc. Obchodzi Rączkę, a kiedy wraca do Restauracji, do przyjaciół, oni ciągle bawią się kapslem, czekając na niego. Lustrują jego twarz. Widzi, że każdy z nich podejmuje decyzję, aby go o nic nie pytać. W ostatnich długich promieniach słońca wpadających do środka, gdzie stoły dookoła nich są szorowane białym octem i tylko oni zostali w czwórce jak na wyspie, pstrykając kapslem w milczeniu, jest wdzięczny, znowu, za nieskończoną wspaniałomyślność chłopców.

Podczas popołudniowej przerwy Lutek siedzi na polu pod dzikimi wiśniami i słucha dwóch Cyrkowych Śpiewaków, którzy pojechali na wiec przeciw zbrojeniom nuklearnym w Central Parku. Rozmawiają o tym, że Springsteen był zarazem elektryzujący i sentymentalny, że smak hot doga z żółtą musztardą przyprawił ich niemal o łzy. Lutek czuje się chory na myśl o mięsie w ustach. Ktoś mówi: „... kraje były jak mali chłopcy stojący w świetle lampy naftowej, przechwalający się, ile mają zapalek w ręku...”.

Lutek przestaje słuchać: Helle zbliża się, pod wielkim sombrero, ściskając bukiet chabrów. Siada obok niego i daje mu kwiaty. On czeka dziesięć sekund. Potem dotyka jej szczupłej kostki, wybacząc jej. Ona dotyka jego kolana wdzięczna za jego wybaczenie.

Kiedy mija skrępowanie – gorące słońce zostaje zapomniane, punkty zapalne zamieniają się w odrętwiałe pęcherze, ramiona unoszą się i opadają, pokonując ból przez same powtórzenia – przyszłość wyostriża się przed nim, tak jak każde źdźbło trawy w czysty, letni poranek wydaje się wryte szpilką. Ciągle jest w Arkadii. Czuje się starszy, ciało ma napięte w stawach, mięśnie bardziej miękkie. Wyczuwa rodziców w pobliżu. I Helle tu jest, też starsza, uśmiechnięta, i kocha go.

Lutek czuje, jak jego nadzieja oddycha i przeciąga się, żywa istota.

Zamyka oczy, aby zatrzymać sen. Gorączkowo szuka sposobu. Nie musi być tak idealnie jak wcześniej w krótkim mgnieniu wizji. Wie, że pragnienie ideału jest dziurą w tamie, przez którą wszystko może się wylać. Nie musi być tak uwznioślony jak Rączka,

kiedy będzie starszy, ani nawet jak Abe czy choćby Tytus; może być normalną osobą, robotnikiem, Wilkiem. Helle nie musi być taka piękna; jutro mogłaby stracić urodę, to nie miałyby znaczenia. Gdyby musiał porzucić te ciche, dobre marzenia, jakie ma o sobie, o życiu, w którym robiłby zdjęcia, o kochającej go Helle, o przeżyciu reszty życia w Arkadii, zrobiłby to.

Znowu się koncentruje. Cole jest na końcu rzędu i patrzy na Lutka, marszczy brwi. Chłopie, nic ci nie jest?, pyta.

Lutka zawodzi mowa. Żadne słowa nie mogą pomieścić tego wszystkiego, co chce przekazać. W końcu udaje mu się wypowiedzieć: Nic, i na razie tyle starczy.

Gang jest w swojej kryjówce w piwnicy, kończy przygotowywać psikusa. Muzyka Helle huczy z magnetofonu, z kaset, które gwizdnęła na Zewnątrz. Cole kiwa głową w rytm muzyki, Dylan grymasi, Ike rzuca się. Lutek wstaje, aby posłuchać, uwielbić to, ale w przeciwieństwie do przyjaznego folku jego młodości ta muzyka jest wściekła, pełna zardzewiałych gwoździ i żółci, ciemności świata na Zewnątrz. Jest jak prywatna anarchia. Lutek ma nadzieję, że nikt w pokojach na górze tego nie słyszy.

Punk, powiedział Ike roztrzęsiony po swoim, kiedy pierwszy raz to puszczał. Sex Pistols. Tak, kurwa! Teraz leży na zdezelowanej kanapie i wymyśla nazwy dla własnej grupy. Sracze, Jebaki, Matkojebcy Motłochu, mówi.

Dylan dodaje: Asfalt i Białasy.

Reszta stara się nie patrzeć na siebie. Dwa miesiące temu Dylan odkrył, że jest czarny, chociaż wszyscy inni, jak się wydaje, wiedzieli o tym od lat. Teraz Dylan tapiruje sobie włosy na krótkie afro i kręci się w Bazie Pojazdów z Fistaszką. Używa słów, które trudno zrozumieć. To żenujące dla Cole'a o brzoskwiniowo-białej karnacji, jak nienaturalnie ten język brzmi w ustach jego młodszego brata, jak mocno się stara.

Jądra Ciemności, Bomba Biologiczna, Krwawy Zamęt, Konus i Koniuszki. Nie, nie, nie! Ponury Lutek Sinister i Kamienie Nerkowe, mówi Ike.

Lutec stawia muchomora, do którego przykłada domek z monopolu odzyskany ze zniszczonej gry w Sklepie. Znużyli go koledzy. Przy jego kilku stresujących obowiązkach – poletko w lesie, Helle, która nakrzyczała na niego wczoraj, a dzisiaj była słodka – chłopacy wydają się dziecinni, tkwiąc w swojej nietolerancji. Helle zaprosiła Lutka na imprezę dzisiaj wieczorem w Baraku Uciekinierów, „Pokonać niewidzialne bariery między Starym a Nowym!, powiedziała. Skończyć z apartheidem!”, ale Lutek odmówił z poczucia obowiązku wobec przyjaciół. Teraz żałuje. Chciałby być blisko Helle choćby po to, aby izolować ją od ludzi takich jak Armand Hammer.

Pyta: A co powiesz na Antonina Dżuma i Obrzęki?

Cole gwizdże. Pozostali dwaj milkną. Wtedy Dyllie kiwa głową i mówi: Jeśli to nie jest jak Ponury Lutec. Nie mówi za wiele, ale jak już, to wporzo.

Wporzo, powtarza echem Ike. Antonina Dżuma i Obrzęki. Główny wokalista Isaac Rzyga.

Słucham?, mówi Cole. Masz gówniany głos.

To jest punk. Ma być gówniany, odpowiada Ike, a Lutec rozluźnia się przy ich sprzecze.

Ich kryjówka jest za stertą mebli, które odzyskali Wolni Ludzie, kiedy dawno temu

remontowali Arkadię: wszystkie są popsute, ale można je naprawić, czekały osiem lat, aż ktoś znajdzie czas, aby je poskładać, żeby znowu nadawały się do użytku. Chłopcy zawiesili na belkach marihuanę, którą pozbiali w lesie, i rośliny wiszą tam jak śpiące nietoperze. Cole zwija skręta i podaje innym. Kiedy Lutek wciąga dym, świat rozluźnia zaciśnięte na nim pięści.

Lutek jest wdzięczny za marihuanę. Jest pewien, że zahamuje jego wzrost, ale pogodził się z tym, że ma metr pięćdziesiąt siedem i pół. Jego przyjaciele. Wszyscy jego koledzy wystrzelili na ponad metr osiemdziesiąt, nawet Dyllie, który jest młodszy od Lutka i za miesiąc skończy trzynaście lat.

Lutek potrząsa puszką złotej farby, którą dostał w Bazie Pojazdów, i spryskuje cały projekt.

Skończyłem, mówi. Pozostali wstają, aby popatrzeć na jego dzieło. Cole cicho gwizdże. Odjazdowe jak Bit Minister. Kurwa, artysta z ciebie, chłopie.

Na desce jest ustawiona miniaturowa złota wioska z muchomorów, wiatraków, jest tu nawet ośmiokątna stodoła, którą Lutek zrobił z pudełka po płatkach owsianych.

Która godzina, pyta Lutek, a Dyllie patrzy na zegarek zdobyty w Dziale Biznesowym od jedynych ludzi w Arkadii, którzy mają tę rzecz. 4.30, odpowiada.

Czas na przedstawienie, mówi Lutek. Ike chichocze. Zakładają na twarze kominiarki, które Fistaszek kupił im w Kmarcie. Teraz są kompletni, wydobywają z siebie własną ciemną stronę. Gang hipisów, utopijnych zbirów; nazywają się Siewcami Zniszczenia.

Wypełzają w noc. Ike i Cole niosą dioramę, Dyllie worek mchu, Lutek karton dodatków. Za Róg Narzędziowy, za koła w Garncarni, w górę schodkami z piwnicy, na dziedziniec. Słyszą coś, nasłuchują, ale to tylko gałęzie dębu stukają w okna. Nadal słyhać imprezę szalejącą w Barakach Uciekinierów i Lutek musi wstrzymać oddech, aby odegnać myśl o naćpanej Helle, Helle całującej się z kimś innym, Helle omdlałej na podłodze.

Wchodzą do Skrzydła Dziecięcego, do Szkoły, po schodach, na bosaka.

Oddechy śpiących dzieci wypełniają Dormitorium słodyczą. Maria i Phyllis śpią na pryczach w narożniku; Słodka siedzi w fotelu w strefie zabawy i chrapie. Chłopcy ustawiają ostrożnie miniaturę Arkadii na podłodze, a Lutek wyciąga torfowiec. Bezgłośnie przykrywają deskę i krawędzie, kładą kawałki mchu i młode paprocie w całym pokoju. Ike rozsypuje złoty pył na poduszki najmłodszych. Cole ustawia na parapetach filiżanki zrobione z czapeczek żołądź. Dyllie rozrzuca kawałki kory brzozy z wyrytym na nich pismem klinowym. Lutek odciska klamerką i pudrem dla niemowląt ślad wszędzie, gdzie się da.

Tuż przed wyjściem Lutek daje znak trzem pozostałym. To najtrudniejszy moment i jeżeli ktoś ma zostać złapany, powinien to być on. Potrafi wywinąć się od kary jak mały Houdini. Zamyka okno, rama zsuwa się cicho. W szczelinie parapetu układa dwa tuziny motyli skrzydeł: lśniące błękitne, zielone, żółte, szare, brązowe ćmy o włochatych, zdziwionych oczach.

Teraz dołącza do przyjaciół pod dębem, przywiera do ich ciepła. Już prawie świta. W Restauracji ruszają się kucharze.

Wkrótce z okna dochodzi głosik, pełne zdumienia Ooooooch. A potem wołanie: Obudźcie się, obudźcie, wróżki tu były! Wstawać!

Ike parska w dłonie. Cole tłumi śmiech w kolanach. Dyllie śmieje się.

Na górze dzieci krzyczą, radosne, piskliwe. Słodka śmieje się ubawiona. A wtedy jakiś głos odzywa się: O mój Boże!, i zaczyna zawodzić, i teraz Lutek wyobraża sobie, jak mała dziewczynka trafia na skrzydła na parapecie. Widzi, jak radość znika z jej twarzy, widzi jej zbolaną minę, kiedy dociera do niej, że wróżki zostały zgniecione, kiedy spadło okno.

Nie, płacze chłopiec. Nie, nie, nie!

Lutek ma rozdarte serce. Wstaje poruszony, cofnąłby to wszystko, gdyby mógł.

Słodka krzyczy: Nonsens. Podnosi okno. Patrzcie, nie ma tu ciał wróżek! Zdjęły skrzydła, żeby odpocząć, a my obudziliśmy się, zanim zdążyły je założyć z powrotem i odlecieć. Na pewno ukrywają się gdzieś w pokoju, mają nadzieję, że nie szukamy ich zbyt uważnie, bo inaczej je zobaczymy.

Wychyla się przez okno, a w jej głosie czai się groźba, kiedy mówi: Na pewno jak szybko pójdziemy na śniadanie, to ich już nie będzie, gdy wrócimy.

Strumień małych osobników w piżamach i koszulkach nocnych przepływa dziedzińcem ku Restauracji. Kiedy ich nie ma, Słodka mówi na głos: Według mnie wróżki mają piętnaście minut, żeby zrobić swoje. Potem ona też wchodzi do środka. Cole szepcze: Auu, nie słuchajcie mojej mamy, jest głupia. Lecz na jego idealnej skórze pojawia się rumieniec, ślady zębów na ustach. Nawet Dylan źle wygląda.

To straszne, mówi Lutek bliski łez.

Daj spokój, Lutek, odpowiada Ike, to jakby cały sens Siewców Zniszczenia, żeby być wrednym. Dzieciaki są jak dojrzałe brzoskwinie rozczarowania, gotowe, by je zerwać. Lutek śmieje się niezręcznie, jabłko Adama podskakuje mu na szyi. Zmusza się, aby dostrzec Helle w Ike'u, aby nie znenawidzić przyjaciela. Jest sam, kiedy zakrada się i zbiera w ręce skrzydełka. Chowa je do kieszeni, a one tam ukryte palą go podczas śniadania, potem biegnie, aby zakopać je głęboko w dziurze w lesie, wypowiadając najczulsze słowa, jakie potrafi znaleźć, aby naprawić wszystko.

Wie, że nawet to może nie wystarczyć. Dzieciństwo to taka delikatna tkanka; to, co zrobili dzisiaj rano, mogło zranić tych małych, sprawić im tępy ból, który będzie ciągle powracał i dokuczał im po trochu przez resztę życia.

Późny czerwiec. Świat eksploduje zielenią. Abe usadowiony na swoim wózku w centrum kręgu chłopców pod dębem na dziedzińcu. Inne dzieci i Nasto rozproszyli się po trawniku: Kapitan Ameryka czyta Chaucera ze starszymi dziewczętami, Marlene uczy czterolatki liczb po niemiecku, Peter i Theo konwersują jak mędracy po hebrajsku. To drugie spotkanie Lutka w ramach Seminarium z Historii Rewolucji. Lekcje z Nauki o Społeczeństwie zostały zawieszane na lato, a to Seminarium było pomysłem Lutka, aby mógł codziennie widywać się z ojcem, ale ku jego zdziwieniu ośmiu chłopców wpisało się na tablicy w Restauracji i teraz słuchają uważnie, jak Abe przemawia. Dzisiaj tematem jest szatan. „Umysł jest swoim własnym panem, mówi Abe, i sam potrafi Niebem uczynić piekło, i Piekłem niebo”. Powiedział to zbuntowany anioł w *Raju utraconym*. Apostata. Ike, co myślisz?

Ike próbuje znaleźć odpowiedź, ale jego umysł wyrywa się jak jaszczurka, kiedy myśli, i zostaje mu w ręku garść myśli-ogonów. Mówi: A Szatan nie buduje w Hadesie wielkich, starych pałaców? Nie buduje sobie domu?

Buduje, odpowiada Abe. Ale nie o to mu chodzi. Lutek, mów.

Lutek mówi: My sami czynimy własne niebo i piekło. Mówi, że sprawy mają się źle, ale możemy przemienić to, czym są, posługując się myślą w naszej sytuacji. Kiedy jesteśmy w piekle, to nasza wina. To wydaje się radykalne jak na czasy, kiedy pisał Milton, bo zamiast pokładać wiarę w Bogu, który determinuje wszystko, Szatan sugeruje, że możemy być w pewien sposób swoimi bogami. To przewaga samotworzenia nad byciem stworzeniem, którego los jest przesądzony, a ono samo nie ma wpływu na swój los.

Serce mu wali, chce dalej prowadzić ten wywód, gdy ucieka przez trawę, ale Abe mówi: Dobrze, dobrze, i robi ruch palcami, aby Lutek pozwolił wypowiedzieć się innym.

Głos zabiera Cole, twarz ma spiętą z zakłopotania: Czekaj, ale jak to możliwe, że Szatan mówi to i jest zły? Ale my w to wierzymy, prawda? Że ludzie mogą tworzyć samych siebie. Więc co jest w tym złego?

Mów dalej, prosi Abe.

Na przykład Ćpuny, ciągnie Cole. Chodzi mi o to, że musimy wierzyć, że potrafią stać się lepsi, bo inaczej nie marnowalibyśmy dla nich czasu Opiekunów, prawda? A cała idea Arkadii? Ta cywilizacja może być lepsza, jeżeli po prostu uwierzymy. Tak jak Rączka zawsze powtarza, że emanujemy światłem i że światło dotrze do ciemnych zakątków świata i rozjaśni je. To znaczy... tak napisał George Eliot.

Mów dalej, zachęca Lutka Abe, mrużąc oczy nad rudą brodą.

Lutek mówi: Mam swoją własną wiarę, i ona daje mi pocieszenie... Że przez pożądanie tego, co jest ideałem dobra, nawet kiedy nie całkiem wiemy, co to jest, i nie możemy robić tego, co chcemy, jesteśmy częścią boskiej siły przeciw złu... poszerzając granicę światła i zawężając walkę z ciemnością. A Eliot to dziewczyna. Cole rumieni się i rzuca w Lutka żółdkiem, który mocno trafia go w skroń, i śmieją się, znowu przyjaciele.

Wspaniale, chwali Abe, a Lutek czuje przyływ dumy, którą zaraz maskuje garścią pokory.

Abe ciągnie: Zarówno Szatan, jak i Eliot popierają tę samą ideę, że pożądanie zmiany to potężny sposób dokonywania zmian; że zmiana rozwija się z samego dążenia. Harrison, powiedz nam, co myślisz o słowach Szatana w świetle naszego codziennego życia.

Że czynimy dobro przez samą próbę czynienia dobra?, pyta Harrison. Że liczą się nasze intencje?

Liczą się intencje, mówi Abe. Ale jeżeli uważnie wysłuchasz obu cytatów, to nie jest jedyna rzecz. U Eliota i w *Raju utraconym* Milтона pojawia się idea walki, próba działania, aby twoje niebo się spełniło. Więc ruszcie z myśleniem. Użyjmy Arkadii jako przykładu. Pomyślcie, jak sprawy się mają dzisiaj. Pomyślcie o tym, co najbardziej pragniecie zrobić inaczej, co nie ma sensu, jak powinniśmy postępować ze swoimi dobrymi intencjami, wobec których teraz postępujemy niewłaściwie. Nie jesteśmy w piekle, ale zmierzamy tam. A to pochodzi od kogoś, kto kiedyś prowadził dział



Oczyszczania w środku lata, zanim złamałem sobie kark. Uwierzcie mi, wiem, co to piekło.

Chłopcy śmieją się, ale pojawia się między nimi nowe napięcie, i kiedy śmiech umiera, nagle stają się nieśmiali. Wiatr zrywa się pośród gałęzi dębu i rzuca na nich wszystkich plamy światła. Dobrze, mówi w końcu Harrison. Jest najstarszym chłopcem w Grupie Nasto, przywykł do przemówień. Chyba jedna rzecz jest taka, że powinniśmy być równi, a jednak Rączka nadal jest naszym przywódcą, wydaje rozkazy i w ogóle. Mnie to nie pasuje. Po co nam przywódca i Rada Dziewięciorga? Czy nie powinniśmy wszyscy demokratycznie ustalać własnych zasad?

Tak, mówi Dylan. Poza tym on nigdy nie pracuje tak jak wszyscy inni. To jakby był naczelnym Ćpunem czy coś.

Hej, odzywa się Ike tak cicho, że tylko Lutek go słyszy. Abe uśmiecha się. Mówi: Precz z królem!

Po chwili bluźnierstwo Abe'a dociera do innych, a wtedy wszystko zastyga. Głowa Kapitana Ameryki zatrzymuje się w pół obrotu, w pół zdania Chaucera. Caro zastyga w pół ruchu nad pulpitem podczas swojej lekcji francuskiego; ptaka chwyta sieć spleciona z powietrza.

Ike pyta: To znaczy, że mój tata przeszkadza w demokracji?

Czas rusza. Trzy piętra wyżej w oknie sypialni pojawia się głowa Rączki. Policzki mu obwisają; broda rozdziela się; jest oświetlony na żółto przez słońce odbite w twardej ziemi w dole. Abe widzi, że chłopcy patrzą do góry, uśmiecha się do nich.

Zaraz zejść, woła Rączka i jego głowa znika.

Och, super, mówi Abe, spoglądając na krąg chłopców.

Czekają. W brzuchu Lutka podnosi się kwaśna fala. Rączka wyskakuje z Restauracji z banjo w rękach, brzdąkając jakąś bezmyślną melodyjkę, a kiedy podchodzi do grupy, wydaje się zrelaksowany. Opiera się o drzewo, góruje nad nimi wszystkimi. Kończy piosenkę i kładzie banjo na ziemi. Abrahamie Stone, przemawia głosem niemal pełnym podziwu. Podburzasz do niezgody. I to tak otwarcie. Nikt nigdy nie twierdził, że brakuje ci jaj.

To Seminarium, Rączka, mówi Abe. Do niczego nie podburzam.

Tak. We wszystkim przyświeca ci czysty cel.

Może tak, odpowiada Abe. Może nasze cele się rozeszły.

Może to ty zmieniłeś cel, mówi Rączka.

Może, powtarza Abe. Ale być może jest przeciwnie. Może zostałem wierny naszym pierwotnym celom, a to Arkadia podryfowała.

Ślicznie, ślicznie, komentuje Rączka. Och, tak ślicznie mówisz, Abe.

Tak, *ad hominem*, obrona małych rozumów, mówi Abe.

Rączka ma różowe nozdrza. Uśmiecha się do Abe'a z góry, ukazując szary kiel. Robi kilka wdechów i mówi z przesadnym wiejskim akcentem, potrząsając głową ze smutkiem: To ponury widok, dzieci, dzień, kiedy prawdziwie wierny traci wiarę. Jak wąż z rozerwanymi kręgami; nagle jest niczym węcej, tylko robakiem.

Abe blednie i wczepia dłonie w bezużyteczne kolana. Czuje oddech Rączki na twarzy. Patrzą na siebie przez chwilę. Lutkowi serce bije tak głośno, że zagłusza

wszystko.

Oczywiście chodziło mi o robaka w stuletnim jabłku, mówi Rączka, uśmiechając się do Lutka tak intensywnie, że chłopiec musi opanować śmiech rodzący się na jego ustach w odpowiedzi.

Przenosimy się do środka, zarządza Abe, zawraca wózek i powoli z piskiem wjeżdża do Szkoły. Rączka, grając tę samą radosną melodię na banjo, podąża za nim. Co się stało?, pyta Ike, a Lutek ściska ramię przyjaciela. Nie wiem, mówi. Kilka chwil później Hanna przybiega z Sojowej Mleczarni, jej nogi są żenująco długie w zbyt krótko obciętych szortach, a potem zjawia się kilku innych dorosłych, Lila i Tytus, Koń i Midge. Kiedy głosy dorosłych zaczynają się podnosić, małe dzieci wysypują się ze Szkoły jak garść ziaren.

Helle leży na płaskim kamieniu nad Stawem w gorący, szary dzień; jej źrenice pochłaniają złote tęczęwki. Helle, w świetlicy, gra w remika z innymi Nasto, jakby nie miała kości, opiera się o Harrisona, trąc piętą o udo Arnolda, uśmiecha się przez rzęsy do Lutka, chłopcy nie patrzą na siebie nawzajem. Helle śpi wśród słoneczników, kiedy Lutek wraca biegiem z podlewania Poletka, budzi się, dopiero gdy on ją klepie. Helle wraca z Baraku Uciekinierów o świcie, zbliża się do Lutka, który stoi i czeka na nią wśród kwiatów marchwi, Helle tak blisko Lutka, że on czuje od niej zapach marihuany, potu, wanilii i nafty z lamp, a ona kładzie głowę na jego ramieniu, przyciąga go blisko siebie, on czuje jej żebra na swoich, jej twarde kolana na swoich kolanach i chce być zły, ale może tylko objąć ją ramionami. Helle odsuwa głowę, oczy ma pełne łez, mówi: Lutek, jesteś moim jedynym przyjacielem, i trzyma go za rękę, gdy on odprowadza ją do jej pokoju. Z każdym krokiem narasta jego niepewność.

Lutek robi Helle jedno zdjęcie po drugim, a ona pozuje dla niego, jego zainteresowanie sprawia, że ona się rumieni, rozcapierza palce jak skrzela, robi miny jak modelka. Każde zdjęcie zbliża go do niej o grubość włosa, do podstawowej istoty Helle, oczyszczonej Helle, którą pewnego dnia odda jej na fotograficznym papierze.

Wyobraża sobie, że mówi. Proszę. To jesteś ty.

Ona spojrzy na odbitkę i pozna siebie, w końcu, i będzie się zastanawiać, jak mogła się zagubić po drodze. Helle zobaczy Helle tak wyraźnie jak resztę świata: o tym można marzyć.

Do Dnia Kukanii został tydzień. Dzieciaki z trzeciej klasy powiesiły w Jadalni olbrzymi kalendarz z papieru pakowego i zapełniają dni uśmiechniętymi słoneczkami o wielkich grzywach. Czas w Arkadii jest śliski; dniami rządzi gong, pory roku rządzą resztą. Dla Lutka, który nie przywykł do takich porządków, ten kalendarz jest jak nakaz. Arkadia dziwnie przycichła od wielkiej kłótni podczas Seminarium, którą przeprowadzono w mocnym tonie, jak głosi plotka przekazywana od jednego do drugiego. W powietrzu czuje się chorobę.

Pewnego wieczoru przy kolacji Hannie, Abe'owi i Lutkowi udaje się uniknąć napięcia. Za trzy poranki Hanna i Lutek będą zbierać plony i spędzą następnych kilka nocy w Cukrowej Chacie na suszeniu roślin. Każda subtelna zmiana dziennego światła przybliży ich do celu. Są przejęci, ledwo mogą wysiedzieć, nawet Abe, który nie ma wyboru. Teraz siedzą razem na kocu pod bukiem w chłodny wieczór lata i Lutek czuje,

że otacza go stara radość, obserwuje dłonie matki fruwające niczym jaskółki przy porcjowaniu jedzenia; widzi, jak Abe patrzy na Hannę z sercem na twarzy. Gdyby nie był pod wpływem tego starego związku, który został mu przywrócony, nie powiedziałby takich głupstw, jakie mówi. A mianowicie: A co będzie, jak Świnie znajdą Poletko, zanim zbierzemy plon?

Jakie to dziwne, że ten głęboki, szemrzący strach zdecydował się teraz wyłonić. Między Hanną a Abe'em napina się lina, subtelne rozczarowanie Lutka.

Co jest nie do zniesienia, rodzice ignorują pytanie Lutka. Mówią o sztucznych ogniach, które Clay i Fistaszek kupili na Dzień Kukanii, bezwstydnym marnotrawstwem funduszy. Mówią o wykładzie Hanny, o tym, że slajdy wyszły pięknie dzięki nowym fotograficznym umiejętnościom Lutka. Mówią i mówią, a Lutek jest sam w chłodnym cieniu, z jedzeniem w rękach, gdy patrzy, jak rodzice oddalają się w rozmowie bez niego, zostawiają go samego, siedzi i oblepia go zmartwienie.

Poza Verdą nic najlepszego Lutek nie może dać Helle. Ona to jego największa tajemnica; jej mądrość, jej spokój mogą dać Helle punkt zaczepienia, zaczepienia, którym ta staruszka trzyma Lutka w miejscu. Jednak dopóki się nie wymkną, są z resztą Stadka Nasto i pielą kukurydzą. Lutek uwielbia jej różne odmiany: Blue Baby, Reid's Yellow Dent, Bloody Butcher. Dorotka zbiera ziarna już dziesięć lat, a ludzie przysyłają jej najdziwniejsze jako podarunki. Lutek uwielbia odmiany marchwi: Dragon, Scarlet Nantes, St. Valery, Paris Market. Ziemniaki: Caribe, Desiree, Yellow Finn, Purple Viking. Papryki omija, bo kiedyś dotknął liścia Fatalii i potarł oczy, a potem przez dwa tygodnie nic nie widział poza ruchomym czerwonym światłem i cały ten czas spędził w łóżku w Kurniku. Dla ślepego słuchanie odgłosów porodu było strasznym zdarzeniem.

Leif przeklina chwasty, gdy je wyrывa; nigdy w tym nie był taki pomysłowy. Sacek krwawych jaj, mówi. Funkadeliczne dildo, mówi. Nienawidzi odrywać się od swojej sztuki. Ten chłopak kocha kukiełki bardziej od ludzi, Lutek usłyszał, jak Hanna szeptała wiosną, obserwując Leifa na przedstawieniu Cyrkowych Śpiewaków. Ma to po ojcu, mruknął półgębkiem Abe i oboje rodziców parsknęło, a potem zarumieniło się, kiedy Midge odwróciła się wściekła i uciszyła ich.

Helle podchodzi do Lutka na końcu rzędu i razem uciekają do lasu. Powietrze jest chłodne, opływa skórę chłopca jak woda.

Helle mówi łamiącym się głosem: Widziałam coś dzisiaj. Dziewczynkę w ogrodzie. Było naprawdę wcześniej, jakaś piąta, była nago, kuciała pod ogórkiem i gryzła kolbę kukurydzy. Jak dzikus, jak jedno z tych zdziczałych dzieci. Tak mi się smutno zrobiło, kiedy na nią patrzyłam, że chciało mi się rzygać. Naprawdę, przez tę małą dziewczynkę. Była taka głodna, że przybiegła rano, żeby jeść niedojrzałe warzywa. A tu zjawiają się codziennie ci wszyscy ludzie, ci obcy. To znaczy, co by było, gdyby ktoś z nich okazał się złą osobą? Co by było, gdyby zobaczył ją Ćpun, gdyby mu odbiło i zranił ją? Kto miał jej tam bronić? Przepraszam, ale zupełnie nie rozumiem, co się dzieje, po prostu nie rozumiem. Nie i już. Głos Helle drży, ale jej twarz jest blada i pusta.

Ja też nie, mówi Lutek.

To takie dziwne, ciągnie Helle. Nic nie jest, jak trzeba. Pamiętasz, kiedy byliśmy mali, Lutek, obojętnie, jak było źle, zawsze byliśmy tym zwartym małym zespołem?

Ciągle myślę o filcu, wiesz, o tym materiale. Bierzesz sweter albo coś z włóczki, moczysz to i pocierasz, aż wszystkie nitki i rzędy łączą się z sobą w jedną nierozzerwalną masę. Ale teraz mamy jakby milion zwariowanych dziewiarzy, którzy robią swoje tak, jak potrafią, ten facet robi pasek, tej dziewczynie wydaje się, że robi ocieplacz na imbryk czy coś innego, i wychodzi nam największy, najbrzydszy, najgłupszy koc na świecie, którym nawet się nie przykryjemy i nie ogrzejemy. Helle milknie i śmieje się, i mówi cicho do siebie: Cholera, ale metafora, Helle.

Święta prawda, mówi Lutek. Słuchaj, gdy to wypowiada, to jakby szedł pod prąd, który ma go zaraz zepchnąć do wodospadu, opowiada jej o projekcie Hanny i Abe'a, Wielkim Poletku Marychy, gotówce, uldze, jaką przyniesie z pewnością.

Będzie dobrze, zapewnia. Po Dniu Kukanii. Nie martw się. Wtedy będziemy mieli dosyć.

Helle patrzy na niego, obgryza paznokiec kciuka i milczy.

Wchodzą na podwórko Verdy, Kamienna Chata, wiśnia. Verda jest w ogrodzie, rzuca kurom kukurydzę. Marszczy czoło, kiedy widzi Helle, i przygląda się uważnie Lutkowi, a jej przesłanie jest jasne: „Kolejny gość? Nie wiesz, że zdecydowałam się być sama?”.

Lutek patrzy na nią z nadzieją na twarzy, a ona wzdycha i mówi: Niech wejdzie, skoro już tu jest.

Wchodzą. Helle i Verda siadają sztywno naprzeciw siebie przy stole, popijają herbatę, przyglądają się sobie nawzajem spode łba. Rozmowa jest lekka na wierzchu: pogoda, Dzień Kukanii, Lutek. Gdyby nie znał Verdy tak dobrze, powiedziałby, że wizyta przebiega płynnie, ale jej nozdrza falują, jakby coś węszyła, a jej odpowiedzi stają się coraz bardziej obcesowe.

Stają, aby wyjść, i Helle pochyla się, aby pogłaskać Eustachego leżącego na podłodze, a Verda, co nietypowe, przygarnia Lutka, przytula go do siebie. Pachnie dobrze, jak ubrania wysuszone na słońcu i mydło od amiszów. Mówi mu do ucha, szybko i cicho: Uważaj, Ridley. Większość silnych ludzi na świecie to młode, piękne dziewczyny.

Potem go puszcza i odprowadza ich do drzwi.

Na dworze Helle wygląda na nieusatysfakcjonowaną. Są w połowie drogi do domu, kiedy mówi: Wiem, że to jest twoja przyjaciółka, ale... Milknie. Później wzdryga się i dodaje: Ten cały czas? Wyobrażałam sobie, jak to jest być taką starą i samotną jak ona. Chyba bym się zabiła.

Och, Helle. Lutek dławi się.

Helle patrzy na niego i mówi: Tylko żartuję, Lutek. Ale głos ma ciężki, a kiedy idzie na górę do swojego pokoju, aby się zdrzemnąć, Lutkowi trudno jest zamknąć drzwi między nimi.

W połowie Seminarium z Fotografii Lutek zamyśla się: jest wieczorne słońce, a leica w jego dłoniach taka ciężka, taka słuszna, taka *jego*, najcenniejsza rzecz w Arkadii. Na dziedzińcu odbywają się inne Seminarium, głowy młodych obok głów starszych, i Lutek czuje z narastającym zdziwieniem, że właśnie to czyni Arkadię wielką: ta uwaga skierowana na potencjał, ta cierpliwość dla poszczególnych osób; konieczna przestrzeń dla rozwoju duszy; widzi, jak Helle rzuca spojrzenia na cudownie ciepłe niebo, na

wiewiórki skrzeczące na dachu Domu Arkadii, na własne stopy oblepione ziemią, jak dostrzega, że Lutek na nią patrzy i uśmiecha się szeroko, jakby rozciągała gumkę recepturkę, i to go przepelnia. A kiedy w końcu dzieci w Stadku rozpoczynają ognistą wersję *Tea for the Tillerman* z bongosami i tamburynami, on, żeby być w dechę, może jedynie opanować się i nie wstawać jak jakiś głupek pełen ekstatycznego światła boga, jak reprodukcja Hieronima Boscha, którą jego imiennik Hiero pokazał im w zeszłym tygodniu – ogród, gdzie nadzy ludzie zbierają muszle i owoce, wysypują się z różowych chat przypominających organy, jeżdżą radośnie jak na rodeo na świniach i lampartach, pozwalają ptakom wrzucać sobie do ust jagody, a każdą osobę na płótnie wypełnia spokojna, zielona radość. Lutek musi się opanowywać, oddychać równomiernie, aż radość powróci na bezpieczniejszą odległość, aż stanie się słoneczną materią, dziećmi, spokojem, Arkadią, a Lutek jeszcze raz będzie nitką w większej całości.

Podczas kolacji Lutek patrzy, jak Simon przysiadł się do Hanny i szepcze. Cios w brzuch, kiedy Hanna się rumieni. Hanna mówi wystarczająco głośno, że dociera do Lutka: W porządku w takim razie. O świcie.

Chłopiec całą noc wyobraża sobie, jak Hanna znika. Wyobraża sobie, jak się budzi w świecie pozbawionym jej na zawsze; ten stary strach z najgłębszego dzieciństwa. Lutek jest przy drzwiach, kiedy Hanna wychodzi, krok ma lekki, stopy bosa poniżej ogrodniczek. Matka widzi go i mruży: Mój rycerzu w lśniącej zbroi, i mierzwi mu włosy.

Jaśniejący rycerz nocnej rozkoszy, mówi, aby ją rozśmieszyć, ale ona się nie śmieje.

Razem idą na pole. Simon czeka na nich, chodząc nerwowo tam i z powrotem, gdzie słoneczniki wylewają się z gardzieli lasów. Azteckie Słońce, Irlandzkie Oczy, Aksamitna Królowa. Simon ma mokre włosy, z przedziałkiem pośrodku; ma na sobie dzinsy tak nowe, że trzeszczą, gdy idzie. Marszczy brwi, kiedy widzi Lutka, i patrzy znacząco na Hannę, ale ona bada ukąszenie komara na ramieniu. Simon mówi: Och. Chodźcie. Odwraca się plecami i rusza przez rośliny. Idą za im. Hanna ociera się o dłoń Lutka i Lutek pozwala jej się wziąć za rękę. Dzień to zaledwie nowe lśnienie na kosmatych liściach. Na środku pola stoi dzieło Simona, pięść przykryta brezentem. Kwiaty sięgają ramion i szumią, kiedy przez nie idą, i zanim trafiają do środka, niebo już się rozświecilo.

Stoją przed rzeźbą kilka minut w milczeniu. Kiedy Simon uznaje, że światło jest idealne, idzie do tyłu i słyszą dwukrotne uderzenie siekiery. Lina puszcza, brezent opada jak spódnica.

Lutek śmieje się, ale Hanna szczypie go w ramię, szybko i boleśnie. Hanna chwali: Simon, to cudowne. Simon patrzy na nią, a oczy ma jak stawy o kamienistym dnie. To, co wydawało się skromnym wiatrakiem obracającym się na lekkim wietrze, ukazuje, że jego części to coś więcej. Szprychy to karabiny, serce to czub bomby. Lutek podchodzi dotknąć nóg konstrukcji; są ostre.

Miecze na lemiesz, mówi Hanna. Ma zarumienione policzki.

Lutek używa swojego najbardziej męskiego głosu: Naprawdę? Czy to musiało być takie dosłowne?

Nie bądź dzieckiem, syczy Hanna, a Lutka to boli.

Simon ignoruje Lutka, wyjaśnia. Podczas jednej z misji szperania Bazy Pojazdów w pobliżu Kanady trafił na porzucony samochód ze skrzynią pełną karabinów w bagażniku. Stary przemytnik, pomyślał zagubiony w lasach. Stąd wziął się pomysł. Potem w sklepie marynarki wojennej znalazł czub bomby, założył go jak głowę jelenia. Miecze zrobił sam w kuźni. Miało to być ucieleśnienie wszystkiego, co wspaniałe w Arkadii. Pokój, praca, prostota.

To cudowne, mówi Hanna. Działa?

Działa, odpowiada Simon i przesuwa dźwigienkę, wiatrak obraca się z szumem. Cierpkim tonem dodaje: W tym cholernym miejscu nie ma sensu robić niczego, co nie działa. Nawet ja to wiem.

Lutek myśli o ofiarowaniu dzieła sztuki, czegoś, w co włożył całego siebie, a co tak strasznie nie wyszło. Przez moment jego empatia dla Simona zalewa podenerwowanie, zasłania dziwny wiatrak pięknem zrodzonym z miłości Simona.

Dziękuję, mówi Hanna, a Simon kiwa głową. Wydaje się zawiedziony. Wracają razem. Hanna przytula Simona, a Lutek mierzy długość uścisku, jego siłę, to, jak Hanna nie patrzy Simonowi w twarz, kiedy się odrywa od niego. Lutek myśli o nadal śpiącym ojcu, o jego skurczonych nogach pod kołdrą. Z tego powodu eskortuje Hannę z powrotem do jej małego pokoju. Czeka, aż zastuka i odezwie się głos Abe'a, a ona wejdzie; dopiero jak będzie bezpiecznie z Abe'em, węgorz w jego brzuchu przestanie się rzucać i odpłynie.

Lutek i Hanna obudzili się na długo przed świtem, aby ściąć i załadować konopie do pick-upa. Teraz mają obtarte dłonie. W chłodzie poranka ich ubrania parują potem. W głęboko błękitnych minutach przed wschodem słońca przenoszą pospiesznie cztery worki pąków i liści do Cukrowej Chaty i odstawiają pick-upa z powrotem na miejsce do Bazy Pojazdów. Kiedy otwierają się drzwi Restauracji, proszą, aby ich wpuszczono, chociaż to nie ich zmiana, i wyczerpani siedzą nad kawą. Zatrzymuje się przy nich Eden, w ciąży po raz ósmy, i szepcze, że wieczorem zwołują Kryzysową Radę Dziewięciorga w Ośmiokątnej Stodole. Lutek patrzy, jak odchodzi kaczkowatym krokiem, i czuje straszny smutek, widzi starą, krągłą Eden górującą nad tą, której ciało zostało spłaszczone przez osiem miniaturowych walców drogowych jej dzieci.

Przez cały dzień w powietrzu daje się wyczuć panikę: ktoś gdzieś reklamował Dzień Kukanii, chociaż nikt nie wie kto ani nie przyzna się, że wie. Lecz są „High Times”, „Whole Earth Catalog”, „Henderson's”. Mała notka w „Voice”. W tym tygodniu wzrosła liczba przyjazdów, trzydzieści w poniedziałek. Dzisiaj, w czwartek przed sobotnią Kukanią, Lutek idzie do Stróżówki i zastaje tam istny cyrk: dwustu odwiedzających. Chociaż Tytus ma wsparcie w nagłych wypadkach, aby powstrzymać ludzi przed wtargnięciem, jego metoda sprawdziła się tylko na początku tygodnia. Goście zaczęli odnajdywać drogę przez las. Teraz stawiają namioty w lesie, śpią w samochodach, tłoczą się w Restauracji, żeby coś przekąsić. Narzekają, kiedy kończy się jedzenie. Jadą do Ilium i wracają, machając przetłuszczonymi torbami hamburgerów, i chociaż Tytus wścieka się tak, że słyhać go aż w Domu Arkadii, oni trwają przy swoim.

O zmierzchu w Stodole na Kryzysowym Zebraniu jest tak tłoczno, że nie ma gdzie usiąść. Ludzie stoją, a niektórzy wspinają się pod dach, aby siedzieć tam u góry w ciemności na krokwiach. Rada siedzi przy rozkładanym stole, Abe na jednym końcu,

Rączka na drugim. W gorące, parne noce unoszą się z podłogi cienie zapachów pradawnych zwierząt i wypełniają powietrze. Wbiega Hanna. Pochyliła się nad Abe'em, szepcze coś i wybiega.

Lutek patrzy, jak jego tata blednie jak papier. Spokojny Abe traci spokój do tego stopnia, że debata trwa już długo, gdy on bierze się w garść. Tytus ryczy, czytając listę: „Co, jeżeli ukrywamy mordercę? Pedofila? Co, jeżeli nasi ludzie zostaną zamordowani? Zgwałceni? Co, jeżeli rodzice Uciekinierów będą starali się ich odnaleźć? Co, jeżeli nieletnie dziewczęta skłamią co do swojego wieku w Namiocie Swingersów? Co, jeżeli ukrywamy terrorystę?”

Kontynuuje przez trzy strony i w tych słowach Lutek słyszy Abe'a. Coś się w Lutku rozluźnia, skoro teraz Tytus jest tak wyraźnie po stronie jego rodziców.

Wtedy Rączka otwiera dłonie na stole. Mówi: Po pierwsze, będzie tak tylko do Dnia Kukunii, a potem będziemy musieli albo wyjechać, albo zamieszkać w Wiosce Nowicjuszy przez miesiąc, zgodnie z naszymi zasadami. Po drugie, przemawia bardzo surowo, Tytus, nie podoba mi się twoja bigoteria. Nawet mordercy zasługują na drugą szansę.

Podnoszą się krzyki i wrzaski, zgodne głosy w całej Stodole.

Kiedy się uspokaja, odzywa się Abe: A co z jedzeniem? Nie mamy pieniędzy, aby karmić wszystkich, szczególnie kiedy wysyłamy kasę Astrid na Szkołę Położnych, i dzieją się inne rzeczy. Nawet nasze Ćpuny i lekarstwa dla Kur to wielki wysiłek. Wiesz o tym, Rączka. Właśnie ty jedyny ze wszystkich wiesz.

Rączka odpowiada: Jak zawsze staję w pokorze i ufam, że Wszechświat nam to zapewni.

Debatują tak przez godzinę, aż Regina o czarnych brwiach stuka drewnianym młotkiem. Donikąd nas to nie doprowadzi. Czas na głosowanie – mówi. Światło latarni połyskuje na jej policzkach.

Głos przechodzi na Radę Dziewięciorga; pięć „tak”, by pozwolić intruzom zostać, cztery „nie”, aby ich usunąć. Abe i Rączka mierzą się wzrokiem przez całą długość stołu, wściekłość przeciw tryumfowi. Lutkowi przychodzi na myśl starcie frontu wysokiego ciśnienia z niskim, burza, jaka wtedy powstaje.

Abe nie może wykrztusić słowa, spurpurowiał: kopnąłby coś, gdyby mógł. Narada toczy się dalej.

Dla Lutka to zbyt duże napięcie, robi mu się kwaśno w żołądku. Odchodzi i biegnie przez mroczny trawnik do Cukrowej Chaty, aby sprawdzić, dlaczego Hanna była taka poruszona. Stuka raz krótko i raz długo, potem dwa razy krótko i tak dalej – to jego imię morsem. Hanna mu otwiera.

W środku panuje upał, pięćdziesiąt stopni. W piecu pali się drewno. Hanna jest w majtkach przesiąkniętych potem. Zaciągnęła firany i czyta przy latarce w kącie. Na sitach leżą sterty schnącego zioła. Lecz Lutkowi nie wygląda to na wiele. Z pewnością nie dosyć, aby zapewnić finanse Arkadii na rok.

Lutek mówi: Dziwne. Rano wydawało się tego dużo więcej.

Bo tak było, odpowiada Hanna. Teraz dopiero dostrzega to, czego nie zauważył wcześniej w mroku: Hanna jest wściekła, twarz jej drży. Wyszłam na siku. Nie

zamknęłam drzwi na klucz. Wróciłam biegiem po minucie i trzy czwarte ziło znikło. Znikło. Ot tak. Jedno siku i nasz najlepszy towar wart tysiące, tysiące dolarów przepadł.

Lutkowi przychodzi na myśli Helle, która zerka na niego kątem oka w lesie, obgryzając paznokcie, gdy powiedział jej o Poletku. Chce się zapaść pod ziemię. To jego wina. Coś musiało przemknąć przez jego twarz, bo Hanna pyta: Lutek? Powiedziałeś o tym komuś?

Nagła przepaść, jak na huśtawce, a on ma tylko moment na decyzję.

Nie.

Matka odwraca się, kiwając głową. Pot ścieka w ciemnym zagłębieniu między jej łopatkami. Kiedy Lutek proponuje, że zostanie tu całą noc, kiedy ziło będzie schnąć, Hanna z namysłem odpowiada: Nie, raczej nie.

Lutek czeka pod jej drzwiami, czyta, ale Helle nie wychodzi tej nocy. Kiedy dziewczyna, zataczając się, wchodzi o świcie do Świetlicy Nasto, poprzedzają ją opary rumu; bełkocze. Lutek pomaga Jincy i Molly położyć ją do łóżka. Stoi i patrzy, jak śpi, a Jincy przyciska Lutka do swojej piersi. Dobra, słodka Jincy, jego pierwsza przyjaciółka.

Ona nie zasługuje na kogoś takiego jak ty, szepcze mu do ucha.

Tylko się przyjaźnimy, mówi Lutek.

Tak, odpowiada łagodnie Jincy. Wyrzucam cię, przyjacielu Lutku. Pora, abys poszedł spać.

Późnym rankiem Lutek przechodzi obok otwartego okna Fabryki Konserw, gdzie załoga zaprawia truskawki. Słyszy, jak jakaś kobieta mówi: „... Helle. Popisuje się, odkąd wróciła”.

Inna kobieta odpowiada: „... Ćpunem, jeśli ona nie jest...”

Ktoś się odzywa: „Georgia!”, i śmieje się.

„Widziałam...”, szept.

Znowu głośniej: „... jak jej ojciec”.

„Zbyt wiele”, mówi ktoś z naciskiem.

Lutek zagląda do środka. Kobiety są ubrane w męskie podkoszulki, przemoczone, mają identyczne niebieskie bandany na głowach. W mroku, z tej odległości, w uniformach, nie potrafi odróżnić, kto jest kto. Mogą być tą samą anonimową kobietą. Teraz dla Lutka tym właśnie są.

Lutek wstaje, nie może spać. Na dworze setki dodatkowych ludzi w Arkadii wydaje ryk, jak sobie wyobraża, podobny do odgłosu oceanu. Ike chrapie przez nos. Pod drzwiami Świetlicy widać światło, a kiedy Lutek tam wchodzi, zastaje Helle przy lampie naftowej. Siedzi na rozkraczonej kanapie, wpatruje się w książkę. Podnosi wzrok, kiedy widzi Lutka, i z trzaskiem zamyka książkę.

Hej, szepcze Helle. Hej, mówi Lutek. W gardle wzbiera mu żal. Chce ją zapytać, dlaczego ich okradła; dlaczego skazuje Arkadię na głód. Chce jej powiedzieć, że wie. Ale ona wygląda tak smutno, że nie może, jeszcze nie teraz. Ona chyba mocno odleciała – źrenice nadal ma duże, a długa gumowa opaska jej ust kończy się w kącikach supełkami gorczy.

Lutek siada obok niej, a ona kładzie mu głowę na kolanach. Jej oddech ogrzewa mu udo, jej rzęsy przesuwają się po jego skórze. Lutek myśli o swoich dłoniach



zmywających naczynia w Restauracji, usuwających maż z talerzy, zdrapujących kompost, o parze tak gorącej na jego palcach, że czuje, jakby robiły mu się pęcherze, myśli o czymkolwiek, aby nie stracić panowania. Drapie ją po głowie, przesuwając palce między dreadami, tłuszcz zbiera mu się pod paznokciami. Przesuwa ręce na jej długą szyję, odnajdując na niej węzły, i widzi, jak małe ma uszy, małe jak u myszki, tak delikatne w tym stogu jej włosów, że chce je gryźć. Na tę myśl jego penis mimowolnie drga. Ona musi to czuć. Siada. Skórę na twarzy ma luźną, a pod oczyma lśniące sińce. Przygląda się Lutkowi przez chwilę. Kląska aparatem na zębach, aż ciągną się srebrne strużki śliny; pochyła się do przodu i dotyka ustami jego ust.

To szok ten pocałunek. Jego pierwszy. Smakuje jej oddech, ostry od anyżowych ziaren, niektórzy w Arkadii żują je po kolacji. Jakie jej usta są gumowe, on ma język ciężki jak kamień, ich zęby dzwonią. Lutek trzęsie się. Myśli, że otworzą się drzwi do Świątlicy. Ona bierze go za rękę i wsuwa pod swoją koszulę do jednej z ciastowatych grud. Swoją ręką rozpina jego dżinsy, on czuje na podbrzuszu jej zimne knykcie. To dla niego zbyt wiele. Chwyta powietrze, następuje głośny, tłumiony spazm, a na spodenkach pojawia się gorąca, mokra plama.

Bardzo chce mu się płakać.

Ona odsuwa się, teraz ma dłoń pod jego brodą. Podnosi jego twarz, aż on patrzy na nią blady, poważny, zdeterminowany. Spróbujmy jeszcze raz – mówi Helle i przybliża usta. Dłonie ma za paskiem jego dżinsów. Jej dłonie na jego skórze ogrzewają go. Lutek poddaje się, zapada w tę dziwność. To jest to – myśli. To jej miękkość na nim, jej ciężar, jej twarda kość ogonowa na jego udzie, jej nogi uniesione i nagle powitanie, to, to, to kulminacja wszystkich dobrych rzeczy, jakie dotąd poznał. To głód w nim, aby zostać tu na zawsze, w zawieszeniu.

A potem zmartwienie powraca, gdy ona gryzie go w usta, aby powstrzymać jego jęk: wchodzi w niego, jakby z głębi jej ust dochodziły sprzeczne uczucia, duch w każdym uchu, że to, co mu robi teraz, to albo głęboka dobroć albo jeszcze głębsze przekleństwo.

Pełnia lata, jęzor gorąca w powietrzu. Nastął Dzień Kukanii.

Muzyka zgrzyta i dudni, ściera się z inną muzyką: ktoś podłączył gitarę elektryczną na parkingu przy szosie, krąg mężczyzn w szafranowych szatach śpiewa monotonicznie obok Piekarni. Trzy współzawodniczące tranzystory grają nad Stawem: Led Zeppelin, Black Sabbath, Cata Stevensa.

*Let me wonder if it seems to be real switch on summer in your garden it's an illusion from a slot machine...* Chimeryczna piosenka.

Ktoś wypożyczył wielki namiot w biało-czerwone paski, gdzie wystawiają miłość dla pokoju. Może wejść każdy, kto ma dokument udowadniający wiek, ale Cole zakrada się, aby sprawdzić, a kiedy wychodzi, policzki ma nadęte ze śmiechu jak ryba rozdymkowata. Zapach gówna przybiera na sile, ludzie srają wszędzie i nie zakopują kup po sobie: Lutek niemal czuje ich smak, kiedy je owsiankę.

Astrid daleko w Tennessee wyczuła coś albo ktoś jej powiedział, że będą kłopoty. Jechała całą noc ze Szkoły Położnych i dotarła dzisiaj rano, aby coś zrobić. Przy śniadaniu stoi, kładzie ręce na ramionach Hanny, obie wysokie kobiety rozmawiają cicho. Mogłyby być siostrami, chociaż ich blond włosy mają odcień miodu i bieli: Twin Towers, tak

wszyscy je nazywali, kiedy Lutek dorastał. Kiedy jednak on im się przygląda, twarz Astrid zamyka się, a Hanna nagle odwraca się, odchodzi. Kiedy Lutek pyta, co się stało, Hanna, która nie odzywa się do niego od zdarzenia w Cukrowej Chacie, jedynie kręci przecząco głową.

Później tego ranka Lutek mija dziko trzęsący się krzak, ktoś kogoś rucha tam w środku. Chce wziąć kij i wygonić ich stamtąd jak ptaki z trawy. Zamiast tego krzyczy: Tu są dzieci!, a głos ma wysoki jak dziecko, musieli się zawstydzić, bo przerwali, krzak przestał się trząść, dopóki Lutek nie przeszedł.

Idzie do Domu Arkadii, pieką go oczy. Ktoś zbudował kort do badmintonu wśród sałaty, delikatne liście są zdeptane. Dorotka klęczy, szlocha pośród ich odmian (Forellenschluss, Red Leprechaun, Lollo Rossa, Amish Deer Tongue, Merveille des Quatre Saisons). Lutek nie może na nią patrzeć, babcine okulary ma poznaczone łzami, pętla jej złocistych włosów, tak jak nie może patrzeć na zdeptaną ziemię, gdy kładzie dłoń na jej plecach i poklepuje Dorotkę, aż ta się uspokaja.

Przed lunchem Lutek kula wegetariańskie klopsiki w parnej kuchni Restauracji, kiedy widzi Helle przechodzącą pod oknem. Zdażył zawołać: Helle, czekaj, muszę z tobą porozmawiać, kiedy ona odwraca się i rumieni na jego widok, macha ręką i znika pośród kłębiących się tłumów, niektórzy są już pijani i tańczą do muzyki, ale do Lutka słabo to dociera.

Zebraли się w końcu na przemówienie Hanny z okazji Dnia Kukanii. Od Proscenium bije światło, kurtyna przesiąknięta jest gorącem. Kropla potu zbiera się Hannie na policzku i powoli ścieka po jej brodzie, chociaż wypowiedziała tylko kilka powitalnych zwrotów. Musi krzyknąć, aby pokonać hałas dochodzący z trawnika na zewnątrz.

W przeszłości ludzie czekali z zabawą, aż przemowa się skończy.

W przeszłości oczywiście nie było zalewu obcych, którzy deptali etykietę Arkadii; były historie, które ich przywoływały do porządku. Dzień Kukanii to zaledwie zmierzch w dniu przesilenia, a na skoszonej Owczej Łące intensywna woń zieleni porusza ich, muzykę i miłość.

Jednak jest coś jeszcze poza niesformością intruzów: dzisiaj widownia jest żałosna. Gdyby zawędrował tu ktoś obcy, nie uwierzyłby, że Hanna była tu od początku, że wygłoszenie przemówienia w Dniu Kukanii, do którego Hanna przygotowywała się od miesięcy, to największy zaszczyt w Arkadii. Lutek starannie zapisuje imiona w pamięci: Abe promieniejący miłością; Tytus i Zalotna Sally z licznym potomstwem; Słodka, Maria i Ricky; Regina i Ollie; Astrid, która wygląda szczególnie ponuro. Marilyn i Midge, która się wachluje, popierdując. Tarzan i Kapitan Ameryka, Cole, Dyllie i Ike, Jincy, Fiona, Muffin. Helle siedzi obok Ike'a, uśmiecha się do wszystkich poza Lutkiem. Spóźnieni wchodzi D'Angelo, Scott i Lisa. Ale to wszystko, to wszystko, to wszystko. Nie ma Dorotki. Nie ma Eden. Nikogo innego. Nie ma Rączki, szczególnie jego.

Za Hanną mówiącą o dziewiętnastowiecznym diwinistycznym kulcie, z którego wziął się Dom Arkadii, na trawnikach kotłuje się, tłumy grają na bongosach, palą trawkę albo gromadzą się wokół wielkiej beczki na śmieci – jak podejrzewa Lutek, beka zawiera cydr podprowadzony z Magazynu i zaprawiony LSD. Śpiewacy Cyrkowi przechodzą

trawnikiem w białych szatach w powolnej procesji, kukły wykonują sztywne tańce. Lutek rozpoznaje białą grzywę Leifa; steruje głową kukły Głupca. Adam i Ewa, odświeżeni warstwą brzoskwiowej farby, tańczą razem walca. Nawet przez okna Proscenium słyhać pieśń, fałszywą melodię, bębny, setki dzwonek. Gruby pierścień tworzy się wokół lalkarzy, gapie są nimi oczarowani.

Lutek wyobraża sobie wielką rękę sięgającą z nieba i miażdżącą hulaków, jak niegrzeczny chłopiec rozgniatający kolumnę mrówek. Zawstydzony skupia się na Hannie, ale gorąco jest brutalne; nawet Lutkowi robi się niedobrze i nie może słyhać jej historii tak uważnie, jak by chciał. Zauważa, że są tam jego slajdy, a z magnetofonu w mrok płynie głos Verdy.

Hanna spogląda, widzi, jak jej odważna widownia przywiędła. I Hanna mówi nieco smutno: I oto jesteśmy. Nie inaczej niż diwiniści, idealistyczni, pracowici, uduchowieni. W przeciwieństwie do nich, mówi, wiemy dosyć, aby uczyć się z historii i zmienić, zanim będzie za późno.

Przerywa, aby się pozbierać, i w tej przerwie coś eksploduje na zewnątrz, zielona raca śmiga wężowym torem w mroczniejące niebo środka lata i wybucha czerwonymi iskrami. Hanna spogląda za siebie. Złote włosy ma pełne blasków. A kiedy się odwraca z powrotem, Lutek czyta w jej twarzy, że postanowiła zakończyć przemowę tutaj.

Dziękuję, mówi. Teraz wszyscy świętujmy Dzień Kukanii. I chociaż nagradzają ją tak wspaniale, jak potrafią, w pustym Proscenium niosącym echem, jego matka schodzi ze zwieszonymi ramionami.

Na zewnątrz powietrze robi się nieco chłodniejsze, rozgnieciona trawa pachnie słodko. Ludzie rozłożyli się na trawniku przed Domem Arkadii niczym tapeta, zmieniająca się w kalejdoskopowy obraz hipisów w zwiewnych białych szatach, bluzkach bez pleców lub w pełnym uniformie dżinsowym. Długa procesja z kuchni wynosi jedzenie na rozkładane stoły. Jest lemoniada dla maluchów. Jest wielka beczka popcornu z posypką z pożywnych drożdży, wymęczona sałata, sałatka z pomidorów, sałatka z tempeh. Sałatka z kaszą bulgur i fasolą. Pikantna sałatka z tofu. Sałatka yegg. Sałatka z makaronu. Stosy chleba gwałtownie topnieją. Ryż i fasola. Salsa. Każdą gulaszu z batatów. Tyle zapiekane, że nie starczy im już przetworów do jesieni. Krem sojowy w pistacjach, wanilii, czekoladzie, truskawkach. Niektórzy z gości nie są tacy źli: przyjechali z różnych miast z naręczami winogron, bananów, ze skrzynkami pomarańczy, selerem naciowym, wielkimi puszkami masła orzechowego, chlebem z supermarketów, który Lutkowi smakuje jak papier. Wielkie paczki czegoś pomarszczonego, co ktoś nazwał chipsami, które są tak słone, że aż człowiek się dławi. Ciastka z wielkich pudełek smakują jak baterie, kiedy się je polizę.

Jak zwykle dzieci, Ciężarne i Ćpuny idą pierwsi, chociaż niektórzy z nowych mężczyzn są tak naćpani, że mogą oderwać się od grupy. Kiedy wszyscy przeszli, zostało jeszcze trochę jedzenia. W jeden dzień każdy zjada swój udział, a potem jeszcze, aż już więcej jeść nie może. Nawet Lutek, który opiera się ekscytacji dzięki swojemu mocnemu moralnemu kręgosłupowi, relaksuje się, kiedy jest najedzony, i wpuszcza tę letnią noc.

W amfiteatrze na Owczej Łące rozbrzmiewa muzyka. Głos Rączki unosi się w powietrzu, chropawy i wspaniały, Wolni Ludzie są w świetnej formie, banjo, skrzypce

i akordeon na zmianę wykonują długie, kwieciste solówki. Perkusista Tarzan też jest elokwentny w swoim jedynym języku. Robi się ciemno, ogniki jointów i papierosów pokonują blask świetlików. Dzieciaki mają odlot, bo nie przywykły do cukru, i gonią się. Lutkowi płoną płuca od biegania, od śmiechu, od łapania maluchów i podrzucania ich w powietrze, chwytania ich, siłowania się z przyjaciółmi. Cole, Ike, Helle i Lutek podkradają się do kadzi zaprawionego kwasem cydru i nabierają pospiesznie cztery wielkie słoje. Zanoszą je za Stodołę. Helle z uśmiechem chwytą ustami brzeg słoja i zamyka oczy, wlewając płyn w siebie. Lutek obserwuje ją; chce wbić słoję w jej twarz, a potem może zlizać go z jej brody. Ona patrzy na niego i mówi wyzywająco: Boisz się?

Boi. Lubi swój mózg. Nie chce skończyć jak Kapitan Ameryka, wiecznie naćpany. Po Arkadii krąży około sześćdziesięciu historii ku przestrodze, o wypalonych Ćpunach o zbuntowanej psychice.

Nie, mówi Lutek i przechyla słoję. Alkohol pali go w gardle. Helle bierze Lutka za rękę i wychodzą zza stodoły, czekają, aż kwas powoli się wchłonie. Ona ma palce zimne tak jak on i chociaż Lutek chce odejść, nie odchodzi. Kiedy idą, ona go ścisza.

Na koncercie Rączka wprowadza całą grupę w *Goodnight, Irene*. Z boku na małym terenie oświetlonym bożonarodzeniowymi lampkami Astrid i Lila opierają się o siebie, oczy mają zamknięte, kołyszają się. Zalotna Sally jest drobna, wczepia się w pierś Tytusa. Ktoś szepcze o imprezie w Barakach Uciekinierów i Grupa Nasto wymyka się w tamtą stronę po kolei. Lutek i Helle mijają Staw, gdzie plamy ubrań czekają na pluskających się nago. Nad Stawem jest tak pełno jak zazwyczaj w letnie popołudnia, ale teraz, w blasku księżyca, są to dorośli. Lutek, Helle, Ike i Cole mijają grupę czterech dzieciaków, które ze strachem patrzą na przechodzących Nasto, a potem wracają do dzielenia tego, co z początku Lutek wziął za marmurowe kulki. Przygląda się uważniej i widzi niebieskie pigułki. Chce coś powiedzieć, ale gdzieś zagubił słowa, więc zbiera tabletki i wpycha je sobie do kieszeni. Jakiś mały dzieciak kopie Lutka w kostkę; obrzucają go żwirem, gdy idzie dalej. Barak Uciekinierów jaśnieje od lamp naftowych, ryczy czyjeś radio. Obok krzywej kozy na drewno stoi kolejna podprowadzona beczka z cydrem. Tyle osób tu się przemieszcza, że stają się jedną krzyczącą masą, wieloramiennym monstrem.

Helle szepcze mu do ucha, ale Lutek nie rozumie jej. Kiedy odwraca do niej twarz, jego złość na nią musi być nagle widoczna. Ona odskakuje i znika.

Teraz ludzie wyostrzają się i stają odrębnymi osobami. Mała Puchatka tańczy, wyrzucając ręce w powietrze. Jeden obcy ze łzami wytatuowanymi na twarzy odchyła się do tyłu i przygląda jej; jego kolega, także w czarnej skórzanej kurtce, przyciska do ściany jakąś młodą Uciekinierkę. Lutek patrzy na kurtkę i widzi martwą świnię, i niemal wymiotuje, przechodząc obok, i wyczuwa woń zwierzęcia. Dziwne, myśli, zastać tu mężczyzn, skoro większość ludzi tutaj to dzieciaki.

Nagle zaskoczony gubi myśl: Jincy całuje się na pryczy z jednym z Uciekinierów, czarnowłosym chłopakiem o wyrazistych rysach z piórem sępa we włosach.

Hej, Jincy, mówi Lutek, potrząsając ją za ramię, a ona podnosi wzrok, uśmiecha się i mówi: Hej, Lutek, i wraca do całowania. Niech dostanie wszy, kogo to obchodzi.

Ike puszcza taśmę i z rykiem ożywa nowy, głośniejszy dźwięk. Misfits!, krzyczy Ike i potrząsa głową do rytmu. Poci się tak mocno, że ma plamy pod pachami. Koszula

klei się Lutkowi do ciała.

Pojawia się na nowo Helle, rozmarzona, zmieszana. Hej, mówi tak cicho, że tylko Lutek ją słyszy. To moja taśma? Lutek chce ugryźć ją w usta. Chciałby wtopić się w nią swoim ciałem. Sięga do jej twarzy, ale kiedy dotyka jej, jego ręce zamieniają się w ręce kogoś obcego i Helle już nie ma, znika.

Kwas zaczął działać. Wewnątrz wszechświata wyczuwa coś białego i ciepłego, pulsującego. Czas zwalnia, rozciąga się, staje spiralą. Barak Uciekinierów jest pełen piękna i jest straszny, a Lutek zdaje sobie sprawę, że płacze: wie, co wszyscy myślą, ponieważ sam to myślał, jak Cole czuje pulsowanie ziemi pod stopami, jak Helle ogrzewa się o Harrisona, gdy tulą się do siebie w tańcu, jak Armand Hammer czuje żebra Helle, gdy on też wtula się w nią mocno od tyłu. Jakże wielkoduszni, myśli, są ci chłopcy, że nie patrzą na siebie, jakie to miłe mu się wydaje. Twarze wokół Lutka przybierają takie groteskowe kształty, że nie może w nic uwierzyć. Nie!, myśli, patrząc, jak oczy Cole'a robią się wielkie jak jego uszy. Nie! Usta Puchatki opadają jej do kolan. Nie! Twarz Helle zwięża się do punkcika. Do łebka szpilki. Wszystko przepęlnia się niemożliwym.

Muzyka rozpada się na fragmenty światła, które Lutek może złapać ustami. To tak wiele, zbyt wiele, to przytłaczające. Wpełza do kąta i zamyka oczy, szepcząc własne imię, ciągle na nowo, na nowo, aż ktoś go podnosi i zabiera.

W jakiś sposób znalazł się na zewnątrz i plecami czuje zimno metalowego Baraku Uciekinierów. Obok niego jest Ike, podają sobie na przemian skręta. Ziemia mamrocze pod stopami, Lutek słyszy, jak korzenie drzew ocierają się seksownie o ziemię niczym nogi o nogi. Cole opiera się o Barak, usta ma wczepione w twarz ślicznej, drobnej dziewczyny, rękę ma pod jej spódniczką. Lutek przygląda się i przygląda, aż rozpoznaje Puchatkę. Kiedy Lutkowi udaje się przekreślić głowę, Ike mruga oczyma bardzo szybko i mocno kilka centymetrów od jego twarzy.

Chyba, Lutek czuje w uchu wilgotny oddech Ike'a, dopisze mi dzisiaj szczęście, śmieje się i wtacza z powrotem do środka.

Lutek jedynie chce być sam. Wymyka się w ciemność lasu, gdzie odnajduje sobie miejsce w ziemi pod drzewem i kuli się tam. Chce poczuć na sobie objęcia lasu, pełnące po nim zwierzęta, chce się zatopić w korzeniach drzew i stać się ziemią.

W tej małej norze u stóp wzgórza znowu wypełniają go stare historie, las pełen czarów, wiedźmy siedzące na drzewach. Tak dzieje się, gdy tylko nie broni się; ciemne, złe wróżki tańczą nieskończenie pod nim w salach pełnych blasku pochodni, w futrach z wiewiórczych ogonów, w butach wystruganych z niedźwiedzich pazurów. Planują swoje sztuczki, te potwory. Gdyby go zobaczyły, dmuchnęłyby w niego trującymi igłami i uśpiły, aż obudziłby się po stu latach, Lut van Winkle, życie minęłoby mu we śnie. Jest tak przerażony, że zaczyna płakać, potem zapomina o strachu w obliczu piękna swoich paznokci lśniących w poświacie księżyca.

Idzie. Dotyka kory, mijając każde wielkie, ciemne drzewo, a każde z nich nadyma się i wsysa na zmianę. Kiedy odgłos Baraków cichnie i miesza się z odległym dźwiękiem koncertu, a gdzieś z przodu rozlega się szum strumienia, Lutek uświadamia sobie, że musi siku.

To musi być właściwe miejsce: dotyka drzewa po drzewie, ale żadne nie daje mu zezwolenia.

W lesie rozlega się nowy dźwięk, niski jęk, który z początku wydaje mu się muzyką sfer, myśli, że to śpiewają wielkie zimne gwiazdy. Nie tak ładnie, jak sobie wyobrażał. Ale jest zbyt blisko i Lutek zamiera, czeka, aż zobaczy, skąd dochodzi dźwięk.

Widzi kałużę ciemności, plamę ropy, która rośnie ku górze, staje się czarną grudą na ziemi, rozświetla się miejscami nieocienionym księżycem. Nawet jego własny szwankujący mózg wie, że to dwoje ludzi się bawi. Jednak coś nie jest do końca właściwe w kwestii ustawienia ciał. Lutek wyteża wzrok, walcząc z pulsującą mgłą w oczach. Jedna osoba jest na drugiej, jednak głowa drugiej jest w niewłaściwym miejscu, oddalona o metry, jakby ciało było jednocześnie olbrzymie i zgięte. Przyspieszony grzechot w piersi, surowy ryk niedźwiedzia, a wtedy podzwania sprzączka od paska, ruchający staje nad nogami ruchanej.

Rozlega się cichy głos mężczyzny: Dzięki, mała. Byłaś niesamowita.

Odzywa się głos, dziewczęcy: Pewnie, było fajnie.

Teraz mówi mężczyzna: Hej, może dasz trochę słodczy mojemu kumpłowi? Jak myślisz? Podzielisz się? Jak nie, to jest spoko, ale on naprawdę jest na ciebie napalony. Mnie by było miło.

Jesteś cudowna, mówi inny głos, wyższy, męski. Takiej ślicznej nie widziałem od dawna.

Zapada długa przerwa, wtedy odzywa się dziewczyna, z wahaniem: Ja nie...

No chodź, to nic takiego, mówi ten pierwszy. Klęka i zaczyna szeptać, i w końcu głos dziewczyny wyłania się z ciemności. Dobra, mówi z brawurą.

Drugi mężczyzna wstaje, podzwania paskiem, przykuca, łączy się z ciałem dziewczyny na ziemi.

Lutek nie może się ruszać. Nie może oddychać. Mężczyzna kończy, obaj wstają, patrząc na bryłę na ziemi, usiłującą usiąść. Zabierzmy ją z powrotem, mówi jeden, i podnoszą dziewczynę razem, otrzepują. Jeden z nich najwyraźniej delikatnie wyciąga jej coś z włosów.

Lutek kurczy się w sobie za drzewem, wychodzi z siebie, gdy oni przedzierają się przez patyki i liście. Idą wprost na niego, są tak blisko, że wyczuwa piżmo seksu, goździkowe papierosy, krew, alkohol. Jeszcze bliżej, a on wciska się w drzewo. Przechodzą i Lutek widzi plamkę czerni pod okiem jednego z mężczyzn, połysk skórzanej kurtki i twarz Helle błyszczącą jak księżyc, biały warkocz komety w powietrzu tam, gdzie była.

Kiedy Lutek już ich nie słyszy, wraca do własnego ciała. Gwiazdy nadal są na niebie, nieskończenie czarnym. Strumień bulgocze. Na wietrze słychać odległe wiwatowanie na Owczej Łące, koniec piosenki. Nie myśli, że widział to, co widział. Nie ma mowy. To było, jak wszystko inne tej nocy, alchemiczną reakcją: pożądanie wylane z dużej wysokości do kielicha strachu.

A jednak zaczyna biec. Nie wierzy; ale jeszcze musi znaleźć Hannę albo Abe'a, Tytusa, kogoś, kto może coś zrobić, Rączkę, Astrid, akuszerkę, dorosłego, kogoś. Gałęzie drapią go po policzkach. Potyka się i czuje rozcięcia na dłoniach, ciepła krew rozlewa się

z worka jego skóry. W końcu wybiega nad Staw, Dom Arkadii jest jeszcze bardzo daleko. Ma kolkę w boku, musi się zatrzymać, aby złapać oddech w płuca.

Kiedy staje, jest tak zmęczony, że ręce i nogi ma jak z kamienia. Może jedynie stawiać krok po kroku. Próbuje się skupić, ale nie pamięta, czego się bał. Był las, ludzie się pieprzyli; albo las sam się pieprzył. Gwiazdy, pieprzenie i las. Nie może tego ułożyć sobie w głowie. To była Helle, pewnie. Albo Puchatka. Helle i drzewa, Puchatka i mężczyźni? Odpowiedź twierdząca? Chce płakać, bo wciąga go ogrom, ruchome piaski. Słowo „gwałt” wyłania mu się w mózgu, gorące, rozognione, a on je wpycha z powrotem. To nie to. A jednak: nie tak. Coś jest nie tak i gdyby mógł zapytać Hanne, ona by mu to wytłumaczyła, pomogła pojąć to, czego nie rozumie; on nie ufa własnemu nosowi, tutaj, swoim ręką, sinemu kolcowi bólu w brzuchu. Pojawia się i znika, a on tylko wie, że musi gdzieś odszukać Hanne, Helle, Hanne, Helle, Hanne.

Lutek mija ogień płonący w ciemności, który rośnie, gdy zbliża się do Kapitana Ameryki. Stary Ćpun podśpiewuje, gdy mija go Lutek:

*Dzieci zrodzone w krainie wrózek  
Nie pragną koszulek ni bluzek,  
Nie chcą też ognia ni jedzenia,  
Zawsze spełniają serca pragnienia.*

Ogień gaśnie. Kapitan Ameryka pozostaje pośród cieni kłębiących się za Lutkiem.

Już prawie w Domu Arkadii. Krew Lutka jest zmęczona. Powietrze wydaje się tak bardzo ciężkie. Jest już prawie we własnym łóżku. A co by było, gdyby zajął się wszystkim jutro? Nogi się pod nim uginają; pełnie przez terasy jabłkowego sadu. Księżyc srebrzy się w gałęziach, co go uspokaja, Lutek kładzie się i zasypia. Budzi się, gdy twarde, zielone jabłko uderza go w skroń, mglisty świt, siada cały obolały. Rosa wpełzła mu w stawy. Skądś dochodzi dziwny głos, klip-klop, przychodzi mu do głowy myśl o helikopterach i wstaje, aby ostrzec resztę Arkadii, i znowu się przewraca zamroczony. Lecz nie ma nic na horyzoncie poza zachodzącym księżycem, a kiedy spuszcza wzrok, odnajduje źródło dźwięku: powozik amiszów toczy się po żwirowym podjeździe. Lutek ostrożnie schodzi i staje tam, gdzie zatrzymał się koń. Wrażliwe nozdrza zwierzęcia rozszerzają się i chwytają powietrze, wyczuwając w nim coś dziwnego: ognisko, pijanych do nieprzytomności, związki chemiczne płynące w żyłach tysięcy, zmieszanie samego Lutka.

Amos Amisz ześlizguje się z kozła z obojętną twarzą. Lutek szuka podenerwowania, ale mężczyzna nic nie ujawnia. Otwiera drzwiczki, a ze środka wysypuje się trzech Ćpunów: mężczyzna ubrany w suknię ślubną; pulchna kobieta, której mózg się zapętlił; Henry, który raz próbował wyrwać Midge język z buzi, bo według niego zamienił się w grzechotnika. Pośród tych naćpanych mężczyzna w sukience ślubnej wydaje się najbardziej przytomny.

Co się stało?, pyta go Lutek, a mężczyzna wzrusza ramionami. Próbowaliśmy jechać, mówi i rusza z szuraniem, a suknia ciągnie się po ziemi.

Gdzie chcieliście jechać?, pyta kobiety, a ona stęka i wykrzywia twarz to w jedną, to w drugą stronę, i mówi: Kalamazooooooooo, kończąc pohukiwaniem jak sowa.

Henry przemawia do swoich kolan: Nie, nie, nie, nie! Do Xanadu. A kiedy Lutek

nie rozumie, tamten mówi: Do krainy mlekiem i miodem płynącej! Do raj! Do raj!

Lutek mówi: Byliście głodni? I obaj Ópuni kiwają głowami i patrzą na niego z nadzieją.

Gdzie wasi Opiekunowie?, pyta Lutek, a Henry wzrusza ramionami.

Amos wspina się z powrotem na kozioł i sięga po lejce.

Dziękuję, że ich pan odwiózł, mówi Lutek. Przepraszam, jeżeli panu przeszkadzali.

Ale nic nie usłyszysz od amisza. Amos tylko kląska językiem i koń rusza. Pulchna kobieta głaszcze Lutka po policzku. Skarbie, grucha, głaszcząc go, i uśmiecha się, ukazując brązowe zęby. Mały mały mały mały miodzio.

Otępiałego Lutka budzą rano wrzaski i tupot nóg w całej Arkadii. Mózg pracuje mu powoli. Wychodzi ociężale na jaskrawe światło, skulony przechodzi przez trawnik i chowa się w cieniu Ośmiokątnej Stodoły. Wydaje się, że kręci się tu dziesięć tysięcy ludzi, rozkrzyczanych. Lutek dociera do Słodkiej, która szlocha tak mocno, że Lutek ledwo może zrozumieć, co ona mówi do Abe'a. Najwyraźniej, jak rozumie Lutek, godzinę temu, kiedy Stadko poszło zbierać pomidory na obiad, jedna dziewczynka nadepnęła na czyjąś rękę. Jakby wyrastała z błota, jakby to był pazur zombie. Dotknęła jej palcem i zawołała Zalotną Sally. Sally wydobyła rękę z błota, aż natrafiła na bark, twarz, oczy, niemrugające. Odesłała krzyczące dzieci do Domu Arkadii. Kiedy Oddział Ratunkowy zjawił się, aby zabrać młodego człowieka (kurtka sztruksowa, włosy zasłaniające twarz, sygnet absolwenta z tanzanitem, fioletowe wargi), próby reanimacji okazały się daremne. Gdy tylko ambulans dotarł do szpitala, policja najechała Arkadię.

Abe przygarnia rękami Słodką i chociaż ona musi się niezdarnie pochylać, wtula twarz w jego szyję i tam beczy.

Lutek wpatruje się w gromadę, na nowo nachodzi go panika. Widzi policjantów z tyłu, jest ich tak wiele, że nawet z otępiałą głową rozumie, że czekali przez cały weekend właśnie na taką okazję. Jest tam też policja stanowa, chociaż większość to służby miejskie. Ale jest ich tak dużo. Niektórzy musieli zostać ściągnięci z większych miast, Syracuse i Rochester, a może nawet z Buffalo. Widzi satysfakcję w ich nalanych twarzach. Są jak tornado, motłoch. Rozrywają namioty, gdzie śpią ludzie, odcinają hamaki, przewracają wszystko w Namiastce Arkadii, szukają narkotyków. Kobiety i mężczyźni są rzucani na ziemię, skuwani kajdankami. Sześć położnych wzięło się za ręce i jak dotąd udaje im się powstrzymać Świnie przed wejściem do Kurnika, ale teraz są aresztowane za stawianie oporu. Mężczyźni wchodzą do środka, wyciągają niektóre z ciężarnych dziewczyn. Astrid stoi sama, sztywno jak posąg, wyzywa ich, aby spojrzeli jej w twarz. Żaden nie śmie.

Świnie wpadają do Domu Arkadii i wychodzą z Harrisonem, ryczącym, z lodowatą Midge. Wychodzą z Hankiem i Koniem, którzy są czysti, nie biorą narkotyków.

Podrzucone, mruczy ktoś w pobliżu.

Lutek odwraca się gwałtownie, szukając Hanny; w przypływie rozpacz przypomina sobie kilogramy zioła, które przetrzymywała. Zamyka oczy i modli się, żeby oddała je w całości innym, żeby była gdzieś w spokojnym miejscu, żeby wędrowała przez las; żeby w najgorszym razie Lutek i jego rodzice znaleźli sposób, aby razem uciec. Czuje nacisk na ramiona, to Helle łapie go od tyłu, chwytając go za szyję, pachnie wanilią, jej dredy



ślizgają się po jego ramieniu. Lutek widzi Hannę obok Piekarni, wykrzykuje coś w twarz młodemu policjantowi. Lutka przepelnia ulga; czuje ciepły oddech Helle w uchu, gdy ona mówi: „O, Boże, O, Boże”.

Dobrze, że Helle nie widzi teraz jego twarzy. Płacze. Nie z powodu policji ani martwego chłopca, ani tych wszystkich ludzi, którzy go wrywają, zaskakują, zabierają. Płacze z powodu Helle, jej kradzieży przyszłości Arkadii, wspomnień z ostatniej nocy, mężczyzn w skórzanych kurtkach.

Nie może znieść jej dotyku; nie potrafi jej odtrącić. Cierpliwie znosi jej ramiona wokół siebie niezdolny, jeszcze nie, pocieszyć jej. Patrzy, jak Cole i Dylan trzymają się za ręce, aż może znowu spojrzeć na tę scenę.

Reszta Ciężarnych Kobiet biegnie jak najszybciej do Ośmiokątnej Stodoły. Z krzykiem rozbierają się do naga, żylaste, z wysypką, nabrzmiałe, srebrzące się rozstępami, każda z najcudowniejszymi piersiami, jakie w życiu widział. Wszystkie zrzucają ubrania. Helle krzyżuje ramiona, podnosząc rąbek koszuli. Lutek odwraca głowę, od tego wszystkiego robi mu się śmiertelnie niedobrze.

Lutek, no dalej, mówi Helle, zdejmując ręce z pączków swoich piersi, i Lutek zdejmuje ubranie, powoli, zasłaniając się, bojąc się małości albo nagłej wybujałości. Podbiega uśmiechnięty Ike, machając kutasem tak, że obija się mu o uda.

Policjanci wcale się tym nie przejmują. Ci, którzy przeważnie robią zdjęcia denatom, teraz fotografują nagich hipisów. W dali Lutek widzi Świnie w szopie Cyrkowych Pieśniarzy, jak wyciągają papierowe kukły i rozcinają je, szukając schowków, a Leif pada na kolana i rwie białe włosy.

Tłum cichnie: policja wychodzi z Restauracji z Rączką w dziurawej wojskowej koszulce. Rączka twarz ma pogniecioną jak poduszka, zaspany jak koala ręce ma w nadgarstkach skute kajdankami. Szeptem podaje instrukcje Fionie, która idzie obok niego, jej kasztanowe włosy są tak mocno rozświetlone, jakby płonęły.

Lutek patrzy na Ike'a i Helle zmarzniętych w nagim tłumie. Tato, krzyczy Helle, a kiedy Rączka podnosi głowę, ona krzyczy: Rączka!, a Rączka to słyszy i szuka jej wzrokiem. Kiedy ich widzi, uśmiecha się do obojga swoich młodszych dzieci, a jego biedny szary kiel błyszczy. Wróć, dzieciaki, nie martwcie się, krzyczy. Rączka jest bez butów, w bokserkach. Oficer mocno uderza jego głową o framugę, wpychając go do wozu patrolowego.

Ostatnie machnięcie ręką w oknie. Główny samochód rusza, a za nim furgonetki i autobusy, które sprowadzono, aby usunąć ludzi. Pozostała jedynie żółta taśma na poletku pomidorów, gdzie detektywi nadal depczą rośliny, a Zalotna Sally wsparta o Tytusa znowu opowiada swoją historię, jej najmłodsze dziecko na nosidełku ma oczy szeroko otwarte jak lemur.

Lutek dotyka szczupłego ramienia Helle, ale teraz ona się uchyla.

Aresztowano sto pięćdziesięcioro troje pod zarzutem posiadania narkotyków. Pięcioro z innych powodów. Dwadzieścioro sześcioro za stawianie oporu. Piętnaścioro nastolatków, wszyscy uciekinierzy, odesłano do rodziców lub do sądu dla nieletnich. Rączce postawiono piętnaście zarzutów bezprawnego ukrywania tych młodocianych. Dwadzieścia cztery zarzuty handlu narkotykami lub współudziału. Pięć zarzutów

posiadania substancji. Za śmierć chłopca zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci: Rączka, przynajmniej nominalnie, jest właścicielem terenu Arkadii. Zezwolił na imprezę, podczas której narkotyki były swobodnie dostępne. Astrid jedzie do sądu i wraca w nocy, ma zbolaną twarz. Kieruje się do Działu Biznesowego i korzysta tam z telefonu, a kiedy schodzi do Restauracji, Leif, Helle i Ike czekają na nią. Dookoła nich zbiera się ochronna tarcza: Hanna i Abe, Midge, Marilyn i Eden, Lila i Hiero, Słodka, Cole i Dylan. Fiona, daleko od Astrid. Lutek, oczywiście.

Mam pieniądze na kaucję, mówi Astrid. Kaucję za Rączkę, to wszystko, co udało mi się zdobyć. Z Norwegii od Margrete, mojej mamy. Starej jędry.

Jakie warunki?, pyta Helle.

W przypadku Margrete zawsze są warunki, wzdycha Astrid. Pierwszy: muszę rozwieść się z Rączką, jak sobie zawsze życzyła. I drugi: wy, dzieci, jedzcie do niej do Trondheim.

Ja nie jadę, protestuje Leif, jego dziwna, elfia twarz opina się na kościach. Zabiję się.

Masz osiemnaście lat. Nie jesteś dzieckiem. To twój wybór, rzuca Astrid.

Też nie jadę, mówi Helle, a Ike powtarza za nią.

A co z Rączką?, pyta Ike, starając się nie płakać. To niesprawiedliwe.

Astrid głaszcze Ike'a po krótko ściętych, kędzierzawych włosach. Astrid obiema dłońmi ujmuje twarz Helle. Rączka nie chciałby, abyście oglądali proces i całą resztę. Norwegia będzie dla was dobra. Tu nie będzie miał się wami kto zająć, jak Rączka pójdzie do więzienia.

Restauracja zdaje się kurczyć tak mocno, że naciska na ich skórę. W słabym świetle każde z nich wygląda blado.

Goście topnieją. Odchodzą z nimi niektórzy z Uciekinierów, niektórzy z Nowicjuszy. Grupa Wilków napotkała grupę z Łąki i znika w zachodzącym słońcu. Dorotka szokuje ich wszystkich. Na koncercie znajduje partnera wśród imprezowiczów, martwy chłopak w ogrodzie okazuje się przełomowym momentem, Dorotka pakuje torbę i lamentując po polsku, odchodzi. Wtedy właśnie zjawiają się mszyce i pokrywają soję żółtą warstwą.

Niektóre z zarzutów zostają zdjęte. Większość kaucji wpłacana jest spoza Arkadii, ale wielu jest wściekłych, że społeczność, której poświęcili życie, ich nie wykupiła. Całe rodziny ulatniają się w nocy. W Grupie Nasto są wolne łóżka. Wśród Starych Arkadian, którzy odchodzą, są Puchatka i jej matka; znikają wczesnym rankiem po Dniu Kukanii. Cole i Ike wyglądają na winnych, kiedy słyszą, że ta dziewczyna odeszła.

Lutek wraca z Seminarium Fotograficznego z Mikele. Przy stole w Restauracji zastaje samą Hannę, która opiera głowę w dłoniach. Hanno?, pyta Lutek. Co się stało?

Hanna wstaje bez słowa i prowadzi go za rękę do spiżarni. Półki, które zazwyczaj są pełne, teraz lśnią pustką. Jest olej spożywczy, biały cukier, trochę przypraw.

Nie mamy więcej jedzenia, mówi Hanna. Jest tofu. I chleb. I trochę przetworów z zeszłego roku. Umrzemy z głodu, jeżeli czegoś nie wymyślimy. Nikt nie przysłał pieniędzy za towar z Poletka, a ja nie wiem nawet, ile zostało skonfiskowane.

Jej zjeżony głos trafia Lutka w brzuch. A co z Bazą Pojazdów?, pyta Lutek. Nie

mogą sprzedać zbędnego samochodu czy czegoś?

Zbędnego?, pyta Hanna. Mieliśmy kiedyś coś zbędnego?

Ciężarne Kobiety, Ćpunów i błoto, mówi Lutek, aby ją rozśmieszyć. Nic na to nie może poradzić: myśli o tajnym kuferku Hanny, o miniaturach w ramkach, belgijskiej koronce, zastawie do herbaty. Hanna, jakby wiedziała, co on chce powiedzieć, mówi: Tyle tylko zostało do sprzedania, zanim zaczniesz sprzedawać samego siebie.

A może wysłać Siłę Roboczą do pracy?, proponuje Lutek, a Hanna odpowiada: Spójrz na pola. Dzisiaj rano wysłaliśmy setkę najlepszych robotników. To wykarmi naszą całą sześćsetkę przez kilka dni. A potem nic.

Nawet kiedy Hanna wraca na górę do swojego pokoju, Lutek chce zawołać za nią: Pozwól, że porozmawiam z Helle. Pozwól, że odzyskam to, co zostało z zioła, albo pieniądze, jakie zarobiła.

Ale nie może: nie może podejść do Helle, bo widzi mężczyzn wśród drzew, widzi jej twarz znikającą w ciemnościach. Nie może się zbliżyć. Helle wpierv wygląda na zranioną jego chłodem, potem ona też trzyma się z dala.

Rączka wraca do domu za kaucją. Lutek patrzy z Abe'em i Hanną z okna ich sypialni, gdy tamten wysiada z chevroleta. Wydaje się skurczony, a kiedy Helle, Leif i Ike zbiegają do niego do stóp wzgórza, wszyscy są wyżsi od ojca.

Dlaczego nikt nie wita Rączki?, pyta Lutek.

Mamy wszyscy dosyć jego bzdur, mówi Hanna. Ja tu nie przewodzę, ale moje słowo to dla was rozkaz. Wszyscy muszą pracować, ale darmożjady są mile widziani w Arkadii. Pieprzony Dzień Kukanii. Społeczeństwo oparte na pracy, ale ja muszę spędzać cały dzień w swoim wykwintnym pokoju, narąbany jak szewc, i wtykać kutasa każdej dziewczce, która się przede mną położy.

Hanna, odzywa się Abe.

Hanna rzuca: Co? Wiem, że myślisz tak samo.

Tak, mówi Abe. Nigdy nie słyszałem, żebyś używała słowa kutas. Zaczynasz przeklinać.

Ha! , odpowiada Hanna i bardzo powoli całuje go w czoło.

Teraz siedzi na łóżku i mówi: Zebranie rodziny Stone'ów. Punkt pierwszy i jedyny. Zostajemy czy wyjeżdżamy?

Debatują przez godzinę. Ostrożnie, rozważnie. Bez Rączki mogą zmienić Arkadię; jeżeli zostaną, będą musieli udźwignąć przygniatający dług. Jeżeli wszyscy będą pracować do upadłego, mogą przetrwać zimę; jak mogą pracować, gdy zostało tak mało ludzi? Kochają Arkadię z całego serca; a serce mają tak bardzo zmęczone.

Postanawiają nie podejmować decyzji. Zostaną, a jeżeli pobyt tu będzie nie do zniesienia, to wyjadą.

Lutek próbuje czekać na Helle w nocy. Muszą porozmawiać, ale ona nie wraca stamtąd, gdzie znika. Rankami Lutek siedzi przed jej pokojem, w którym mieszka z Jincy i Muffin, ale ona nie pojawia się. Ona jest jak gładka, biała ryba, która mu się wymyka. Lutek budzi się w środku nocy roztrzęsiony kolejnym koszmarem i wstaje. Księżyc jest w pełni, zimny. Lutek próbuje biec, ale rezygnuje, kamień w żołądku jest zbyt ciężki. Odnajduje drogę przez gęsty, baczny las. Czuje na sobie znajomy nacisk, oczy

obserwujące z ciemności. Ta groźba może go zabić, idzie, aż trafia na domek Verdy i stuka do drzwi. Ona też siedzi, nie może spać, robi babeczki z mąki kukurydzianej. Lutek siada przy piecyku, otula się w jej koc, Eustachy zwija się wokół jego stóp. Verda czyta mu i nic nie mówi. W końcu, kiedy rozkruszył na części swoje ciastko i nie pił herbaty, aż zrobiła się letnia, Verda odzywa się: Nawet jak myślisz, że nie możesz tego znieść, wytrzymasz.

On nic nie odpowiada.

Czasami trzeba pozwolić, aby czas przeniósł cię przez kłopoty, mówi Verda. Uwierz mi. Byłam tam, gdzie ty teraz jesteś.

Rano Różowy Grajek ożywa z rykiem. Fistaszek i Clay przez całą noc przywracali go do użytku. Astrid wraca do Szkoły Położnych w Tennessee ze wszystkimi Ciężarnymi, akuszerkami. Astrid i Rączka całują się ostatni raz na ganku. Rączka stwierdza: Żałuję, że to wszystko się kończy.

Jednak, na jego twarzy jest – co? ulga z powodu straty? nadzieja w zniszczeniu?

Adwokat się skontaktuje, wiesz, mówi Astrid.

Astrid całuje dzieci. Kiedy Helle prosi: Zabierz mnie z sobą, Astrid odpowiada: Musisz spędzić rok w Norwegii. Będzie ci tam dobrze. Margrete jest bardzo surowa i pomoże ci poprawić zachowanie, córko. Jesteś zbyt szalona.

Ike nie może opanować szloch, a Lutek nic nie może zrobić, tylko klepie go po ramieniu, aż Ike się uspokaja.

Kiedy Astrid wsiada do autobusu, Lila idzie z nią. Hiero zostaje. Arkadia jest jak książka z wyrwanymi kartkami, luźna okładka w rękach Lutka.

Tytus z rodziną wyjeżdżają przed lunchem wciśnięci do volkswagena, który był takim gruchotem, że nawet Baza Pojazdów porzuciła go na dobre w narożniku parkingu. Możliwe, myśli Lutek, że to ten furgon, w którym się urodziłem. Jincy i Wells zabierają się do Syracuse, ale wprawdzie Jincy pochyla się, aby przytulić Lutka. Kocham cię, mówi. Znajdę cię. Lutek zagubiony całuje ją w dłoń raz za razem, swoją siostrę z burzą włosów. Muffin jedzie ze swoimi matkami, krzyczy. Wolny Sklep pozostaje bez nadzoru przez dwa dni, aż Abe nakłania ludzi do pracy na zmianę, a tymczasem rzeczy są zabierane z półek i nikt niczego nie zostawia w zamian. Dobre rzeczy: noże i woreczki tytoniu, batoniki i chusteczki, ręcznie robione poduszki i afgany znikają. Kiedy budzą się, jeszcze więcej ludzi gdzieś przepada. Tarzan. Fistaszek. Clay. Harrison, z którego zdjęto zarzuty. Coraz więcej, coraz szybciej. Pokoje Nasto pustoszeją, niesie się po nich echo. Tego wieczoru tylko dwieście osób je kolację.

Rączka ulatnia się w dzień, kiedy ma wrócić na proces. Cole, Lutek i Dylan godzinami omawiają ucieczkę Rączki przez Vermont do Kanady, aż braknie im tchu na myśl, że został wyjęty spod prawa. Lecz Helle i Ike wleką się do Światlicy o północy, osłabieni, Helle ze znużoną miną wyjaśnia: Zawiozłam ich. Pojechaliśmy aż do Niagary, gdzie on wysiadł, tylko żeby zobaczyć wodospad.

Wbili w nią wzrok. Zabrałaś Rączkę do Kanady?, pyta Cole.

Chciałem jechać dalej do Kanady, mówi Ike, ale on upierał się, że pójdzie do więzienia.

I wiesz, co powiedział, pyta Helle, jak tylko wysiadł z samochodu? Powiedział:

Bądźcie grzeczne, dzieciaki. Tak powiedział.

Nie było nic w stylu: „Bądźcie silne, dzielne, moje piękne dzieci”. Żadnego „Kocham was”, mówi Ike, starając się zamienić to w żart.

Helle patrzy na brata zimnymi oczyma Astrid. To dlatego, że nas nie kocha, szepcze.

Lutek chwytą Helle za rękę, gdy ona wstaje, aby iść spać z innymi dziewczynami. Helle siada obok niego i patrzy, jak drzwi się zamykają. Jesteś na mnie zły?, pyta, gdy zostają sami.

Jestem, odpowiada Lutek. Chce powiedzieć, że chodzi mu o kradzież marihuany; ale kiedy wypowiada to na głos, widzi tamtą plamę ciemności, ciała posrebrzone księżycem.

Helle otwiera usta i zamyka je z powrotem. Kiedy mówi, wydaje się, że nie ma nic w środku, jak poduszka pozbawiona pierza. Myślałam, że wiesz, kim jestem. Tak mi przykro, Lutek, szepcze. Nie wiedziałam, że myślałeś, że jesteśmy razem w taki sposób.

Razem w taki sposób?, powtarza chłopak.

Helle marszczy brwi. Nie o to ci chodziło? O mnie i innych chłopców?

Nie, mówi Lutek, chociaż serce coś mu szepcze: Kłamca.

To o co?, pyta Helle.

O marychę, wyjaśnia Lutek. Którą skradłaś. Której, kurwa, nie mogliśmy sprzedać, Helle, a teraz znowu jesteśmy biedni jak zawsze. Tylko tobie o niej powiedziałem.

Helle garbi chude ramiona, aż znika jej kark. Zamyka oczy i zdaje się kurczyć. Kiedy dzwiga się i wstaje, mówi: Czy to ma jakieś znaczenie? To znaczy to, mówi i wskazuje Arkadię obiema rękami. Tak? Ostatecznie?

Lutek siedzi na kamieniu w Stawie, gdy inne Nasto pluskają się w zbyt ciepłej wodzie. Zarodniki trojeści unoszą się na wietrze i padają płasko, gdy dotkną powierzchni. Na głazach, trzydzieści metrów dalej, siedzi Armand Hammer, król Uciekinierów. Jego kumple rozbierają się, skaczą do stawu. On sam z plecaka u stóp wyciąga plastikową torebkę marihuany; tak wielkiej Lutek nigdy w życiu nie widział. Armand dostrzega, że Lutek mu się przygląda, i uśmiecha się, aż górna warga dotyka gwoździa, który sterczy mu w nosie.

Chcesz trochę?, woła. Dziesięć dolców za całą torebkę. W lesie mam tego od chuja. Skąd to masz?, pyta Lutek.

Armand wzrusza ramionami: Ktoś powiedział mi, że jakiś dupek suszy to w Cukrowej Chacie, więc się poczęstowałem.

To nie jest twoje, mówi Lutek.

A co ciebie to obchodzi, odpowiada Armand. To, kurwa, jest komuna, należy do wszystkich.

Lutek sam nie wie, w jaki sposób tak szybko przedostaje się ze swojego głazu na głaz Armanda. Nie wie, jak twarda jest twarz w zetknięciu z ręką, jak zęby boleśnie mogą rozciąć pięść, jak szybko wściekłość może uczynić nawet z niego, o pół głowy mniejszego od Armanda i dwadzieścia kilogramów lżejszego, kogoś, kto jest silniejszy. Uderza, aż coś luzuje mu się w głowie, a on sam leci do tyłu, w oczach tworzy mu się strużka, widzi Cole'a, Ike'a, Dylana, Harrisona i Fionę, jak wychodzą mokrą tyralierą z wody, bezradne,

chude dzieci hipisów, którym zaraz się oberwie. Stamtąd, gdzie leży, w chłodnym miejscu między głazami, Lutek widzi, jak Helle stoi, biała, z boku, nawet nie patrzy na awanturę. Patrzy tylko na Lutka. Pochyla się jakby z wielkiej wysokości, a on zamyka oczy i czuje jej palce na twarzy.

Lutek zanosí worek zióła do pokoju Hanny i Abe'a. Matka siedzi na łóżku z dłońmi między nogami, wygląda na przygnębioną. Lutek kładzie worek na łóżku obok niej, a kiedy ona podnosi wzrok, dostrzega jego rozbite knykcie, skrwawioną głowę, oczy zamknięte opuchlizną i siniakami. Hanna całuje jego okaleczone dłonie. Dziękuję, mówi, ale nie uśmiecha się.

Teraz możemy to sprzedać, Hanno, mówi Lutek. Możemy spłacić dług.

Przez długą chwilę ona nic nie mówi, a kiedy się odzywa, to szeptem, a on musi się pochylić, aby to usłyszeć. Za mało, mówi Hanna. Za późno.

W nocy rozlega się brzęk tłuczonego szkła na parterze. Rano zastają okno w Restauracji rozbite, a u stóp wzgórza Barak Uciekinierów rozwalony. Wygląda, jakby przeszło przez niego tornado, donosi Cole. Pościel, prycze i materace... wszystko jest rozprute, poskręcane i mokre. Uciekinierzy zniknęli. Wkrótce znikają Ćpuny, większość Nowicjuszy wraca do domu albo przenosi się do innych komun, łapie autostop do miast, wraca do świata.

Ike'a nie ma w ich pokoju. Cole i Lutek przeszukują Staw, Piekarnię z kilkoma bochenkami złotego chleba, Mleczarnię Sojową, Ośmiokątną Stodołę, Łażnię. Idą polami, szukając go, sprawdzają Stróżówkę, gdzie jeszcze unosi się w powietrzu zapach starego borsuka pozostawiony przez Tytusa.

Został jeszcze Wodospad, mówi i razem z Lutkiem zerkają na słońce. Jeżeli ruszą teraz truchtem, zdążą tam i z powrotem przed zmierzchem. Lutek ma zapalki w kieszeni. Cole ma trochę bakalii w papierowej torebce.

Idą przez las całe popołudnie. Zatrzymują się raz na jeżyny, które plamią im zęby i dłonie, i ruszają dalej. W końcu słyszą huk wody. Powietrze robi się wilgotne, zarośla są wysokie jak drzewa, kamienie, po których biegną, robią się śliskie. Jest za rogiem, nic większego Lutek nigdy nie widział. Piętnaście metrów spadającej wody. Zdziwiał go za każdym razem jego siła, ogrom i piana, ogłuszający huk i rozprysk wody o skały. Posmak paproci w powietrzu z rozproszoną mgiełką. Dziwna, miła miękkość samej atmosfery. Przyjemne pulsowanie przenika Lutka, aż przywołuje do oczu drżące łzy, które chłopak pospiesznie ociera rękawem.

Cole i Lutek wspinają się na zbocze, chwytając się korzeni i paproci, wciągają się przez grzbiet. Ike siedzi w dzinsach w płytkiej wodzie, półtora metra od przepaści. Podchodzą do niego ostrożnie: prąd jest wystarczająco silny, aby porwał ich i zrzucił z krawędzi. W bardziej beztroskich czasach, kiedy skakali do zatoczki, musieli precyzyjnie celować, bo inaczej rozbiliby się o skały w dole. Siadają po obu stronach Ike'a, który nic nie mówi. Skórę na rękach ma siną i poznaczoną gęsią skórką. Lutek zastanawia się, jak długo Ike tu siedzi.

Nad drzewami niebo zaciąga się, śliskie, ciemne srebro. Słońce przedziera się przez dziury w pokrywie chmur i dotyka odległej ziemi. Lutek odczuwa mrowienie za uszami, jakby ktoś go obserwował. Śpiewa ryżojad. Łania podchodzi do zatoczki w dole i po

chwili zjawiają się jej młode.

Ike mówi: Nie chcą mnie. Żadne z rodziców.

Nie jest to pora na kłamstwo i chłopcy nic nie mówią. Długo tak siedzą razem w nurcie strumienia i patrzą, jak woda rozlewa się nad krawędzią, słyszą, jak rozbija się w dole.

Wychodzą, kiedy Ike trzęsie się z zimna, i Lutek rozpala ognisko tak wielkie, jak tylko może. Ike kurczowo przygarnia nagie nogi do piersi, jego spodnie parują w gorącu. Wyciąga małą torebkę trawki z kieszeni koszuli, a resztą zajmuje się Cole.

Światło dnia wylania się na jeden ostatni oddech, zalewając dolinę syropem. Wśród drzew coś się rusza, spoglądają zaniepokojeni, myśląc o niedźwiedziach, kiedy na brzeg wychodzi dwóch chłopców. Nie są to Arkadianie: mają na sobie ogrodniczki i płócienne koszule, są tak wysocy jak Cole i szerocy w ramionach. Jeden ruchem od dołu wrzuca do ogniska patyk, który obdzierał z kory. Drugi przykuca. Lutek jest czujny, nieufny, czeka na nagły ruch.

Ale pierwszy z chłopaków tylko mówi: Cześć? Cole wypuszcza kłęb dymu i odpowiada: Hej.

Hej, powtarza drugi z chłopaków. Ma ciemne włosy i jest młodszy od brata.

Nie angielski, mówi pierwszy, ten ze szparą między zębami. Amos syn? Amos Dwa, wskazuje siebie i swojego brata.

Och, kumam, tak, mówi Cole. Znamy Amosa. Jest spoko. Jesteście jego synami.

Kucający chłopak patrzy na skręta w ustach Lutka. Lutek zaciąga się, zastanawia się i proponuje mu.

Chłopak zaciąga się potężnie i zaczyna kasłać, Cole uśmiecha się lekko, a Lutek skrywa śmiech w pięści, potem młodszy podchodzi o krok i sztacha się głęboko, wypuszcza dym, kaszląc tylko trochę.

Lutek obserwuje mocnych chłopaków o kanciastych twarzach i knykcjach. Najstarsi Utopiści, tak kiedyś powiedziała Hanna, obserwując amiszów, którzy przychodzili pomagać przy żniwach: od pokoleń prowadzą najbardziej idealne życie, w jakie wierzą. Lutek wyobraża sobie posiłki z mięsa zwierząt i ciężką pracę, wielką rodzinę i kuzynki w skromnych sukienkach. Jaką ulgą byłoby mieszkać zawsze z rodziną. Być wśród ludzi, którzy wyglądają tak jak ty, myślą tak jak ty, zachowują się tak jak ty, kochają i boją się tego samego Boga, Boga złego na tyle, aby karał, i kochającego na tyle, aby dawał, Boga z uchem wielkim na tyle, aby zachował wszystkie tajemnice, jakie do niego szepczesz, który pozwala ci się wypróżnić i odejść do własnego życia nieskończenie lżejszym. Lutek odczuwa stratę czegoś, czego nigdy nie znał.

Siedzą w miłej atmosferze, podając sobie skręta. Świat ciemnieje jeszcze bardziej. Na jakiś znak amisze wstają, kiwają głową Arkadianom i znikają w lesie, wracają do swoich bezpiecznych, solidnych domów, do swoich rodzin.

Ike wkłada wilgotne spodnie, Cole zakopuje nogami tłące się węgle ogniska. Ruszają szybko w stronę domu. Lutek milczy tak długo, jak potrzebuje tego Ike. Są w połowie drogi, kiedy Ike patrzy na przyjaciół. Twarz ma obwisłą; w żołądku mu burczy już od kilku kilometrów.

Te durnie od amiszów jakieś, kurwa, dziwne, mówi i zaczyna się śmiać.

Cole rzy po swojemu. Lutek też się śmieje bezwiednie i nie może przestać, aż łzy napływają mu do oczu i musi oprzeć się o drzewo, aby przestać, bo się posika. Kiedy milkną, patrzą bezradnie po sobie. Są niemożliwie przemęczeni.

Skurwiele, mówi Cole, są jeszcze dziwniejsi, niż my bylibyśmy w realnym świecie.

Lutek zaczyna się trząść, chociaż idą wystarczająco szybko, aby się rozgrzać. Jest mu niedobrze, chce ruszyć truchtem, galopem, sprintem. Nie wyobraża sobie siebie na Zewnątrz. Bo, teraz może się do tego przyznać, obojętnie, jak bardzo wysiła mózg, wcale nie może wyobrazić sobie świata. Nie jest gotowy.

Zapadła już noc, kiedy docierają do Restauracji. Ominęła ich kolacja. Kuchnia jest ciemna i pusta. Ale na blacie ze stali nierdzewnej znajdują kartkę: Hanna schowała talerze do pieca i odłożyła cały bochenek chleba tylko dla nich. Lutek chowa list do kieszeni, aby Ike nie widział, że jego mama napisała „Kocham cię” na dole kartki, i sam odczuwa tęsknotę.

Właśnie skończyli, kiedy do kuchni wchodzi Helle, policzki ma jak szkło. Ike, szepcze, Margrete tu jest.

Wpada stara kobieta, prosta i biała, taka jak Astrid, tylko mniejsza, a powietrze wokół niej gęste. Promieniuje z niej siłą. Jędzowatość. Jej usta nadają zasady, twarde krzesła, prysznice zimną wodą, kocie stwory z problemami z pęcherzem. Chodź tu, Isaac, mówi z akcentem Astrid, komicznie go przesadzając.

Ike wstaje i góruje nad babcią. Ona poklepuje go po policzku i wychodzi. Do kuchni wraca powietrze.

Nie żegnam się, mówi Ike. Pożegnanie oznacza, że nigdy więcej się nie spotkamy, a ja zobaczę was za parę tygodni. Najwyżej miesiący. Odwraca się plecami do przyjaciół i wybiega.

Helle długo tuli Cole'a, zbyt długo, myśli Lutek. Kiedy podchodzi przytulić Lutka, on tonie w jej wanilii. Jej dredy tworzą namiot wokół jego twarzy. Jej aparat błyszczący na języku. Lutek widzi, że urósł, co go zaskakuje: zagląda niemal prosto w jej złote oczy.

Nie zapomnij, mówi Helle, opierając się czołem o jego czoło. Nie zapomnij mnie.

Nie mógłbym, odpowiada Lutek.

Jak zapomnisz, to tak jakbym wcale nie istniała.

Lutek jest cały spięty. Helle całuje go, ostre zęby, dotyk języka, dłonie zimne na jego karku. Tak dużo chce jej przekazać, że niewiele może powiedzieć; jeżeli powie, wysypie się na ziemię. Ona trzyma za rękę jego i Cole'a, gdy schodzą po kamiennych schodkach do samochodu czekającego na zwirowym podjeździe. Zanim Helle się odwraca, Lutek wyciąga fotografię, którą nosił w plastikowej torebce przypiętą do spodenek od środka. Wkłada ją do jej ręki. To Helle nad Stawem, tak wcześnie rano, że myślała, że jest sama, stoi naga na skale i odbija się w szklistej wodzie. Prosta jak świeca z burzą dredów po każdej stronie, taka piękna, że „piękno” już nie jest właściwym określeniem. Helle patrzy na zdjęcie i zżyma się; śmiało spogląda mu w twarz, a on z przerażającym łomotem w piersi czuje, że ona rozumie. Ike ma poduszkę na oczach i nie chce patrzeć, gdy stukają w szybę.

Helle wsiada, samochód łagodnie odjeżdża. Z czerni na skraju lasu wychodzi olbrzym, którego obejmują teraz reflektory samochodu. Lśni. To stary człowiek



z komicznie wybałuszonymi oczyma, z rozwidloną brodą, z rękami giętkimi jak spaghetti. Wymachuje i kłania się z wdziękiem, niemal po ludzku. Kiedy samochód mija go i ciemność powraca stamtąd, gdzie się ukryła na skraju lasu, Lutek widzi Leifa pod kukłą ciągle tańczącą po ciemku.

Jest ich stu. Regina i Ollie kupili w Ilium trucka, pięknego, lśniącego forda z wielkim łóżkiem. Idą do Piekarni w środku nocy i zabierają przemysłowe miksery i jeden z pieców, zanim ktoś zdąży ich powstrzymać. Nazajutrz dwoje starszych ludzi w jaguarze zjawia się po Scotta i Lisę, a zanim wolno im wsiąść do samochodu, muszą zdjąć swoje arkadyjskie ubrania i włożyć nowe, khaki, i zapiąć się pod szyję, szkolna marynarka dla Scotta, sukienka i rajstopy dla Lisy. Lutek obserwuje z bolącym sercem, jak Scott i Lisa wsiadają do tyłu, trzymając się za ręce, i uśmiechają się niepewnie do własnych kolan, gdy kierowca w mokasynach i spodniach do golfa ryczy na nich wściekły i pędem odjeżdża.

Hanna mówi: Zawsze podejrzewałam, że to kryptorepublikanie.

To byli twoi przyjaciele, odpowiada Lutek.

Przyjaciele, powtarza Hanna. Co za słowo.

Zostało sześćdziesięcioro. Pomidory gniją na krzakach.

W Domu Arkadii zatykają się ubikacje, a nie ma ani Konia, ani Hanka, aby je naprawić. Trzydzieścioro Arkadian ucieka przed smrodem. Hanna sama robi obiad z tego, co mają: tempeh z zamrażarki, kilka puszek fasoli, trochę gotowanej kapusty.

Nazajutrz Słodka wchodzi do segmentu Nasto, ciągnąc Dylliego. Jego twarzyczka jest pełna napięcia. Jest blady, prawie tak blady jak jego brat. Słodkiej najwyraźniej ciąży smutek, gładzi Cole'a po głowie, włosy mu się elektryzują pod jej dłońmi. Jedziemy, Cole, mówi Słodka. Koleżanka zabierze nas do miasta.

Przy samochodzie Cole i Dylan przytulają Lutka bez słowa i wsiadają. Samochód rusza. Po odjeździe przyjaciół podwaja się stukot dziecięcia w lesie, radosny jak kastaniety. W świetle zrobiła się dziura jak w oponie i wszystko, co Lutek wiedział o sobie, ucieka.

Hanna budzi go w nocy. Dziecko, szepcze mu do ucha. Bierz swoje rzeczy.

Od kilku tygodni Lutek trzyma brązową torbę pod swoją pryczą i teraz ją wyciąga. Wstaje z łóżka w pełni ubrany. Kiedy wstaje, Hanna już nie ma. Dogania ją na spiralnych schodach i widzi, że na jej twarzy drży jakaś zaciętość.

Wychodzą na zimno. Schodzą po kamiennych stopniach. Lutek nie potrafi się odwrócić; wie, co się stanie, kiedy to zrobi. Na podjeździe kaszle samochód, rzęchowate pinto. Abe siedzi już z przodu, jego wózek przymocowany jest do bagażnika. Skromny majątek rodziny mieści się w kartonie na tylnym siedzeniu. Lutek wie, że szmaciana lalka bez twarzy na wierzchu, podarunek od amiszów, jest wypchana pierwszorzędnym ziołem.

Hanna zamyka drzwi i wrzuca bieg. Las kuli się w sobie, gdy przemykają obok, Stróżówka jest ciemna. Szosa skręca do ścieżki przedzierającej się do Verdy samotnej w swojej kamiennej chatce. Już, Hanna gasi silnik i Lutek wraz z nią wysiadają (dojrzałe wiśnie nad pociemniałymi od nocy drzwiami sprawiają, że wszystko ślizga się pod nogami). Eustachy szczerka zdawkowo raz i Verda wyłania się w białej koszuli z karabinem na ramieniu. Powoli obniża go.

Och, mówi. Już dzień.

Przepraszam, szepcze Hanna.

Verda znika w środku. Wraca z zawiniątkiem, które wkłada Lutkowi do ręki. Już cię nie zobaczę, Ridleyu. Lutek tuli jej kruche kości. Hanna podchodzi i też ją przytula, a Verda mówi: No to jedźcie. Jej włosy płoną w świetle reflektorów, ale gdy odjeżdżają, jej oczy to tylko puste doły.

Lutek rozpakowuje zawiniątko. Jest tam duża torba herbaty z dzikiej róży, plik papierów gruby na dziesięć centymetrów, związany wstążką, kościana ozdoba, zwitek banknotów miękkich jak mysie futro. Podaje papiery matce, Hanna poklepuje je i kładzie z powrotem rękę na kierownicy, a pieniądze podaje Abe'owi, który pogwizduje. Lutek trzyma kościany przedmiot, opuszkami palców wyczuwa delikatny wzór, zapamiętuje kształt twarzy wyrzeźbionej w kości.

Opiera głowę o zimne okno. Na niebie wisi ten sam księżyc. Pościel łopocze na lince, lśni skrzynka na listy. Droga mija wszystko, co mu znane. Mijają zakręt, za którym nigdy nie był, dom, którego nigdy nie widział; wszystko jest podwójnie nowe, chore od nowości. Most zbudowany ze stali; lodziarnia; krowy, o wiele większe, niż sobie wyobrażał. Chodnik, flaga na maszcie. Diabelskie koło. Niekończące się wzgórza, czubate i śpiące.

Słońce wstaje. Odbija jego twarz w oknie. Tak mało jest Lutka: delikatna grzywka złotych włosów, brudny T-shirt. Drobne, blade ciało, ostre kości i oczy tak wielkie, jakby chciały połknąć cały świat, który teraz przemyka obok, jakby świat miał je połknąć.

\* William Butler Yeats, *Kiedy już siwa twa głowa (When You Are Old)*, tłum. Zygmunt Kubiak.

## WYSPY BŁOGOSŁAWIONYCH

Jest początek października. Zewnątrz; miasto spoczywa między dniem mającym się ku końcowi a budzącą się nocą. Nocna lampka w kształcie ryby wyświeśla kremową filiżankę na ścianie, a Grete wtula się w Lutka, który siedzi oparty o wezgielnie jej łóżka. Stamtąd widzi tylko jej rzesy, czoło, drobny nosek; to jego piękna córka.

Już chce ci się spać? – pyta Lutek, a ona mówi: Nie.

Lutkowi to nie przeszkadza. Mógłby tu trwać wiecznie, w ciepłku oddechu swojej córki. Patrzy na fresk, który on sam maluje na ścianie naprzeciw jej łóżka, jedyną rzecz, jaką potrafi wypełnić niespokojną godzinę między swoim powrotem z uniwersytetu a chwilą, kiedy Sharon, matka mieszkająca pod nimi, przyprowadzi Grete z przedszkola. Sharon to mała, żwawa, ciemnowłosa kobieta. Poza jej imieniem Lutek właściwie nie wie o niej nic więcej; jednak czuje się z nią związany. Raz powiedział rano, kiedy odbierał Franka: Jesteśmy zgranym zespołem... solidarność porzuconych! Ale to był błąd, Sharon nie uśmiechnęła się.

Malowidło na ścianie w pokoju Grete to Arkadia, jabłonie skręcające ku Domowi Arkadii, Ośmiokątnej Stodole, przybudówkom, Namiastce Arkadii, Stawowi. Spędził miesiące, dopracowując szczegóły krajobrazu, a teraz zaczął go zaludniać. Jedyni ludzie na obrazie, a jednak niezbędni, to: Hanna w ogrodzie, Abe na wózku pod dębem, Astrid wyciągająca w rękach ku słońcu nowo narodzone dziecko, Rączka na dachu Różowego Grajka. Jest Verda z psem Eustachym, na skraju lasu, zaledwie plamka światła, jeżeli nie wiesz, że masz ich szukać. Cole i Dyllie grają w karty; Jincy stoi w drzwiach przybudówki z białym ptakiem na dachu; Leif tańczy pod kukłą; Eryk siedzi jak klucha; Ike zastygł w skoku do Stawu. Sam Lutek jest mały, obserwuje Helle. Ona jest wysoka i biała na skale z nogami w wodzie, najada.

Nic z tego nie jest tak piękne jak miejsce, które żyje w jego głowie. Chociaż ogromna przestrzeń między wyobraźnią a wykonaniem jest znajoma, zawsze jest to wielka niespodzianka. To jednak daje ulgę po fotografii: cała jego sztuka teraz zdaje się umierać pod ciśnieniem nauczania. To nieważne, że fresk pokazuje Arkadię taką, jakiej już nie ma, przejętą przez firmę komputerowej animacji Leifa, Erewhon Illuminations. Leif wypatroszył, wygładził, pochromował i przeszklił całe pierwsze piętro Domu i przerobił na swoją prywatną kwaterę; teraz jeden człowiek mieszka tam, gdzie pewnego razu spało dwustu. Ośmiokątną Stodolę zamieniono na biura i sale konferencyjne. Na polu soi są korty tenisowe, parking tam, gdzie bujnie rozkwitał ogród Dorotki.

Leif zawsze nienawidził pielienia, powiedziała Helle, kiedy pierwszy raz zwiedzali nową Arkadię, i wszyscy się zaśmiali, a śmiech wiązał im w gardłach. Lutek, aby odgonić tę myśl, wtula nos w ramię Grete, zapach popcornu i ciepłego mleka.

Jeszcze nie chce ci się spać?, pyta, a Grete mówi: Nie. Bajkę.

Lutek szuka takiej, której jeszcze nie opowiedział, i czuje, jak w nim się unosi, kiedy patrzy na biały kształt Helle na skale. Dobrze, mówi. To opowieść o tej najpierwszej Helle. Tej, po której twoja mama dostała imię. W Grecji, dawno, dawno temu... Ale Grete mu przerywa:

Nie. Pewnego razu.

Pewnego razu w Grecji, mówi Lutek, żyła piękna dziewczyna o imieniu Helle wraz z bratem Fryksosem. Ich ojciec rozwiódł się z ich matką, a nowa macocha Ino była podła, podła, podła i zazdrosna o dzieci. Knęła i planowała, aż postanowiła uczynić z Helle i Fryksosa kozły ofiarne. Upiekła wszystkie ziarna w kraju, żeby nie wykiełkowały, a kiedy rośliny nie wzeszły, rolnicy wpadli w panikę. Co zrobimy?, krzyczeli. Kto odpowiada za klęskę głodu? Poszli do wyroczni, którą Ino przekupiła, i wyrocznia wskazała swoim sękatym palcem dzieci: To one! Te okropne dzieciaki! I rolnicy osaczyli maluchy, aby je zabić i w ten sposób zdjąć klątwę.

Lecz ich prawdziwa matka poszła do boga Hermesa i poprosiła, aby ocalił jej dzieci. Proszę, powiedziała, kocham je, proszę, pomóż im. Hermesa wzruszył smutek matki, więc posłał latającego złotego barana, który porwał dzieci i zaniósł je w bezpieczne miejsce za wodą zwaną Dardanelami.

Lutek przerywa. To zabawne, mówi. Lord Byron kiedyś przepłynął tę cieśninę.

Kto?, pyta Grete. Ma trzy lata.

Nieważne, mówi Lutek. W każdym razie baran leciał tak wysoko, że Helle zakreśliło się w głowie i spadła z jego grzbietu prosto do wody.

Teraz Lutek musi się starać, aby zmienić opowieść. Nie przemyślał jej do straszego końca, ciała zatopionego w falach, pierwsza, biedna martwa Helle. A jeśli Grete będzie myśleć o swojej Helle, matce, i połączy te dwie utracone kobiety?

Zatem Lutek mówi: I wszyscy się śmiali, wyciągnęli ją i dali jej koronę, obwołali ją królową. Żyła odtąd szczęśliwie. A ludzie znaleźli inną, lepszą nazwę dla tej wody, do której wpadła: Hellespont.

Helle skąd, szepcze Grete i zasypia z uśmiechem.

Za oknem ciemność. Przejeżdżający samochód rzuca snop światła do pokoju. Lutek zaciąga zasłonę i zamyka drzwi. Czuje pod palcami chłód drewna, gdy porusza się w ciemnym mieszkaniu sam.

Smutek Lutka zmienia się nocą. Głowę ma już zajęta Grekami; myśli o Proteuszu, morskim starcu, który przepowiadał przyszłość, chociaż jej nienawidził, i zmieniał swoją postać, aby tego uniknąć. Lutek wyciąga ręce, aby uchwycić swój smutek, a on się prześlizguje, staje się wodą, węzłem, myszą, nożem, ciężarkiem tak ciężkim, że musi go upuścić. Mija prawie dziewięć miesięcy, odkąd Helle poszła na spacer i nie wróciła.

Sam się zastanawia, siedząc w oknie z butelką wina, obserwując, jak nocny klub naprzeciwko zaczyna się jarzyć. Jest Lutkiem Stone o czułym sercu; płacze, kiedy czyta rosyjskie powieści; płacze, kiedy widzi ręce kobiety, która przychodzi sprzątać jego mieszkanie, ręce sękaty od modzeli i artretyzmu. Nie płacze za Helle. Ciągłe myśli, że zostanie mu to wyjaśnione, że pewnego ranka obudzi go zgrzyt klucza w zamku i wejdzie Helle, zmęczona; że przejdzie słonecznym parkiem, podniesie wzrok, a ona będzie szła w jego stronę, nieśmiało uśmiechnięta po swojemu, przytuli go i wyszepta mu do ucha jakąś historię, według której nie została zraniona, tylko chciała zranić jego.

Wydaje mu się, że wszędzie widzi swoją żonę. Serce mu bije, gdy jest pewien, że szczupła postać w oddali to Helle; wbiega do kawiarni pewien, że twarz, która mu mignęła w oknie, to ona. Nigdy nie jest. Utknął, trwa w zawieszeniu. Pod ciężarem nadziei jego codzienne spacerunki przez miasto stały się nie do zniesienia.

W noc przed swoim zniknięciem Helle go obudziła. Było bardzo późno, dłonie miała zimne, gdy dotknęła jego piersi, fałdy jej płaszcza pachniały zimowym deszczem. Jej mokre włosy opadały na jego czoło i policzki, jej twarz w ciemności była nieczytelna. Zrzuciła prochowiec i buty pośrodku pokoju, a on był półprzytomny, kiedy tak niespodziewanie wyrwała go ze snu chłodem. Lutek widział, jak dywan robi się mokry od jej ubrania, i poirytowany niemal jej nie odepchnął.

Lecz ona pochyliła się, rozpinając mu górę od pizamy, zgięła się tak, że położyła się na jego skórze, a on objął ją ramionami, aby przestała drżeć.

Co się stało?, spytał, ale ona nie odpowiedziała. Uwolniła go z rzeczy, góry od pizamy, spodni, skarpetek, spodenek, a potem gwałtownie zdjęła swoje ciuchy i weszła pod kołdrę, gdzie było ciepło. Przywarła do niego zimnym ciałem, gruzłowatym i strasznym.

Helle?, powiedział.

Nie odpowiedziała. Zbliżyła usta do jego piersi, przesuwała je po niej, gryząc, ale nie mocno. Drzwi były uchylone, a w kuchni nadal paliło się światło; dostrzegł, że deszcz zmył jej makijaż. Bez niego jej twarz była spustoszona, ciężkie życie, jakie prowadziła przed Lutkiem, jej dwadzieścia utraconych lat, odcisnięte na skórze. Jesteś dla mnie piękniejsza niż wtedy, gdy byłaś idealna, powiedział kiedyś, całując ją w ramię, kiedy rozplakała się, widząc swoje odbicie w lustrze. Odwróciła się, nie wierząc, ale on naprawdę tak myślał. Na twarzy miała zapisane swoje życie. Na reszcie też można było je odczytać.

Czasami przepelniała go miłość do niej, trwała, zrobiona z uprzedzonej wełny, miękka i głęboka. Nawet w tym zdenerwowaniu ta miłość ogrzewała go, zwracała ją jemu.

Schodziła ustami w dół, coraz niżej. On dotknął jej głowy, jej kruchej czaszki pod mokrymi włosami, pociągnął ją lekko do góry. Potrzebował spowolnienia, ciepła, pocałunków. Ale ona nie chciała. Schwyciła go, chociaż nie był całkiem gotowy; ona też nie, była sucha, nadal zimna. Ale lekko się ruszała, siedząc nad nim, i po kilku minutach on ujął kości jej bioder i wszedł do środka, aż w pełni się obudził. Ona znowu napała, jej ciało na jego piersi, i w końcu jej usta znalazły jego wargi. On wyobrażał sobie spokojną ulicę na zewnątrz, jaśniejącą światłami, miliony dusz w ciepłe łóżek słuchające deszczu. Nie mógł przestać patrzeć na jej profil, jej zamknięte oczy, muszelkę jej ucha, bliznę w jej nosie, gdzie kiedyś tkwił ćwiek, jej cienką, bladą dolną wargę, którą zagryzała. Był blisko, ale powstrzymywał się, aż w końcu ona wyszeptała: Dalej. Ja nie mogę dojść.

Zastanawia się teraz, z pustą butelką wina na stole, czy nie słyszał wszystkiego, co powiedziała. Czy uszło mu najważniejsze słowo. Odtwarzał to ciągle na nowo, próbując przypomnieć sobie coś więcej, odnaleźć moment, który przepowiadał przyszłość.

Dalej, powiedziała; i powiedziała czy nie powiedziała: Ja nie mogę.

Dalej, powiedziała; i powiedziała czy nie powiedziała: Ja nie mogę wrócić.

Rano Grete sama się ubiera: legginsy w lamparci wzorek, różowa sukienka z falbanką, zielone kaloszki z ruchomymi oczkami, które wirują bez końca. Zastanawia się, czy założyć nauszniki-biedronki, odwraca głowę w jedną i w drugą stronę przed długim lustrem na drzwiach i wydyma usta. Decyduje się jednak na jeden z długich

sznurów fioletowych koralików Helle, zapętała go tyle razy na szyi, że wygląda jak kobieta z ludu Padaung. Sharon otwiera drzwi z filiżanką kawy w ręku i gwizdże. Co za wyczucie stylu, mówi. Uwaga, świecie, oto nadchodzi Grete!

Grete skacze na palcach do drzwi i wpycha twarz w uda Sharon.

Pojawia się syn Sharon Frankie. Wygląda jak sowa, na wpół przygnieciony olbrzymim plecakiem. Podaje Lutkowi jeden ze swoich butów i mówi: Spadł. Kiedy Lutek przykłęka, aby mu go włożyć, Sharon wygładza Grete delikatne, białe włosy, a Lutek widzi z bólem, że znowu zapomniał uczesać ją dzisiaj rano. Grete jest pierzastym dmuchawcem.

Sharon ściąga gumkę ze swoich krótkich włosów i robi dziewczynce koński ogon. Uśmiecha się do Lutka, skóra jej się marszczy przy oczach i nie jest już zmiętą matką w średnim wieku, którą codziennie widuje; jest ładna. Nic się nie stało, mówi Sharon.

Kiedy Lutek wstaje, Sharon podaje mu kawę i całuje oboje dzieci w czoło. Do zobaczenia po południu. Bądź grzeczny.

Jestem grzeczny, cicho odpowiada Frankie zranionym głosem.

Ja jestem niegrzeczna!, Grete śmieje się złośliwie.

Odchodzą w nieustające fale ludzi, Grete trzyma Lutka za rękę, Frankie wczepiony kurczowo w dłoń Grete. Własne dwuosobowe Stado Dzieci Lutka. W porannym tłoku maluchy otaczają zewsząd nogi i tyłki, objijają się o torebki i aktówki. Na czerwonym świetle Lutek pochyla się i bierze oboje na ręce. Dzieci kładą mu głowy na ramionach i oddychają mu w szczękę. Ich przedszkole jest niskie, z cegły, osłonięte postrzępionymi platanami, które Grete z powagą przytula jeden po drugim, zanim wejdą do środka.

Nauczycielka to pulchna kobieta; wygląda tak delikatnie, że wydaje się, że skóra jej pęknie, gdyby na nią podnieść głos. Patrzy na Lutka i wydaje drżący krzyk. Ojej, mówi. Nic panu nie jest? Wysypia się pan? Je pan coś? Och, nie wygląda pan dobrze.

Nic mi nie jest, odpowiada, i *nic, nic* powtarza w głowie, gdy ucieka z powrotem w chłód. Dookoła niego krążą ludzie w ciemnych płaszczach, stukają palcami w ekrany, przyciskają telefony do głowy, wsadzają słuchawki do uszu, stawiają niewidzialną ścianę muzyki, podążając przez tłum, cyfrowy towarzysz cieplejszy od ciał dookoła. Każda dusza na ulicy jest zatopiona we własnym ciele. Lutek czasami wyobraża sobie, że on, sam, jest świadkiem tego świata.

Lutka zadziwia, jak dobrze potrafi uczyć, poświęcając jedynie cząstkę uwagi. Lepiej może niż kiedy jest w pełni zaangażowany w to, co robi. Te dzieci blogów i esemesów robią się niespokojne blisko celu. Zamykają się. Lutek jest bardziej zrelaksowany, kiedy go to nic nie obchodzi, i oni też. Uczą się.

W czerwonej poświacie ciemni szczupła, dziwnie wyglądająca Sylvie przynosi szczypcami papier z jednej wanienki do drugiej. Lutek stoi obok niej. Ona ma skórę poznaczoną wypukłymi myszkami, pachnie jak puder, kawa, miodowy szampon. Patrzy na niego. Uwielbiam to, mówi. Ciemnię. Nie myślałam, że tak będzie. Cyfrowa jest o wiele łatwiejsza, wie pan?

Wiem. Dlatego jej nie robię.

Sylvie uśmiecha się w duchu. Ale taką ma pan reputację, panie profesorze. Nikt nie twierdzi, że jest pan łatwy.

Lutek jest zaskoczony; czy się przesłyszał? Jest zbyt wiele sposobów na odczytanie tego, co powiedziała, przynajmniej trzy, a Sylvie zawsze zdaje się mówić wielowarstwowo.

Lutek wycofuje się przez gumową zasłonę do jasnego pokoju, gdzie bulgoczą wodotryski. Siada na stole i czeka, aż studenci powoli się przy nim zbiorą. Jacy oni słodcy; chłopcy są ładne kilka centymetrów wyżsi od niego, ale siedzą w fotelach, aby nie odbierać Lutkowi jego dostojności. Dziewczeta bawią się włosami, obserwują go kątem oka. W jakiś sposób znają jego historię: odkąd Helle zniknęła, stał się przystojniejszy niż dotąd dla tych wrażliwych, młodych kobiet, ciężar jego tragedii zamienił jego delikatne rysy w szlachetniejsze, bardziej cierpiące. Czuje, jak się rumieni, i zaczyna mówić, aby pozbyć się zażenowania.

W porządku, przyjaciele. Wyciągajcie zeszyty. To jest najtrudniejsze.

Na większość weekendów powierza grupom misję. Zróbcie *camera obscura* w swoim pokoju i narysujcie, co widzicie. Fotografujcie obcych w metrze tak, aby oni o tym nie wiedzieli. Stańcie w czarnej jak smoła ciemni i przewińcie dwadzieścia rolek filmu, na ślepo. Kiedy wyjdziecie, zapiszcie wszystko, co o tym myśleliście, bez poprawek.

Oficjalnie jego praca to nauczanie zapomnianej pracy w ciemni fotograficznej; studia analogowe na Wydziale Fotografii. Albo to, co nazywało się po prostu fotografią, cała ta chemia i film, niedawno zdegradowana i pozbawiona statusu użyteczności. *Cyfrowa jest po prostu o wiele łatwiejsza*. Minęły lata, odkąd prowadził zaawansowany kurs, mokrej płyty, dużego formatu. Dla większości studentów jego zajęcia to wprowadzenie do hobby. Ale jego praca, jak ją rozumie, ma pomagać studentom *zobaczyć*: zmusić ich do zwrócenia uwagi, zwolnienia i docenienia tego, co robią. To coś, z czego mogą skorzystać w życiu.

W ten weekend, mówi do sześciu twarzy otaczających stół, będziecie pościć cyfrowo. Łapie się: prawie powiedział *joga*, pozostałość po Arkadii. Dwapłusdobra kwakmowa, tak czasami nazywa stary język, śmiejąc się, kiedy wymsknie mu się pomimo autocenzury. Wychowałem się w komunie, wyjaśni i poczuje się nieco zdradliwie, i opowie niektóre ze śmieszniejszych albo smutniejszych historii; lato, kiedy wszyscy dostali zapalenia wątroby od zjedzenia rukwi wodnej ze strumienia w pobliżu wychodka Baraków Rodzinnych; co stało się z małą Felipe, której biała bruzda na tłustej, brązowej szyi pozostaje niezatarta w pamięci Lutka, nawet po trzydziestu pięciu latach.

Co to znaczy pościć cyfrowo?, pyta Sylvie. Na każdych zajęciach jest wyznaczony dyżurny, a dziś jest nim akurat ona. Niezdarna dziewczyna, nadgorliwa. Musi być wobec niej wyjątkowo delikatny. Oczy jej zachodzą łzami, gdy słyszy szorstkie słowo.

Żadnych telefonów komórkowych, mówi Lutek. Żadnych komputerów, MP3, GPS, kontaktów w sieci, e-maili, czegokolwiek, co robicie i czego ja szczerze nie rozumiem. Jeżeli macie zadane z innego przedmiotu, spróbujcie zrobić to dzisiaj albo odłóżcie do niedzieli wieczór, jeśli możecie. Zobaczmy, jak długo uda wam się oprzeć syreniej pieśni zewnętrznego świata. Opiszcie mi swoją reakcję na post cyfrowy na poniedziałek. Jedna strona. Napisana ręcznie oczywiście.

Niektórzy robią miny; inni, hipsterzy, uśmiechają się. Lubią uchodzić za relikty.

Noszą dżinsy, T-shirty, trampki i okulary przeciwsłoneczne, jakie on nosił, kiedy przyjechał do miasta z Arkadii przed tak wielu laty. Przypomina sobie, że hipisi w swoim czasie wydawali się równie dziecinni.

Sylvie woła, wstając i zbierając swoje rzeczy: Nie ma problemu. Sylvie, z głucho podzwaniającymi kościanymi bransoletkami na nadgarstkach, śpiewa: Łatwizna, łatwizna.

Kiedy obudził się tego pierwszego poranka bez Helle w łóżku, był niemal spokojny. Znajdował wymówki w głowie: poszła na długi spacer po południu i odwiedziła starą przyjaciółkę, została zbyt długo, aby wracać do domu. Od czasu do czasu tak robiła. Regina i Ollie prowadzili sklep z babeczkami w mieście i mieli dodatkowe mieszkanie nad rzeką, do którego Helle miała własny klucz. Może opiekowała się ich kotami i zapomniała o tym powiedzieć Lutkowi. A może pojechała do Jincy na przedmieścia, Jin właśnie urodziła bliźnięta; i Helle zapomniała o tym powiedzieć Lutkowi. Nie chciał rozwijać tej myśli w to, co nastąpiło; znowu prochy, jej utrapienie, gdy miała dwadzieścia lat, desperacja, ślady po igłach między palcami stóp.

Lutek zabrał Grete na cały dzień do muzeum dla dzieci. Razem poszli zjeść wczesny obiad. Była to pasywna agresja, Lutek mógł przyznać. Pragnął, aby Helle wróciła do domu, do zimnego mieszkania, i martwiła się, gdzie oni teraz są; tak samo jak on ledwo hamował swoją panikę, ucisk w piersi, cały dzień. Było ciemno na dworze, kiedy wrócił z Grete do domu; ale w mieszkaniu też było ciemno.

Nocą zamartwiał się. Grete w końcu zasnęła, wołając: Mamusiu!, przez godzinę. Lutek siedział przy starym telefonie z okrągłą tarczą, którego nigdy nie zamienił na komórkę, i dzwonił do przyjaciół. Nikt jej nie widział. Zadzwoił do rodziny. Eryk, inżynier w Kalifornii, był gderliwy, jeszcze w pracy. Rączka jadł obiad ze swoją czwartą żoną Sunny, która powiedziała Lutkowi, że Rączka oszczędza głos na koncert i ona może przyjąć wiadomość; rozłączyła się, kiedy Lutek krzyknął: To córka Rączki, cholera, dawaj go. Astrid była w Tennessee w Szkole Położnych. Nikt nie miał wiadomości od Helle od tygodnia.

Numer do Ike'a nadal był w starym notesie ze sztucznej skóry: biedny Ike, nie żyje od tych dwudziestu lat, Ike, który tak jak jego siostra osiągnął swoją urodę jako nastolatek. Kochał swoje nowe, dorosłe ciało, korzystał z niego bez opamiętania z cudownymi Norweżkami, które robiły mu swetry na drutach, z mężczyznami nocą w parku. Zanim przyznał się w końcu, że jest chory, miał zmiany. Dużo nie trzeba było, aby umarł. Powiew zimnego powietrza, zapalenie płuc, weekend w szpitalu – Lutek przyjechał za późno z kwiatami, zastał łóżko jeszcze ciepłe z odcisniętym kształtem Ike'a. To były lata, kiedy rodzina Helle rzadko wiedziała, gdzie ona jest albo jak się z nią skontaktować. Helle nie miała pojęcia o pogrzebie Ike'a. To złamało jej serce, nawet po dwudziestu latach wywoływało płacz, kiedy pochłaniał ją wstyd za własne życie.

Zadzwoił do Leifa, który zareagował chłodno. Nie mógł rozmawiać. W skrócie. Nie miał wieści od siostry. Poczekaj do rana, a potem zawiadom policję. Lutek miał zadzwonić do niego, jak zgłosi na policję. Lepiej wcześniej niż później. Ton wybierania.

Była północ, kiedy zadzwonił do Hanny, która właśnie wyprowadziła się od Abe'a. Obserwował zaalarmowany, jak Hanna nagle zamieniła się w furiatkę, w nową Hannę,



rozkrzyczaną. Kiedy jego matka odebrała telefon, Lutek usłyszał w tle pustynię, skowyt kojota, bzyczenie owadów; niemal wyczuwał ścianę gorąca wznoszącą się przed nim, niemal widział rozcapierzone saguaro. Uczyła tam historii na uniwersytecie i nadal była tak pełna złości na Abe'a, że nie mogła wypowiedzieć jego imienia. *Twój ojciec*, tak go nazywała. Nie miałam wiadomości od Helle, powiedziała tamtej nocy. Zadzwoń do ojca.

Chociaż Lutek był po stronie Hanny (zawsze po stronie Hanny; biedny Abe), intensywność wściekłości matki go zaskakiwała. Jej gniew wydawał się nieumiarkowany w świetle grzechów Abe'a. Lutek rozumiał, jak bardzo ona jest zmartwiona: Abe wydał ich życiowe oszczędności na budowę domu w Lasku Klonowym Arkadii, zmarnotrawił te wszystkie lata zaciskania pasa i powiedział jej, że znowu są biedni, kiedy ich nowy dom był prawie gotowy. Gorzej, Abe stał się oficjalnie dzikim lokatorem: korporacja Leifa, Erewhon Illuminations, teraz wynajmowała stary Dom od Rączki. Leif był lalkarzem, potem przeszedł do filmu i kiedy zmęczyło go wpychanie ręki w filcowane dupy, zajął się filmami generowanymi komputerowo. Jego ostatni opowiadał starą szkocką balladę *Studnia końca świata*. Był koszmarny, szokująco piękny. Krajobraz był czystą Arkadią. Firmowe ranczo w Kalifornii okazało się za małe, a Rączka nadal oficjalnie był właścicielem Arkadii i zawsze potrzebował pieniędzy, więc Leif przejął tytuł własności. Co należało do Wolnych Ludzi, stało się teraz własnością korporacji; profanacja! Diaspora Arkadii zbuntowała się. Zjechali się squatterzy, mężczyźni z włosami w kucyk i z namiotami tak starymi, że boki rozpadały się przy słabym wietrze, kobiety z tyłkami miękkimi jak brioszki. Większość wkrótce wróciła do siebie, ale czwórka została, aby budować domy. Midge wkopała się w zbocze od strony Klonowego Lasku, geotermalnie kontrolowana chata, jej własna nora hobbita. Tytus i Zalotna Sally z dziećmi zbudowali domek na drzewie. Scott i Lisa, ukrywając swoją anarchistyczną naturę pod swetrami Brooks Brothers, zbudowali chatę w stylu misji z widokiem na Staw. A Abe, stary inżynier, przelał całego siebie w ten dom. Miał obsesję na punkcie tego, co stanie się pod koniec ery ropy naftowej, i uniezależnił się od prądu z sieci, przeszedł na energię solarną ze wsparciem z młyna; z systemem gromadzenia wody deszczowej, zapasową studnią; z ogrzewaniem solarnym, zapasowym piecykiem na drewno; a wszystko z materiałów w osiemdziesięciu procentach z odzysku. Nawet izolację wykonał ze zniszczonych banknotów dolarowych z Fort Knox.

Kiedy Lutek zadzwonił do ojca w noc po zniknięciu Helle, wyobrażał sobie posępny, pusty Lasek Klonowy, las napierający na staruszkę. Abe odebrał spanikowany. Co się stało?, spytał. Kiedy Lutek wyjaśnił, ojciec zamilkł. W końcu powiedział: Helle była taka niespokojna, kochany.

Wiem, jaka jest niespokojna, odparł Lutek. Była w porządku przez cztery lata.

Abe nic nie odpowiedział. Lutek rozłączył się, twardo.

Lutkowi chciało się płakać z frustracji. Usłyszał jakiś mysi dźwięk, podniósł wzrok i zobaczył Grete, bladą w drzwiach, z pluszową żabą w ramionach. Nie mogę spać, poskarżyła się. Mamusia musi przyjść.

Mogę spróbować?, spytał Lutek.

Nie. Mama.

Mama poszła na spacer, odpowiedział Lutek. Może opowiem ci bajkę? A ona była

zbyt zmęczona, aby się opierać, i Lutek usiadł z nią wtedy tak, jak siadał z nią co noc od tej pierwszej, czekał, aż oddech jej się wyrówna we śnie, aż do rana, i zastanawiał się, jak, do diaska, ją teraz obroni.

Czyta wypracowanie Sylvie o jej poście cyfrowym trzy razy, zanim je odkłada. Sylvie ma drobne, ciasne pismo i wykorzystuje całą stronę. Opisuje, jak z początku czuła się samotna, odcięta od znanego jej życia. Trochę panikowała, myśląc o tym, co by się stało, gdyby jej ojciec miał atak serca albo jakiś profesor przesłał ważnego maila, i żeby uciec przed niepokojem, poszła na długi spacer. Dziwnie było spacerować na dworze bez muzyki w uszach. Miasto wydawało się tak głośnie, a teraz, gdy słyszała jego regularne odgłosy, mogła też wyczuć inne rzeczy, zapach precli na straganie, głęboki błękit w zwojach pary ze studzienki. Długo siedziała w parku, obserwowała opalizujące szyje gołębi. To wydawało się magiczne. Taki cudowny kolor u brudnych ptaków. Ludzie przemykali obok, a ona zauważyła, jak nagie są ich twarze, jakby tak bardzo przywykli do tego, że nikt na nich nie patrzy, że pozwolili sobie znowu być widziani. Aby się ogrzać, poszła do Film Forum; puszczała filmy z lat czterdziestych. Dziwnie było wejść do kina w jasny, zimny dzień, korciło ją, aby sprawdzić pocztę albo esemesy, i niezręcznie się czuła sama. Ale kupiła wielkie wiaderko popcornu i siedziała tam, i po pierwszym filmie zaczęła naprawdę dobrze się bawić. To tak, jakby wzięła sobie wolne od życia. Potem jakiś mężczyzna usiadł obok niej. Był przystojny, szpakowaty. Było coś w tym niemal pustym, starym kinie z aksamitem i złoceniami, z gorącym masłem na dłoniach, ze wzruszającą panoramą filmów wysoko na ekranie, z profilem przystojnego mężczyzny, jego wonią mydła i kremu do golenia, wydawało się to wytworne i wywoływało napięcie. Przestała patrzeć na film, czekała, aż mężczyzna obok niej jej dotknie, nie wiedziała, czy będzie krzyczeć i ucieknie, czy jeżeli podda się uczuciu, to straci głowę. Nie dodaje, co się stało. Píše tylko, że kiedy wracała do domu, z kolanami jeszcze jak z waty, w elektryzującym chłodzie ciemności, nawet bez telefonu dla bezpieczeństwa, zrozumiała, jak bardzo żywi musieli czuć się ludzie, gdy nie mogli skontaktować się z kimś w dowolnym czasie. Ile wysiłku wymagało skontaktowanie się z kimś. Wtedy przeszłość była bardziej subiektywna, wyobraża sobie, ponieważ nie podawało się wszystkiego automatycznie w sieci, aby wszyscy mogli to zobaczyć; przyszłość była bardziej odległa, ponieważ trzeba było ją skrupulatnie zaplanować. To oznaczało, że terażniejszość była o wiele intensywniejszym doświadczeniem. Ostatni raz tak odbierała życie, kiedy była dzieckiem, a tęsknota za tamtym czasem niemal nią zawładnęła.

Sylvie obserwuje go, kiedy rozdaje wypracowania. Nie spuszcza oczu z jego twarzy.

Wychodząc, mówi: Profesorze Stone? A moja ocena? Inni studenci wylewają się drzwiami, a on słyszy ich kroki na korytarzu, ich uwolnione głosy, coraz donośniejsze na klatce schodowej wiodącej do poziomu ulicy. Pakuje swoje rzeczy i otwiera Sylvie drzwi, zamyka je za sobą na klucz, kiedy oboje są już na korytarzu.

Dostałaś bardzo dobry z minusem, Sylvie, odpowiada.

Wiem, mówi dziewczyna. Miałam nadzieję na bardzo dobry.

On uśmiecha się do niej, a ona do niego, przyjaźnie. Ma radosną twarz, która zawsze jest głodna; jak szczeniak gotowy na pieszczoty. Lutek mówi, jak najzyczliwiej:

Sylvie, piątka to ideał. Nigdy nie miałem idealnego studenta. Nikt nie jest idealny.

Mówi to, a jednak odczuwa w sobie dziwne drżenie, ostrość, i rozumie, jak bardzo pragnie spotkać kogoś, kto udowodni, że jest w błędzie.

Cóż, mówi Sylvie, popychając drzwi i wychodząc na rześki chłód. W świetle słońca ciemne myszki na jej twarzy są jeszcze ciemniejsze, a jej skóra przezroczysta. Na skroniach ma błękitne gałązki. Stoi cała w niezdarnych kątach. Pociera jedną stopą o drugą. Odwraca wzrok, wbija go z powrotem w jego brodę, Niech pan mnie wypróbuj, dodaje pospiesznie, pod nosem.

Dobór rejestru. Macha do niej ręką i odchodzi. Trzy przecznice dalej nagle przychodzi mu do głowy odpowiedź. Rozumie teraz, że powinien powiedzieć: Nie moim zadaniem jest wypróbować.

Co kilka semestrów zdarza się coś takiego: nieśmiała dziewczyna rumieni się, kiedy on staje obok niej, pewna siebie dziewczyna, która ma oczy zamglone sugestywnie. Helle mawiała, że dzieje się tak, bo Lutek jest mały, łagodny i emanuje troską. One patrzą na ciebie i widzą męża, zaśmiała się.

Zawsze myślałem, że to dlatego, że jestem ujmująco sexy, odpowiedział Lutek.

Och, jesteś sexy. Ale bliżej ziemi, przez co jesteś bardziej pokorny. Nie stanowisz zagrożenia.

Lutek poczuł żądło w jej słowach. To widzisz?, spytał w końcu.

Wtedy Helle podeszła i dotknęła czołem jego czoła, z uśmiechniętymi oczyma. Widzę swojego najlepszego przyjaciela, szepnęła. Wtedy to wystarczyło.

Sprząta ciemnię w szkole i zastanawia się, gdzie podziały się jego marzenia. Nie były tak bardzo wielkie; nie były zbyt ciężkie do udźwignięcia. Spuścizną po Arkadii było to, że jego dążenie do szczęścia nie było zgrane z dążeniami świata; jego priorytetem były bezpieczeństwo, spokój, zapewnienie jedzenia, schronienia i pieniędzy, książek i miłości, luksusu poszukiwania prawdy poprzez sztukę. Nie wydawało się to nie do osiągnięcia. W mieście, gdzie były miliony utalentowanych artystów, jego ciche, powolne dążenie było postrzegane jako forma bez ambicji. A nawet to dążenie po odejściu Helle zniknęło.

W przypiływie złości chwyta wywołaną fotografię – próba skadrowania – i pisze na odwrocie. Sporządza listę indywidualnych wystaw, jakie powinien mieć, stypendiów badawczych, wygranych konkursów, galerii, o których względy powinien się starać, cen, jakich powinien żądać. Wyobraża sobie nową serię portretów powiększonych do tego stopnia, że całość zalewają szczegóły: ten mieszek włosowy, ta poza. Pisze szczegółowy plan na następny rok, jak osiągnąć to wszystko, i zamyka ciemnię, czując przypiływ sił.

Lecz ten konspekt żenuje go, wulgarne gryzmoły. Gdy wychodzi z budynku, składa go wielokrotnie i wpycha do portfela. Tam zalega cały dzień, jakby mówił mu to, co już wie, w końcu z ulgą wyrzuca go do śmieci.

Jego kobiety dzwonią do niego. Hanna z pustyni codziennie; co kilka tygodni Puchatka, Marilyn, Midge, Eden, Regina, Słodka. Raz w tygodniu Astrid wyczekująca wiadomości. Lutek mówi, jak zawsze, że niczego się nie dowiedział od policji ani od prywatnego detektywa. Detektyw o szurzej twarzy z sumiastym wąsem, jak przerośnięty Herkules Poirot, staromodna elegancja, która absurdalnie uspokoiła Lutka, gdy spotkał tego człowieka. Lecz Lutek zaczyna podejrzewać, że detektyw nie robi nic

poza chowaniem do kieszeni tysiąca dolarów na tydzień, na co Lutka nie stać. Astrid zawsze łamie się głos podczas rozmowy przez telefon.

Dzisiaj Astrid mówi: Och, moja biedna córca. Nie żyje, czuję to.

W Lutku rozpala się gniew: Astrid. Ona tam jest. Wierzę, że ona nadal żyje.

Oddech po drugiej stronie. Zgoda na wdechu. Tak, mówi Astrid powoli. Wierz. Ktoś z nas musi.

Natychmiast po niej dzwoni Jincy, za nią krzyczą jej bliźnięta. Przez sześć miesięcy w zeszłym roku Jincy nie rozmawiała z Lutkiem po tym, jak zaprosiła jego i Helle na kolację i napchała ich jak gęś na pasztet z wątróbek, nerwowo bawiła się włosami, aż rozpadły się jej dzikimi lokami, a w końcu Helle odłożyła widelec i powiedziała: Dobra, Jin, powiedz nam, o co chodzi. Wtedy Jincy spojrzała na Lutka i wyrzuciła z siebie, że ma już czterdzieści dwa lata i zawsze myślała, że nie chce mieć dzieci, ale teraz tak bardzo ich zapragnęła, że chciałyby poprosić Helle i Lutka o darowanie spermy, i, och, mój Boże, powiedziała to naprawdę. Nie chciała ich obrazić. Więc zastanówcie się. A oni obiecali, że się zastanowią, i z powagą wrócili do domu. Lutek patrzył, jak Helle rozbiera się tej nocy po ciemku, powoli odkleja czarną sukienkę z ramion. Naga zaczyna się trząść. On wyciągnął rękę, aby ją pocieszyć, wtedy zorientował się, że Helle się śmieje. Kiedy się uspokoiła, powiedziała: Powinieneś to zrobić. To słuszne. Poza tym wszyscy wiedzą, że i tak powinieneś być ożeniony z Jincy. Byłbyś szczęśliwszy. Uśmiechnęła się słabo, naciągnęła kołdrę i zasnęła. Tak więc Lutek odpowiedział Jincy: nie, chociaż to mu złamało serce; mówił, że to przez świat, który jest teraz taki przerażający, kiedy jest na nim jego jedno dziecko. Lecz wie, że odmówił ze względu na zdecydowane odrzucenie przez Helle zazdrości. Kiedy Jincy miała urodzić bliźnięta, przyszła do nich z naręczem piwonii i czekoladowym ciastem. Powiedziała: Co było... i na tym koniec.

Rozłącza się i ma już wracać do fresku na ścianie u Grete – maluje teraz Tytusa, olbrzymia, w Stróżówce – kiedy dzwoni telefon. To Hanna.

Nic?, pyta mama.

Nic, odpowiada on. Wyobraża sobie swoją matkę. Straciła dużo na wadze; wygląda jak jedna z tych chudych, opalonych, spędzających czas na powietrzu kobiet, które cały dzień gdzieś wędrują, kobiet o pięknych nogach i rozjaśnionych słońcem włosach. Lecz jej głos robi się coraz bardziej posępny. Lutek mówi: Nic ci nie jest, Hanno?

Chyba, mówi ona, jestem samotna. Piję za dużo.

Teraz Lutek wychwytuje bourbona w zadymionym, szorstkim głosie. Jaka to szkoda, kiedy ludzie ulegają temu, czego inni po nich się spodziewają. Z drugiej strony jego butelka wina już zrobiła się pusta tego wieczoru. Odpowiada: Ja też.

Siedzą razem w kojącej ciszy. Kiedy śmieciarka miele w dole na ulicy, Lutek pyta: Hanno, czy warto skazywać się na samotność tylko z powodu dumy? Naprawdę. Masz wybór.

Tylko dlatego, odpowiada Hanna, przeżuując słowa. Tylko z powodu dumy.

Hm, dlatego nie rozmawiasz z Abe'em.

Proszę. Masz lepsze powody od dumy, mówi Hanna.

Jest coś więcej w tej historii?, pyta Lutek. Przyjął, że to takie proste: pieniądze, uniwersalny klin między ludźmi. Nie miał siły wyobrazić sobie więcej.

A nie jest tak zawsze?, odpowiada Hanna, a Lutek to rozumie, cokolwiek to jest, jej lojalność wobec Abe'a nadal jest zbyt silna, aby powiedziała.

Tęsknię za nią, mówi Lutek, w końcu.

Och, kochanie. A ja tęsknię za twoim ojcem, tym starym draniem na kółkach.

Sharon otwiera drzwi z zaczerwienionymi oczyma, kasztanowe włosy ma nastroszone jak kapelusz grzyba. Lutek pyta: Źle spałaś?, a Sharon wzrusza ramionami i odpowiada: Gorzej niż zwykle. Wczoraj doręczono mi papiery r-o-z-w-o-d-o-w-e.

Przykro mi, mówi Lutek, ale musi opanować ukłucie zazdrości; przynajmniej to koniec żalu dla Sharon.

Wczoraj dziewczyna, którą była Helle, była wszędzie. Na fotografiach na ścianach w mieszkaniu, w kruchych nadgarstkach barmanki, która podawała mu herbatę w uniwersyteckiej kawiarni, w magazynie na stoliku u dentysty. Te młode gwiazdki w Hollywood wszystkie chcą być tym, kim ona była: szczupła pod warstwami ubrań, o czystej, białej twarzy, nieokreślona. To tak, jakby pojęcie Helle, które nosił w sobie przez dwadzieścia pięć lat, rozkwitło na cały świat.

Ledwo przeżył przeprowadzkę z Arkadii na twarde Zewnątrz, kiedy miał czternaście lat. Był samotny. Dookoła brzydkie miejskie drzewa, gołębie. Mocz oblepiał ściany. Nie znał nikogo i godziny wypełniały mu samotne spacerunki. Ulice Queens wbijały się krzywo w inne ulice; parki, drwina z przyrody. Czuł się odsłonięty, podatny. Kokon opowiadań, który zawsze go otulał, jego osobista mitologia, był niewidzialny, więc nikt go nie znał; nikt nie wiedział, że jest cudownym dzieckiem, Malutek Hipis, syn Abe'a i Hanny; nikt nie wiedział o upadku Abe'a i o legendarnej sile Hanny, nikt nie znał bajki o spotkaniu z Verdą w śnieżną noc; nie znali koszmarów małej Felipe ani Mknącego Starucha, ani Dnia Kukunii; w ogóle niczego nie wiedzieli. Spojrzeli raz na jego wątłe ciało i próbowali umieścić go w siódmej klasie; kiedy pokazał im swoją matematykę, historię, biologię, niechętnie umieścili go w przedostatniej klasie, z uczniami starszymi o dwa lata, tam został, ryzykownie. Innych dzieci nie rozumiał. Boksowały się, strzelały z gumy, uprawiały sporty krwawe jak wojny w miniaturze. Były okrutne. Nazywały go Lutek-Dupek; nazywały go Śmierdziuchem, bo z początku nie śmiał kąpać się częściej niż dwa razy w tygodniu, chociaż woda była bezpłatna, a mydła pod dostatkiem. Kiedy wracał do domu ze szkoły, było tak, jakby ciągnął za sobą worek ołowiu.

Nawet rzeczy, które z początku uznał za dobre, wkrótce wywołały w nim uczucie pustki: chipsy serowe, masło orzechowe, oranżada, draże owocowe, którymi się zajadał, aż się rozchorował. Przez migające światła, które instalowali w supermarketach i szkołach, nawet mrużenie oczu wydawało się pracą. Na ulicach było pełno psów, które zawsze uznawał za dobre, spokojne zwierzęta, ale te dławili się na smyczach, zostawiały nigdy nie sprzątane kupy na betonie. Lato ochłodziło się, przechodząc w jesień, ale poza słabszym światłem, powiewem zimna, ta pora tak naprawdę nie mogła nastąpić w pełni. Nie było złotych odcieni, żadnych porywów wiatru, dymu z ognisk. Jedynie chodniki robiły się smutniejsze, aż w końcu pojawił się brudny lód. Najgorsi byli ludzie. W tym, co robili, nie było troski. Pewnego dnia na rogu ulicy pękła rura. Zjawili się robotnicy w pomarańczowych kombinezonach, załatali dziurę betonem, a po tygodniu rury znowu pękły. Ludzie kłócili się z sobą w miejscach publicznych i mieli zawistne twarze.

Wszyscy byli bladzi, obrzmiali, niezdrowi. Z początku dziwiła go ta otyłość, to, że wszyscy są grubi, aż pewnego dnia uderzyło go, że to nienormalne być tak ogorzałym i wymizerowanym jak Arkadianie: to nienormalne widzieć żebra przyjaciół przez koszulę, to nienormalne, aby mężczyźni i kobiety razem pracowali z odsłoniętymi torsami przez cały dzień na równi, gdy wszystko lśniło w słońcu. W nocy hałasy, które docierały przez ściany, były stłumione, przeróżne dźwięki z telewizji albo podniesione głosy sąsiadów. Nie było żadnych delikatnych piosenek, żadnych kołysanek. Na korytarzu widział, jak matka uderza dziecko pięścią.

Nawet w mieszkaniu wszystko było ponure: szare linoleum, meble z darów. Rodzice kręcili się, na twarzach malował się żal warstwą grubą jak farba. Cisza między nimi narastała, tworząc konsystencję mokrej gąbki. Hanna stała w oknie, obejmując dłońmi kubek z herbatą, aż ostygł. Wraz z zimą oczy jej się zapadały. Kiedy wracała do domu z pracy biurowej w opiece społecznej, w milczeniu jedli obiad. Mieszkali na piątym piętrze i nie było windy, a Abe nie mógł dostać się na ulicę bez pomocy Hanny i Lutka, którzy musieliby go znosić, więc przez cały dzień krążył tysiąc razy po mieszkaniu w wózku. Kółka wygryzły ślady w dywanie.

Kiedy Lutek zniechęcił prawie wszystko na świecie na Zewnątrz, nienawidził nienawiścią irracjonalną, do porzygania, był złotą rybką w sklepie zoologicznym ulicę dalej, nieskończenie, tępo ślizgającą się wzdłuż szklanych ścian. Kiedy zbliżał się do tego sklepu w drodze do szkoły, przechodził na drugą stronę ulicy. Bał się samego siebie, tego, jak bardzo chce rozbić szybę wystawową, wziąć rybkę w zakrwawione ręce i zanieść nad rzekę. Tam położyłby ją w strasznie zimnej wodzie i uwolnił. Mogłaby zostać połknięta w sekundę, zniknąć nagle w zębatej paszczęce. Lecz przynajmniej przez tę sekundę czułaby na skórze żywą słodycz, wodę, której nie zabrudziła własnym umiarkowanym ciałem.

Jego przyjaciele z Arkadii rozpięchli się i nie potrafili ich odnaleźć. Nie szukał przyjaciół z Zewnątrz. W szkole pracował idealnie, więc dorośli zostawiali go w spokoju. Hanna i Abe coś mówili do niego, a on kiwał głową i odwracał się plecami. Sypiał dłużej, a kiedy nie spał, zamykał się w łazience. Zdobył czerwoną żarówkę w sklepie fotograficznym i ukradł Hannie pieniądze na chemikalia, i jedynie w półświatle swojej zaimprovizowanej ciemni patrzył, jak świat pojawia się na białym papierze, a wtedy czuł, że ożywa w nim jego stare ja. Mógł kontrolować świat. Mógł tworzyć małe okienka, które mieściły mu się w dłoniach, i studiował je, aż zaczynał je rozumieć.

Wiosna pierwszego roku poza Arkadią przetoczyła się w lato. Kiedy nie było szkoły, w ogóle nie wstawał z łóżka. Odmawiał jedzenia. Stracił dziesięć kilogramów. Kiedy przestał mówić, rodzice, którzy już znali ten objaw, poszukali pomocy.

Ponure korytarze, lekarka, która trzymała Lutka za rękę, galaretka z owocami z puszek, kręgi smutnych ludzi przemawiających w powietrze, aby uwolnić z siebie demony, rodzaj duchowego oczyszczenia. Mgła czasu, Hanna płacząca w oknie, przybita winą, raz wyznała lekarce, że to ona przekazała ten smutek Lutkowi. On obserwował wszystko jakby z daleka. Odwiedzała go codziennie i obcinała mu paznokcie, czesała włosy i opowiadała historie, trzymając go na kolanach jak małe dziecko. Co rano Lutek połykał pigułkę, a substancja powoli uwalniała się do organizmu, rozwijała się tam,

nadprzewodnik, ściągała na powrót magnetyczne drzazgi, na które się rozpadł, jedną po drugiej. Ostatecznie postawili barykadę między jego smutkiem a światem. Od tamtej pory codziennie łykał tę samą tabletkę. Boi się tego, co może się stać, gdyby jej nie zażył. Chemia wzbiera w ciemnościach jego mózgu. Nawet na prochach miewał długotrwałe doły. W ostatniej klasie niepokój pożerał go w całości, a on nie wychodził z mieszkania przez miesiąc; po atakach terrorystycznych na miasto; ciche skradanie się przez pierwsze kilka miesięcy po odejściu Helle. Z tego ostatniego jeszcze się nie wygramolił.

Po pierwszym epizodzie smutku Lutek wrócił do szkoły i chodził do niej aż do jej ukończenia, a potem dostał się do college'u. Na drugim roku w Cornell, kiedy odwiedził Jincy w Smith, usłyszał, że Helle wróciła z Norwegii. Jincy w jakiś sposób stała się węzłem w środku sieci: odnajdywała ludzi i pozostawała z nimi w kontakcie. Lata po pierwszym spotkaniu to Jincy powiedziała mu, że Helle pracuje jako modelka, głównie na lokalnym rynku, katalogi JCPenney i reklama. Potem Helle wyjechała do Los Angeles. Stamtąd do San Francisco. Później poszła na odwyk. Cole znowu stał się najlepszym przyjacielem Lutka; odnaleźli się, gdy mieli po dwadzieścia cztery lata, w sklepie spożywczym dwie przecznice od swoich domów. Cole przejął rozmowę: Helle miała męża. Małżeństwo zostało anulowane. Była w Miami. Potem długo nikt nie wiedział, gdzie jest.

Nagle Lutek skończył trzydzieści pięć lat. Czas, jak często myśli, tak się toczy. Znudziła mu się bieda, walka o względy galerii, kilka indywidualnych wystaw nie zadowalało już dłużej wystarczająco. Wrócił do szkoły zrobić magisterium sztuk pięknych, dostał stanowisko profesora uczelnianego na uniwersytecie.

Pewnego dżdżystego dnia wiosną Cole zadzwonił do Lutka i powiedział, że Helle przyjeżdża do miasta. Zatrzyma się u Słodkiej, która wyszła bogato za męża i miała przestronne mieszkanie przy parku. Słodka zaprosiła swoich synów na obiad, ale Cole i Dyllie nienawidzili się, bo Dyllie, po latach pracy redakcyjnej, znalazł zajęcie jako komentator w mocno prawicowym programie informacyjnym w telewizji kablowej.

Młody, przystojny, pod muszką, czarnoskóry, żywiący irracjonalną nienawiść do wszystkiego, co liberalne i hipisowskie, mówił Cole przez telefon. Jest neokonserwatywnym mokrym snem.

Dobry Boże, mruknął Lutek, chociaż mógł myśleć tylko: „Helle, Helle, Helle”, dziewczyna o bezradnej, białej twarzy, z ćwiekiem połyskującym w nosie.

Cole się śmiał. Powiedział: Słodka zawsze mówi: „Bóg wie, dzieciaki, że wybrałam wam odpowiednie imiona, Cole czarny, a Dyllie biały, ale los jakoś zamoczył was w innej farbie”. Oczywiście na to Dylan krzyczy: Racistka!, co czyni wyłącznie w stosownych momentach. Chcę tylko powiedzieć, że musisz przyjść na obiad, choćby żeby utrzymać między nami pokój. Jesteś taki nieszkodliwy.

Lutec dałby sobie odciąć prawą rękę, żeby znowu zobaczyć Helle, ale tego wieczoru miał otwarcie swojej wystawy. Chemiczny Czterowiersz – tak galeria nazwała wystawę. Była kobieta, która zrobiła olbrzymie zbliżenia organów płciowych polnych kwiatów; mężczyzna, który przywiózł ciężarówką podwójne negatywy i znalazł swojego ducha pośród cieni budynków; kobieta, która ustawiała brutalne scenki z nagimi dziećmi. Lutek i jego portrety w dużej skali.

Nie ma problemu, powiedział Cole. Pójdziemy wpierw na pokaz, a po nim do Słodkiej.

Lecz Lutkowi tego wieczoru nie udało się dotrzeć do Słodkiej. Bracia sprzecali się o parkowanie, a Helle miała tego dość; otworzyła drzwi samochodu w ruchu i wskoczyła do galerii, żeby od nich uciec. Strząsnęła deszcz z krótko ściętych włosów, zadźwięczały jej kolczyki. Nawet z daleka Lutek widział, że życie twardo ją potraktowało. Widok jej obwisłej skóry, namalowanych brwi załamał go. Była żyłasta i smutna, ale z jakiejś przyczyny przyciągała wzrok, tak jak zawsze. Wstrzymywał oddech, gdy na nią patrzył. Ona zauważyła go w narożniku z lampką wina i wtedy jej sztuczny uśmiech znikł; podeszła szybko do niego. Osunęła się mu na ramię; głęboki zapach jej skóry nadal był ten sam pod pomarańczowo-goździkowymi akcentami perfum. W wystawnym blichtrze galerii minione lata odkleiły się od niego, i szumiały między nimi stare historie naprężone jak linie wysokiego napięcia.

Zabierz mnie do domu, wyszeptła mu w szyję. Więc zabrał ją, wyskoczyli w noc, zanim bracia Foxowie zdążyli zaparkować. Zanim weszli do galerii i zobaczyli własne przystojne, dorosłe twarze z Zewnątrz zestawione z ich boleśnie czułymi i otwartymi twarzami z Arkadii. Jak mu później powiedzieli, najbardziej poruszające były dla nich puste miejsca między kadrami, przeskoki, które zdarzyły się niewidzialnie między *wtedy* a *teraz*.

Brutalny poranek listopada; Lutek przechodzi przez protestujący tłum na Union Square. Jest tak zimno, że jaja ci znikają, myśli i przypomina sobie rok głodu we Francji po college'u, kiedy był złakniony okrucich wizji rozsianych przez wielkiego fotografa, do którego przejechał pół świata. Lutek był gotów zrobić cokolwiek: zamiatać atelier, wymyślać wymówki dla żony fotografa, kiedy ten był ze swoją kochanką, robić kopie stykowe, robić same powiększenia. Marzył i głodował, był nieznośnie biedny. Zobaczył siebie w oknie sklepu i zdziwił się, że wygląda jak mały, wychudły urwis, jakby wyjęty z Wiktora Hugo, gawrosz nocą obgryzany przez szczury w brzuchu stalowego słonia. Był na targu i szukał poobijanych owoców, aby utargować cenę do centymów, kiedy jedna staruszka, tłusta chłopka o sterczących zębach, przywołała go. *Mon pauvre*, powiedziała z oczyma pełnymi miłości. Była czyjaś matką. Ułożyła dłonie Lutka w koszyk i nasypała do nich cudownych, fioletowych fig, delikatnie oszronionych. *Couilles du pape*, dodała, puszczając oko, a on teraz się uśmiecha na to wspomnienie. Jaja papieża: małe, zimne, fioletowe.

Nadal uśmiecha się na tę myśl, wie to, bo protestujący uśmiechają się do niego w odpowiedzi, gdy go widzą. Twarze mają pomalowane na biało, a na sobie białe szaty. Robi im zdjęcie, potem dziesięć. Ogląda jedną z ich ulotek, wydrukowaną na papierze koloru różowego policzka. Protestują przeciw Guantanamo, otchłani terrorystów. Protestują przeciw torturom, brakowi należnego procesu. Bardzo dobrze; on jest po drugiej stronie.

Lecz jego oko trafia na zwrot, który przeszywa go niczym błyskawica. *Anonimowy więzień: osoba uwięziona anonimowo, tak że rodzina nie wie, co się z nią stało.*

Przez moment trzepocze w nim ulga. Naszła go szalona myśl: Tam jest Helle; to pomyłka, Helle powiedziała coś głupiego publicznie, jak zwykle to robi na przyjęciach:



*Jezu, gdybym była śmiertelnie chora, przywiązałabym sobie bombę i pozbyła się Cheney'a i Busha za jednym zamachem.* Albo oglądając w telewizji program, w którym kobiety płaczą i lamentują nad zniszczoną ekonomią: *Kurwa, co my robimy z tym biednym krajem, nic dziwnego, że oni chcą nas wszystkich wymordować.* Ktoś doniósł na Helle, tak podejrzewa. Założyli jej teczkę. Widzi, jak Helle wychodzi z mieszkania na spacer. Widzi, jak podjeżdża samochód, zarzucają jej worek na głowę i połykają ją. Helle w pomarańczowym kombinezonie przy stole z blachy nierdzewnej, a federalni nie wiedzą, jaka ona jest nieszkodliwa, jak zniszczona, jak bardzo Grete jej potrzebuje.

Lutek wyrzuca ulotkę do kosza. Zatacza się; musi usiąść. Przez chwilę czuł ulgę na myśl, że Helle jest wrogiem państwa, że nie została porwana, sprzedana do niewoli, zgwałcona, zamordowana; że nie upiła się i nie straciła przytomności w jakimś parszywym motelu z igłą wbitą w żyłę pod gumową opaską. Gorsza od tych wszystkich możliwości jest myśl, że odeszła zdrowa na ciele i umyśle. A najbardziej boli go to, że doznał przebłysku spokoju: wolałby raczej wyobrazić sobie, że jego żona jest torturowana w tajnej celi, niż że zdecydowała się ich więcej nie kochać.

Lutek rano odwozi Grete do przedszkola i stoi, patrząc za nią długo jeszcze po odejściu innych rodziców. Asystentka ma twarz przejrzystą jak okno na mansardzie pod okapem kasztanowych włosów, bierze go za łokieć i wprowadza delikatnie na korytarz. Lutek mruga oczyma. Z oddali dochodzą głosy dzieci, zapach ich ciepłych ciał, słońce zalewa miodowy korytarz, ale coś zimnego chwyta go za kark i nie pozwala się ruszyć.

Patrz, rozkazuje sobie. Patrz uważnie. Na środku podłogi leży papierek. Patrzy, aż papier staje się przerażająco dziwny. Rozgałęzione załamania na powierzchni, wgniecenia po siekaczach na brzegu, papier ma pory niczym skóra, pierzasty bazgroł narysowany na nim ołówkiem, sposób, w jaki róg karteluszką porusza się najdelikatniej na leciusieńkim niewidzialnym wietrze, kołysząc się bez końca we własnym cieniu, światło z okien kondensuje się w bieli, jak papierek ma siłę większą od wszystkich innych przedmiotów, tylko dlatego że został dostrzeżony.

Pamięta listę pięknych rzeczy, które robił, jak był mały, i jak powtarzał cicho litanie do matki, próbując wydobyć ją z łoża bóleści. Znowu sporządza listę: ta smuga popołudniowego światła na kaflach na ścianie metra, drzewo na zewnątrz pełne plastikowych toreb o białych brzuchach wzdętych wiatrem, mała łyżeczka w rączce Grete, zapach myszokoczka w oddechu Grete, Grete uciekająca przed nim na placu zabaw, stająca się groszkiem, plamką, kropką. Na nowo i na nowo, wszystkie dobre rzeczy wracają do jego zachwycającej Grete. Grete sprawia, że czar pryska. Lutek znowu może się ruszać.

Hanna przylatuje na tydzień na Święto Dziękczynienia. Abe też przyjeżdża; Tytus zgodził się go przywieźć rano w święto. Abe to tajemnica. Lutek jeszcze nic mamie nie powiedział. Chyba nie będzie miał odwagi, dopóki ojciec nie zadzwoni do drzwi.

Na lotnisku, kiedy Hanna czeka na bagaż, jej twarz wydaje się stara i zniszczona. Jej włosy mają różne odcienie siwizny, splecione są w jeden długi warkocz, który okala jej ramię. Jej worek marynarski jest ciężki. Hanna przygląda się ziemi. Jej usta poruszają się niemal ze złością, a Lutek nie może uwierzyć, że jego matka należy do kobiet, które w samotności zaczynają mówić do siebie. Wyobraża sobie śliskie zbocze; zgrają kotów,

śmietnik pełen butelek, Hannę jako bezdomną. Bez namysłu rozgląda się za Abe'em. Nie widział rodziców osobno, od kiedy był mały.

Wtedy Grete podskakuje i krzyczy, Hanna podnosi wzrok, a kiedy widzi Grete, twarz ma znowu młodą i staje się wielką, złotą Hanną, upada na kolana, żeby przytulić wnuczkę. Przedziałek w jej włosach, kiedy go całuje, ma ten sam ciepły zapach zakwasu. W głowie mu wiruje; czuje się przebudzony.

Trafił im się luksus wspólnego czasu, to niemal zbyt wiele. Grete tuli się do Bahani, ściska ją, prowadzi od zabawki do zabawki, od sklepu do sklepu. Wyciska długie, powolne całusy na jej ustach. Są takie sobą zaabsorbowane, że Lutek odczuwa przyptyw zazdrości i śmieje się z siebie: o którą jest zazdrosny? Zainteresowania której z nich brakuje mu najbardziej?

W staromodnej lodziarni, gdy Hanna i Grete szepczą i karmią się łyżeczkami zmrożonego cukru, przychodzi mu do głowy pomysł. Hanno, Lutek zaczyna, a ona podnosi wzrok, ma rumianą twarz. Czy mogłabyś jutro cały dzień popilnować Grete? Chyba wybiorę się pociągiem do Filadelfii.

Hanna szuka czegoś w torebce i podaje Grete dwa pogniecione banknoty dolarowe. Małpko, mówi, babcia bardzo potrzebuje ciastka z czekoladą. Grete pędzi: zamawianie przy ladzie to jej ulubione zadanie.

Hanna patrzy na Lutka. Chcesz się zobaczyć z Ilyą?, pyta.

Co? Myślisz, że to zły pomysł.

Właśnie. Czego masz nadzieję się dowiedzieć?

Może pojechała do niego. Może jego wybrała. Byłoby źle, ale nie tak źle, żeby nie wiedzieć.

Nie dzwoniłeś do niego, jak pierwszy raz zniknęła? Nie uważasz, że detektyw by ją odnalazł, gdyby tam była? Wyciąga do niego ręce, a on odczuwa szok przy ich dotknięciu; ptasie kości, skóra jak bibułka.

Dzwoniłem. Nie wiem, co z detektywem. Ale nie pojechałem popatrzeć, sam.

Hanna zdmuchuje z oczu siwiejący kosmyk. Co, myślisz, że Ilya skłamał?

Lutek mówi cicho, gdy Grete zaczyna wracać pędem z ciastkiem uniesionym wysoko: Ja bym skłamał na jego miejscu.

Hanna bawi się czerwono-białą słomką i myśli. Grete wdrapuje się jej na kolana, a Hanna odpowiada: W porządku. Może jak jej tam nie znajdziesz, to ci coś da. Zamknijcie. Znowu będziesz mógł żyć.

Może. Chyba muszę spróbować.

Hanna przygarnia Grete, przygarnia długimi ramionami córkę Lutka, tuli, uspokaja. Spoglądają na niego dwie wersje tej samej dziewczyny.

Mój brzuchaty Orfeuszu, przemawia dramatycznie Hanna do lampy, która właśnie zapaliła się nad nią z ciepłym skwierczeniem. Mój Orfeusz schodzi do podziemia, pogwizdując swą łagodną melodię.

Grete, która nie mogła tego zrozumieć, słyszy śmiech w głosie swojej Bahani i rehocze, ukazując drobne, powykrzywiane zęby.

Lutek wyrusza pociągiem przed świtem. Idzie teraz przez budzące się ulice. Lubi Filadelfię, zasadniczą twardość tego miasta. Dzień jest rześki i jasny. Droga do domu Ilyi

jest dłuższa, niż się spodziewał; musi iść całymi kilometrami ścieżką dla rowerów wzdłuż rzeki Schuylkill, aby dotrzeć na miejsce. Woda faluje w dole za sprawą wiatru, który się od niej odbija, owiewa go chłodem, radośnie pogwizduje mu w uszach. Łodzie wiosłowe przemykają obok elegancko, ósemki niczym pełznące potwory pną się w górę rzeki. W końcu znowu widzi kościół, gdzie uczniowie gromadzą się w mundurkach, czekając na lekcje. Był tu już kiedyś z Helle, kiedy zabrał jej rzeczy z domu Ilyi do siebie. Stoi przed ceglany domem przez kilka minut, niechętny, w końcu stuka. Drzwi otwierają się.

Przez chwilę Lutek czuje się, jakby patrzył w lustro, które odbija jego własne rysy. To niedobrze. Mały, ciemnowłosy mężczyzna, o szczęce jak ruszt w kominku; jego niegdyś przystojna twarz zsiadła się jak mleko nie schowane do lodówki przez kilka dni. Ilya, poprzedni mąż Helle, wyciąga białą rękę i wprowadza Lutka do środka.

W mieszkaniu jest zimno i czuć dzikim zwierzem, tyle tu butelek po piwie i pudełek po jedzeniu na wynos, że Lutek od razu wie, że Helle tu nie ma. Ona nie znosi bałaganu.

Stoją w ponurej kuchni, a Ilya mówi, jak Lutkowi się wydaje, z rosyjskim akcentem: Powiedz. Więc. Ona nie żyje.

Nie żyje?, powtarza Lutek.

Nie wiem. Myślałem, że przyjechałeś to powiedzieć.

Nie, mówi Lutek. Mogę usiąść?

Tak, tak, tak. Ilya usuwa gazety z fotela. Przepraszam, że wpierw nie zaproponowałem. Byłem przekonany, że przynosisz złe wieści.

Żadnych złych wieści, mówi Lutek. Chciałem cię zobaczyć.

Brak wiadomości to zła wiadomość. Ilya uśmiecha się, ukazując przez chwilę brązowe zęby, cofnięte dziąsła. On też siada, bawi się papierosem i zaciąga się, napinając żółtą skórę na kości. Kiedy wypuszcza dym, jego twarz znowu robi się miękka.

Więc przyjechałeś spytać, czy Helle tu jest albo czy ją widziałem. Mogę jedynie powiedzieć: Nie. Z najgłębszym smutkiem, jak sam rozumiesz.

Lutek rozumie. Helle przyszła do Lutka, gdy jej małżeństwo z Ilyą się rozpadło. On jest skrzypkiem w orkiestrze i niespokojnym człowiekiem. Helle opowiadała Lutkowi o jego napadach wściekłości, meblach rozbitych o ścianę, razach, kiedy trzymał ją za gardło nad poręczą schodów. Poznali się podczas ostatniego pobytu Helle na odwyku, kiedy była zaraz po trzydziestce i spędziła tam cały rok. Zostawiła Ilyę, kiedy zrobił się tak smutny, że próbował dźgnąć się w serce. Stał się jeszcze smutniejszy, kiedy obudził się w szpitalu i zobaczył, że odeszła. Wyjście ze szpitala i powrót do gry na instrumencie zabrały mu dwa lata. Tymczasem Helle była z Lutkiem, Grete miała już rok.

Ale bym miał szczęście, gdyby do mnie wróciła, mówi Ilya, teraz z wielkim wysiłkiem. Ale trudno, nie wróci. Jadę do domu.

Do domu?, pyta Lutek, podnosząc głowę. Do Rosji?

Do Odessy, wyjaśnia łagodnie Ilya. Umieram i chciałbym umrzeć wśród swoich. A ten kraj utracił swoją magię, oczywiście. Żywiowość, wiesz. Boję się, że niedługo wszystko się rozpadnie. Środek nie wytrzyma, i cała reszta. W tej sytuacji tu wcale nie jest inaczej niż na Ukrainie. Więc w końcu wracam tam, skąd przyjechałem. To pewna miła symetria, prawda?

Lutek nie wie, co powiedzieć. Na wzgórzu rozlega się dzwon, a Lutek gubi się w liczeniu. W końcu się odzywa: Przykro mi, że jesteś chory. Wiem, że nie jesteśmy przyjaciółmi, ale bardzo przykro mi to słyszeć.

Och, nie, ja umieram, mówi Ilya. Nie jestem chory. Urodziłem się i zacząłem umierać. Ale nie jestem wcale taki niezwykły. Jest wielu takich jak ja na świecie. A ty dlaczego mówisz, że nie jesteśmy przyjaciółmi? Ty i ja nie jesteśmy wrogami. Wręcz przeciwnie. Jesteśmy towarzyszami broni, chodzącymi rannymi. Powiązanymi z Helle. Nie jesteśmy tacy odmienni.

Patrzy przez długi moment na Lutka, potem odwraca wzrok. Jednak, jeżeli mnie spytasz, a dziwię się, że jeszcze nie spytałeś, to możesz przestać jej szukać.

Dlaczego?

Nie sądzę, żeby żyła. Od pewnego czasu mam przecucie. Przykro mi, jeżeli to cię zrani.

Hm, ja czuję mocno, że żyje, mówi Lutek.

Tak, jesteśmy podobni pod wieloma względami, to prawda, ale nie jesteśmy tacy sami. Ty nadalnosisz w sobie idealizm.

Siedzą długo w zatęchłej kuchni. Jest tu plastikowy zegar na ścianie, który tyka i tyka, i tyka.

Chciałbyś wziąć mój dom?, nagle odzywa się Ilya.

Och, mówi Lutek. Wyobraża sobie tutaj Grete, przestrzeń, spokój, swoboda. Chodziłaby do szkoły w dole wzgórza. Miałyby cały pokój do zabawy, on mógłby mieć ciemnię. Spokojniejsze miejsce, rzeka w dole szemrałaby w nocy w ich snach. Ale on nie miałby swojej pracy, swoich przyjaciół.

Dom jest piękny, przyznaje, ale nasze życie jest w mieście, a ja nie mam pieniędzy.

Ilya przebiera delikatnymi palcami skrzypka. Nieważne, mówi, nie potrzebuję pieniędzy tam, dokąd się wybieram.

Na Ukrainie?, pyta Lutek, a Ilya śmieje się i gasi czwartego papierosa w krótkim czasie, gdy siedzą razem.

Daję ci go. Dom. Możesz go sprzedać, zrób z nim, co chcesz, nie obchodzi mnie. Pod jednym warunkiem, mówi, niemal histerycznie opętany tę myślą. Podrywa się i zaczyna krążyć. Jego dłonie, młóćące przestrzeń w pokoju, wydają się jak pająki, zbyt wielkie dla jego małego ciała.

Co to takiego? – pyta Lutek i robi mu się trochę niedobrze.

Dasz mi zdjęcie tej małej. Córkę Helle. Twojej Margrete.

To mówiąc, Ilya śmieje się i śmieje, ciepłym śmiechem pełnym dziwnej, posępnej radości.

Lutkowi potrzeba chwili na zastanowienie. Nie ma nic złego w pokazaniu zdjęcia. Lutek wysyłałby zdjęcia regularnie, gdyby wiedział, że Ilya tego chce. Jednak gdzieś w środku jakaś mała bestia protestuje gwałtownie oburzona. Czeka, starając się zrozumieć dlaczego.

Kiedy wydaje się, że Ilya zaraz się uśmiechnie, Lutek wyciąga portfel z kieszeni i wyjmuję najświeższą fotografię córki, sam ją wywołał. Grete trzyma lampion, stoi prosto, uśmiech ma szeroki jak dynia na Halloween. W jej spojrzeniu jest spokojna

pewność siebie Abe'a, ma pełne usta Hanny.

Ilya bierze zdjęcie i długo wpatruje się w Grete. Lutek zżyma się. Już chce poprosić, aby oddał zdjęcie, ale wtedy Ilya podnosi wzrok i w oczach ma łzy. Uśmiecha się, ale w jego ustach jest coś z rozgnieczonego owada. Podaje Lutkowi rękę i Lutek ściska ją, nazbyt mocno, zbyt późno przypomina sobie o delikatnych dłoniach skrzypka. Ilya krzywi się, cofa dłoń do piersi.

Przepraszam, mówi Lutek.

Ach. I tak mi nie będzie ta ręka potrzebna. Więc umowa stoi. Odprowadza Lutka do drzwi, poklepując go delikatnie po ramieniu.

Miłej podróży do domu, dodaje Lutek. Tak, odpowiada Ilya powoli. Tak, chyba będzie miła. I puszczając oko, zamyka drzwi.

Lutek wraca klekoczącym pociągiem. W końcu wagonu twarzą do niego siedzi kobieta, której nie zauważył, gdy wsiadał, staje się coraz piękniejsza, im więcej na nią patrzy. Ma długie, kruczoczarne włosy, mocne brwi i nos, który przypomina Lutkowi greckie rzeźby. W jej kolczykach odbija się lampka do czytania nad jej głową, złote monety światła tańczą na jej szczęce. Zrobiłby ją na mokrej płycie, z jej pięknymi niedoskonałościami, z przeciągłym, powłóczystym spojrzeniem. Jej dłonie są szybkie i nerwowe, kiedy odwraca kartki książki, a jej twarz jest taka wrażliwa i ruchoma, że jest zupełnie tak, jakby czytał razem z nią: teraz piękny moment, teraz napięcie, teraz ulga i śmiech, teraz scena miłosna. Kobieta zagryza wargę, jej twarz wypełnia zadowolenie, przez co Lutek wie, jaka byłaby w łóżku, oddana, miękka, z jej gardła dochodziłyby ptasie krzyki. Mógłby pokochać tę kobietę, wie to. Nie ma nic między nimi poza przejściem i kilkoma siedzeniami, pewną ilością powietrza; nic, co by nie pozwalało mu się dosiąść, a jej unieść twarz znad książki i uśmiechnąć się nieśmiało.

Cześć, powiedziałały. Cześć, odpowiedziałyby ona. I tak mogłaby się zacząć reszta jego życia.

Nic go nie powstrzymuje, to znaczy poza Helle. Jej niewidzialne dłonie są jak kajdany, jej niewidzialne oczy obserwują. Jej białe jak pasternak ciało, w które nie potrafi przestać wierzyć, właśnie teraz, czeka na niego w domu, w małym, ciasnym mieszkaniu, drzemie, aż on wślizgnie się w pościel kupioną razem tak niewiele lat temu.

Kobieta wstaje przed anonimowym przystankiem i kieruje się do drzwi. Wychodzi na peron, a pociąg rusza. Jedno mignięcie w oknie rozświetlonym uliczną latarnią i kobieta znika, znika dla niego na zawsze.

Tego ranka, po ich pierwszej wspólnej nocy po ponad dwudziestu latach, pobiegł po kanapki z nutellą i kawę, a kiedy wrócił, Helle wstrząsał szloch. Minęły godziny, zanim powiedziała: Robiłam tyle złych rzeczy w życiu. Nie zasługuję na ciebie.

Miasto było dla niej toksyczne, pełne pokus i strachu. Nie miał pieniędzy. Asystował przy plenerach fotograficznych i sprzedawał tylko kilka prac na rok, a jego uniwersytecka pensja była śmiechu warta. Mieszkanie mieściło się nad chińską restauracją; podejrzewał, że ma palpacje serca od glutaminianu rozpylonego w powietrzu. Ale pożyczył pieniądze od Cole'a, od Słodkiej, od Reginy i Ollie'ego i na rok wynajął mały kamienny domek na wsi.

Gdyby Lutka zapytano, jaki okres w jego dorosłym życiu był tak krągły i pełen jak

jego dzieciństwo, prawie idealny, odpowiedziałby, że ten rok w starym wiejskim domu z przeciągami. Codziennie budził się, by ujrzeć Helle w obszarpanej piżamie i wełnianych skarpetach, z parującym kubkiem herbaty w dłoniach. Te miesiące leżenia na trawie, spacerów po wzgórzach, wędrówek przez mokradła, zimne stodoły wypełnione antykami. Helle mogła spędzić całe popołudnie, obserwując, jak jaskółka buduje gniazdo pod okapem. Jechali aż do Vermontu na targ rolniczy. Wiosna przeszła w lato, lato w jesień. Helle zapuściła włosy, przybrała na wadze i wyglądała promiennie, nie jak szkielet, i ku jej uciesze urosły jej piersi. Do października było widać Grete.

Czasu mieli w bród. Rozmawiali godzinami, a Lutek opisywał życie, jakiego pragnął dla ich dziecka, świat, jaki mu zbudują. Pewnej nocy, przyglądając się Helle pod namiotem prześcieradła, opisał zwarte, piękne społeczeństwo pełne ludzi, których kochał jak rodzinę, żyjących blisko i polegających na sobie, świat z muzyką i historiami, myślą i radością, świat prostego szczęścia. Uświadomił sobie, kiedy mówił, że jest to podobne do Arkadii, i zdumiał się na te słowa.

Głos Helle, tak odległy, kiedy powiedziała: Niedokładnie wspominasz. Twoja pamięć wykonuje jakąś szaloną gimnastykę, aby wydobyć z naszego dzieciństwa szczęście.

Co?, spytał Lutek. Nie wierzę, że nie pamiętasz. Było zimno, powiedziała Helle. Nigdy nie starczało jedzenia. Nie mieliśmy ubrań. Budziłam się co noc, kiedy ktoś ruchał kogoś w Różowym Grajku. Wszędzie śmierdziało spermą. Rączka dał mi się napić cydru z kwasem, jak miałam pięć lat. Jakie halucynacje ma pięciolatka? Przez dwa miesiące widziałam, jak z ust matki wylatują płomienie, kiedy tylko mówiła. Byliśmy jak goście na podwieczorku u Szalonego Kapelusznika, ale nawet nie wiedzieliśmy, że świat się przekreślił.

Helle odwróciła się do niego z obrzmiałym brzuchem. Oczy miała w czerwonych obwódkach. Powiedziała: Umieram z nudów, Lutek. Chcę tajskiego jedzenia. Chcę życia. To było dobre na chwilę, ta izolacja, ten domek na odludziu. Ale dwoje ludzi nie wystarczy, Lutek. To za mało. Wróćmy do miasta. Proszę, proszę.

Nie zapytał: Za mało na co? Nie zapytał: Naprawdę jesteś na to gotowa? Powiedział: W porządku. Zadzwoił do właściciela i zaczęli się pakować.

Uległy Lutek, Lutek o wielkim sercu, łagodny i dobrotliwy Lutek. Nienawidzi tego człowieka. Żałuje, że nie ma kręgosłupa, odwagi, aby powiedzieć: Nie. Gdyby miał, ona nadal by tu była. Gdyby był bardziej zdecydowany, to nie odchodziliby od niego ludzie.

Czarno-biała ciemnia mieści się w podziemiach gmachu Wydziału Sztuki, który ma długie, cieniste korytarze i piece, stukające i szmerzące. Kiedy jest tu sam w nocy, drewniane podłogi ostrymi skrzypnięciami podobnymi do odgłosu kroków uwalniają ciśnienie, które nagromadziło się w ciągu dnia. Z ciemni może korzystać dla własnych celów jedynie podczas świąt, jak w ten tydzień ze Świętem Dziękczynienia, kiedy wszyscy jego studenci wyjechali do domów, upijają się, spotykają w barach z sympatiami z liceum.

Tego wieczoru Hanna i Grete są na przedstawieniu dla dzieci, przebrane za prześliczne królowe z błyszczącymi policzkami. Lutek jak najlepiej wykorzysta swój czas. Poczul w sobie stary płomień. Mrowienie w palcach. Rwie się, by zacząć. Wchodzi,

pogwizdując. Ktoś zostawił włączoną lampę ciemniową, zauważa zaniepokojony, ściąga płaszcz i podwija rękawy. Kiedy podnosi wzrok, widzi, że ciemny kształt przy rządzie powiększalników to osoba, która go obserwuje.

Dobry wieczór, profesorze, mówi Sylvie.

Pomieszczenie kurczy się klaustrofobicznie. Lutek marszczy czoło: Sylvie. Co tu robisz?

Pasjonuję się moją sztuką. Śmieje się.

Lutek waha się. Co jest w tej dziewczynie, która tak go niepokoi? Jest niemal gotowy zabrać się do pracy, do wywoływania filmu, cholerna niestosowność, kiedy ona odzywa się: W zasadzie, to uciekam od rodziny. Wszyscy piją i kłócą się. Tata pracuje gdzieś tam, jak zwykle. To beznadzieja. Głos jej zaczyna drżeć.

Przykro mi, mówi Lutek. Z rodziną jest ciężko.

Pan też ucieka przed rodziną?, pyta Sylvie.

Nie. Swoją robotę wykonuję tu tylko w święta. Wtedy mogę sam pracować.

Sylvie uśmiecha się, w ciemnoczerwonym świetle na jej policzkach pojawiają się dołeczki. Ale ze mną tutaj nie jest pan sam.

Właśnie, mówi Lutek. Z powrotem wkłada płaszcz. Udanego święta, mówi i wychodzi, chociaż Sylvie woła: Proszę poczekać, przepraszam, on się nie zatrzymuje.

Jest zdenerwowany, irracjonalnie zły. Aby się uspokoić, wstępuje do całonocnej taniej restauracji, gdzie ma dla siebie stół pokryty linoleum i dzbanek kawy. Kiedy wchodzi ludzie, próbuje odgadnąć, kim są. Dzisiaj jest za zimno, aby to stwierdzić. Ci cierpiący na bezsenność to mogą być kurwy, pijani imprezowicze, bogaci rozwodnicy spragnieni dotyku dłoni na swojej skórze. Siedzą w ciemności ufni: że kawa będzie gorąca i niezatruta; że nie wpadnie tu ze strzelbą albo bombą żaden szalejący wariat.

Czasami zdumiewa go to, ile wiary ludzie pokładają w sobie nawzajem. To takie kruche, ta społeczna umowa: wszyscy będziemy trzymać się zasad, poruszać uważnie i łagodnie, inwestować w infrastrukturę, zgadzać się na kary za błędy. Ich wiara, że ten człowiek prowadzący samochód pod wpływem zachcianki nie zechce skrócić w tafłę szkła i zakończy sprawę. Że prezydent utrzyma rękę nad czerwonym guzikiem i w chwili wściekłości albo słabości nie wysadzi świata. Niewidzialna tkanka cywilizacji: tak cienka, tak łatwa do rozdarcia. To cud, że w ogóle istnieje.

Wyobraża sobie, że strzeli palcami, a wszyscy ludzie w lokalu wstaną natychmiast i będą lepsi. Kobieta o pobrużdżonej twarzy jak kora dębu zrzuci kaptur, rozpuści włosy, a jej lata odpadną niczym bandaże. Mężczyzna z tonsurą mnicha, mruczając coś do siebie, wskoczy na stół i przywoła muzykę z powietrza. Z trzewi kuchni zmęczeni kucharze, mali, śniadzi ludzie, wyskakują, fikając koziołki i tańcząc breakdance, wirują na podłodze jak rozkręcone butelki, a na ich twarzach maluje się radość i nagle miło na nich patrzeć, i kilkanaścioro klientów jednocześnie zaczyna śpiewać głośno, ich łamiące się głosy są piękne. Pieśń unosi się, ogarnia miasto i budzi mieszkańców, jednego po drugim, wyrывa ich z posepnych snów, na całej wyspie ludzie siadają w łóżkach i słuchają, otacza ich zewsząd ocean dobroci, wypełnia ich i na bardzo długi moment każe zapomnieć o całym złu sączącym się ze świata, każe im zapomnieć o wszystkim poza samą piosenką.

Lutek śmieje się do siebie i wizja się rozplywa. Panuje znużenie, drzwi otwierają

się na zimne powietrze i wchodzą pojedynczy, okutani ludzie. Milcząca kelnerka zajmuje się tymi, którzy siadają. Noc przechodzi w poranek. Zostają tu na wieczność, siedzą przy stołach, osobno, samotnie.

Jest Święto Dziękczynienia.

Grete drzemie. Pieczeń z tofu imitującego indyka w warzywach korzeniowych, Hanna usiadła obok Lutka przy stole w kuchni, głęboko odetchnęła i zabrała się do jedzenia. Mówi: Kłopot w tym, Lutek, że nie podejmiesz własnego życia, dopóki nie odpuścisz... Lecz przerywa jej dzwonek domofonu.

Dostawa jedzenia, mówi Lutek, chociaż wie, że to nie to. Czuje się trochę chory. Skończysz, jak dam napiwek kurierowi.

Dobrze, odpowiada Hanna ze wstrętem. Wcześniej zaczęła pić i teraz jest już przy trzecim bourbonie.

Lutek wciska guzik domofonu, nic nie mówiąc, i otwiera drzwi szeroko. Rozlega się gong windy i drzwi rozsuwają się, ukazując promienną twarz Abe'a. Jest taki sam jak zawsze. Ma mało zmarszczek, jak Lutek, a od wyścigów na wózkach rozrosły mu się ramiona. Całuje Lutka w policzek, a syn czuje na skórze szorstkość starej brody ojca. Abe wskazuje na butelkę bourbona Pappy Van Winkle na kolanach, ulubionego Hanny, i puszcza oko.

Tego nam trzeba, mówi głośno Lutek. Może pan położyć zakupy na stole w kuchni.

Hanna ćwiczy przerwany wywód, kiedy wjeżdża Abe. Hanna nieruchomieje. Abe podjeżdża do niej. Są tego samego wzrostu, gdy siedzą, bierze ją za rękę. Ona mu pozwala.

Och, Abe, odzywa się po chwili Hanna. Nie potrafi powstrzymać się przez ukazaniem radości na twarzy.

Wiem, mówi Abe. Jestem durniem.

Tak.

Ale mnie kochasz.

Niestety.

Czy nie zostałem już wystarczająco ukarany?

Hanna wyciera oczy, nadal z uśmiechem. Problem w tym, wyznaje, że ja tylko karzę samą siebie.

Tak myślisz. Ja nie mogę żyć bez ciebie, moja Hanno.

Hm, taki miałam plan. Chciałam cię zabić.

Wiem, mówi Abe. Ale poczekaj, aż zobaczysz mój dom. Naprawdę, to coś pięknego.

Jest tego wart?, pyta Hanna, znowu cierpko.

Ani jednego dnia naszej rozłąki, mówi Abe. Ani chwili. Ale jak wrócisz do mnie, mogę mieć wszystko. Odpowiedź zatem byłaby może wiążąca.

Hanna patrzy na Abe'a, ma twarz spiętą od wyczerpania. Lutek na moment zostaje wyrwany z własnego smutku. Widzi teraz, na co powinien był uważać przez cały ten czas: na straszliwą pustkę dni Hanny. Jak jej ciało w nocy szuka ciepła Abe'a, które było tam przez czterdzieści lat, a jedynie trafia na zimne prześcieradło; suche, cierpkie poczucie własnej złości, której jest pełna, gorzko smakuje na języku.

Hanna marszczy czoło. Abe uśmiecha się i dotyka jej nosa opuszką palca.



Och, w porządku, odzywa się w końcu Hanna. Myślałam, że każę ci dłużej prosić, ale co tam. Nie robimy się młodszy. Spogląda znacząco na Lutka i mówi: Masz tylko konkretną liczbę dni w życiu, aby próbować być szczęśliwym.

Odwraca się z powrotem do Abe'a i dodaje: Daj mi jeszcze kilka tygodni, do końca semestru, i przyjadę do ciebie do domu. Ty nieodpowiedzialny, irytujący, kłamliwy staruchu.

Abe uśmiecha się i pochyla, aby ją pocałować, ale ona nie jest na to gotowa i odsuwa się. Boże. Zawsze dostajesz to, czego chcesz, kończy Hanna.

Chociaż tonem przeprasającym, Abe mówi półgłosem: Tak.

Jedzą o czwartej, kiedy miasto robi się tak ciche, że mogłaby to być wioska. Jest dość ciemno, aż tysiące okien, które Lutek widzi ze swojego mieszkania, zaczyna świecić.

To miłe, mówi Abe, spoglądając przez okno na płatki śniegu. Zawsze myślałem, że to dziwne, że mieszkasz w mieście, chociaż urodziłeś się i wychowałeś w komunie w środku dziczy. Musisz znosić zanieczyszczenia, smród, biedę, szczury i dziadostwo. Ale w takie dni to rozumiem. Dzisiaj jest prawie uroczko. A przynajmniej znośnie.

Lutek próbował żyć na wsi, przypomina Hanna. Krótko.

Dziwi Lutka, że Hanna sugeruje, że to mu nie wyszło. Grete, która widelcem goni brukselkę po talerzu, była wynikiem tego roku. Jak mogło być jeszcze lepiej? Myśli o tym, jak po raz pierwszy Helle trzymała córeczkę na rękach. Marzył mu się stary sposób rodzenia: on nagi za plecami Helle, pomaga jej w parciu, wygładza włosy; ale ona była niewzruszona: Za cholerę nie zrobimy tego hipisowskiego gówna – powiedziała i umówiła się na cesarkę. Lutek stał za jej głową podczas operacji ogarnięty żalem. W końcu jednak i tak to nie miało znaczenia. Pielęgniarka porwała gdzieś Grete i przyniosła ją czystą, z buzią czerwoną i okrągłą, ze skórą tak zniszczoną jak u matki, skóra Helle tak surowa jak u dziecka, idealnie dopasowane, scalone w potrzebie. W domu pragnienie dziecka przez Helle zaskoczyło Lutka. Myślał, że będzie się opiekował, że to on będzie wstawał, przewijał, śpiewał. Jednak to Helle zajęła się małą i Lutek wiedział, czym jest jej miłość do Grete: niezakłóconym związkiem dusz. Starał się nie być zazdrosny o to, że żadna z tych dusz nie należy do jego.

Znowu odczuwa ból straty. Widelec pełen purée z ziemniaków ciąży mu w dłoni. Nigdy nie zrozumie, jak ktoś może odejść od tego małego, idealnego miejsca między Helle a Grete. Nie wierzy, by ktokolwiek był do tego zdolny.

Jego rodzice rozmawiają z sobą; Hanna ściera sok żurawinowy z policzka Grete. Lutek może jedynie gapić się na moskitierę w oknie, gdzie widzi to, czego nie widzą jego rodzice; nie znając całości, nie mogą zrozumieć braku. On, Lutek, pozwolił, aby kawa ostygła mu w dłoniach, gdy słuchał prezentera w radiu opisującego, jak dwa samoloty uderzyły w budynki. Prawie przed dwoma dekadami, kiedy z rodzicami przyjechał do miasta, nazwał te budynki Hanna i Astrid, bo tak wszyscy w Arkadii przezywali te kobiety: Twin Towers, Bliźniacze Wieże, ze względu na ich wzrost i blond włosy; nieważne, że same budynki drażniły jego poczucie piękna, zbyt niezdarne w swych pretensjach. Przywykł do ich sylwetek na horyzoncie miasta. Miały cechy wspólne z imienniczkami: Astrid zimniejsza, Hanna z anteną, koroną, którą zawsze wyobrażał sobie dla matki. Wyłączył radio i poczuł, że smutek wzbiera w nim i nie ma sposobu, aby

go zatamować. To absurdalne; zginęły tysiące; jego osobista strata to tylko dziura w niebie. Lecz nic na to nie mógł poradzić. Wiedział tyle, że powinien wyjść i iść pieszo do domu Jincy czyścioszki na przedmieściach, aby się nim zaopiekowała.

Z początku myślał, że miasto da sobie radę: doznało krzywdy, ale przyszła straszna wściekłość, aby ją złagodzić. Mylił się. Nawet teraz, po latach, miasto się nie podniosło. Krzywi się z bólu i zamyka w sobie. Nawet przed globalnym krachem wydawało się Lutkowi, że ludzie zadowolają się swoimi gorszymi płaszczami, powstrzymują się przed pełną radością. W dni, kiedy wędruje po mieście i obserwuje swoich współtowarzyszy, jak stawiają sztywno krótkie kroki, niemal chwyta to, co oni stracili. Nie chodziło o to, w co wierzyli; nie była to nieruchomość ani życie. Była to historia, którą opowiadali o sobie od momentu, kiedy Holendrzy wylali się ze swoich statków na zasypaną ostrygami wyspę i kupili ją za guldeny: to, że wyspa obfitowała w wodę, faunę i florę, czyniło ją wyjątkową, rzadką, godziwą. To, że mogła przyjąć wszystkich, którzy tu przybyli, to, że będzie tu miejsce i szansa na rozkwit, splendor i piękno. To, że ta równość celów zapewni im bezpieczeństwo.

To nieważne, że historia nie zawsze jest prawdziwa. Lutek manipuluje obrazami: wie, że historie nie muszą być oparte na faktach, aby były żywe. Rozumie, czując w sobie, jakby chłostał go wiatr, że kiedy tracimy historie o sobie, historie, w które wierzyliśmy, tracimy coś więcej niż je same, tracimy samych siebie.

Lutek zadziwia samego siebie, przerywając Abe'owi, gdy ten opowiada coś o starym, zgorzkniałym Tytusie, który wygrał tysiąc dolców na loterii. Mówi głośno i szybko, niecierpliwie, co odrywa Grete od sennej zabawy.

Abe, ten cały eksperyment z Arkadią nie był piękny ze względu na wiejską okolicę, nie rozumiesz? To ludzie, związki, wspólna zależność, bliskość. Wioski teraz umierają, amerykańskie miasteczka umierają, a jedyne miejsce, gdzie istnieje to samo uczucie, jest tutaj, w mieście, gdzie miliony ludzi oddychają tym samym powietrzem. To tu i teraz jest bardziej utopijne od utopii, bardziej od twojego ślicznego, małego domku w środku lasu, gdzie masz tylko świstaki za sąsiadów. Nie rozumiesz? My wszyscy, wszystkie dzieciaki z Arkadii, jesteśmy tutaj, w mieście. Staliśmy się mieszczuchami, bo szukamy tego, co utraciliśmy. To jedyne miejsce, które zbliża się do tego. Ta bliskość. Związek. Rozumiesz? Nie istnieje już gdziekolwiek indziej.

Czuje, że jest bliski łez. Inni patrzą na niego. Grete odkłada widelec, odsuwa krzesło i siada Lutkowi na kolanach, głaszcze go po policzku dłonią jak rozgwiezda. Rodzice rzucają sobie spojrzenia, jakby chcieli powiedzieć: Znowu się wykolei.

Nie zamierzam się wykoleić, zapewnia Lutek.

Tego nie powiedzieliśmy, odzywają się jednocześnie i uśmiechają się do siebie. Raz, dwa, trzy, moje, woła Hanna. Stawiasz mi oranżadę, mówi Abe i śmieją się z ulgą, że udało im się wybić Lutka z melancholii przynajmniej na teraz, przynajmniej na chwilę.

Studenci są jak ławice ryb – myśli Lutek na cotygodniowych zajęciach z krytyki fotografii: budzi się w nich jakiś głód i przekraczają swoją naturalną prędkość. Grupa Sylvie zaczęła go zadziwiać. Ich tematy są dorosłe, głęboko przemyślane, bardziej ryzykowne niż zazwyczaj są wybory studentów (jeden chłopiec robi zdjęcia swoim małym kuzynom w kąpielni, igrając na granicy między sztuką a pornografią dziecięcą;

jedna dziewczyna robi serię dłoni znikających w fałdach materiałów, jedwabiu, juty, muślinu, bawełny, cudownie zmysłowe). W sali panuje dziwne ciepło, kiedy tylko tu wchodzi. A Sylvie w podartych koszulkach, w botkach do kolan, Sylvie, której twarz jest taka naga i prosząca, uśmiecha się i chwali tam, gdzie pochwała jest wymagana, a kiedy nie jest, patrzy na Lutka, wstrzymuje język i wydaje się, że mówi: No dalej, proszę. Czekam.

Mija rok od dnia, kiedy Helle zniknęła. Lutek wynajmuje opiekunkę i zabiera Sharon, sąsiadkę z dołu, na kolację.

Jesteś pewien?, spytała go dzisiaj rano, podając kawę; starała się nie wyglądać na zbyt zadowoloną. To mogłoby wszystko zniszczyć, wiesz. Przeczesała dłonią krótkie, czarne włosy, ślicznie zatrzepotała ciemnymi rzęsami.

Jestem pewien – odpowiedział i przez cały dzień nosił z sobą jej uśmiech.

Idą do pobliskiej włoskiej restauracji. Jedzenie nie jest cudowne, ale jest dobre: chianti z butelek w słomkowych koszulkach, fettuccine Alfredo, cannoli. To dziwne, dobre, iść z kobietą, która jest mniejsza od niego nawet na obcasach. Sharon wygląda zadziwiająco pięknie tego wieczoru w schludnej, niebieskiej sukience, bez rękawów, aby pokazać ostre ramiona, twarz starannie podkreślona makijażem. Dużo się uśmiecha. Tylko dłonie ma nerwowe, poklepuje menu, poprawia sztucem talerz nieustannie gorliwa.

Rozmawiają o dzieciach, o swoich byłych, o pogodzie. Relaksują się. Teraz mówią o książkach. Bez innych mediów, bez komputera, bez telewizji, książki zawsze dominowały życie Lutka. Sharon pochyla się do przodu, brązową szminkę ma startą pośrodku ust. Oczy jej się rozpalają. Zaczyna rozmawiać o Ayn Rand.

Ona zmieniła moje życie, mówi, z trudem oddychając. Howard Roark! Dominique Francon! Ayn jest największą filozofką dwudziestego wieku. Obiektywizm. Czytałam *Atlasa zbuntowanego* na studiach i pomyślałam: O, mój Boże, wszystko w końcu nabiera wyrazistości. Wiesz, o co mi chodzi?

Lutek słucha, starając się, by jego twarz była neutralna. I mówi dla odmiany o George Eliot, o której Sharon nigdy nie słyszała. „Gdybyśmy mieli ostry wzrok i czuli całe zwykłe ludzkie życie – cytuje – to byłoby tak, jakbyśmy słuchali rosnącej trawy i bicia serca wiewiórki, i umarlibyśmy od tego ryku, który leży po drugiej stronie ciszy”.

Sharon wypija powoli długi łyk wina. Nie rozumiem, mówi w końcu.

Wracają do mieszkania Sharon. Frankie i Grete śpią na górze, u Lutka, z opiekunką. Mieszkanie Sharon ma taki sam układ jak Lutka i jest prawie tak samo puste jak jego, jakby ona też została wychowana w Furgonie Piekarza wielkości szafy. Ale mieszkanie Lutka ma kolor, przytulność i ciepło, a Sharon jest białe i zimne. Przepraszam, że tu tak zimno, woła Sharon z łazienki. Kiedy nie ma Franka, skręcam termostat. Oszczędzam. Czasy są ciężkie.

Kiedy wraca, siada obok Lutka i bez większych ceregieli podaje mu usta do pocałunku. Dobrze całuje, z oddaniem, powoli. Brzuch ma lekko sprężynujący przy dotyku, ale ciepły.

Lutek wycofuje się. Przepraszam.

Och. Ja też, mówi ponuro Sharon. Obgryza skórki. Nie jestem tak piękna jak twoja

była.

Nie, odpowiada Lutek, kiedy ona spogląda zaskoczona, on dodaje: Och, jesteś piękna. Chodzi o to, nie, to nie to. To mi się po prostu wydaje niestosowne.

Trzymają się za ręce i słuchają, jak tyka zegar na kominku. Słyszą opiekunkę na górze, ogląda film na laptopie.

Lutek mówi: To chyba była Ayn Rand.

Sharon śmieje się bez końca, a kiedy przestaje, ściska go za ramię, Och, zawsze beznadziejnie zakochuję się w was, przystojnych liberałach o zranionym sercu. Muszę znaleźć sobie porządnego, starego konserwatystę.

Powodzenia w tym mieście. Lutek wstaje. Jak chcesz, zniosę Franka na dół.

Hm. Może spać u ciebie?, pyta Sharon. Jeżeli nie masz nic przeciw doglądaniu dzieci, zadzwonię do koleżanki i wyjdziemy na miasto. Noc jeszcze młoda. I my też.

Ty tak, mówi Lutek.

Ty też jeszcze kiedyś będziesz młody. Jeżeli sobie na to pozwolisz, dodaje Sharon i całuje go po siostrzanemu w policzek. Teraz leć. Muszę się przebrać w ciuchy do tańca. Lutek idzie na górę i wyobraża sobie Sharon w jakimś migoczącym klubie, jak zamyka oczy przy muzyce, jakiejś minionej, pełnej syntezatorów i falsetu, i żałuje, że jest taka, a nie inna, myślicielka; albo lepiej, pragnie rozluźnić swój sposób bycia i udawać kogoś innego, choćby przez jedną noc.

Lutek ma ostatnie zajęcia w tym semestrze i zbiera teczki. Jego studenci, nagle drodzy mu i piękni, dziękują mu i dotykają go, wychodząc z sali. Poklepywanie po ramionach, uściski dłoni, przytulanie. Ich ciepło go zaskakuje. Myśli o sobie jako o surowym, a nie przyjaznym profesorze, z którym ktoś poczułby bliską więź.

Wolny spędza godzinę na wędrowce. Ma ochotę czegoś poszukać, ale niczego nie potrzebuje. Wchodzi do sklepów i wychodzi, kupuje ciastko i szczoteczkę do zębów, pingwinka do kąpieli dla Grete.

W końcu siada na dworcu i patrzy, jak ludzie chodzą tam i z powrotem.

Raz, kiedy robił zdjęcia w Europie, na koniec urwał się na kilka dni, aby podróżować. Na dworcu w Szwajcarii pełnym miodowego drewna i światła z clerestorium zobaczył na ławce kobietę, która płakała. Była olbrzymia. Części jej ciała zwiślały za podłokietniki na sąsiednie miejsca. Miała na sobie sukienkę z nadrukiem przedstawiającym jasnoniebieskie pieski i chińskie klapki z cekinami, a jej stopy wyglądały jak pieczone ziemniaki z pękającą skórką. Jednak włosy miała ułożone do góry misternie, jakby miała iść do opery, a dłonie złożone jak do modlitwy przed ustami były niczym wróbelki. Nikt a nikt nie zatrzymał się i nie zapytał, co się stało.

Lutek wstał, zamarł w nurcie ludzi, obserwując ją. Oburzony ruszył do płaczącej kobiety; tłum rozstał się. Kiedy był bardzo blisko, zobaczył szeroki kapelusz słomkowy odwrócony do góry dnem i napis podparty na brzuchu kobiety: *Płacząca Kobieta*, w czterech językach: *Femme Sanglotante; Donna Piangente; Weinende Frau*. Zegar potężnie wybił godzinę. Gołębie na krokwiach poderwały się i usiadły. Płacząca kobieta wyłączyła szloch, jakby zakręciła kran, zabrała kartkę z napisem i kapelusz. W mgnieniu oka jej wielka masa rozplynęła się w tłumie i Lutek był znowu sam.

Kiedy to sobie przypomina, odczuwa dawne gorące klucie w oczach. Myśli: Tak.

Ale to znika. Jego złe serce domaga się jego uwagi, wali pięścią w drzwi jego żeber.

Przy ravioli z kabaczkim i delikatnych, młodych warzywach z rynku Lutek mówi do Grete: Ostrość rzodkiewek na środku języka. Gorący prysznic po zimnym dniu. Poczucie, jak silna jesteś, kiedy ściskasz mnie za szyję. Odrobina cytryny w wodzie.

Grete przestaje jeść. Patrzy na ojca.

Smak sopła lodu, mówi Lutek. Uczucie unoszenia się w stawie. Czekoladowy całus w opakowaniu z folii. Uśmiecha się.

Grete wylicza powoli: Dyniowe ciasto? I kiedy szczeniak liże cię po buzi?

Kiedy dotyka twojej dłoni kasjerka, kiedy podaje ci resztę, mówi Lutek.

Zapach Hanny, dodaje Grete. Chude i śmieszne koślawe kolana Abe'a. Pompony!

I jego córka ma odjazd, jest tak podekscytowana, że staje na krześle, wzywając domowe bóstwa winogronowego syropu na kaszel, japońskie żuki, cedrowe łóżko w klatce chomika w przedszkolu. Lutek myśli o Helle, o tym, jak długą, ciemną drogą była dla niego i jakim światłem na jej końcu stała się ta pulchna blondynka, która teraz rozsypuje pesto po podłodze.

Sylvie wchodzi do jego biura bez pukania i zamyka za sobą drzwi na klucz. Lutek prostuje się na krześle. Powinien oceniać teczkę, ale z zadziwiającą niestosownością czyta znowu *Kochanka* Marguerite Duras. To była ulubiona książka Helle. Chowa książkę pod teczkę, ale Sylvie wyciąga ją. Opiera się o biurko obok niego, nogi ma długie, jasne i kościste, a on myśli o chłodzie na zewnątrz, o deszczu ze śniegiem i brei pokrywającej chodniki, o gęszej skórcie, która pojawiłaby się na jej skórze. Sylvie czyta, wykrzywiając usta. Jej włosy wydają się nazbyt czyste. Gdyby ktoś połączył kreskami myszki na jej policzku i brodzie, pojawiłaby się Wielka Niedźwiedzica. Lutek czeka. Sylvie odkłada książkę z brzękiem bransoletek.

Wiesz, mówi Sylvie. Jak ocenisz moją teczkę, to już nie będziesz moim profesorem.

Oceniłem ją. Bardzo dobry z minusem.

Ona wygląda na urażoną, on opiera się plecami na krześle. Co jest z tą dziewczyną, że jest taka wrażliwa? Jak łatwo byłoby wyrzucić z siebie złość, zdławić w niej coś dobrego. Po części żałuje, że Sylvie nie jest pięć lat starsza, bo wtedy stałaby się fascynującą kobietą, bardziej zahartowaną przez czas. Coś w niej mogłoby uśmierzyć jego ból.

Cóż, mówi Sylvie. Jak powiedziałam, nie jest pan łatwy.

Teraz jestem zdecydowanie niespokojny, odpowiada Lutek, starając się obrócić wszystko w żart.

Ona wsuwa nogę między jego stopy. To dobrze, mówi Sylvie i pochyla się, zbliżając usta. On wyczuwa cynamon w jej oddechu, a głębiej kawę.

Och, moja droga, szepcze Lutek. Jesteś śliczna, ale nie.

Dlaczego? Jestem pełnoletnia. Nie jesteś moim profesorem.

Nie należę do takich mężczyzn, mówi Lutek. A ty mi kogoś przypominasz.

Kogo?

Chce odpowiedzieć: Mnie. Uśmiecha się do niej.

Moją żonę. Kiedy była trochę młodsza od ciebie.

Ona odchyła się, zagryzając wargę, myśląc, że to koniec. Wygląda, jakby chciała

wspomnieć o zniknięciu Helle, a on jest wdzięczny, kiedy ona wycofuje się z tej myśli. Sylvie mówi: Chyba mi to nie przeszkadza. Rumieni się, podnosząc książkę. Być kochanką. Pasuje mi.

Mnie to przeszkadza, odpowiada Lutek.

Nie rozumiem, mówi, a oczy jej lśnią. To nie musi nic znaczyć.

Lutek bierze jej ręce w swoje i prowadzi ją na korytarz. Całuje obie wilgotne i drżące dłonie od wewnątrz. Ta woń tam, fotograficzna chemia, ujmuje go.

Tym bardziej jest to powód, aby się powstrzymać, mówi i zamyka drzwi.

Wiosna: poruszenie światowego optymizmu. W nim także rozwija się pęd. Codziennie widuje kobiety w nazbyt wczesnych espadrylach i pełnych nadziei lekkich płaszczach. Już, już niedługo podejdzie do jednej z nich mimo protestów swojego nieśmiałego serca i zacznie rozmowę. Zawsze powinnaś nosić kwiaty, powie jednej z nich, ślicznej w bluzce w kwiatowy wzór. Albo, jeżeli to zbyt żenujące, może po prostu powie: Cześć, jakby otworzył okno na oścież.

Jest zamieć, po niej odwilż. Hanna wraca do Abe'a, do ich małego Zielonego Domu w lesie, mówiąc wszystkim: Mój mąż nie mógł żyć beze mnie, chociaż Lutek wie, że to obopólne. Szerokie niebo pustyni, pełne sępów, wysysało ją do suchego.

Pewnego dnia w poczcie zaskakująca niespodzianka: list od prawnika, wycięty nekrolog, Ilya, tak młody i tak piękny na zdjęciu, o twarzy łagodnej, pełnej nadziei.

Lutek idzie na spotkanie z prawnikiem i wychodzi z naręczem dokumentów i kluczem.

W domu nieustannie myśli o tym, co się stało, i przez to jest jeszcze bardziej zdezorientowany. Dom w Filadelfii to aż nadto, ale do tego jest jeszcze mała suma pieniędzy. Lutkowi kręci się w głowie jeszcze długo.

Lutek i Grete biegają po starym domu z cegły w dzień jego sprzedaży. Wcześniej była tu ekipa sprzątająca i w środku już nie śmierdzi papierosami i smutkiem. Przez chwilę Lutkowi przed oczyma wiruje ich życie w Filadelfii, równoległe istnienie, jasne i dobre w tym domu z oryginalnym wyposażeniem i szynami na obrazy. Ma straszną ochotę zadzwonić do pośrednika, rzucić wszystko, przeprowadzić się do tego mniejszego miasta, tego wolniejszego.

Wie, że tego nie robi. Gdyby się przeprowadzili, Helle nie odnalazłaby drogi do nich. Otwiera drzwi do ogrodu i wlewa się zimowe światło z zimnym powietrzem. Słońce pada na stare deski podłogi, a jego córka wiruje, wiruje i wiruje wprost w światło, poza nie, i znowu w nie, a jej czerwona spódniczka unosi się, płonie.

Ze świeżą gotówką pyta Grete: Dokąd chcesz pojechać na wakacje? Wie, że powie do Bahani i Dziada. Do Arkadii.

Lecz Grete go zaskakuje. Ogląda sobie palce u stóp. W końcu mówi: Do Grecji, nieśmiało, obserwując go spod brwi.

Nosi w sobie rozbawienie przez godzinę, a kiedy rozumie, jest w metrze pośród tych wszystkich anonimowych, napierających ciał. Helle. Opowiadanie, Hellespont. W głowie jego córki Helle nieskończenie spada z grzbietu złotego barana, leci przez bezkres nieba jak rzucona moneta, puszcza oko radosna i wpada do wody.

Historie mogą ranić, mogą zrobić pęcherze. Tamtej nocy, kiedy powtórnie zakochał

się w Helle w galerii, zaczął jedną. Szła tak: bezmiar czasu roztacza się przed nimi, on budzi się w kwaśnym oddechu Helle i widzi jej zmierzwiłone włosy co rano, robi jedną Grete albo dwie, ciała Helle i Lutka są obolałe nad niekończącymi się kubkami kawy, nieskończonymi kolacjami, dni robią się coraz krótsze, gdy oni się starzeją, w końcu oboje pomagają sobie łagodnie wejść w śmierć. Stracił tę historię w noc, kiedy odeszła. Teraz czas się rozciąga równie szeroko przed nimi, ale on nie wie, co powinien zrobić. Nie wie, jakich zaklęć potrzebuje, by odzyskać ich historię, aby ona wróciła z ciemności, którą wybrała.

Niedaleko kamiennego domku na wsi podczas ich roku z dala od wszystkiego płynęła rzeczka okalająca mierzeję, na którą mogli wejść. Po deszczach rzeka zalewała brzeg i mierzeja stawała się wyspą. Tam szaleńczo pachniało wiosną, tylko błoto i pąki, powoli nadciągający wał chmur. Wiatr robił się porywisty, a nie było drzew, które by go powstrzymywały.

Helle i Lutek brodzili tam na piknik, kładli się w słońcu i pływali w lodowatej wodzie.

Był moment na tej wyspie, który nie opuszcza go, kiedy wstaje rano, kiedy bierze prysznic, kiedy idzie, kiedy, tak jak teraz, budzi się pośród koszmarnej nocy.

Ciągle widzi, że Helle wychodzi z rzeki z włosami przylizanymi, z wodą spływającą rozkosznymi kroplami po skórze, zarumieniona od zimna na całej swej bieli. Chłodne słońce kocha ją, dotyka jej, układa z delikatnych włosów graniastosłupy na jej ramionach.

Jesteś szczęśliwa?, pyta Lutek o centymetry od ust Helle.

Jestem taka szczęśliwa, szepcze ona. Jej zimny oddech, zimna skóra. Jej zimne usta na jego ustach.

Lutec przestał szukać Helle. Nigdy nie przestaje. W jego życiu jest dziura tam, gdzie była Helle, próżnia. Jednak po latach Lutec odnajduje ją. Przez migotliwe tchnienie zaskakuje go wyobrażenie Helle, które rozpada się na pył, kiedy on przygląda się uważniej, i znów jej nie ma.

Znajduje ją w domu, w jej łóżku, gdzie była przez cały czas i czekała na niego: biała pościel ściągnięta z jej piersi, nagi sutek w świetle dnia. Gdzie byłeś?, pyta głosem wilgotnym od snu. Czekałam na ciebie.

Znajduje ją w studenckim barze. Lutec kupuje swoim magistrantom kolejkę piwa. Ona ma włosy pofarbowane henną; ubrana jest w czarną skórę i mija go z twarzą jak brzytwa, i wychodzi tylnymi drzwiami.

Pewnej nocy znajduje ją, gdy zamyka okno przed burzą, a przez ulicę przebiega kobieta w przezroczystym, plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym, guzy jej kręgosłupa są wyraźne pod jedwabną bluzką, białe włosy przyklejone do policzków; kiedy wybiega na ulewę, aby ją gonić, jej nie ma, a włóczęga na rogu upiera się, że tu w ogóle nikogo nie było.

Znajduje ją w szpitalu w Tajlandii, kiedy podczas nurkowania ociera się o skorpenę i wpada we wstrząs toksyczny, i umiera na stole, ale przywracają go do życia; tuż po elektrycznym impulsie widzi ją nad głowami lekarzy, twarz Helle zarysowana w świetle, jak w aureoli, sferyczna aberracja; a potem rusza się i jej twarz zmienia się w twarz

pielęgniarki, bladą, starą i chudą, uśmiechającą się wdzięcznie do niego za to, że żyje.

Przeważnie odnajduje ją w córce. Niesie Grete z dziecięcego balu do jej pokoju, naciąga kołderkę, a kiedy gasi światło, zamyka drzwi i czeka tam, opierając głowę o drewno, wie, że Helle tam jest, w środku, śpi. Jest w twarzy Grete, która dorasta. Jej dziecięcy tłuszczyk znika i pojawiają się kości policzkowe matki i te same oczy ze złotymi cętkami stają się nieodgadnione; Helle jest w głosie Grete, gdy patrzy na niego i kładzie mu głowę na ramieniu, i mówi: Och, tato, dlaczego płaczesz? Jego córka, delikatna dziewczynka, która też ma wiele z Lutka, śmieje się do niego: Zawsze płaczesz, tato. Dlaczego zawsze płaczesz?



## OGRÓD ZIEMSKICH ROZKOSZY

Pod koniec przyjęcia o zachodzie słońca w mieszkaniu z oknami wychodzącymi na miasto, kiedy Sibelius ustąpił nastrojowemu rockowi z Islandii z czasów ich późnej młodości, kiedy kanapki z kozim serem i nadziewane pieczarki ostygły, nabierając kleistej konsystencji pasty dla przedszkolaków, i wszyscy mieli dosyć kwaśnego miejscowego wina z winnic na dachach miejskich domów, pitego umiarkowanie, Lutek spostrzega, że coś w powietrzu lekko się zmienia; pewna wesołość wydobywa się z gości i dobierają się w dziwne pary, układają na kanapach albo opierają o drzwi, dzieląc się głębszymi tajemnicami swego życia.

Przed Lutkiem staje kobieta, wysoka, rzadkie brwi ma wypełnione jakby popiołem. Och, kochałam go, mówi, a jej twarz połyskuje urodą, którą musiała mieć, gdy miała dwadzieścia lat. Mieszkał w Wenecji. Był żonaty, poznaliśmy się na *vaporetto*. Na to wspomnienie jej wargi robią się miękkie.

Lutek przetyka to, co ciśnie mu się na usta: biedna, na wpół zatopiona Wenecja z przepracowanymi pompami. Biedna Mikronezja, biedne Tuvalu, zaginione Atlantydy. Zamiast tego kiwa głową. Twarz kobiety obwisa i wraca do terażniejszości. Krzywi się i całuje go w policzek, po czym znika w tłumie po więcej wina.

Lutek opiera się plecami o szklaną ścianę, aby obserwować przyjęcie. Jego przyjaciół oświetla pomarańczowo zachodzące nad rzeką słońce. Dylan unosi kieliszek wina w stronę Lutka po przeciwległej stronie pokoju, a płyn wiruje czerwono na krzywiźnie, chwytając światło. Puchatka, do której należy to mieszkanie, śmieje się tak mocno, że musi odstawić wino na stolik i osuszyć kąciki oczu drobnymi, białymi dłońmi. Cole dotyka palcem żyrandola, marszcząc czoło w zamyśleniu. Półwiecze życia pozaczyło twarze jego przyjaciół zmarszczkami, a ich ciała w talii zrobiły się miękkie, jednak w ich szpiku żyje współzucie tak wielkie, że choćby jedno słowo wypowiedziane przez obcego może w każdym rozpaść ten sam ogień. Jakaś kobieta woła: ... *trip?*, a oni myślą o *Ćpunach*, wychudzonym Kapitanie Ameryce i jego sarongu z flagi. Ktoś powie *czysty*, a przed nimi pojawia się duch srebrnego Klonowego Lasku, gdzie sok ścieka do metalowych puszek, podzwaniając.

Lutek myśli o zgniłym spadochronie, którym bawili się jako dzieci w Arkadii: pędzą przez życie, starzejąc się niewyobrażalnie szybko, ale każdy chwyta się jedwabistej krawędzi pamięci, która wzdyka się między nimi i hamuje długie opadanie.

Przez chwilę Lutek ledwo może znieść miłość, jaką czuje do przyjaciół. Wychodzi na balkon, na zimny powiew powietrza i patrzy, jak ludzie się poruszają, idealni i mali, na ulicy w dole. Wyobraża sobie ich wszystkich jako młodych, mężczyźni brnący pod wiatr ulicą, powstrzymujący podniecenie wieczorem, kobiety na wysokich szpilkach wystukujące kod. Myśli o Grete, która wcześniej wychodziła do przyjaciół, i jak zatrzymała się w mrocznym korytarzu ich domu, aby sprawdzić makijaż w lustrze między oknami, aby dotknąć różowych warkoczy, uśmiechnąć się do siebie, kierując się do drzwi. Zadowolenie unosi się ciepłą falą i znika, gdy fala rozbija się o niego.

Idzie do domu cichym miastem; musi pozbyć się z głowy gwaru przyjęcia. Szuka gwiazd, chociaż wie, że ich nie znajdzie. Minęła północ, a Grete nadal nie ma w domu.

Dom pochłania go. Wysokie okna są otwarte, wpada chłodny powiew wiosny. Aby odgonić złe obrazy córki zagubionej gdzieś w mieście, próbuje czytać poezję, wybraną antologię najlepszych z 2018. Teraz zwraca się do poezji, odnajdując w jej fragmentach właściwe echo rozpadającego się świata. Ale tej nocy, w dziwnym rozluźnieniu, które ogarnęło go po przyjęciu, nie może skoncentrować się na słowach.

Sięga po czytnik Grete, włącza wiadomości dla towarzystwa. *Lecz w Indonezji jest wirusowa epidemia*, ponura blondynka mówi: *niespodziewane zdarzenie przenoszone powietrzem*. Lutek odkłada tablet.

Przez okno zagląda potwór. Czapy lodowe stopniały, lodowców prawie nie ma; środkowe rejony kontynentów nie nadają się do zamieszkania, wybrzeża są tak nękane huraganami, że ludzie uciekają milionami. Nowy Orlean i Florida Keys są wyludnione. Gorące tereny w głębi lądu są porzucane na dobre; Phoenix i Denver stają się miastami widmami. Codziennie w nich zjawiają się uciekinierzy. Jakaś rodzina znalazła sobie schronienie pod frontowymi schodami domu Lutka; rodzice z dwójką małych dzieci, milczący i czujni. Przychodzą, kiedy gasną światła w oknach domu, i znikają o świcie, a jedyny ślad po nich to mokry beton po kąpieli z węża. Lutek zostawia im jedzenie w przenośnej lodówce. Tylko tyle może dla nich zrobić. Jak zwykle tacy jak on są skostniaли w obliczu wielkości tego problemu. Lutek wydaje mało ze swojej pensji, oszczędzając na przyszłość, której, jak wie, dożyją tylko zamożni. W zeszłym roku Abe poświęcił miesiąc, aby zapełnić piwnicę jedzeniem, wodą i sprzętem. Broń czeka tam na Lutka i w takich razach Lutek czuje w dłoniach ciężar rugera, pocieszająca przeciwwaga ostateczności.

W złe noce, kiedy smutek grozi, że znowu nadejdzie, chociaż wstyd mu swojej samolubności, prosi: Niech Grete przeżyje. Pozwól, aby jej się udało.

Na ulicy srebrzysty sznur szczurów porusza się w świetle księżyca. Zegar wybija drugą. Ktoś śpiewa piosenkę, która dociera do niego przez tynk, deski i cegły. W końcu chodnikiem zbliżają się kroki Grete, niepewne. Pojawia się, znika w plamie cienia między latarniami. Ta spódniczka taka bezwstydna, ta góra utrzymywana tylko na ramiączkach, twarz jak księżyc pokryty warstwą makijażu. Ulga w nim odpływa, gdy Grete wchodzi po schodach, i zastępuje ją cichy gniew. Ona ma tylko czternaście lat. Lutek otwiera drzwi i widzi, że ona już płacze.

Dziecko?, pyta Lutek. Co się stało? Ona chowa głowę w jego ramiona, a on czuje jej kościste plecy. Czuje od niej wódkę, papierosy i pot.

Nienawidzę dziewczyn. Wypowiada to w jego ramię.

Och, mówi Lutek. Zamyka drzwi. Miałaś wrócić dwie godziny temu.

Daj spokój, tato. Nie widzisz, jaka jestem... smutna? Nienawidzę swojego życia.

Ona się dopiero rozgrzewa. Musi się na kimś wyżyć. Lutek nagle robi się zbyt zmęczony tą samą rozkrzyczaną Grete. Ona popada w te same stare refreny: on jest zbyt niewydarzony, są biedni, gdyby tylko postarał się bardziej, nie byłby taki żenujący, nie byłby taki samotny, on nie jest całkowicie odrażający, nawet jeżeli jest takim konusem.

Na stoliku dzwoni antyczny telefon. Lutek nadal nie ma komórki, lubi zakotwiczenie telefonem stacjonarnym, i w ucieczce przed córką podnosi słuchawkę. Błąd; Grete krzyczy głośniej. Ale milknie, kiedy widzi jego twarz.

Pan Stone?, powtarza głos w słuchawce. Czy rozumie pan, co mówię?

Och tak, odpowiada zagubiony. Przez migoczący światek nad drzwiami światło latarni powtarza się jękającym łukiem.

Będziemy tam, mówi i rozłącza się.

Tato?, pyta cichutko Grete. Jego córka stała się obca w mrocznym korytarzu.

Tato? To Bahania i Dziad?, pyta. Proszę, powiedz coś. Proszę.

Jeszcze nie jest w stanie nic powiedzieć. Wyciąga rękę i poczucie jej policzka pod opuszkami palców przywraca mu słowa. Spakuj się, mówi tak łagodnie, jak tylko potrafi, i kieruje swoje ciało w górę po schodach, ciało otępiate i obce, jakby wypełniała je glina.

Lutek siedzi w zaciemnionym pokoju. Szpital wrze dookoła nich; za zaciągniętą zasłoną kolejny świt rozciąga się nad krajobrazem. Kształt Hanny leży w łóżku, kształt Grete na łóżeczku poniżej. I większa od samego pokoju, większa od szpitala, większa niż poranek pełnący ku nim jest nieobecność Abe'a, największa ze wszystkiego.

Ta scena odtwarza się w jego głowie ciągle na nowo, tak jak działo się całą noc, z obsesyjnymi szczegółami, powtarza się bez jego udziału, aż staje się prawdą. Widzi rodziców takich, jacy musieli być przed rokiem, zaraz po zdiagnozowaniu Hanny. Byli na dziedzińcu szpitala, Hanna na ławce, Abe obok niej na wózku inwalidzkim. Wiosenny, ciepły dzień w lutym zeszłego roku. Była tam zaniedbana rabata z bylinami, z której na ochotnika ponad zimowymi chwastami wyrastały tulipany. Plastikowe torby szeleściły, przesuwając się wzdłuż muru. Komicznie gruby ptak, gil-Tartuffe, podskakujący na gałązce wiśni.

Hanna wytknęła język. Był szarawy i drgał, jakby kryły się w nim drobne stworzenia, próbujące wydrążyć tunele na zewnątrz.

Fascykulacje, powiedziała. Niektóre z moich przyjemniejszych symptomów. Zdrową ręką ścisnęła Abe'a za kolano. ALS, wyjaśnił Abe. Stwardnienie zanikowe boczne. Niech to cholera. Parsknął, a ona zaprotestowała: Mam sześćdziesiąt osiem lat, kochany. Wcale nie jestem za młoda na śmierć.

Między nimi, jak nieuznawane dziecko, rok zmian zauważony, ale nie omawiany. Hanna myślała, że po prostu starzeje się, szybko podupada na zdrowiu. Nie mogła już otwierać słoików ani wrywać z brody szczypczykami czarnej szczeciny. Między kciukiem a palcem wskazującym powstało wgłębienie. Potknęła się, kosząc kępki trawy wokół domu, i rozcięła sobie głowę o ostrza kosiarki bez silnika. Abe znalazł ją na wpół roześmianą na trawniku, z twarzą zalaną krwią. Dławiła się herbatą. Słowa stawały się obce w jej ustach. Życie wymagało wysiłku.

Pomyślała, aby pójść do lekarza, dopiero pod koniec lutego, kiedy nie mogła odgarnąć szuflę z chodnika pierwszego i ostatniego śniegu tego roku. Ta kobieta, która ręcznie mieszała beton i ugniatała ciasto dla setek, która przez ponad czterdzieści lat wyciągała męża z wanny. Ta silna kobieta pokonana przez pięć centymetrów białego puchu.

Słońce ogrzewało im skórę głowy. Powietrze przyniosło do nich kobiecy głos. Co zrobimy?, spytał Abe.

Nie powiemy Lutkowi i Grete, zdecydowała Hanna. Nie mogę być ciężarem.

W porządku, zgodził się Abe. Od tej pory zawsze będziemy się kąpać razem,

powiedziała Hanna. Ty będziesz mył mnie, a ja ciebie. Ośmieliła się uśmiechnąć. Gil zaćwierkał i odleciał.

Kiedy drzę, powiedziała Hanna, śmiejąc się, czuję się jak w jacuzzi.

Szczegóły, które Lutek wymyślił, wydają się ważne: ptak, tulipany, dialog dopracowywany przez te ostatnie godziny dla dokładności. Szczegółami buduje barykadę przeciw bezradności, przeciw gwarowi szpitala w tle. W słabym świetle dochodzącym przez szparę pod drzwiami widzi twarz Grete w gnieździe różowych warkoczy. Tylko we śnie jest taka spokojna, jego niecierpliwy chudzielec. On jest stary i żyje na pojedynczej płaszczyźnie egzystencji, gdzie Grete jest głównym obiektem; jest młoda i dobrze jej na wielu płaszczyznach, z których kilku on w ogóle się nie domyśla, żyje w szkole, żyje z przyjaciółmi, żyje cyfrowo. Podczołguje się do niej po podłodze i patrzy, jak oddycha. Kiedy się budzi, w pokoju jest ciemno, lekarka stoi nad nim, nie widać jej twarzy, przywołuje go dłonią na zewnątrz.

W ostrym świetle korytarza porusza się zbyt wielu ludzi. Lekarka podaje mu kawę jeszcze wrzącą w kubku. Mimo ostrych rysów jej twarz wydaje się wypoczęta, chociaż była tu, kiedy Lutek i Grete przyjechali późno w nocy. Kiedy mówi, pokazuje swoje wielkie, białe zęby. Przywodzą mu na myśl kostki lodu; kiedy spotkała ich w izbie przyjęć, miał absurdalną ochotę je polizać. Lekarka przytula go, a pachnie jak sproszkowane fiołki, taki staroświecki zapach jak na kogoś tak młodego. To go niepokoi. Chociaż bardzo się stara, nie może sobie przypomnieć imienia tej miłej kobiety.

Jeżeli chce pan porozmawiać... mówi kobieta i jej głos cichnie.

Nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć, odpowiada Lutek. Słyszy swoją złość, dopiero kiedy ona cofa się o krok. To dla niego nowe i wcale nie jest niemiłe. Przepraszam, dodaje. Tyle jest do zrozumienia.

Usiądzie pan?, proponuje lekarka. Lutek pada na krzesło obok niej. Dookoła nich ludzie w różowych i niebieskich strojach lekarskich poruszają się szybkim krokiem ku tragedii innych ludzi. Niektórzy mają maski w obawie przed nowym indonezyjskim wirusem, choć to tak daleko. Lekarka mówi: Niech pan coś powie.

Mam zbyt wiele pytań, mówi Lutek. Dlaczego nie powiedzieli nam, że Hanna jest chora. Przez cały rok to ukrywali. Dlaczego ona nie przyjmuje leków, dlaczego pozwolili chorobie rozwijać się bez kontroli. Dlaczego, kurwa, postanowili siebie zabić, zamiast zająć się tym jak rodzina.

Te pytania musi pan zadać mamie.

Jeśli się jeszcze obudzi, to zapytam.

Och, panie Stone, kobieta mówi łagodnie. Nerw zaczął drgać jej pod okiem i zakrywa go dłonią. Pańska matka była przytomna, kiedy znalazła ją ta amiszka. Hanna po prostu nie chce otwierać oczu.

Lutec dotyka czołem kolan i oddycha. Musi powstrzymać się przed wtargnięciem do pokoju Hanny. Delikatnie zimna dłoń lekarki spada na jego kark i uspokaja go.

Z czasem dłoń lekarki rozgrzewa się i staje się dla niego jedynie kolejnym ciężarem. Coś białego trzepocze mu pod nogą, gdy kobieta podaje mu list napisany pięknym charakterem Abe'a. Lutek czyta go i czyta. Rodzice czuli się błogosławieni, bo mogli odejść razem, tak jak żyli przez całe życie, odkąd byli romantycznymi dziećmi.

Lekarka zaczyna mówić o tym, co jego rodzice zrobili. Ujmuje to w takie eleganckie zwroty, tak pozbawione emocji czy poczucia winy. Lutek zastanawia się, czy na medycynie uczą takiego obiektywizmu. Pozostaje w bezruchu, aby jakaś moc przesączyła się do niego przez jej skórę.

Między zdaniem lekarki a tymi w liście Lutek znajduje czas, by ułożyć własne wersy żalu. Widzi moment, kiedy zbyt ciężkie stało się dla nich zajmowanie się sobą nawzajem: Hanna mogła upuścić coś, czego Abe nie mógł podnieść. Potem, tuż po kolacji, Abe zamknął książkę i podjechał do Hanny, otwierając dłoń, aby pokazać jej pudełko z pigułkami. Uporządkowali dom, wystawiając łatwo psujące się jedzenie na ganek dla skunksów i szopów, głodujących saren, uprzątnęli kompostową ubikację, napisali ten list. Ubrali się w czyste rzeczy i położyli na jej łóżku. Dzielili równo tabletki i popijali je z tej samej szklanki zimną wodą. W ciepłe trzymali się siebie i czekali, aż wszystko wyblaknie, odejdzie. Abe'owi się udało. Hannie nie. Wróciła do Lutka.

Lutek zgniata list Abe'a, wpycha go do kieszeni. Wstaje w środku zdania lekarki i rusza długim korytarzem. Nie chce być niegrzeczny, szczególnie wobec tej miłej pani doktor z tikiem nerwowym, ale potrzebuje tylko pustego pokoju i czystego zimna samotności.

W jakiś sposób nastąpiło południe. Grete przez cały ranek siedzi z nosem w czytniku e-booków. Lutek czuje, że dusi się między swoimi wściekle milczącymi kobietami. W końcu on i Grete idą do stołówki po kanapki i odkrywają tam gumiate bułki z ponurą sałatą ze szklarni. Zaledwie przed kilku laty świeże główki sałaty lodowej toczyły się obficie z Meksyku. Taka mała rzecz sygnalizuje tak wielką zmianę.

Zapłacili i siadają, kiedy za sprawą śmierci Abe'a Lutkowi zapada się ziemia pod stopami. Wpadłby, gdyby nie widok długich dłoni Grete na chlebie, czarny, wyszczerbiony lakier na obgryzionych paznokciach.

Co?, pyta Grete, spoglądając na niego. Tato, co?

Świat miesza się, drżą kolory. Czuje, jak Grete dotyka jego policzka. Abe, mówi Lutek.

Och, w Grete też coś się porusza. Przysuwa do niego krzesło, jak może najbliżej. Razem zamykają oczy przed innymi, przed smutnym jedzeniem, przed bladym światłem stołówki.

Gdyby Abe tu był, Lutek mógłby go udusić i zabić na nowo: to, co wydaje się smutkiem, jest wściekłością. Abe był opoką; Abe był grawitacją jego świata; jak daleko Lutek sięga pamięcią, jego ojciec był dla niego jedyną pewną rzeczą.

Pokój Hanny wypełnia się suszonymi polnymi kwiatami. Pobliska kwaciarnia jest zaradna w obliczu wyśrubowanych cen dóbr z importu. Lecz od unoszących się pyłków twarz Grete puchnie i nawet Hanna tłumi kichanie w łóżku.

Zjawia się Jincy ze swoimi chłopcami i Grete zbiega na dół, aby ich przywitać. Lutek, sam przez minutę, podchodzi do matki. Przykuca przed nią z twarzą o centymetry od jej twarzy, oczy mu zachodzą łzami od jej kwaśnego oddechu. Wiem, że nie śpisz, mówi. Otwórz oczy.

Powoli jedno oko otwiera się w gnieździe zmarszczek. Hanna mruga. Odzywa się tak cicho, że on ją ledwo słyszy: Wolałabym nie.

Lutek chwyta powietrze. Śmieje się. Ale znowu szybko dopada go wściekłość. Kurwa, nie jesteś kopistą Bartleby, krzyczy. Jej otwarte oko zwięża się skierowane na niego.

Wbiega Jincy z bliźniakami, Lutka otaczają chłopięce wonie, smród brudnych rąk i oddechu. Patrz!, mówi Oscar, otwierając dłoń, aby pokazać delikatne kółko zębate ze starego zegarka. Znalazłem je na boisku w szkole i zachowałem dla ciebie. Isaac nic nie przyniósł, ale żeby nie być na straconej pozycji, mówi: Patrz na to!, i staje na rękach pośrodku pokoju Hanny. *Patrz na to!*, powtarzają bliźniaki. *Patrz na mnie!* Jincy nigdy nie miała męża ani przyjaciela na dłuższy czas. Kiedy bliźniaki nocują u nich, kulą się w łóżku Grete, ale rano Lutek zastaje ich w swojej sypialni na podłodze wtulonych w siebie, wiernych jak psy.

Lutek przyciąga do siebie chłopców, gdzie te kościste stwory odpoczywają. Patrzy na Jincy w drzwiach. W przeciwieństwie do reszty świata, której dobry wygląd powoli i stopniowo przechodzi w siwiznę i zmarszczki, jej atrakcyjność pozostała na tym samym poziomie. To, co jako nastolatkę upodabniało ją do myszy, przetrwało, lecz skryło się pod uderzającym pięknem pięćdziesięcioletniej. Spirale jej włosów przenikają pasemka siwizny, a jej twarz jest różowa i bez zmarszczek. Jest zadowolona i zawstydzona podziwem Lutka. Pochyliła się nad Hanną i całuje ją, szepcząc coś, odgarnia jej włosy ze skroni. Chociaż Lutek wysiła się, aby ją usłyszeć, nie odróżnia ani słowa z tego, co ona mówi.

Żalność i umiarkowana gorączka. Jego smutek jest niczym ul umieszczony w tyle głowy – Lutek porusza się powoli, aby nie dać się użądlić. Sprawy zlepiają się w jedno, wygładzają bez końca. Zjawia się Astrid; Grete zeskakuje z krzesła przed drzwiami Hanny, krzycząc: *Mormor Astrid, tak czekałam, aż przyjedziesz!* Lekarze gromadzą się wokół Astrid; Astrid wmaszerowuje do pokoju Hanny i każe jej usiąść. Zdziwienie wzbiera w Lutku, gdy Hanna z bólem podciąga się. Starzy przyjaciele patrzą po sobie i ogarnia go wspomnienie o tym, jacy byli pewnego razu: wysocy i młodzi w Namiastce Arkadii, miodowi i biali, Lutek mały, wpatrzony w ich nieodgadniony bezmiar.

Jazda z powrotem samochodem do Arkadii trwa wieczność. Radio donosi o tysiącach ofiar na Jawie, nagła choroba, kwarantanna. Lutek gasi radio, ale Astrid włącza je z powrotem, rzucając: Ignorancja nikomu nie pomoże. Lutek nie dopuszcza do siebie niczego, tego, że choroba nagle się zjawia, dwanaście godzin i ludzie nie żyją, lekarz nazywa ją odmianą SARS, podobną do ptasiej grypy, nikt jeszcze nie zna dróg przenoszenia. W końcu Astrid zgadza się na muzykę klasyczną. Lutek jest pewien, że ma brodę i zaczerwienione oczy, kiedy patrzy we wsteczne lustro, ale oczy mu lśnią, policzki ma zarumienione. Nadal czuje drobne kości lekarki, gdy ją ścisnął; jej fiołkowa woń wisi w powietrzu. Proszę dzwonić, jak często pan zechce, mruknęła. To mój numer. Ostatni błysk białych zębów, a on pragnie zabrać ją z sobą.

W ciszy Klonowego Lasku słońce barwi się zielono, a ptaki trąbią w koronach drzew. Aby nie złościć się na nie, Lutek musi sobie powtarzać: One przecież nic nie wiedzą.

Dom jest taki sam. W spiżarni te same rzędy słoików pełne tej samej fasoli i ziaren. Szopa, wszystkie narzędzia ułożone dla Abe'a na wysokości kolan. Ścieżka do

Klonowego Lasku, w połowie zdławiona przez chwasty. Dym z ogniska optymistycznie oplata dom, fortecę, żywopłot, zagrodę. Masyw wzgórz fioletowy o świcie. Ciemność porusza się niczym jakiś stwór w nocnych lasach. Same lasy, dziesiątki tysięcy akrów, które Leif odzyskał z porzuconych gospodarstw na długo, zanim ziemia znowu nabrała wartości. Ten sam ulubiony talerz Abe'a pozostawiony na górze stosu. Te same podwójne wgniecenia, które ciała rodziców ukształtowały przez lata w materacu.

Milczenie Hanny, przez całe życie, takie samo.

Z taką łatwością by tu zasnął, uległ łóżku, ale Grete jest przy nim, mruży oczy z obrzydzeniem. Tato, wyrwij się z tego, mówi. On oddycha i pozwala, by dom go obmywał, i zajmuje ręce pracą – szoruje odzyskane deski podłogowe, aż lśnią; piecze ciasto, ściele łóżka – znajduje pocieszenie w głupich, brutalnych ruchach ciała, pozwala, by prowadziło przez te godziny.

W jakiś sposób z tych momentów rodzi się tydzień. Teraz pogrzeb. Tyle osób przyszło. Lutek jest oszołomiony, prawie nic nie widzi.

Słońce jest zbyt wysoko, wiatr jest zbyt silny, woda w Stawie uderza o brzeg. Ludzie odczuwają potrzebę, by go dotykać. Lutek jest niskim mężczyzną, ale oni pamiętają go drobnym: poklepują go po czubku głowy, a on powstrzymuje się przed zmiążdżeniem im dłoni. Ktoś w błękitnej szacie, kogo powinien rozpoznać, wypowiada formułę. Ludzie mówią różne rzeczy o Abie: był ukrytą siłą Arkadii, dokonał cudu, remontując Dom Arkadii w trzy krótkie miesiące, scalał społeczność przez kolejną dekadę. A akcje, które organizował na starość, marsze na Waszyngton, płomienne prośby o zbiór funduszy, zjawiające się w ich skrzynkach na listy niczym uparte szare gołębie pokoju. Abe żył zgodnie z tym, w co wierzył. Abe niezłomny.

Niektórzy ze Śpiewaków Cyrkowych, starzy i sflaczali, zataczają się pod nowiutkimi kukłami. Głos im się załamuje ze starości, mówią głośniej, bo tracą głos. Lutek z odrętwienia przechodzi w ból. Myśli sobie, że to jest to, co określa się słowem przeniesienie.

Patrzy na wzgórze ku Domowi Arkadii. Erewhon Illuminations porzuciły go, gdy Leif zniknął, a Astrid nic z nim nie robiła przez dwa lata. Bluszcz dławi okna po zachodniej stronie. W rynnach rosną młode drzewka. Gołębie siedzą rzędem na szczycie dachu, spinając dom z niebem.

Lutek, Grete i Hanna otrzymują urnę. Otwierają ją. Wiatr nad Stawem unosi czarny dym z Abe'a. Szara warstwa osiada jak olej na wodzie, twardsze fragmenty Abe'a opadają, aby skubały je ryby. Aby woda rozmyła go, cząsteczka po cząsteczce, rozpuściła, aby wypłyły go sarny, niedźwiedzie i piżmaki teraz obserwujące to dziwne zgromadzenie z bezpiecznych kryjówek.

Później żałobnicy mieszają się z sobą na parterze Domu Arkadii i ktoś puszcza Rączkę, ostrego i młodego, przez głośniki. Hanna jest jak pusty worek po mące, rzucony na krzesło w kącie. Mimo muzyki Lutek słyszy rozgniewane szepty o zmianach, jakie Leif wprowadził w starym Domu, parterowe skrzydło sypialni jest teraz otwarte na wielki hol, gdzie boksy utworzyły labirynt. Gdyby Starzy Arkadianie zobaczyli błyszczące, wypatroszone piętro – myśli Lutek – w ich zmęczonych sercach znowu rozpaliby się anarchia. Biedny Leif; to jemu nigdy nie przeszkadzały zmiany. Przez chwilę Lutka

szczypią oczy po stracie tego ekscentryka, który zagubił się w superwysokościowym balonie przed trzema laty. Spogląda przez okno na szarzejące niebo i wyobraża sobie Leifa tam właśnie, zmarzniętego i spokojnego w kabinie balonu, o zamrożonych rzęsach, z uśmiechem na zsiniałych ustach, jego ciałem targa wiatr na granicy kosmosu.

Przychodzą do niego; ludzie, których kochał, gdy był dzieckiem. Ale stali się groteskowi. Eryk jest tłusty jak pączek, szpinak utknął mu między zębami, inżynier, jedyne ocalałe dziecko Astrid i Rączki, bo zamienił życie na nudę. Midge stała się łysą staruchą, jest taka drobna, że Lutek musi się nad nią pochylać. To mój ostatni przyjazd z Florydy – szepcze przez zieloną maskę, którą nosi, aby ustrzec się chorób. Jest zbyt stara, aby znieść podróż pociągiem. Tarzan jest teraz całkowicie zrobiony ze skóry, ten sam brązowy zamsz od głowy po ręce. Simon ma tupecik, który na brzegach stracił przyczepność; kiedy klęka przed Hanną, całując jej dłonie, włosy ma jak czarną pokrywkę odchylną, aby sprawdzić, co się gotuje w środku. Scott i Lisa lśnią pieniędzmi. Regina i Ollie są spieczeni słońcem Bermudów na idealne złote babeczki. Dorotka, teraz niewidoma, z fryzury na czeskiego piłkarza ma zapleciony warkoczyk na karku, jej kochanek pociąga go czule jak małego psa na smyczy.

Ze szpitala przyjechała drobna, szczupła lekarka, kiedy się zbliża, Lutek się cieszy. Jest nową osobą: nie obciążają jej wspomnienia. Na brązowej skórze wokół oczu pojawiają się zmarszczki. Całuje go w policzek i znika.

Tak strasznie ci współczujemy, Malutku, szepczą ludzie.

Tak bardzo kochaliśmy twego ojca, szepczą.

Szepczą, szepczą, szepczą. Wszyscy szepczą poza D'Angelem, który krzyczy swoim nowym głosem pastora zielonoświątkowego: Niech Bóg błogosławi tego starego, chudego drania Abe'a!, i płyną mu łzy po twarzy bez zmarszczek, miękkiej jak u noworodka, cudownie niezmienionej.

Większość wyjeżdża szybko. Mają pracę, rodzinę, pociąg. Dylan, Cole i Jincy z potomstwem wyjeżdżają ostatni: wynajęli razem autobus, żeby oszczędzić na benzynie. Dopiero kiedy Lutek wchodzi do parnej oranżerii na dziedzińcu, który Leif całkowicie zamknął szkłem kilka lat wcześniej, widzi amiszów. Dziedziniec to teraz dziwne miejsce, powietrze jest ciężkie i wilgotne. Szemrze strumyk ukryty pośród paproci i mchów, w wiszącej mgiełce. Ciemne postacie amiszów rozmyły się we mgle; stamtąd, gdzie stoi, Lutkowi wydaje się, że mogą to być purytanie właśnie wysiadający z żaglowców do Nowego Świata, przerażeni i zadziwieni, że znowu mają ziemię pod stopami.

Nie chce tu tych ludzi. Są zbyt blisko z tym Bogiem, w którego nigdy nie potrafił uwierzyć, zjadający ciało, ogorzali, ci od pręgierza.

Jedna z osób odchodzi od grupy, zbliża się, staje wyraźna. Kiedy kobieta podchodzi, jej drobna twarz jest jak biały spodek z jagodami zebranych zgrabnie pośrodku: oczy-borówki, nos-wiśnia, usta-truskawki. Sięga do ramienia Lutka, a on rozumie, gdy twarz kobiety rozpada się, że to ona znalazła jego rodziców po ich strasznym, połowicznym sukcesie.

Kobieta nic nie mówi, tylko raz za razem ściska mu biceps. On to wytrzyma. Podnosi wzrok i patrzy przez rozłożyste gałęzie dębu, swojego starego przyjaciela. Przez ubrudzone szkło w górze widzi czarną chmurę. Pierwsze krople uderzają nad głową.



Czuje, teraz właśnie, jak jest biednemu, staremu dębowi śpiącemu pod szkłem. Koniec z gorącym słońcem na liściach. Koniec z ostrą zimą, uderzeniem burzy, koniec z ulgą, kiedy odpada balast.

Lutek idzie na spacer, aby być sam. Przestało padać, ale mokre trawy chwytają go za kostki, liście dygoczą i zrzucają mu na głowę krople deszczu. Nie ma Owczej Łąki, zarosły ją niskie brzozy blade jak dziewczęta o zmierzchu. Panuje uczucie uchwyconej chwili, drzewa lekko pochylają się w dół wzgórza, jakby za ułamek sekundy miały odzyskać ludzkie kształty i znowu rzucić się biegiem. Tam, gdzie ziemia wsuwa się w las, jest mała polana, miejsce Rączki, i Lutek widzi Rączkę takiego, jaki był całe życie, siedzi po turecku, włosy ma związane rzemieniem z ekologicznej skóry, żabia twarz z wyrazem błogości.

Lutek siedzi tam, gdzie Rączka tak często siadywał. Jednak zamiast łaski czuje, jak wilgoć z ziemi przesącza się przez spodnie. Dobra, mówi głośno. A niech tam.

Kolor nieba się zmienia, szarość przechodzi w atrament. Księżyc, jasny arbiter, czeka na niego.

W jednej ręce Lutek trzyma karty życia, ma na nich: swoich studentów, twarze rozjaśnione zainteresowaniem; dom; randki z miłymi kobietami, które utrzymują jego uwagę przez noc, tydzień, miesiąc, aż ulatują; przyjęcia, otwarcia wystaw, śniadania z Grete w parku. Cywilizacja miasta. Jego spokój, niezmacone życie, jego książki, przyjaciele. W tym rozdaniu jego chora matka przenosi się do szpitala do miasta, gdzie Lutek i Grete mogliby ją odwiedzać codziennie z kwiatami, z lodowymi wiórkami, wiadomościami. Jeżeli jest kwarantanna, jeżeli pojawia się choroba, ma zbiorniki z wodą, ma jedzenie, ma broń Abe'a w sejfie w piwnicy. Mogą przeczekać.

W drugiej ręce trzyma karty śmierci Hanny w Arkadii, miejscu, gdzie jego rodzice byli tak szczęśliwi. Gdzie on był taki szczęśliwy jako dziecko. (Czyżby? Najlepiej nie ufać tej retrospektywnej promienności: złoty pył osiada na wspomnieniach, przez co świecą). W tym rozdaniu Lutek zostaje w Arkadii z matką, obcina jej zrogowaciałe paznokcie u stóp, myje skórę. Przypomina jej o lekach, odczuwa codziennie bolesne do szpiku kości wspomnienia tego wszystkiego. Pamięta porody, przy których asystował, kiedy był mały, odgarniał kobietom spocone włosy z czoła i masował ich nabrzmiałe ciała. Tutaj będzie akuszerem gnicia własnej matki, a Grete będzie obok obserwować to wszystko.

A ostatnia karta jest ciężka, trudna. Wymaga działania. Przywykł do siedzenia cicho z boku, do obserwacji. Obmacuje swoją złość jak brzegi rany. Czy Hanna zasługuje na taką troskę po tym, co próbowała zrobić? Co jej rozpad wyrządzi Grete, jego córce miasta, która niemal nie widziała śmierci, tylko plamki much na parapecie, szczura w pułapce?

Pragnie otrzymać znak, ale noc zaciska swoje sznurki i wiatr usypia drzewa. Dwie rzeczy do wyboru. Unosić się tak, jak robił to od dzieciństwa. Albo skoczyć i płynąć.

Jest noc. Na blacie leżą ciasta pozostałe po pogrzebie. Ich czworo siedzi wokół stołu w Zielonym Domu. Lutek próbuje ująć chorą dłoń matki, która szokuje go swoją lekkością i zimnem, ale ona wyrywa mu ją zdrową ręką. W blasku kuchennego żyrandola twarz jego matki wygląda jak wyrzeźbiona z mydła.

Astrid czeka nazbyt długo, aby się odezwać. Zawsze majestatyczna teraz oślepia swoim autorytetem. Położne z miasta, które Lutek zna, mówią o niej z czcią; Lutek nie zdziwiłby się, gdyby gdzieś w świecie istniały kapliczki z jej obrazem, tak samo jak Arkadię upstrzyły kolorowe ołtarze Gandhiego, Marksa, Dalajlamy. Po pięćdziesiątce Astrid dała sobie wyrwać zęby i teraz jej twarz dopełnia sztuczna szczęka, tak jak pokój wykańczają drewniane elementy. Nosi długie, luźne ubrania w kolorach ziemi, którym udało jej się nadać elegancję. Helle byłaby taka jak jej matka, gdyby żona Lutka zdecydowała się dzielić z nim swoją starość. Lecz gdy Grete siedzi obok swojej *mormor*, wtula się w jej ciepło, Lutek widzi, że jego córka to druga Astrid ożywiona miodem Hanny. Ociera się lekko o niego to dobre uczucie, jakby siedział w zacięciu czasu.

Szkoda, że nie możesz zostać, Astrid – mówi Lutek i sam się sobie dziwi.

Stara Astrid spogląda na niego, ma delikatną twarz. Wzrusza ramionami i mówi: Rączka.

Rączka jest bliski obłędu. W nocy myśli, że jest w Korei, wykrzykuje takie rzeczy jak: „Żołnierzu, do warsztatu!” i „Palić i walić!”. Wszystko, co się stało, gdy skończył dwadzieścia kilka lat, zostało wymazane: Arkadia to złota nadzieja, która wiecznie w nim płonie, jego eksperymenty z drzwiami percepcji to jedynie migawki w długim korytarzu. Kiedy zostawiła go czwarta żona, jedynie Astrid odwiedza go codziennie. Gruby Eryk przyjeżdża trzy razy do roku. Garaż dla starców, Astrid dzwoni do domu opieki. Ale tam jest wspólna pula, szwedzki stół; poza tym to idealne miejsce, na swój sposób.

Hanna przemawia do ciszy. Nadal miękkie włosy okalają jej twarz, chociaż białą. Czarna sukienka obwisa na niej, perły są ziemiste jak jej skóra. Jedno, czego chciałam, mówi, to nie być ciężarem. Szybko i bezboleśnie, tak chciałam odejść.

Ale wszechświat wezwał cię z powrotem, odpowiada Astrid.

Bez powodu, mówi Hanna.

Znajdziesz powód, rzuca Astrid. Skończ z uzalaniem się nad sobą i idź dalej.

Lutek tak się dziwi, że aż się śmieje. Grete zaczyna płakać. To paskudne, *mormor*, szepcze. Astrid ignoruje ich. Wpierw wynajmę pielęgniarkę, obwieszczą. Zaczyna jutro. Luisa, tak ma na imię, miła pani. Kiedy trzeba będzie więcej pomocy, najmiemy więcej. Po drugie, mówi, Ridleyu, musisz porozmawiać dzisiaj na swoim wydziale i zawiesić resztę semestru. Po trzecie, rozmawiałam ze szkołą Grete w mieście i szkołą tutaj. Wszystko załatwione. Grete może zacząć w poniedziałek.

Czekaj. Nie, protestuje Grete. Ja mam życie. Nie mogę tu być. Jutro mam kurs przygotowujący na studia. Prawda, tato? Musimy wracać do domu.

Och, tak, mówi Astrid. Twój ojciec już postanowił. Dziwię się, że ci nic nie powiedział.

Chciałem, odzywa się Lutek, uchylając się przed spojrzeniem córki, ale poszłaś biegać.

Nie, krzyczy Grete. Nie zgadzam się.

W Lutku budzi się dziwna nowa złość i słyszy swój spięty głos: Grete, wychodzimy natychmiast. Córka milknie. Idą przez paprocie do Klonowego Lasku, twarz Grete ginie w ciemności. Tato, mówi, odwracając się w końcu do niego. Czy to nie jest dla mnie wystarczająco traumatyczne?

Od kiedy chodzi tu o ciebie?

Ja nie muszę tu być. Ty możesz tu zostać, a ja pojedę do domu i zamieszkać z Matyldą. Albo Charlotte. Albo Harper, kochasz Harper, to totalna świruska.

Będzie mi potrzebna twoja pomoc, mówi Lutek.

Grete wygląda jak w potrzasku. Ale co z moimi rzeczami?, pyta.

Jadę dzisiaj do domu, decyduje Lutek. Zrób listę. Wrócę, zanim się obudzisz.

A co ze szkołą? Nie idę do żadnej wieśniaczej szkoły. Na pewno nie są na takim poziomie jak my. Robię rachunek różniczkowy. Będę się nudzić.

Tylko do końca semestru, skarbie. Chyba.

Nie mogę. Nie mogę, tato, mówi Grete ostrym głosem. Nie mogę być w tym domu. Czuć od niej, jakby gniła czy coś. Nie mogę być w domu, gdzie Dziad się, kurwa, zabił, tato, nie mogę. Nie możesz mnie zmusić. Ucieknę.

Widzi, jak Lutek się zżyma. Jak mama, mówi Grete, obserwując go. Ucieknę.

Lutek odwraca się. Prawie nie widzi ziemi. Jak mogłem wychować takie samolubne dziecko, mówi tak cicho, że nie wie, czy ona go usłyszała. Ale kiedy wchodzi do domu rodziców, słyszy, jak ona szlocha, a potem ciężkie drzwi domku Tytusa i Sally na drzewie trzaskają raz za razem.

Kiedy inni już śpią, Lutek bierze stary samochód Hanny. Przez pierwszą godzinę jazdy uwielbia gwałtowność wpadającego przez otwarte okno wiatru, który przegania chmurę lęku, ale kiedy robi się zbyt zimno, zamyka okno i włącza radio. Classic rock, najwyraźniej, tę muzykę kochał, kiedy miał dwadzieścia kilka lat. Orientuje się, że śpiewa razem z nagraniem głosem ochrypłym od nieużywania. Odzywa się konferansjer, potem są trzy akordy, które zaskakują go tak, że aż się śmieje: piosenka zaprawiona funkiem, jedyny wielki przebój Cole'a. Tak długo walczył, miał tyle zespołów, a ten sukces znikąd go zniszczył. Przestał grać i kupił nocny klub. Teraz pisze monografię akurat na temat Palestriny.

Gdy piosenka się kończy, Lutek wyłącza radio, aby zachować w pamięci młody głos Cole'a. W przedniej szybie przesuwiają się światła miasta. Brnie przez migające ulice. Teraz, kiedy zbliża się do nich choroba, jest mało przechodniów, a większość z nich ma na twarzach maski niczym jaśniejące kagańce. Lutek wjeżdża do słabo oświetlonej dzielnicy. Kiedy wysiada z samochodu, słyszy niski, głęboki szum miasta, jednocześnie warkot i odgłosy trawienia. Zauważa ten dźwięk tylko wtedy, gdy wraca z cichej wsi.

Wewnątrz domu jest chłodno i czuć słodkawą woń gnijących śmieci, które zapomniał wyrzucić przed wyjazdem. Zmywa naczynia, płaci rachunki, przekierowuje pocztę, zakręca wodę, programuje światła, aby zapalały się losowo w nocy, upewnia się, że wszystko jest zabezpieczone.

Wynosi lodówkę z jedzeniem na zewnątrz dla rodziny spod schodów. Są pod brezentem, w dwóch połączonych śpiworach. Rodzice pochylają się nad dziećmi, dwoma małymi kształtami. Przygląda się im przez chwilę i żałuje, że nie ma odwagi obudzić ojca, powiedzieć mu po cichu, że jego i Grete nie będzie jakiś czas, i przeprosić, że już nie będzie codziennie zostawiał jedzenia. Ale nie może ryzykować, że włamią się do domu, będą tam koczować: prawo zabraniające squattingu jest, jakie jest, potem nie pozbyłby się ich stąd miesiącami. Wycofuje się zdenerwowany.

Swoje rzeczy pakuje zaledwie w kilka minut. W pokoju Grete gromadzi wszystko, co uznaje za potrzebne jej: jak pamięta, ostatnio noszone ubrania, buty, zdjęcie, które zrobił jej z matką, kiedy Grete była mała, stykają się na nim czołami jak konspiratorki. Jakie wtedy były podobne, dwie połówki jednej duszy. Zabiera pluszowego psa z czasów dzieciństwa, bo wie, że będzie go potrzebowała. Teraz Grete wygląda na dorosłą, ale nadal jest w niej część dziecka, której Lutek będzie bronił za wszelką cenę: niepewność, jaka ją ogarnia, kiedy opowiada o chłopcach, rozkosz na jej twarzy, kiedy kupuje jej coś różowego. Chwile, kiedy czytnik wypada jej z rąk i Grete patrzy przez okno, zagryzając kąciki szerokich, bladych ust, rozmarzona jak jej matka.

Przez chwilę przygląda się złotemu prochowcowi, gdy dostrzega, że duża kieszeń jest wybrzuszona. Sięga do środka. Kiedy otwiera dłoń, ukazuje mu się jego zapalniczka Zippo z dawnych czasów, bibułka, duża paczka zioła. Jakby ośc utknęła mu w gardle. Uwalnia się od niej, dopiero gdy dzieli go od Arkadii pół godziny jazdy, a we wstecznym lusterku płonie wschodzące słońce. Jedzie długą, prostą drogą, utrzymując kierownicę kolanami, i zwija pospiesznie jointa; zapala. Kiedy w głowie zaczyna mu się kołysać, wyrzuca długiego na cal skręta i resztę marychy przez okno w stronę klonu, który gęsto obsiadły wrony. Milę dalej pęka ze śmiechu na myśl o naćpanych ptakach, które leniwie opadają z nieba, bo zawodzą je skrzydła.

Świt odbija echem swoją ciszę w uszach Lutka wypełnionych zgiełkiem miasta. Smaży naleśniki, aby obudzić Grete, i nie może się opanować, aby nie pochłonąć samemu pierwszych czterech. Astrid oznacza fiołki z lekarstwami Hanny, piją sok pomarańczowy z proszku. To wszystko, co jeszcze można dostać po zarazie cytrusowej. Brakuje mu miąższu i kwaśnego pieczenia w gardle po prawdziwym soku.

Pszczoły, znikąd odzywa się Astrid.

Pszczoły?, powtarza Lutek. Zastanawia się, czy to jest racjonalna myśl, której jego spowolniony marychą mózg po prostu nie może przetrwać.

Gołąb wędrowny, mówi Astrid. Amerykańska żaba rycząca. Staram się dojść, czym jesteśmy, my, Arkadianie. Giniemy. Tak wielu z nas nie żyje, umiera, znika.

Jesteśmy dinozaurami, Lutek się śmieje. Cień Abe'a przesuwają się przez moment przez pokój, zimno.

Ja bym powiedziała jak pszczoły, odpowiada Astrid. Pamiętasz czasy sprzed wymierania? Ich dziwne, włochate ciała. Zawsze wydawały mi się symbolem szczęścia.

Pamiętam. Ale nie tylko Arkadianie wymierają. Wkrótce wymrzną wszyscy.

Astrid marszczy brwi, spoglądając na fiołkę w ręku. Ta choroba jeszcze do nas nie dotarła, mówi. Zostanie powstrzymana. Zawsze tak jest.

Nie chodzi mi o chorobę, wyjaśnia Lutek. To tylko symptom. Za dużo ludzi, za mało ziemi, oceany są zatrute, zwierzęta umierają. Wydaje mi się, że nie zasługujemy na zbawienie.

Astrid odstawia lekarstwo i przebija go lodowatym, niebieskim spojrzeniem. Jeżeli tak myślisz, to nie wiem, kim już jesteś, Ridleyu Stone.

Lutec otwiera usta, ale nie znajduje w nich słów. W każdym razie nie potrafi nic powiedzieć w obronie bielików, żab, pszczoł, teraz wzbierających mu w gardle.

W domu panuje cisza poza delikatnym tykaniem paneli słonecznych na dachu.

Hanna zniknęła w swoim pokoju; Astrid pojechała wynajętym samochodem na lotnisko, obiecując, że wróci, gdy będzie potrzebna, a co tam majątek, jaki się teraz wydaje na samoloty; Grete wyszła na wściekle bieganie.

Po tak wielu dniach pełnych ludzi Lutkowi dobrze jest z tą samotnością. Zagląda do małego gabinetu Hanny i Abe'a. Lśni nawet stół kreślarski, którego Abe używał jako biurka. Abe trzymał na półce wczesne zdjęcia Lutka: twarz Verdy, odbita wielokrotnie w stercie spatynowanego srebra; Helle stoi na głazie nad Stawem, a jej odbicie to dwie długie dziewczyny złączone kostkami; Hanna, cudowna, młoda i szczupła na kolanach Abe'a, oboje promienni, gdy pędzą ze wzgórza Domu Arkadii tak szybko, jak na to pozwala wózek inwalidzki.

Lutek wyciąga palec i pociera policzek Hanny. Nie może uwierzyć, jakie były z nich dzieciaki. Ta reakcja wydaje się wzbierać teraz przez cały czas. Kilka miesięcy temu, idąc przez miasto, w oknie starego sklepu z płytami zobaczył wielki plakat z Janis Joplin w okrągłych okularach, z piórami we włosach, i niemal zapłakał, bo na tak świeżo wyklutą wyglądała. Teraz, schowaną za fotografiami, odnajduje swoją starą leicę, tę, którą przysłała mu babcia z Kentucky. Podnosi ją, dziwiąc się, jaka jest lekka. Od kiedy niechętnie zaczął używać aparatów cyfrowych przed kilku laty, wykonuje więcej prac komercyjnych, a mniej własnej sztuki; jego własny analogowy sprzęt leży zapomniany na półce. Przywykł do łatwości cyfrowego życia.

Przeszukuje szuflady Abe'a i znajduje pudełko po butach z kolorowymi filmami. Czuje oszałamiający przypływ możliwości: te szpulki mogą mieć trzydzieści lat i są bezużyteczne, prawda, ale zniekształcenie wiekiem mogłoby przynieść nieoczekiwane efekty, niezrównane: emulsja spękała albo się stopiła, plastik skruszał i łatwo się drze, efekty nie do powtórzenia. W głowie obrazy rozwijają się jeden na drugim niczym warstwy przejrzystej tkanki: fale złamanej bieli i czerwieni, akwarelowa chmura złożona z sylwetki drzewa, bąblowatego krajobrazu z traw.

Chce śpiewać. Co za perwersja, możliwość piękna, odnaleziona, kiedy najmniej jej się spodziewał; aż dziw, że mogły zostać na świecie takie niespodzianki. Wychodzi na słońce, coś mięknie w nim i osiada.

W zimie przed zniknięciem Leifa Lutek wszedł do lasu po raz ostatni. Zazwyczaj zaglądał do Arkadii na krótko, żeby podrzucić Grete na miesiąc latem albo spędzić noc w trakcie wakacji. Wtedy wszyscy razem szli na wędrowkę dwudziestomilowym szlakiem, który utrzymała Erewhon. Jego rodzice byli krzepcy, byli też tu Astrid i Rączka, Leif nawet uśmiechnął się przy nich. Lutek pchał Abe'a z łatwością po zmarzniętej ziemi, a ojciec odwracał się raz po raz, aby się do niego szeroko uśmiechnąć, z siwą brodą pełną lodu. Czasami pracownicy przemykali obok na raketach śnieżnych, biegnąc w obcisłych czarnych kombinezonach narciarzy biegowych, szybując po wzgórzach niczym wysokie, smukłe ptaki. Grete była jeszcze mała, długie nogi miała niezdarne jak jelonek. Próbowwała lepić śnieżki i rzucać im w twarz. Oddechy spowijały im głowy kłębami, wrony lśniły taką czernią, że aż zdawały się zielone. Było to zwykłe popołudnie, w mroczną zimę pod koniec zapomnianego roku, ale tamtego dnia wszyscy byli szczęśliwi.

Teraz Staw opustoszał, krzesło ratownika wywrócone na nawiezionym piasku. Fale niesione wiatrem poruszają deską do pływania między dwoma kamieniami, smutno

postukuje. Lutek myśli o innym człowieku nad innym stawem, dawno temu; o tym, jak Thoreau ujrzał księżyc unoszący się nad świeżo zaoranymi polami i wiedział, że ziemia jest warta zamieszkania.

Lutek nie ma takiej pewności. Poza tym nie ma tu pól. Tam gdzie, jak pamięta, było pole słoneczników, rosną trzydziestoletnie drzewa, większe od drzew jego młodości, bardziej zielone, rzucające głębsze cienie: przez cały ten węgiel w powietrzu. Podąża w stronę zarośli dziwnym, metalicznym śladem i po pewnym wysiłku pośród dzikich malin znajduje rzeźbę Simona dla Hanny. Miecze na lemieszce, bolesna szczerłość tej rzeczy. Och, myśli bezradny przed przysadzistą rzeźbą. To mógłby być plakat ilustrujący początek lat osiemdziesiątych. Jest to ikoniczne, niemal już w sitodruku.

Lutek śmieje się, a las, którego brakowało mu do bólu, śmieje się do niego. Czuje wszystko, ptaki śpiewające w prądach powietrznych, wczesne paprocie rozprostowujące zwinięte pędy, stworzenia przykucnięte gdzieś, obserwujące go. Rusza szybciej, niemal biegnie przez las, gdzie kiedyś były pola uprawne. Tu rosło sorgo, jak pamięta, Natyryści pochylali swe ciała brązowe od słońca, aby pielic. Wychodzi na skraj kortu do tenisa, który zbudował tu Leif, wrzucił w środek byłego poletka soi. Już młode drzewka wbiły korzenie w glinę. Stoją, dzielne, wypuszczając pąki, w równej linii, jakby dla żartu zasadziło je tu jakieś dziecko.

Z powrotem w lesie szlak robi się węższy i bardziej zarośnięty, kierując się, jak Lutek słabo pamięta, do wodospadu. Hanna, kiedy jeszcze mogła chodzić, chyba nie doszła tak daleko, aby wydeptać chwasty. W dwa lata niemal zarosły ścieżkę. Dzień przechodzi w zmierzch. Na policzkach osadzają mu się pajęczyny.

Wychodzi na naturalną polanę i jakiś wrzask wywołuje u niego trzepot serca.

Grete stoi na odległym krańcu, trzymając patyk jak kij do baseballa; twarz ma białą jak papier.

Tato, mówi roztrzęsionym głosem. Och, jak dobrze, że to ty.

Zgubiłaś się?, pyta Lutek. Stara się nie śmiać. Jakie szczęście spotkać córkę ten jeden raz, kiedy jej nie szukał.

Grete wzrusza ramionami. Tak jakby, odpowiada. Ale bałam się, że to niedźwiedź.

Lutek robi jej zdjęcie, kiedy zmierza do niego przez trawy w ostatnich ukośnych promieniach słońca. Zatrzymuje się, kiedy jest blisko. Czuć od niej pot, ma podrapaną twarz i jeżyny w mnóstwie różowych warkoczyków, ma mokrą twarz, jakby płakała. Musiała tu krążyć godzinami. Są całe kilometry od Klonowego Lasku. Sama nie wróciłaby wcześniej niż późno w nocy, o ile nie rano.

Tędy. Lutek wskazuje gardziel lasu.

Dobrze. Grete rusza, ale zatrzymuje się i odwraca do niego. Ja tylko. Przepraszam.

Wiem, mówi Lutek.

Boję się, dodaje Grete. Nie chcę patrzeć, jak Bahania umiera.

Ja też nie. Lutek przyciąga ją do siebie.

Grete szczęka zębami. Tu wysoko jest zimniej, z dala od miasta; chociaż nadal jest późna zima, Lutek pamięta noce latem w dawnych czasach, przepelnione dokładnie tą samą świeżą wilgocią, jakby niesioną oddechem spod ziemi. Wchodzą do Klonowego Lasku, kiedy jest ciemno, a księżyc wypełnia konary drzew zmiennym, oddychającym

światłem. Inne domy osadzone w ciemnościach, bez właścicieli: Midge w Boca Raton przez resztę dni, Tytus i Sally zginęli w strasznym wypadku samochodowym przed laty, a Scott i Lisa mają zbyt wiele domów, aby martwić się chatą, którą zbudowali w proteście przeciw Erewhon przed dwunastu laty.

Lutek z córką stoją na ganku Szklarni. Nie chcą wdychać w płuca złych zarodników smutku Hanny.

Jednak na podjeździe pojawiają się światła reflektorów. Samochód zatrzymuje się, silnik gaśnie. Wyłania się kobieta, mówiąc: Stone? Czy to dom Stone'ów?

Pielęgniarka Luisa?, pyta Lutek, przypominając sobie imię, które wczoraj wymieniła Astrid. Włącza światło na ganku i widzi bardzo drobną kobietę pokonującą z trudem schody. Na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech; na plecach ma dziecinny, różowy plecak niczym dodatkowy garb na ramionach. Błądziłam pół godziny!, mówi. Dobrze, że was znalazłam.

Pielęgniarka zaskakuje Grete uściskiem. Kiedy odwraca się do Lutka, ściska go kurczowo w tali: Przyjechałam ułatwić sprawy. Dobra. Czy ktoś jadł już kolację?

Nie, odpowiada Lutek, Luisa cmoka. Wchodźcie, mówi kobieta. Zrób kolację.

Och, odpowiada Lutek. To był długi dzień. Nikt nie jest, zdaje się, specjalnie głodny, Luisa.

Ona uśmiecha się szeroko do Lutka i mówi: W takich czasach? Rozkład dnia to łódź ratunkowa. Zrobić kolację, zrobić śniadanie, pościelić łóżko. To pomoże być stanowczym wobec siebie.

Lutkowi podoba się ta władcza Luisa, ta prosta, ogorzała kobieta, obca, ale znajoma jak ciotka. Poklepuje go po ramieniu i lekko popycha do środka.

Lutek przynosi matce zupę. Hanna nie otwiera oczu, ale łyżka po łyżce zjada połowę talerza. Jak podobna do pisklęcia – myśli Lutek, widząc, jak otwiera usta, oczy zamknięte przez opuchliznę, cienka skóra opina kości czaszki. Albo po prostu dziecko: mała Grete patrząca na niego poważnie znad purée z groszku.

Idzie do szafy po kolejny koc dla Hanny. Noc jest zimna. A okno zostało otwarte zbyt długo, aby w domu mogło utrzymać się własne ciepło. Kiedy otwiera drzwi, z ubrań dochodzi do Lutka zapach Abe'a: jego czysty pot, jego metal. Uderza w niego bokiem ostatni, opóźniony duch jego ojca. Wie, że to absurd, ale zamyka drzwi, aby zachować odrobinę ojca na później.

Przez cały weekend Hanna nie chce wstać z łóżka, dźwiga się z niego jedynie po to, by dowlec się do łazienki. Sący zupę, którą gotuje Lutek, i skubie odrobinę grzanki. Luisa pojawia się o dziewiątej co wieczór i wychodzi o piątej rano. I chociaż sprzątanie nie należy do jej obowiązków, dom jest wyszorowany, gdy Lutek budzi się rano.

Hanna nadal nie chce odezwać się do niego, ani słowem.

W poniedziałek rano Grete zjada resztki granoli ze słoika. Ma tak pieczołowicie zrobiony makijaż, że Lutek nie może od niej oderwać wzroku. Grete dotyka policzka i marszczy brwi. Barwy wojenne, mówi.

Namieszasz w głowach tym wieśniakom, odpowiada Lutek.

A jak nie?, pyta Grete.

To znaczy, że nie mają mózgów, mówi Lutek. Nie ma im w czym namieszać.

Grete wzdycha i zmywa miskę. Co zrobimy z Hanną?, pyta. Ona musi wstać. Nie ma sensu, abysmy tu zostali, jeżeli ona nie postara się być człowiekiem.

Jeżeli nie wstanie do wieczora, to sami ją podniesiemy, decyduje Lutek.

Dobra, mówi Grete. Zakłada plecak i dodaje ze starą oschłością Hanny: Super. Będę miała o czym myśleć, jak będą wciskać molestowanie.

Jadą do szkoły w milczeniu i Lutek delikatnie bierze ją za rękę, kiedy Grete zaczyna obgryzać paznokcie do żywego. Na parkingu przed niskim ceglanyim budynkiem Lutek siedzi z Grete, wpatrując się w przemykające grupy uczniów.

Chłopacy, mówi Grete, marszcząc brwi. Patrzą, jak chłopcy błaznują, i Grete dodaje: Chyba już zaczyna mi brakować klasy o profilu pedagogicznym wyłącznie dla dziewcząt.

Lutek śmieje się. Mam złe wspomnienia z pierwszego dnia w prawdziwej szkole, wyznaje. Jeżeli mogę ci dać jakąś radę, to uśmiechaj się i bądź *cool*.

Uśmiechaj się i bądź *cool*, przedrzeźnia go Grete. Ścisła jego dłoń. Potem rozprostowuje plecy jak kierowca na końcu trasy i wysiada z wdziękiem. Nagle jego wysoka, koścista córka o różowych włosach utopiona w spodniach od dresu i kurtce myśliwskiej staje się centrum zainteresowania. Nawet w samochodzie Lutek czuje ciężar uwagi, jaką jej poświęcają. Musi odjechać, aby powstrzymać się i nie wyskoczyć za Grete, żeby zaciągnąć ją bezpiecznie do domu.

Lutek siedzi z Hanną w ciemnym pokoju. Przez cały dzień próbuje ją nakarmić miękkim, świeżym chlebem, który sam upiekł, i czyta jej *Tristrama Shandy'ego*, aby ją rozśmieszyć; Hanna odmawia jednego i drugiego. Ciężko oddycha. Radio, rozkazuje i Lutek razem z nią słucha radykalnej audycji o prowadzeniu domu (jak zrobić wino z mleczy; jak nastawić samemu sobie złamanie) i dopóki wytrzyma na miejscu, wiadomości. Ogłaszają teraz pandemię SARI, zespołu ostrej ciężkiej niewydolności oddechowej. Ojej! mówi Lutek. Przepraszam. Ale Hanna nie śmieje się.

Zmarło ponad siedem tysięcy ludzi; choroba rozprzestrzeniła się na Hongkong, Singapur, Chiny, San Francisco, Adelajdę w Australii. Ośrodki walki z chorobą, niedofinansowane z powodu niskich podatków federalnych, opublikowały w mocnych słowach ostrzeżenie, by unikać szpitali i samolotów, i nikt więcej nic nie robi. Lutek wstaje wzburzony. Chociaż jest za wcześnie, aby odebrać Grete, pozwala, aby wiadomości wygoniły go z domu. Wpierw zatrzyma się w mieście, aby odebrać warzywa, kawę, tofu i mleko ryżowe. Matki Muffin nadal prowadzą sklep z naturalną żywnością i rzucają się na Lutka, gdy wchodzi. Nagle zgniatają go ze wszystkich stron lesbijki w średnim wieku. Cheryl i Diana płaczą teraz, jak nie płakały od pogrzebu Abe'a.

Abe był najbardziej praktycznym człowiekiem, mówi Cheryl. Wkurzał jak diabli, ale zawsze postawił na swoim.

Był ostatnią osobą na świecie, która według mnie zrobiłaby to, co on zrobił, dodaje Diana. Zawsze myślałyśmy, że Hanna... I milknie zboląta, wybałuszając oczy na swoją żonę.

Dlatego jemu się udało, a Hannie nie, mówi Lutek, kiedy przyptyw bólu mija.

Pokazują mu zdjęcia dzieci Muffin, cała ósemka w okularach jak sowy, koszule pozapinane pod samą szyję. Misjonarze, pogardliwie zauważa Cheryl. Przy dwóch takich



starych pogankach jak my, pomyślałbyś, skąd wzięła się ta cała religia.

Zanim Lutek wychodzi, Diana przytula go i szepcze mu do ucha: Wyciągniesz z tego mamę. Zawsze ci się udaje.

Wtedy Diana podaje mu marchew z ich ogrodu. Jest dziwna, zmutowana i wygląda jak dwa ludzkie ciała splecione w stosunku. Pokaż to Hannie, mówi. Nasza marchew z *Kamasutry*. Zachowałyśmy ją na specjalną okazję. Lutek znowu sam w samochodzie trzyma w ręku sprośne warzywo. W uszach pobrzmiwa mu radość tych pań i jest mu dobrze.

Kiedy Grete wychodzi ze szkoły, ogarnia go taka ulga, że drżą mu ręce. Grete idzie powoli, brodę ma uniesioną niebezpiecznie wysoko. Wsiada do samochodu i nie odzywa się.

W połowie drogi do domu zdesperowany Lutek mówi: Przynajmniej masz ręce i nogi, i dodaje krótkie: Ha! Wtedy odzywa się Grete: Nazwijmy to ciekawym eksperymentem socjologicznym; i więcej nie chce nic powiedzieć.

Lutek jeszcze nie zaparkował, a Grete już wyskakuje z samochodu. Wpada do pokoju Hanny i rozsuwa zasłony. Już dosyć, mówi. Przechodzi z sypialni do łazienki i puszcza wodę do wanny.

Lutek podnosi matkę. Spodziewa się, że będzie lekka, ale jest nabita i niemal ją upuszcza. Z wielkim wysiłkiem niesie ją do łazienki. Hola, mówi. Grete dołała do wody tyle bąbelków, że piana jest już wysoka prawie na pół metra.

Co?, pyta. Brzydko pachnie. Bez urazy, Bahania, ale śmierdzisz.

To ty śmierdzisz, szepcze Hanna. Płacze. Oboje śmierdzicie.

Razem, Lutek z córką, rozpinają zamek i zsuwają suknię z jej ramion i brzucha. Obierają ją z bielizny uciskowej, jakiej świat nie widział od dziesięciu lat: stanik strzelisty jak dwa pociski, smutne pomarańczowe rajstopy, majtki jak worek na kartofle. Pomagają jej wejść do wanny, zginając jej sztywne nogi. Hanna nadal ma na sobie naszyjnik z pereł, który Abe dał jej na trzydziestą piątą rocznicę ślubu. Była niemal zła na niego tamtego wieczoru i mówiła, że to marnotrawstwo. Pytała go, czy ona należy do kobiet, które noszą perły. Wszyscy przy stole stłumili śmiech. Z perłami na szyi ta druga Hanna stała się widoczna, młoda dama, która mieszkała w starej hipisce. Gdyby Hanna zakochała się w innym mężczyźnie, teraz urządzałyby przyjęcia po wyścigach koni, upijałyby się likierem miętowym i zastanawiała się, dlaczego świat jest taki pusty pod jej palcami zdobnymi w złoto.

Lutek stara się nie widzieć tego, co już zauważył – że jej prawa noga i ręka zanikają i przykurczają się. Lewe ramię też zmierza w tę stronę. Jej skóra nabiera dziwnego, szarego odcienia.

Hanna ukrywa twarz w pianie, Grete robi jej na głowie diabelskie rogi. A Lutek bierze ciepłą ścierkę i przesuwa ją po ciele matki, aby usunąć smród jej żałoby. Kiedy myje jej stopy, Hanna podnosi twarz, która pod warstwą mydła jest pozbawiona rysów jak lalka amiszów. Grete delikatnie usuwa jej mydliny z oczu i ust. Niedobra dziewczyna zostawia jej rogi.

Czysta teraz Hanna siedzi przy stole. Włosy ma wysuszone i zaplecione, ma na sobie stary dres tak miękki, że w dotyku przypomina jej skórę, gdy Lutek ją ubiera. Udaje

jej się zjeść zapiekankę z awokado i sera sojowego i wypić bawarkę. Lutek puszcza starą płytę, a kiedy świergot Joan Baez rozbrzmiewa w całym domu, Grete wymyka się na kolejny bieg o zmierzchu. Gdy cichną jej kroki, Hanna odwraca się do Lutka. To okrutne, mówi. Język rośnie jej w ustach, mięśnie szczęki przykurczają się. Hanna dodaje: To samolubne z twojej strony, że muszę przez to przechodzić.

Samolubne, powtarza Lutek bardzo cicho. Komarnica idzie po krawędzi słońca na linoleum.

Kiedy Lutek odpowiada, dużo później, zwraca się w stronę okna w kuchni. Świat ujęty w ramy uspokaja go: wróble przemykają nad zielonymi polami, ostatnie mgnienie Domu Arkadii pośród pni klonów. Jedynie ten mały kwadrat, tyle tylko Lutek może przyjąć, na razie.

Kiedy byłem mały, mówi, kiedy robiłaś się smutna, zmęczona i spałaś cały czas zimą, ja obserwowałem cię, jak leżysz. Latem byłaś taka głośna, złota i szczęśliwa, i nagle pewnego dnia po prostu odchodziłaś. Stawałaś się tym bladym odmieńcem w miejscu mojej matki. W Furgonie Piekarza było tak zimno. Jeżeli Abe nie wrócił do domu wcześniej, nie jadłem nic od śniadania do kolacji. Czasami próbowałem wyrwać cię z tego pocałunkami, ale to nigdy nie wystarczało, nigdy nie udało mi się ciebie obudzić. Gdzieś w głębi czułem, że to moja wina.

To nie była twoja wina, rzuca Hanna. Ani moja, jeżeli chcesz powiedzieć, że byłam samolubna. To chemia mózgu. Szczególnie ty o tym wiesz, Lutek.

Patrzy na nią. Matka zaciska szczękę; walczy mocno. W oknie świat robi się niebieski.

Za każdym razem zabierałaś mi siebie, mówi Lutek. Ja chciałem tylko, żebyś wróciła.

Patrzy, jak spodem dłoni Hanna próbuje zgarnąć kruszynki ze stołu. Poddaje się i zwiija dłoń obok porcelany.

Ale wróciłam. Tym razem też. Nie było cię tam, nie widziałeś. Było morze. Bardzo ciepłe. Trzymałam Abe'a. Fale wdarły się między nas i porwały go. Próbowałam za nim płynąć, ale znikł. Wróciłam.

Słyszą Grete na ganku, otrzepuje błoto z butów. Śpiewa coś fałszywie głosem, który odziedziczyła po Helle. W mroku kuchni oboje, Lutek i Hanna, zżymają się.

Jestem zbyt zmęczona, mruczy Hanna pod nosem. Jestem zbyt zmęczona, Lutek.

Jeżeli nie dla mnie, Lutek mówi szybko i cicho, to dla Grete.

Jego córka jest sylwetką w obrysie drzwi. Hanna dotyka policzka Lutka zdrową ręką. Grete wbiega. Wrzuca na talerz Hanny coś, co jak Lutek widzi, jest garścią dzikich narcyzów wyrwanych z ziemi z cebulkami i całą resztą. Bahania, krzyczy Grete, a policzki ma różowe z radości. Kwiaty! W lutym!

Hanna uśmiecha się. Oschle i bez przekonania. Bierze drobny, blady kwiatek i kładzie go na grzbiecie dłoni Lutka. Dla ciebie – mówi. Potem pyta Grete, jak minął jej dzień, a twarz wnuczki rozjaśnia się dzięki zainteresowaniu babci. Lutek zostawia kwiat tam, gdzie jest, aż dłoń drży mu zbuntowana.

Chodzą na spacer. Dwa razy dziennie; Hanna idzie niepewnie wsparta o Lutka; z początku udaje jej się dojść tylko do domu Midge, zanim padnie na sponiewierany fotel

ogrodowy przed domem w pieczarze. Patrzy na swoje stopy i mówi: No dalej, stare buciory, i dźwiga się, i z bólem brnie dalej. Upiera się, że sama będzie brała prysznic. Ubiera się sama; trwa to godzinę. Połyka antydepresanty, leki przeciwbólowe, środki przeczyszczające, jeden po drugim, pochłania je z miną wyrażającą posępną satysfakcję. Idzie do łazienki; zabiera jej to pół godziny, i wychodzi, ciągnąc na kapciu papier toaletowy. Teraz wściekła chwytą się wszystkiego, co może. Już wkrótce pomożesz, mówi do Lutka. Już wkrótce.

Sam w nocy w surowym pokoju, gdzie śpi, Lutek śni o mieście. Jest wyludnione, lśniące wilgocią. Ulice są długie i szare, a okna sklepów tak cudowne, że jest pełen podziwu: manekiny lśnią bliskie człowieczeństwa, ich ubrania są wycięte z papieru, przed rozpuszczeniem deszczem chroni je tylko tafla szkła. Gdy idzie, słyszy za sobą zbliżające się głosy: stukot paznokci, wciągnięty oddech, szuranie czegoś ciężkiego o ścianę. Lecz kiedy się odwraca, zawsze za nim ulica ciągnie się w ciemność i nic się nie porusza, i jest sam, i nie jest, i zamiera w przerażeniu.

Grete idzie do szkoły. Już jest szczupła, a staje się koścista. Przez tydzień Lutek przykłada ucho do jej drzwi, gdy Grete szlocha w poduszkę. Ciągłe rozmawia przez telefon Hanny, bo jej komórka nie działa w tej dzicy. Jednak przyjaciele muszą być zmęczeni jej smutkiem i Grete częściej zostawia wiadomość, niż faktycznie rozmawia. Kiedy całymi dniami ją ignorują, Lutek ma ochotę zepchnąć ich w przepaść. Budzi się w nim bandyta o dziecięcej twarzy; niech no tylko zranią jego córkę, a zobaczą, jaki potrafi być okrutny.

Dzwoni lekarka, jej aksamitny głos uspokaja Lutka na całe godziny.

Z wizytą zjawiają się Cheryl i Diana; panie, z którymi Hanna pracowała społecznie w bibliotece; wielu przyjaciół Hanny przyjeżdża z miasta. Jincy i chłopcy spędzają tu popołudnie. Bawią się w domku Tytusa na drzewie, a kiedy wychodzą, twarze mają spuchnięte i czerwone. Przy obiedzie bliźniaki trzymają się Hanny, nieustannie całują ją w policzki, w końcu Jincy ich odwołuje. Dajcie kobiecie zjeść – mówi, a one patrzą bez tchu, jak Hanna manewruje koktajlowym pomidorkiem, aby go zbliżyć do ust, przesuwając go po wargach, aż w końcu wprowadza do buzi.

Gol, mówi, żeby rozśmieszyć chłopców.

Przy pożegnaniu Jincy szepcze: To będzie ostatni raz na pewien czas. Moja przyjaciółka w „Timesie” twierdzi, że to tylko kwestia dni, zanim wszyscy zostaniemy poddani kwarantannie. Całuje go w nos i mówi: Nie dziwię się, że znalazłeś najbezpieczniejsze miejsce, kiedy się zrobi bałagan.

Zostań tu, prosi Lutek. Bądź bezpieczna. Ale ona kręci głową ze smutkiem. Nasze życie jest gdzie indziej.

Po południu, kiedy Lutek z córką są w mieście, w aptece, Grete błaga o dwadzieścia dolarów i kupuje coś, co chowa w plecaku. Kiedy przychodzi na obiad, włosy ma atramentowo czarne, a błękitny nalot farby nadal jest widoczny na bladej skórze czoła. Wpatruje się w Hannę i Lutka, czekając, aż coś powiedzą.

Hanna odkłada widelec z makaronem. Czarne, mówi z namysłem. Podkreślają twoje zielonozłote oczy, Grete. Grete marszczy się zadowolona. Hannie udaje się dotrzeć widelcem niemal do ust, chyba i wszyscy troje patrzą, jak linguine powoli odplątuje się

z widelca i ześlizguje na talerz. Posiłki teraz są dreszczowcami. Tutaj, Bahania, Grete nawija na widelec śliski makaron, a Lutek obserwuje, walcząc, by usiedzieć na miejscu, gdy jego córka ostrożnie karmi jego matkę.

Grete wygląda przez okno, a z tylnego siedzenia wędrują ku nim macki złego chińskiego dania na wynos. Grete chwali się: Na wuefie musieliśmy dzisiaj przebiec milę. A ja pokonałam wszystkich, nawet chłopaków. Wypowiada to obojętnie, ale nie oddycha, czekając, aż Lutek odpowie.

Też byłem szybki w twoim wieku, mówi Lutek.

Grete spogląda na swoje paznokcie. To głupie, ale trener chce, żebym pobiegła w reprezentacji szkoły.

To świetnie.

Grete odwraca się do niego. Ale, tato, to znaczy, że tylko ty będziesz z Bahanią przez cały dzień. To za dużo, dwie dodatkowe godziny dziennie. Już wyglądasz okropnie.

Dzięki, odpowiada. Gówniario.

Naprawdę. Chyba będę musiała zrezygnować.

Będiesz musiała się zgodzić. Będę szczęśliwy, jak pobiegniesz, mówi Lutek. Hanna będzie szczęśliwa, widząc, jak używasz tych swoich zdrowych, młodych nóg. Wyobraża sobie matkę tkwiącą w zbuntowanym cieple, patrzącą, jak Grete śmiga po bieżni. To mogłoby być bolesne, jej uwięzienie kontra wolność Grete. Jednak ciągnie: Ona będzie żyć poprzez ciebie, i ma nadzieję, że to prawda, kiedy Grete odwraca się do okna, aby ukryć uśmiech, ale jej ramiona zdradzają ją, pokrywając się gęsią skórą.

Lutka budzi zgrzyt. Tej nocy Luisa ma wolne. Z początku myśli, że to wiatr porusza siatką w oknie. Siada, serce dudni mu w uszach. Odgłos dochodzi z sąsiedniego pokoju. Pospiesznie idzie po szorstkich deskach do sypialni Hanny. Nawet po ciemku widzi, że zeszywniała z przerażenia; kiedy zapala światło, widzi, że Hanna ma siną twarz. Podciąga ją do pozycji siedzącej i przytrzymuje, gdy chwyta powietrze głębiej, spokojniej, ciszej. Wsuwa poduszki za jej plecy i opiera ją o wezgłowie.

Och, Lutek, odzywa się Hanna. Nie mogłam usiąść. Brak powietrza.

Okropne, mówi Lutek.

Głupie, burczy Hanna. Lutek widzi, że jej strach przerodził się we wściekłość. Hanna strofuje go: Zmarnowałeś swój potencjał, Lutek. Przez całe życie starałeś się uzdrawiać ludzi. Mogłeś to robić. Gdybyś nie musiał pielęgnować każdego. Helle, Grete, mnie. Studentów. Mogłbyś być artystą.

Lutek mówi bardzo cicho: Jestem artystą.

Hanna macha na niego zdrową ręką, ale więcej się nie odzywa. Kiedy jej powieki robią się ciężkie, a głowa pochyla, Lutek idzie do kuchni i odnajduje numer, który miła lekarka ze szpitala zapisała na serwetce i wcisnęła mu do ręki. Źle się czuje, dzwoniąc do niej tak późno; serce bije mu w gardle. Jednak ona odbiera po pierwszym sygnale. Jest spokojna i wyraźna, a w jej głosie jest tylko cień snu. Lutek wyobraża sobie jej sypialnię, prostą i schludną, wyobraża sobie ramiączka jej koszulki zsuwające się z ramion. Tak się ciesze, że pan zadzwonił, mówi lekarka ciepło i wydaje przychylnie dźwięki, gdy Lutek opowiada.

Patrzy na Hannę śpiącą w świetle lampki nocnej. Czuje, jak gdzieś pośród nocy

kraży jego smutek, obserwując jedyne oświetlone okno w Zielonym Domu, czekając na właściwy moment.

To tak, jakby ona powoli zamieniała się w grudę gliny, mówi. W skałę.

Hm, odzywa się lekarka i waha się. Lutek słyszy w tle zawroty głowy i czuje wstyd, myśląc, że to noworodek – ale z niego zbrojeniec! oczywiście ona ma rodzinę! – lecz ona mówi: Waruj, Otto, a on śmieje się, bo wie, że to pies. Ona dodaje: Pańska matka jeszcze nie jest z kamienia. Jeszcze nie.

Lutek jest zbyt zmęczony, aby spać, i siada pod starą kołdrą na bujanym fotelu na ganku, patrząc, jak nadciąga świt. Nie pamięta, kiedy ostatni raz w ciszy patrzył, jak rozwija się ten dramat; co mogło wydawać się tak ważne, że powstrzymało go przed robieniem tego? Kiedy stał się osobą, która przestała zauważać? Wpierw księżyc gaśnie, a na wschodzie pojawia się rozcięcie w brzuchu nieba. Strużka światła wylewa się na wzgórza, na gospodarstwa amiszów, na wiejskie drogi, na granice Arkadii, na połączenie lasów, zaskakując śpiewające ptaki i rozświetlając rosę od środka. Lutek myśli o zegarze kwiatowym Linneusza zakwitającym godzinami, kolejno cykoria, mniszek, nenufar, kurzyślak, łagodniejszy sposób na przeżycie czasu. W jednym oddechu dzień ogarnia go w pełni. Hanna woła go z łóżka słabym głosem, a on w jej głosie słyszy przeprosiny, nie spodziewał się, że tak bardzo ich potrzebuje.

Zachlapanym błotem samochód lekarki zatrzymuje się przed domem. Przez przednią szybę uśmiechają się do siebie i żadne z nich nie przestaje się uśmiechać, kiedy ona wysiada. Ściskają się: jej szczupłość w jego ramionach, jej zimne dłonie. Jego matka siedzi w smudze słońca na ganku. Hanna przerzuca wzrok rozbawiona z twarzy Lutka na twarz lekarki i z powrotem, kiedy lekarka ją bada.

Lecz im więcej odpowiedzi Hanny słyszy lekarka, tym poważniej wygląda, w końcu każe Hannie oddychać do aparatu. To spirometr, wyjaśnia. Mierzy wymuszoną pojemność życiową. Kiedy Hanna przechodzi próbę jeszcze raz na leżąco, twarz lekarki posępnieje. Bez stale towarzyszącego jej uśmiechu wydaje się starsza, niż myślał: pod czterdziestkę, nie zaraz po trzydziestce. Pani Stone, mówi lekarka poważnie, czy nadal jest pani przeciwna leczeniu? Riluzol, terapia komórkami macierzystymi?

Chcę lepiej... tak, wysapuje Hanna. Paliatywy... i przerywa. A potem dodaje: Cholera, dajcie morfinę.

Lekarka rozluźnia się. Dobrze, mówi. Męczeństwo to przesada.

Hanna śmieje się głośno, pierwszy jej wyraźny śmiech, jaki Lutek słyszał od dłuższego czasu. Dla niektórych, mówi. Dla mojego syna to takie naturalne jak oddychanie.

Tym razem krytykę przesycy ciepło. W Lutku jednak trzepocze gorzkość, jakby ptak zrywał się do lotu. Nieprawda, mówi Lutek. Ona mruży oko, a on niemal słyszy: „Nie nieprawda”.

Pomówimy o oddychaniu, rzuca lekarka i pospiesznie odchodzi do samochodu. Jest taka mała i schludna; Lutek myśli o zręcznym, brązowym kocie. Unika znaczącego uśmiechu Hanny. Lekarka wraca z broszurką. Potrzebny pani BiPAP, zwraca się do Hanny, żeby mogła pani lepiej oddychać przez sen. W nocy przestraszyła pani syna niemal na śmierć.

Kończy badanie, ale najwyraźniej nie ma ochoty wyjeżdżać, Hanna pyta o pandemię. Lekarka wzrusza ramionami. SARI, mówi. Co za nazwa. Aż człowiek się zastanawia, kto za to odpowiada. Siada na stopniach i mówi o kwarantannie, śledzeniu choroby online, o środkach ostrożności. Teraz w szpitalu noszę maseczkę, przyznaje. Wszyscy noszą. Głównie jednak to zabija osoby z upośledzoną odpornością, noworodki, osoby starsze i chore. Niektórych zdrowych dorosłych. Rozwijają się gwałtownie, w ciągu godziny lub dwóch. Przyjechałam tu prosto z domu, nie widząc się z nikim po drodze. Kiedy się uśmiecha, małe nawiasy jaśnieją przy kącikach jej ust. Dotyka ręki Hanny. Gdybym tylko podejrzewała, że jestem nosicielem, nie przyjeżdżałabym. Nie ryzykowałabym waszego zdrowia.

Jak ją masz, to chodź tu zaraz, żartuje Hanna. Oszczędzisz nam wszystkim czasu.

Lutek studiuje broszurkę w dłoniach. Śmierć wywołana pandemią i śmierć przez stwardnienie zanikowe boczne: ostre zapalenie dróg oddechowych w obu przypadkach. Hanna tonie w morzu swoich płuc. Leczyć co do wyboru między powolnym grzęźnięciem we własnym ciele a tonięciem przez pół dnia może mieć rację. Szybciej może być lepiej.

Słyszy stukot kopyt na podejździe i podnosi wzrok. Powóz amiszów pośród klonów. Hanna mruży powieki, zasłania oczy dłonią. Co za dzień, mówi.

Powóz zatrzymuje się i z kozła schodzi kobieta o twarzy jak spodek, którą Lutek pamięta z pogrzebu ojca. Przywiązuje konia do drzewa. Glorio, woła Hanna i z początku Lutek myśli, że to przestroga, ale kobieta macha ręką. Amiszka wchodzi po schodkach na ganek, placek zawinięty w ścierkę do naczyń nadal dymi w jej dłoniach. Kładzie go ostrożnie na kolanach Hanny. Oczy ma jednak smutne; prześlizgują się po twarzy chorej.

Hanna wyciąga zdrową rękę i chwyta kobietę za nadgarstek. Mówi, wpatrując się w nią: Wy, młodzi, idźcie przed obiadem na spacer do Domu Arkadii. Wygląda na to, że muszę tu trochę odpokutować.

Rzeczywiście, mówi mała amiszka cicho gardłowym głosem. Musisz.

Gorące słońce pada na ramiona Lutka. Zgrabne, małe sandały lekarki są oblepione błotem, Lutek chce je wziąć w ręce i otrzepać do czysta o trawę. Piach dostał jej się między palce stóp. Jego stopy też są podrażnione w wyrazie współczucia, ale jej piasek najwyraźniej nie przeszkadza. Lutek i lekarka wchodzi po starych, kamiennych stopniach. Nie rozmawiają, dopóki nie staną na ganku, spoglądając na sękaty jabłonie na Terasach w dole. Leif zasadził drzewa na najniższym poziomie, zastępując nimi stare, które już nie rodziły owoców, ale młode zostały obgryzione do cna przez głodujące sarny i teraz Terasy zarasta zielsko.

Lekarka zakłada kosmyk włosów za ucho, ręce jej się trzęsą, a Lutek czuje w żołądku rozlewające się ciepło. To miejsce, mówi lekarka. Mój wujek opowiadał, że przez jakiś czas po rozpadzie komuny przyjeżdżali tu licealiści, aby poszaleć. Była historia dwójki dzieciaków, które podniosły wzrok, gdy się kochały, i zobaczyły przerażającego, starego hipisa, gniewnie mierzącego ich wzrokiem.

To pewnie Tytus, mówi Lutek, boli go wspomnienie o starym przyjacielu.

Wtedy oczywiście pojawiła się wytwórnia filmowa, ciągnie lekarka. W szkole podstawowej przyjeżdżaliśmy tu na wycieczki. Wszystkie inne dzieciaki na planecie chciały być raperami i biologami morskimi, a my chcieliśmy być animatorami. Wszystkie

dziewczyny podkochiwały się w blond dyrektorze. Śniłam, że wyszłam za niego i jeżdżę tutaj na koniu przez cały dzień.

To był Leif, mówi Lutek. Jego siostra była moją żoną.

Och. Ona lustruje oczyma jego twarz, a on widzi jej decyzję, aby nie pytać o „była” i o „żonę”. Lekarka mówi: Kiedy firma wyniosła się stąd, Summerton przeżyło niezłą traumę. Właśnie stawaliśmy się na nowo dużym miastem, ale wtedy Summerton obumarło, jak każde inne miasteczko w okolicy. Miałam klinikę przez jakiś czas, ale zamknęłam i musiałam przenieść się do Rochester.

Zgodnie z testamentem Leifa wytwórnia miała tu zostać, wyjaśnia Lutek. Ale wiesz, jacy są udziałowcy.

Co się z nim stało?, pyta lekarka. Nikt w mieście nie wiedział dokładnie. Na pewno słyszałeś opowieści. Pożarł go niedźwiedź, został wydany przez Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Kompletne wariactwo.

Prawda jest jeszcze dziwniejsza. Zaginął w balonie wysokościowym. Lutek patrzy na jej profil, na zęby zahaczone o dolną wargę, na kurcze łapki, gdy spogląda ku wzgórzom. Moja żona też zniknęła. Jedenaście lat temu. Poszła na spacer i nigdy nie wróciła.

Przykro mi. mówi lekarka. Lutek zauważa krótki złoty włos na jej piersi i powstrzymuje dłoń, aby po niego nie sięgnęła. Ona rumieni się i zdejmuje włos. Mój pies, tłumaczy. Myślałam, że będzie dobrą obroną dla samotnej kobiety, ale boi się wszystkiego. Błyskawic, obcych, lodu, ciemności.

Nigdy nie miałem zwierzęcia. Tutaj nie pozwalano nam trzymać psów, jak byłem dzieckiem. Uznawaliśmy to za zniewalanie zwierząt.

Otto uważa, że jestem niewolnicą, mówi ona. W końcu to ja zbieram jego kupy.

Patrz, jak mały rudy lis wychodzi na skraj lasu, przykuca, skacze i odchodzi z czymś szarym w pysku. Lekarka dotyka ramienia Lutka drobną dłonią.

Lutek, odzywa się lekarka, zbyt poważnie, i coś porusza się w Lutku: ona zamierza to powiedzieć, rzeczy, o których on wie głęboko, ale nie chce ich słuchać: stan jego matki pogarsza się gwałtownie; będzie na wózku za miesiąc; dotąd przed tym bronił ją tylko jej upór; zamiast posuwać się powoli, czego się obawiał, posunie się z przerażającą prędkością. Jeżeli usłyszę te słowa, myśli Lutek, staną się prawdą. Musi walczyć z sobą, aby odpowiedzieć. Tak, doktor Ellis?, pyta w końcu.

Ellis to moje imię, mówi lekarka i stara się nie śmiać, ale jej się nie udaje. Ellis Keefe. Nie poprawiłam cię w szpitalu. Chciałam tylko powiedzieć, że rozumiem, dlaczego kochasz to miejsce; i wskazuje las, który ciągnie się aż do wzgórz. W tym ruchu Lutek widzi wszystko, widzi, jaka była Arkadia, ludna i pełna pieśni. Teraz wydaje się pusta. Bez ludzi ziemia to tylko ziemia.

To wszystko?, pyta. Myślałam, że powiesz, że choroba Hanny postępuje szybciej, niż można było się spodziewać.

Ona zerka na niego z ukosa, wykrzywiając usta.

Och, mówi Lutek.

Mogę postarać się przyjeżdżać dwa razy w tygodniu, jeśli chcesz, Podoba mi się tu. Będziemy zachwyceni, widząc cię jak najczęściej, wyznaje Lutek.

Ona odwraca głowę, aby na niego spojrzeć. Lutek jest przenikliwie świadomy jej obecności, namacalnej i realnej, jej delikatnej grawitacji, jej oddechu na swoich policzkach. Też chciałabym cię widzieć, mówi Ellis i wstydliwie odwraca wzrok.

Na małej polanie, gdzie kiedyś była Owcza Łąka, Hanna siedzi na kocu, je mus jabłkowy Glorii. Lutek robi zdjęcie, a ona prezentuje się dumnie. To jego nowa pokusa: uchwycić twarz Hanny obiektywem, kiedy tylko ona nie patrzy. W jej ustach słowa gęstnieją, aż stają się niezrozumiałe, ale wydaje mu się, że ona mówi: Pewnie robiłeś zdjęcia na okładkę ładniejszym modelkom.

Nigdy, odpowiada Lutek. Ty zdecydowanie jesteś najładniejsza. Ona uśmiecha się najlepiej, jak umie, pozując.

Wkrótce męczy się; chce wracać do domu. Zbiera się w sobie i przywołuje go do siebie. Powoli dźwiga się na kolana, podpierając jedną ręką, i wstaje chwiejnie. Przeciąga się, gdy Lutek pakuje resztki lunchu. Hanna robi jeden krok na ścieżce, a on unosi aparat do twarzy. Wtedy ona wypada z kadru, a on spogląda na świat i widzi, że Hanna leży bezwładnie na ziemi.

Hanno, mówi Lutek.

Wiem, odpowiada ona. Wiem. Na wpół niesie ją do domu.

Wchodzi Grete, jest ubrana w bluzę dresową, pachnie potem. Widzi babcię w starym wózku inwalidzkim Abe'a i nic nie mówi. Lecz w nocy Grete i Luisa namawiają się. A kiedy świt rozjaśnia okno, oświetla wózek, gdzie leży poduszka zrobiona ze starych kaszmirowych swetrów Abe'a; koła lśnią odblaskowym lakierem do paznokci; na rączkach wiszą pompony. W jednym kole osadzona jest królowa kier, która wiruje podczas jazdy. Teraz możesz podkradać się do nas, mówi Grete. Hanna zdrową ręką zakręca kołem; śmieje się, potem płacze i znowu się śmieje.

Teraz, co dziwne, dom wypełnia śmiech Hanny. Śmieje się ze wszystkiego: z tego, że już nie może mówić, ze śmiesznej historii w radiu, kiedy Grete w swej gorliwości potyka się o własne buty; kiedy ona i Grete piją kakao z kostnej porcelany jej babci, a ręka Hanny buntuje się i zbija jedną filiżankę.

Jesteś teraz szczęśliwsza?, pyta Lutek zaalarmowany jej niepohamowanym śmiechem.

Nie, bełkocze Hanna, jestem skamieniała! I to też ją rozśmiesza.

Bieżnia zbudowana jest z przetworzonych opon, a kiedy wzmaga się wiatr i wieje nad nią, Lutek wyczuwa szosę, amerykańskie pragnienie podróży. On chce jedynie tu zostać. W tym miejscu, w tym jasnym świetle, gdzie dzieci przemykają w mundurkach jak jaskrawe motyle, z drżącym uśmiechem Hanny. Utyka jej koc wokół nóg, bardziej w proteście przeciw wózkowi niż dla ochrony przed chłodem. To cud, że są tu, na bieżni: w ostatniej chwili dyrektor szkoły zorientował się, jak daleko jest od nich SARI, i niechętnie wydał zezwolenie.

Hanna ma dzisiaj słabą szyję i kładzie głowę na dłoni Lutka. Czaszkę ma ciężką i nazbyt gorącą. Cieszę się, że tu jestem, mówi niewyraźnie.

Lutek obserwuje chłopców, draby pchają kulą jak kamykiem. Dziewczyna rzuca dyskiem, a mięso jej ramienia faluje, gdy ciska dysk. Dzieci przechodzą obok rozpromienione, a ich rodzice tańczą i wrzeszczą. Jak by to było, myśli Lutek, znowu być



młodym, wznieść się w powietrze na tyczce, przelecieć nad piaskiem i wylądować z wielką eksplozją. Lubi dobry osad czasu, nie oddałby niczego, by musieć jeszcze raz przejść przez ból dojrzwania. Lecz przez chwilę pragnie stać się jednym z tych biegaczy, tych skoczków latających w powietrzu; tych miłośników przyglądających się z boku, chłopcem trzymającym wiotką dziewczynę, tak łatwo zapominającym o świecie, bo śliczna, młoda osoba pragnie się do niego przytulać.

Pora na bieg na jedną milę. Grete posyła w ich stronę nerwowy uśmiech, jej czarne kosmyki wychodzą spod złożonej, zielonej bandany. Lutek ledwo może patrzeć, jak zawodniczki ustawiają się na linii. Strzał z pistoletu. Ostre łokcie zlewają się w jedno. Po stu jardach stawka przerzedza się. Najszczipiejsi się odrywają. Grete ma nogi dłuższe od dwójki przed nią, obraca nimi wolniej. Biegaczki po raz pierwszy mijają ich z tupotem, który Lutek odczuwa w sobie. Nikną za piaskownicą do skoku w dal; pojawiają się znowu. Druga dziewczyna słabnie, zostaje w tyle. Teraz wyścig rozgrywa się między Grete a prowadzącą. Stadion milknie. Ludzie patrzą, jak dwie zawodniczki z przodu biegną kolejne okrążenie, ciągnąc wolniejsze dziewczyny niczym wydłużający się pociąg.

Dalej, Grete, jęczy Lutek, ale Hanna mówi coś, co brzmi jak: Mądra. Czeka.

Głosy przybierają na sile. Za ostatnim łukiem zostało do pokonania sto jardów. Na prostej Grete zrównuje się z prowadzącą, łatwo, a jej nogi tworzą plamę. Ramię w ramię dziewczyny pochylają się do sprintu, a wszyscy krzyczą. Sam Lutek zachęca Grete głosem, podskakując oszalały, a opętańczy krzyk daje mu dziwną ulgę. Dziewczyny wypychają pierś do przodu na ostatnich dziesięciu metrach, silne jak konie. Zwalniają do marszu i niemal upadają na chwiejnych nogach. Lutek nie potrafi powiedzieć, kto wygrał.

Teraz czekają, Grete w chmarze poklepujących dłoni, gdy strumykiem przybywają pozostałe dziewczęta. Do trenerów, ciężko dysząc, podchodzi oficjel i konferuje z nimi, potem odwraca się do dwóch prowadzących zawodniczek. Szepcze coś.

Grete krzyczy: Kurwa! Zrzuca bandanę i odchodzi. Zdecydowanie.

Lutek musi poczekać, aż serce mu się uspokoi. Mówi: Najwyraźniej moja córka nie umie przegrywać.

W twarzy Hanny odbija się słońce. Ma w sobie mojego diabła, mruczy.

Lutek pochyla się. Byłaś słaba w sporcie?, pyta, wiedząc, że to prawda, w momencie gdy to mówi.

Nie. Byłam szybka, mówi Hanna. Razem patrzą, jak Grete opanowuje się przy ogrodzeniu. Szybko, szybko, powtarza Hanna, i klepie się zdrową ręką po nieprzydatnych nogach, jakby chciała je pochwalić za wszystko, co kiedyś robiły z taką łatwością.

O świecie Lutek jest w lesie, wdycha zapach wody, ryb i słodko gnijących liści, kiedy słońce pokazuje się pośród wierzchołków drzew i dotyka go, zapomniał o aparacie. Tak bardzo znieruchomiał, że łania nie widzi go i pochyla elegancką głowę, aby pić ze strumienia. Miga coś czerwonego: lis, spłoszony, biegnie szybko i ogląda się za siebie; zbliża się do zadu łania i odskakuje. Zwierzęta mierzą się wzrokiem oburzone. Lutek rechoce, a łania i lis znikają w rozmazanej plamie. Lutek, znowu sam, nie może złapać oddechu, śmieje się tak mocno, że kręci mu się w głowie. Coś się w nim łamie i to w końcu niesie mu ulgę.

Grete ma jedną przyjaciółkę. Ma na imię Yoko, ma twarz jak słodka babeczka,

wibrujący śmiech. Przyjechała na wymianę z Japonii do tej wiochy; teraz, kiedy Grete poszła do szkoły, Yoko zawsze jest w domu. Miała wracać do siebie, ale nie może: w Japonii jest kwarantanna, zmarło już dziesięć tysięcy osób, zdjęcia ulic bez ludzi, a ci, którzy odważyli się wyjść z domu, zakładają maski tlenowe. Opiekunowie Yoko w Summerton to ciemni, surowi chrześcijanie, którzy co wieczór przez godzinę każą jej grać na organach hymny, gdy oni sami śpiewają. Kiedy przyjeżdżają po nią do Zielonego Domu, trąbią niecierpliwie i nigdy nie wysiadają. Zza drzwi pokoju Grete dobiega szloch i łagodny, uspokajający głos Grete. Kiedy Grete i Yoko wychodzą, obie z zapuchniętymi twarzami, razem pieką ciastka, oglądają filmy, przygotowują prezentacje klasycznych opowiadań na lekcję angielskiego. Kobieta i mężczyzna przy stoliku; wzgórze w oddali, białe słońce. Serce pod podłogą, a w środku zwinięty tekst opowiadania na pasku papieru, który się rozwija; skarżące się serce. Mózg jak frenologiczna ilustracja, przeszywająca go kula, zwoje wypełnione miniaturowym obrazem błogości.

Lutek godzinami studiuje ostatni projekt. W bezsenne noce trzyma pudełko po butach i patrzy na delikatne rysunki szczęścia w zwojach. Jeżeli trzyma je wystarczająco długo, pojawiają się jego własne sceny. Długi kształt Helle w białej pościeli, młodzieńcza twarz Cole'a, gdy pierwszy raz usłyszał *Houses of the Holy* Led Zeppelin, jeźwiec w rozlewisku na plaży podczas wycieczki z Grete nad morze, kolczasty jak kasztan na jej grubiotkiej, różowej rączce.

Nie można zrozumieć Hanny. Musi brać czytelnik Grete i wybierać słowa dwoma jeszcze sprawnymi palcami. Warczy sfrustrowana; płacze z byle powodu. Przy kolacji ugotowanej przez Lutka – groszek i grillowane tofu, enchiladas w sosie sojowym, standardy starej Arkadii gotowane już od trzydziestu lat – rozmowa między Yoko a Hanną to surrealistyczny dramat.

Hanna: Oko, ybyy aja ii yby noo.

Yoko: Tosmeesznee, Glanna! Ha, ha, ha!

Skręcają się ze śmiechu, a Grete i Lutek patrzą na nie zdezorientowani. Spoglądają po sobie, pozostając poza radością wypełniającą powietrze; przez moment zazdroszcząc tego, co niewyartykułowane.

W pełni kwietnia Arkadia wydaje się jeszcze bardziej pozbawiona ludzi. Silny wiatr napiera na drzewa, które pochylają się jak dziewczyny myjące włosy; łomocze oknami w Arkadii. Pewnego dnia, wędrując po pokojach na piętrze, Lutek w obszernej wannie Leifa znajduje szopa obracającego w przypominających ludzkie dłoniach kostkę mydła.

Kiedy słucha uważnie przez wiatr tłukący o siatki w oknach i przez samolot w oddali, niemal słyszy znaną mu Arkadię, brzdąkanie gitary Rączki w gąszczu domu, kobiety w kuchni, roześmiane przy gotowaniu. Własny młody głos, nagły i wysoki. Chociaż niemal rani sobie uszy, nadwężając je, nie rozumie, co Lutek z tamtej bajki mówi do obecnej wersji siebie albo do siebie, który będzie stał tu w przyszłości, do mężczyzny zmienionego tak jak ten dom, nadwężonego przez czas i stratę, stopniowo ściągane przez grawitację. Jeżeli dopisze mu szczęście. Jeżeli im wszystkim dopisze szczęście. Szkoły na zachodnim wybrzeżu zostały zamknięte; lotniska świecą pustkami. Psy truchtają środkiem autostrad w Los Angeles. W Summerton listonosze chodzą

w rękawiczkach i maseczkach, a we wszystkich sklepach zgromadzono stopy radioodbiorników na korbkę, zupy w puszkach i wodę butelkowaną. Lecz w Arkadii, ze studnią, z ogrodem i piwnicą pełną jedzenia, stanowią wyspę. Mogą czekać, aż choroba będzie zalewać świat raz za razem, i wyjdą, kiedy znów będzie bezpiecznie.

Jaką ulgą będzie zacząć na nowo; jaka obudzi się nadzieja, aby czynić lepiej. Stara historia Noego, pierwszy krok w świat wyszorowany do czysta.

Szop go obserwuje, wyciąga osobliwą czarną rękę, w srebrnym mydle odbija się światło z okna. Lutek sięga powoli i bierze je. Chociaż stworzenie oddaje mydło, podwija czarne wargi, obnażając zęby, i Lutek nie wie, czy się uśmiecha, czy okazuje strach.

Ellis przechodzi przez paprocie na kamień obok Lutka. Jest sobota i Grete opiekuje się Hanną. Po badaniach – Hanna traci funkcje i wagę w szokującym tempie – Ellis wyglądała na przerażoną. W korytarzu Lutek zastrzegł: Powiesz mi na spacerze.

Na randce? Może. Umówili się podczas jej ostatniej wizyty. Lutek chciał pokazać jej wodospad, obfite wiosną spadające wody, białe prześcieradło znikające na wietrze. Lecz są tutaj, nad zaledwie odcinkiem wstążki. Lutek patrzy na ducha wodospadu i czuje się chory.

Jest pięknie, mówi Ellis.

Nie jest, ucina Lutek. Ona marszczy brwi, spoglądając na niego; Przepraszam, dodaje Lutek. Jest mniejszy, niż powinien być. Kiedy byłem mały, on ryczał. Słyszeliśmy go z odległości mili. Lutek śmieje się zażenowany swoim napadem melancholii i tłumaczy się: Wszyscy u mnie w domu przejawiają teraz niestosowne reakcje emocjonalne.

Ellis ściska jego ramię. To zrozumiałe. Grete ma czternaście lat. Dźwigasz ciężar choroby matki. A porażenie opuszkowe sprawia, że Hanna reaguje gwałtownie.

Och, mówi Lutek. A ja myślałem, że mama jest radośniejsza.

Ellis siada i wyciąga kanapki, które zabrała z sobą. Kura czy jajko, pyta.

Przepraszam, odpowiada Lutek skonsternowany. Przez całe życie byłem weganinem.

Ellis cudownie parska śmiechem, który odbija się od zbocza. Chodziło mi o to, wyjaśnia, kto wie, co było pierwsze. Hanna nie może być już bardziej szczęśliwa. Ma przy sobie swoje dwie miłości; przyjmuje potężną dawkę antydepresantów. Jest wiosna, a ty dopilnowujesz, aby codziennie godzinami siedziała na słońcu. I może ten cały szalony śmiech sam w sobie ją uszczęśliwia, uaktywnia jakąś ścieżkę nerwów w mózgu. Cokolwiek to jest, traktuj to jak dar.

Dar, powtarza Lutek, siadając. Darem byłby lunch. A te kanapki z czym są?

Z masłem orzechowym i dżemem. Nie umiem gotować.

Moje ulubione. Lutek przecina jabłko na połowy, aby się nim podzielili.

Ellis wkłada nagą stopę do wody. Uśmiecha się do niego, żując. Słuchaj, mówi. Pewnie nie to chciałbyś usłyszeć. Ale wiedz, że będzie gorzej, zanim się poprawi.

Twoje gotowanie?, pyta Lutek.

Ellis nie uśmiecha się. W słońcu jej oczy mają granat zmierzchu. Ellis opiera się plecami o jego plecy i Lutek czuje, że ona czeka na jego reakcję: albo też się oprze, albo odsunie. Wiem, że będzie, mówi Lutek i opiera się.

W oknie kuchni pojawia się kobieta w jaskrawofioletowej masce. Hanna mówi: Cholera, i wjeżdża do swojego pokoju. Kobieta idzie do bagażnika samochodu i ciągnie za coś w środku. Kiedy Lutek wchodzi w jasny pył, aby pomóc, kobieta wydaje pisk. Och, dziękuję, woła. Jestem beznadziejna!

To jedna z Bibliotekarek; te stworzenia na całym świecie zawsze mają niebieskie pianki żelowe zamiast włosów. Lutek niesie karton do domu, a ona nalewa wody do szklanki i wypija. W różowym kręgu, tam, gdzie nosiła maseczkę, do wilgotnej skóry jej policzków przywarł pył; w zmarszczkach schodzących w dół od ust tworzy się błoto. Nie zakładam jej więcej, oświadcza kobieta. Jesteście tu jak pustelnicy, nie mogliście dostać SARI. Jest tu pańska mama?

Poszła się zdrzemnąć, odpowiada Lutek.

Zrobiłyśmy zbiórkę, mówi kobieta, poklepując się chusteczką. W całym mieście. Wie pan, pańska mama jest uwielbiana. I kupiłyśmy jej komputer.

Och. Lutek jest zagubiony. Cicho dodaje: Ale ona już ma komputer.

Kobieta odpowiada: Ale nie taki. Wtedy przekrzywia głowę i pyta: Dobrze się pan czuje? Nie wygląda pan najlepiej. Je pan cokolwiek? Kto się panem zajmuje? Ma pan dziewczynę? Znam miłą, młodą kobietę. Ładne włosy. Jak takie nazywacie? Kasztanowe. Jest pan pewien? Proszę wziąć jej numer. I Lutek zostaje ze skrawkiem papieru w dłoni, wyrzuca go zaraz po wyjściu kobiety.

Przez jakąś godzinę Lutek wpatruje się w ultrabook. Takie dobre kalibrowanie; taka subtelna technologia! Ten komputer potrafi odebrać pozbawiony wagi dotyk spojrzenia na holograficznej klawiaturze. Ultrabook mówi, że ci, którzy są wprawni, potrafią napisać ponad dwadzieścia słów na minutę. Lutek myśli o tym, co powiedziała Ellis, gdy wracali znad wodospadu: Hanna ma może miesiąc, może więcej. Lutek oblicza. Gdyby miała zacząć teraz i nie przestawać, mogłaby napisać kolejną popularną historię, taką jak te, jakie pisała, gdy była profesorem. Albo jeden długi esej. Na więcej nie ma czasu.

Lutek zмага się z uruchomieniem, aż Grete wraca do domu z porannego treningu. Grete, dziecko Epoki Cyfrowej, morduje się z tym aż do lunchu. Jedzą sałatki, gapią się na ekran i płataninę kabli, kiedy w drzwiach staje Gloria. Widzę, że potrzebujecie pomocy.

Grete parska. Wełniana sukienka Glorii emituje wilgotne ciepło, do jej czepka przyczepiło się źdźbło siana. Nie słyszeli konia na podjeździe; w klonach roi się od wrzaskliwych srok.

Och, mówi Lutek. To. Hm. Komputer, Glorio.

Gloria odpowiada: Wiem. Byłam informatyką przez pięć lat.

Grete szepcze: To żart?

Nie. Gloria pochyla się i manipuluje.

Kończą jedzenie, ale zostają przy stole zafascynowani szorstkimi dłońmi pośród przewodów. Dlaczego opuściłaś świat, Glorio?, pyta Lutek. Dlaczego wróciłaś?

Gloria prostuje się i wzrusza ramionami. Czuję się samotna, mówi. Pięć lat byłam sama. Wtedy zrozumiałam, że nie jestem szczęśliwa i że zrobię wszystko, aby mnie zaakceptowano i pokochano. Trzeba iść na ustępstwa, wicie? Wolność albo społeczność, społeczność albo wolność. Człowiek musi zdecydować, jak chce żyć. Ja wybrałam

społeczność.

A nie możesz mieć obu rzeczy?, pyta Grete, marszcząc brwi. Mogłabyś przecież.

Jak chcesz mieć jedno i drugie, mówi Gloria, to od razu jesteś stracona. Patrzy na Lutka. Pamiętam, jak wasi tu byli, u nas w rodzinie toczyła się wielka debata. Co robić? Patrzyliśmy przerażeni! Nadzy ludzie, narkotyki, głośna muzyka! Byliście jak dzieci! Nie potrafiście zaościć pola. Ale nie mogliśmy pozwolić, abyście głodowali. W końcu zebraliśmy się i postanowiliśmy wam pomóc, abyście mieli co jeść, ale pozwoliliśmy wam rozpaść się po swojemu. A jak tak się stało, niektórzy z nas poczuli się bardzo mądrzy. Zbyt wiele wolności prowadzi do rozkładu w komunach, i to szybko. To był problem waszej Arkadii.

Lutek myśli o biedzie ostatnich lat jego dzieciństwa, o dzieciach o chudych kończynach i strasznych zębach, o narkotykach, o gotówce przeznaczanej na pomoc humanitarną, na Szkołę Położnych, na Ćpunów i Uciekinierów. Myśli o wyluzowanym Rączce i jego dumie, która doprowadziła do rozdarcia.

Hm, odzywa się Lutek powoli. Myślę, że to równie dobra interpretacja jak każda inna.

Tak, ale wy, amisze, wcale nie jesteście idealni, stwierdza Grete. Też jesteście ludźmi. To znaczy, nawet wy chorujecie. Co się stanie, jak dostaniecie SARI? Na pewno wasza społeczność ucierpi.

Choroby zawsze występują, odpowiada Gloria. Jesteś zbyt młoda, aby pamiętać odrę, ospę wietrzną, polio. Hiszpańska grypa zabiła miliony w 1918, a nikt o tym nie słyszał. Przeżyliśmy inne rzeczy.

Wskazuje ruchem głowy przyniesione przez siebie ciasteczka. No. Jedzcie deser, mówi. Pozwólcie, że się skupię, dziękuję. Po piętnastu minutach uruchamia komputer. Sada przed nim Hannę. Czekają, aż Hanna zorientuje się w mechanizmie działania.

Lutek łapie się na tym, że sam wstrzymuje oddech, w myślach ponaglając komputer, zawierając umowę. Jak pozwolisz matce mówić, rozmyśla, wyrzeknę się swojego wyrzeczenia techniki.

Zaskakuje ich gładki, jasny głos, głos niepodobny do głosu Hanny. Dopiero kiedy milknie, Lutek rozumie, co wypowiedział w mroku domu: Gloria będzie.

Mają wieści od Cheryl i Diany, które przyszły zapłakane. Muffin z rodziną zaginęła na Madagaskarze, a do nich docierają jedynie zdjęcia ciał zalegających ulice. Kiedy wyjeżdżają, kobiety przypominają sobie kolejny smutek i opowiadają o tym, że dwuletnia wnuczka Puchatki z Seattle zmarła w nocy, a rodzina ma kwarantannę i nie może pojechać, aby wspólnie opłakiwać stratę. Ta wiadomość porusza do głębi.

Przez całą wizytę Ellis przygląda się w milczeniu, z wielkimi oczyma, z fotela w narożniku. Kiedy Lutek mija ją w korytarzu, ona zatrzymuje go, a on delikatnie opiera się głową o jej ramię. Zostaje tak, aż Grete wychodzi ze swojego pokoju, widzi ich i znowu zamyka drzwi.

W te ciche dni dom wypełnia światło padające pod kątem i muzyka ze staroświeckiego gramofonu. Hanna chce jedynie Bacha. Lutek wkłada porcję ciasta czekoladowego mamie do ust. Trudno jej przeliść, żucie jest niemożliwe. Żeby nie straciła zbyt dużo na wadze, przez większość dnia ją karmi.

Hanna spogląda na swój nowy komputer i wybiera oczyma jakieś słowa. Rozlega się zmysłowy głos komputera: Jedna korzyść z choroby. Smakuje mi tak wyraźnie jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem.

A jaka jest druga korzyść?, pyta Lutek. Korzyść druga... odzywa się głos i następuje długa pauza. Lutek idzie do zlewu, żeby pozmywać naczynia, a kiedy wraca, zerka na ekran, uznając, że może Hanna zapomniała kazać głosowi się odezwać. Lecz tam widnieje tylko korzyść druga... i ciągnie się w nicość.

W końcu pojmuje żart.

Ellis przyjeżdża co drugi dzień, przeważnie wieczorem, gdy już wzięła prysznic i zjadła kolację, a potem czeka, aż choroba zakradnie się do niej. Lutek i Ellis godzinami siedzą razem przy herbacie w kuchni; jedzą ciasto Glorii, a Luisa i Hanna mruczą coś w pokoju Hanny. Grete mocno śpi, jak na młodą przystało. Ellis opowiada mu o sobie, kawałek po kawałku. Dobra dziewczynka, ukochana jedynaczka starszych rodziców. Grała na pianinie, chodziła do kościoła. Wtedy Summerton było większe. Był tam sklep Farma i Dom, Newberry's, Kmart, parę hipisowskich butików założonych przez uciekinierów z Arkadii. W wieku siedemnastu lat poszła zaraz do college'u, w wieku dwudziestu jeden na medycynę. Chciała naprawiać ludzi. Widziała, jak jej matka wróciła promienna od reumatologa, który trzymał delikatnie jej dłonie przez godzinę, siła dotyku. Lecz oboje jej rodzice zmarli, kiedy była na stażu. Była bardzo samotna. Zaręczyła się trzykrotnie (rumieni się). Za każdym razem zrywała kilka miesięcy przed ślubem. To byli mili faceci, jak mówi. Nie kochała ich.

Lutek ujmuje jej drobną, brązową dłoń. Nos i powieki robią jej się czerwone i jest w niej coś z króliczka, gdy wyciera policzki w ramiona. Nie jestem pewna, szepcze Ellis, czy potrafię kochać każdego.

Lutek mówi: Ellis. Och, kochanie, na pewno tak.

Unosi jej dłoń do ust i całuje jej knykcie, smakuje cierpkie migdały jej skóry. Ona nagle wstaje i żegna się pospiesznie; odjeżdża, a przez cały następny dzień Lutek boi się, że ją wystraszył. Lecz Ellis zjawia się znowu o dziewiątej wieczorem, a kiedy wchodzi do domu, przynosząc zimne powietrze w ubraniu, całuje go poważnie w oba policzki, potem w usta, i opiera głowę o jego pierś; długo trzyma ją tak, po prostu opiera.

Nagle Ellis odzywa się: Mam niespodziankę, i wychodzi do samochodu, a z niego wyskakuje wielki, żółty labrador, smuga słońca w ciemnym od nocy domu. Kładzie Hannie pysk na kolanach, Luisa przegania go z kuchni miotłą, a on siłuje się z Grete, aż oboje dyszą. Czy Otto może tu zostać?, pyta Grete, chwytając lwią głowę i tarmosząc ją, aż pies delikatnie skubie jej nadgarstek. Ellis uśmiecha się do Lutka. Jeszcze nie teraz, mówi. Może wkrótce.

To „może”, takie dziwne w tym domu choroby, przejmuje nad nim władzę. Wkrótce, zgadza się.

Kiedy Ellis odjeżdża, to jakby zamknęły się za nią jakieś drzwi. W Mexico City kostnice są pełne, a zwłoki składane są w magazynie fabryki zabawek. Na czytniku Grete pojawiają się obrazy: niemowlęta w płóciennych całunach, ułożone pod stosami lalek nie mrużących oczu. Ten obraz prześladowuje Lutka w nocy, musi siedzieć w oknie i wpatrywać się w kojącą ciemność, dopóki wzrok mu się nie zamgli od senności.

Lutek rzadko może zastać córkę samą. Wraca o dziesiątej. On wstaje, ciało ma ciężkie jak worek; widzi Grete przy zlewozmywaku.

Cześć, tata, szepcze Grete. Słyszą Hannę w jej pokoju, jak krzyczy: Nie!, do Luisy, ostatnie słowo, jakie potrafi wypowiedzieć. Luisa zawsze reaguje cichym, uprzejmym głosem. Dres Grete pachnie dymem z ogniska. W jej oddechu czuć whisky.

Och, Grete, mówi Lutek.

Nie martw się, odpowiada córka.

Martwię się, mówi Lutek. Kwarantanna. Poza tym masz czternaście lat. I te geny... To znaczy, twoja matka zaczęła trochę wcześniej od ciebie...

Tato, przerywa mu Grete. Śmieje się w mrocznej kuchni. Słuchaj.

Grete, smukła jak chart, opiera się o zlew. Mówi o bieganiu. O tym, że gna, aż ból w nogach staje się nie do wytrzymania i pęka rozkosznie, o tym, że w domu jest jak odsłonięty nerw, ale kiedy biegnie, uwalnia się od lęku, o tym, że nasiąka tym uspokojeniem aż do kości, aż rozpała się w niej ulga, rodzaj szczęścia.

Za nic nie chciałabym stracić tego uczucia, kończy. Za nic.

On chyba wygląda niepewnie, bo Grete przygląda mu się przez chwilę, jakby się przed czymś powstrzymywała. Jesteś podobny do Dziada, wiesz, mówi. Zawsze musisz opiekować się wszystkimi, a nie pozwalasz nikomu zająć się tobą. To trochę agresywne.

Agresywne?, powtarza zaskoczony. Naprawdę?

Mówię tylko, że jeśli nie pozwolisz mi się o ciebie zatroszczyć, to przynajmniej sam zadbaj o siebie. Odwraca się i zamyka w swoim pokoju.

Rano Lutek słyszy jej kroki za ścianą; sam gramoli się z łóżka w stroju do biegania. Jest rodzaj świtu, który sączy się z intensywnej zieleni. Grete wychodzi na ganek, gdzie Lutek się rozciąga, i wydaje z siebie ciche: Och!

Jak daleko biegniemy?, pyta Lutek.

Aż padniesz, staruszku, mówi Grete i znika z niemożliwą lekkością w budzącym się lesie. On może tylko biec ścieżką tam, gdzie zniknęła, a podszyt jeszcze drży po jej przejściu, jego każdy krok staje się sam w sobie nagrodą, dzień we własnej chwale, jego płuca płoną dobrym bólem, a córka zwalnia w końcu w gości dobroci.

Kiedy Grete znika za drzwiami, Hanna rzy bez słów. Grete czeka niecierpliwa, aż rozlegnie się głos komputera i wyśpiewa: Ty, moja kochana, nie masz bielizny.

Grete rumieni się i mruczy: Bahania, Jezu. Zapomniałam zrobić pranie, a poza tym to nie twój interes.

Hanna parska, a głos mówi: Widzę, jaki ty masz interes. Latawica.

Pierwszy maja, Lutek wypatruje nimf tańczących ze wstążkami wokół maiku, ale znajduje tylko ten sam kikut, który zepsuł sierpień w czasach jego młodości. Radio jest jak rozbity komar w domu, donosi o zgonach spowodowanych gorączką w miastach, pięćset tysięcy zmarłych na SARI, ogólna kwarantanna, szpitale tylko dla najcięższych przypadków, zamknięte linie lotnicze. Wyłącza tranzystor, zanim zaczną się osobiste historie. Może znieść tragedię tylko wtedy, kiedy jest abstrakcyjna.

Gloria przychodzi rano i wypełnia powietrze ciepłem pieczonych ciast. Tłumią większość najnowszych zapachów Hanny: olejków na odleżyny, chorego powiewu jej oddechu, smrodu wypełniającego dom, kiedy udaje jej się wypróżnić jelita.

Luisa mieszka z nimi i śpi na łóżku polowym w pokoju Hanny; to dla niej bezpieczniejsze miejsce, na wygnaniu. Szpital pracuje w trybie kryzysowym, ale wszyscy boją się SARI, a przyjmowani są wyłącznie najbardziej chorzy, więc lekarze i pielęgniarki spędzają czas na grze w karty i oglądaniu telewizji, aż dyrektor wydaje zgodę na odejście z dyżuru niekryzysowego personelu. Ellis wybiera tę opcję i przychodzi co rano; drzemie obok Lutka na pościeli, kiedy jest kolej Grete na opiekę nad Hanną. Szkoła Grete jest zamknięta. Yoko i Grete rozmawiają przez komputer sto razy na dzień. Wieczorem rodzina zjada warzywa, które kiedyś zawekowała Hanna, smakują słońcem minionych lat.

Czasami Hanna wydaje się odległa; Lutek myśli, że próbuje się modlić. To ma sens w świetle jej pogarszającego się stanu. On też próbuje się modlić, kiedy nie może spać, ale trzyma oczy otwarte, bo jak je zamyka, to widzi Boga pod postacią Rączki, który zdecydowanie Bogiem nie jest. Lutek odwraca się do okna, do złotej monety księżyca, i opowiada mu historie o swoim dniu, aby nadać bezkształtnej masie swojego czasu jakąś formę.

W końcu idzie do Hanny, kiedy jej twarz jest spokojna, i pyta ją, co robi. Głos odpowiada: Ćwiczę.

Co?, pyta Lutek. Jej zastępczy głos wypływa pięknie i gładko: Zrób tofu. Zalej. Puść Chopina. Zrób pranie. Obierz groch. Wyszczotkuj konia. Upiecz babeczki. Kurwa. Zagnieć chleb. Popływaj.

Lutec siedzi w bujanym fotelu obok niej. Za jego plecami dom wypełnia krzątania kobiet. Postanawia, że zrobi dżem malinowy w myślach; nie robił przetworów od dzieciństwa. Zamyka oczy. Wpierw zapomina kolejność czynności, musi cofać się, aby wycisnąć cytryny, oczyścić maliny, odmierzyć cukier, wyjąć słoiki z wrzątku. Lecz kiedy się relaksuje, rzeczy stają się intensywniejsze. Wyczuwa w palcach włochate ciepło świeżych malin, unosi się woń, słodka i łaskocząca, ożywiając wspomnienie jeszcze bardziej.

Słońce i wiatr wylewają się na pościel na linkach. Wydęta wiatrem tworzy kształty i gubi je z oddechem. Lutek robi zdjęcie za zdjęciem na zrujnowanym filmie, aby zatrzymać ten obraz.

To właśnie, przed laty, sprawiło, że zakochał się w fotografii: koncentrowanie się, chwytanie czasu. W zasadzie o tym zapomniał.

Gdy wchodzi do środka z naręczem prania, Grete wzywa go krzykiem. Rzuca rzeczy na stół w kuchni, zwinięte w kulkę skarpety toczą się po kafelkach. Jego córka stoi w wannie, Hanna opiera się o umywalkę, ma szarą twarz, dławi się.

Odpycha mnie, mówi Grete. Próbuje pomóc, a ona mnie odpycha.

Lutec także otrzymuje kuksańce od Hanny ostrymi łokciami, ale wytrzymuje. Śluz jest dla niej za gęsty, nie może go przełknąć. Lutek bierze myjkę, odchyła głowę Hanny i pociera tył jej języka. Hanna chwytając powietrze: kolor powoli powraca na jej twarz. Po policzkach spływają jej łzy. Lutek tuli jej głowę w ramionach. Kiedy znowu jest spokojna, Lutek zawozi ją do kuchni, do jej komputera. W gorączce popołudnia w końcu płynie głos: Moje ciało, dowcipkuje, chce mnie zabić.

Podczas nawalnicy wiatr w drzewach jakby dyszał. Lutek przypomina sobie, jak Tytus nazywał swoje okresy smutku: „stary, czarny pies”. Jakie to właściwe: zębaty



i służalczy, ani dziki, ani ludzki, ale dziwny produkt uboczny cywilizacji, głodny, czający się w pobliżu. Niemal widzi psa w dzikiej, szalejącej ulewie, kuli się w ciemniejszych cieniach pośród drzew. Niemal czuje pod dłonią miękkość jego sierści.

Grete nalała wody do sześciu filiżanek Hanny, cienkich jak skóra, i włożyła do nich stokrotki. Lśnią o świetle. Teraz używają starego, koronkowego obrusa i srebrnej zastawy przy każdym posiłku. To daje Hannie pocieszenie, kiedy używa rzeczy, których dotykały jej matka i babka.

Luisa zmienia pościel, Lutek i Hanna są sami.

Hanna wpatruje się niecierpliwie w komputer. Gdy rozlega się głos, mówi łagodnie, ze spokojem: Mój mały Lutek. Wybaczysz mi?

Milczenie Lutka, zrodzone z zaskoczenia, rozciąga się. Wybaczyc? Co właściwie? O którym ze swoich licznych niepowodzeń mówi?

Patrzy na jej dłoń-szpon, aż dociera do niego, że ona ma na myśli Arkadię, ich wspólną ranę, to, że brnęła ku doskonałości, ale zmęczona zrezygnowała. To prawda, że większość dzieci z Arkadii się zbuntowała. Dylan stał się neokonserwatystą, Cole został punkiem, Jincy szukała przedmiść, Leif stał się antyseptyczny i zamknął się w sobie. To stara historia: rozmyślnie odrzucenie tego, co zrodziło młodzieńca i stworzyło człowieka. W ciszy domu buty Luisy skrzypią wokół łóżka, drozd podjął świergot.

Lutek czuje, jak w nim to narasta. Miłość, od której się odwrócił, oddycha, mruży oczy, przełyka. Jak stworzenie, które porusza się i wraca do życia. Nie może być osamotniony. To niemożliwe. Jest częścią całości.

Patrzy na swoją kruchą matkę i mówi: Nie ma czego wybacząć.

W zbuntowanej glinie swego ciała Hanna rozpala się, staje się tak nieznośnie błyskotliwa, że Lutek nie może na nią patrzeć. Jednak nie spuszcza z niej wzroku. Patrzy.

Hanna kiedyś była większa od samej Arkadii, jej wielkie ciało otaczało go ze wszystkich stron, jej ciepło, ona cała jak bochen chleba, tak wielka, że słońce wschodziło i zachodziło w niej. Skurczyła się, stała się jak jutowy worek i wiązka chrustu; jest jak naderwane mięśnie, jak płaczące rany.

Niesie ją nad Staw. Hanna zamacza dłonie i stopy, udaje, że pływa. Słyszą szybkie kroki Grete. Podbiega. Brodzi, nadal w ubraniu, w dżinsach i mokasynach, w ślicznej górze. Zanurza się i wypływa obok nich, włosy ma przyklejone, a tusz spływa jej po policzkach czarnymi strużkami. Mówi: Daj, i niesie Hannę przez wodę do głazu Helle. Kiedy odwraca się, śpiewa piosenkę, kiedyś śpiewał jej ją Lutek, w wakacje, które spędzali w Arkadii, kiedy ona była mała i bała się gęstej wody w Stawie. „... płwamy cały dzień w wielkim oceanie. Pora odpocząć już, miłe panie. Hej, ho, małe rybki nie płaczą”, śpiewa Grete.

Luisa jest spokojna, ale pędzi przez pola z taką prędkością, że Lutek boi się drzew migających obok w ciemnościach. Lutek podtrzymuje dławiącą się matkę. Są teraz na oddziale pomocy doraźnej. Po chwili lekarz w zielonym uniformie manipuluje skalpelem i Hanna ma dziurę w gardle. Umysł Lutka spowija mgła. Długi, dobry czas panuje pustka.

Znowu wywożą Hannę. Ma podłączony respirator. Płacze. Nie chciałam tego, powie w domu, szarpiąc za rurki; ale jest jasne, nawet teraz, o co jej chodzi. Luisa coś mówi: „nie chciała rozmawiać o deklaracji niepodejmowania resuscytacji. Hanna”. Lutek

orientuje się, że siedzi w samochodzie i wraca do domu.

Może stosować lewatywę, podtrzymać matkę jedną ręką nad ubikacją, wycierać jej tyłek. Może jej wczesywać odżywkę w długie, siwiejące włosy, piłować paznokcie u stóp i rozmasowywać przykurczone mięśnie, aż Hanna z ulgą chwyta powietrze. Może poświęcić całą swoją cierpliwość od świtu po zmierzch, podając jej łyżką do ust zupę, którą ona coraz częściej się krztusi. Nawet w szpitalu, kiedy pytali ją o karmienie rurką, była tak poruszona, że rozumieli, że to oznacza NIE. Lutek patrzy, jak Hanna marnieje. Pogodzenie się z problemami jej ciała nie jest dla niego trudne. Lecz coś głęboko w nim nie zgadza się na otwartą ranę w jej gardle, na to, że czuć od niej śmiercią.

Tak czy inaczej Lutek czyści, co może, czyści, co może. Zamknął się przed wszystkim, więc przeżywa dni jedynie strzępem siebie. Reszta niego czeka gdzieś na peryferiach, wyglądając końca.

Lecz Hanna przygląda się tej części Lutka, która pozostała. Gdy on się wycofuje, Hanna powiększa się. Jest filiżanką. Przepelnia się miłością.

Hanna nie może przetykać. Dławi się i jedzenie ścieka jej z ust. Lutek pamięta skądś historię o kobiecie zamurowanej w ścianie. To jego matka, pochowana za życia.

Ellis klęczy u boku Hanny. Ona też nie śpi: jest blada, twarz ma ściągniętą na słońcu. Lutek odróżnia wśród szeptów: „zagłodzić... karmienie sondą”.

Nie, wesoło odpowiada głos z komputera. Cieszę się, że miałam te miesiące. Było dobrze. Ale już się kończą. Pozwólcie mi się zagłodzić.

Ellis kładzie brązowy policzek na dłoni Hanny. Masz rację. To łagodniejszy sposób odejścia. Damy ci opiaty i będzie ci dobrze. Dopóki nadal będziesz chciała.

Hanna rzuca spojrzenie na Lutka. Komputer śpiewa: Jestem gotowa teraz odejść.

Kobiety zacieśniają węzeł wokół małej rodziny Lutka. Luisa i Grete, zawsze; Gloria w każde popołudnie. Tego ranka, drwiąc z kwarantanny, Cheryl i Diana, bibliotekarki. Grete całe godziny spędza na bieganiu. Kiedy Ellis przyjechała poprzedniej nocy, przytuliła miękki policzek do jego policzka, wyczuwał jej puls, obietnicę. Taki niewłaściwy moment, by teraz znaleźć coś, na co miał nadzieję. Włożyła swoje rzeczy do jego szafy, wsunęła się w jego pościel, z ciałem chłodnym jak niewolnica. Kiedy wstał po szklankę wody, słyszał, jak Grete szepcze w cierpliwy grzbiet Otta.

Przed lunchem nadciąga Astrid zaalarmowana przez Grete. Lutek nie widzi jej wpierw, ale czuje, jak dom wypełnia jej zimny, niebieski płomień. Wtedy ona spracowanymi dłońmi ujmuje jego policzki. Całuje go w czoło, a on przez resztę dnia nosi ten pocałunek niczym odznakę.

Gotowanie, opieka, sprzątanie: wszechobecne jak muchy dłonie kobiet.

Kiedy Lutka to przytłacza, idzie nad Staw i zanurza się w zbyt ciepłej wodzie. Wodorosty chwytają go i prześlizgują się po nim. Jastrząb obserwuje go z gałęzi, trzyma w szponach sójkę. Kiedy Lutek okazuje się nieszkodliwy, jastrząb pochyła głowę do ptaka i rzuca confetti na powierzchnię wody. Błękitne piórka przyklejają się Lutkowi do skóry, gdy wychodzi na brzeg.

W drodze z powrotem dostrzega mężczyznę siedzącego na ganku domu Scotta i Lisy. Nawet z oddali Lutek widzi, że to amisz: mimo żaru jest w pełni ubrany, czarne szelki na białej koszuli. Lutek podchodzi ostrożnie. Mężczyzna wstaje i skłania głowę,

broda mu się trzęsie. Ma jasne włosy, rumiane policzki, a ramiona tak kwadratowe, jakby były wyciosane z dębu. Lutek widział go przy Glorii na pogrzebie Abe'a; jej mąż. Kiedy się Lutek zbliża, mężczyzna zaczyna mrugać oczyma. Skubie palcami i podnosi je do ust. Lutek wie dobrze, że to uniwersalny gest oznaczający sztachnięcie się.

Przepraszam?, odzywa się.

Amos, mówi mężczyzna, wskazując swoją pierś. Znowu wykonuje ten sam gest, potem ruch, który może jedynie oznaczać wodospad. I do Lutka jak grom z jasnego nieba powraca dzień pod koniec Arkadii, Ike, Cole i on w wodospadzie, dwóch amiszów, którzy wyłonili się z mrocznego lasu, kucali przy ognisku, skręt. To musi być jeden z tych chłopaków.

Lutek gapi się zdziwiony. Mężczyzna rozgląda się i puszcza oko. Potem powtarza ten sam gest. Chwila, mówi Lutek. Wchodzi tylnymi drzwiami i grzebie w gabinecie Abe'a, aż znajduje piłkę do tenisa, o której wiedział, że tu będzie.

Kiedy wraca, mężczyzna patrzy podejrzliwie, ale rozpromienia się, kiedy Lutek naciska na piłkę i otwierają się jej usta, z których wypada torebka zioła. Lutek zwija skręta i palą. Jak dobrze jest stać z innym facetem w pełnej zrozumienia ciszy. Tamtemu powieki robią się ciężkie i mówi: Gloria. Idą razem do Zielonego Domu. Kiedy Gloria wychodzi, chowając luźne włosy pod czepek, Lutek i Amos głaszczą konia i chichoczą bez powodu.

Gloria pociąga nosem, gniewnie mierząc Lutka i marszczy przy tym twarz. Pyta: Co zrobiłeś z moim mężem?

Lutek odpowiada, z namysłem: Chciałbym zjeść świat; jego nowy przyjaciel Amos chichocze obok niego.

O zmierzchu Grete zjawia się w domu podrapana i opalona, z ramionami upstrzonymi od ukąszeń. Dom jest pełen. Ellis robi Hannie manicure; uśmiecha się do Lutka, a on posyła jej buziaka od drzwi. Grete pochyla się do Lutka i szepcze: Dlaczego tyle tych starych kobiet w całym domu?

Lutek wkłada do ust kolejnego herbatnika, aby nie odpowiadać.

Hanna jednak słyszy Grete i słodko rozlega się głos komputera: To plaga.

Hanna marnieje coraz szybciej. Jej brzuch, wzdęty. Twarz kurczy się, by osiąść pośród kości, ciało pokrywa się plamami. Lutek stara się nie wzdrygać na widok matki. Grete, gdy tylko jest w pokoju, nie może się opanować, aby nie zamknąć oczu na widok babci.

Jednak to dziwne; gdy jej ciało odchodzi, jej dusza wypływa na powierzchnię. Lutek widzi, że jest w niej ogień. Ekstaza. Zastanawia się z bólem: Gdzie już to widziałem? Odpowiedź dociera do niego w nocy. W młodości upojonej wiedzą w bibliotece college'u, w osamotnionym dziale książek o sztuce, w ich obiecującej ofercie, w lubieżnych, oszalałamiających kolorach. Twarze świętych. Dziewczęta: Katarzyna ze Sieny, święta Weronika, Kolumba z Rieti. *Anorexia mirabilis*, ciało pozbywa się cielesnego pożądania i wypełnia Bożym winem.

Lutek zanurza twarz w swetrach ojca. Luisa krząta się po kuchni. W pokoju Hanny jest ciemno, on i Hanna są tam sami. W gęstym powietrzu odzywa się gładki głos: Nie bój się, Lutek. Ja się nie boję.

Zapełnia całą rolkę filmu, obserwując, jak popołudniowe światło pada ukosem na wyniszczoną twarz matki, obserwując jej dłonie zwinięte jak ślimaki na cieście jej brzucha.

Wywoła je później w czarnej jak smoła ciszy kolorowej ciemni; w świetle znowu ujmie dłonie matki, spękane i szorstkie, jej zniszczone ciało udoskonalone przez zniszczony film.

Astrid siedzi za Hanną, wygładzając jej włosy. Były kiedyś jak siostry; teraz dzieli je czeluść. Astrid ciało, Hanna kość. Usuwają respirator. Powieki Hanny są fioletowe jak sińce. Nie budzi się. Jej ciało kurczowo trzyma się swojej pierwotnej formy. Jest jak suchy liść, porwie ją najśłabszy wiatr.

Nie może zasnąć; wchodzi do salonu i zastaje Ellis, która budzi się w fotelu pod jego spojrzeniem. Zaczyna coś mówić, ale on zakrywa dłonią jej usta i wciąż z ręką na jej wargach czuje ich ciepły ruch, jej duże zęby, jej oddech. Ellis wstaje, a jej perfumy przyprawiają go o zawrót głowy. Wyprowadza ją w noc, po ziemi, która trzaska gałązkami. Drzwi domu Midge, wykopanego w zboczu, otwierają się pchnięte jego dłonią. Wypełnia go wściekłość, prowadzi ją do najodleglejszej sypialni, tej bez okien, czysta ślepotą ziemi. Przyciska ją do zimnej, betonowej ściany; ona chwytą powietrze; on szorstko podciąga jej spódnicę na biodra i odnajduje jej gościnność. Osuwają się na niskie łóżko. Ożywa w nim jego posępność, jego złość. Kiedy kończy, unosi się, żeby nie obciążać jej kości i żeby pogłębił się jej płytki oddech. Czuje wilgotne prześcieradło na nogach, jej usta przesuwające się delikatnie po jego mokrych policzkach, czuje, jak jej pięść zaciśnięta na jego piersi rozluźnia się.

Mimo wstydu to jest dobre, ta rzecz; w świecie, który jest szambem, to między ludźmi powinno być zachowane.

Przepraszam, mówi Lutek.

Nie musisz, odpowiada Ellis, nie masz za co.

Osiół ze mnie, dodaje Lutek. Jej dłonie są na jego szyi, ramionach, plecach. Jego ucho dotyka betonu. Ellis mówi łagodnie: Jest dobrze.

On milczy, a ona w końcu odzywa się: Słuchaj. Kocham Hannę. Ale wiesz, że nie jestem tutaj z jej powodu. Jej rzęsy są wilgotne na jego policzku. To musiało się kiedyś zdarzyć.

On jęczy. Odwzajemnię ci się za to, mówi Lutek z ustami na delikatnej, cierpkiej małżowinie. Jej uśmiech tężeje na jego żuchwie. Odwzajemnisz, mruczy Ellis, jej głos gdzieś w jego czaszce.

Jest cicha godzina. Lutek słyszy podzwanianie wietrznego dzwonka zapomnianego gdzieś w Domu Arkadii.

Astrid patrzy na zegar. Luisa zaraz przyjedzie – mówi.

Lutek trzyma dłoń-liść matki.

Astrid przechodzi do stołu, gdzie leży morfina. Dam jej dużą dawkę, mówi. Dostyc, aby straciła przytomność. Pochyla się nad Hanną, wierzba.

Kończy i kładzie dłoń na policzku Lutka. Nie zapiszę tego, informuje go. Cisza wzbiera między nimi. Musisz powiedzieć, że to rozumiesz.

Rozumiem, mówi Lutek. Słowa dochodzą z daleka, sprzed lat, słońce.

Astrid wychodzi. Zjawia się Luisa. Przegląda dziennik w blasku bladego księżyca. Hm. Niepodobne do Astrid, że zapomniała o morfinie, mówi, ale stara się nie patrzeć na Lutka.

On się nie odzywa. Patrzy, jak Luisa przygotowuje narkotyk, znajduje wenflon. Lutek obserwuje powolne tłoczenie.

Długo to nie trwa. Śpiąc, Hanna dalej zamyka się w sobie.

Ustępuje ciężar, jakby coś zdjęto z jej piersi.

I jego matka odchodzi.

Jest gorąco, bezwietrznie i jasno; ostatni przebłysk zachodu słońca, pora dnia Hanny.

Wielu pożegnało się z Hanną na pogrzebie Abe'a. Teraz jest ich mniej. Zawsze są tu wierni, kobiety. Amisze tu są, wmieszali się. Ellis trzyma Lutka za rękę. Grete jest blada, ubrana w zieloną sukienkę, którą obiecała Hannie włożyć. Podkreśla twoje oczy – powiedziała wtedy Hanna. W niej Grete wygląda jak Hanna. Astrid stoi w Stawie, a woda podchodzi powoli po materiale białej sukienki ciemną plamą. Pochyla się nad liściem, na którym kładzie zapaloną świeczkę, i odpycha go. Świeczka płynie na środek Stawu na falach, zatrzymuje się. Astrid śpiewa, jej głos załamuje się. „Dogasa pospiesznie ostatni dzień życia, a z nim doczesne radości zabiera cień; wszędzie już tylko zmiana i skraj; więc Ty, o niezmienny, trwaj przy mnie, trwaj”.

Nie ma wiatru. Grete brodzi przez wodę sama, przechyla urnę. Kiedy prochy Hanny trafiają do Stawu, toną od razu. Gdy jej cięższe grudki rozbijają powierzchnię, woda się zasklepia. Reszta prochów jest lżejsza i unosi się; rozkwitają powolnym wachlarzem na powierzchni.

Gdy są z powrotem w pustym domu, zjawia się czarny pies. Lutek otwiera ramiona przed nim, przed zębami i pazurami. Na zewnątrz słychać głosy, ludzie piją soki i jedzą ciasto w Klonowym Lasku.

Jeden tydzień, Lutek mówi do Grete: Daj mi tydzień. Potem przyjdź po mnie.

Grete trzyma się za ostre łokcie i kiwa głową. Odprowadza go wzrokiem do jego pokoju.

Jeszcze wszystko tu jest, ściany pełne pocieszającego mroku. Łóżko jest jak dwie garście, zaprasza go.

W głowie ma krajobraz. Łagodne wzgórza, rzeki płynące krwią.

Bez ludzi ten dom będzie niczym. Ludzie Lutka przychodzą z własnej woli. Kroczy Abe, podzwania pasem z narzędziami. Grete przemyka pośród drzew. Verda powstaje z cieniów na skraju lasu, jej pies jak biała cętka. Hanna wyciąga rękę ku czemuś, młoda, złota, krągła.

Lutek ma wszystko, czego potrzebuje.

Jeżeli nie może być nieskończony – jego miłość ostatecznie się wyczerpuje; jego światło jest cieniem – taka jest natura krajobrazów. Las spotyka górę, morze brzeg. Mózg spotyka kość, spotyka skórę, spotyka włosy, spotyka powietrze. Bez nocy nie byłoby dnia.

Każdy kres, jak napisała kiedyś mądra kobieta, jest zarazem początkiem, jak i końcem.

Grete pojawia się za nim, przylega do niego całą swą chudością. Lecz ona jest jak

zwierzę czmychające do kryjówki, obie, Helle i Hanna, i zostawia go, by biec, kiedy zapada zmierzch.

Wchodzi Luisa, szlocha, całuje go na pożegnanie.

Wchodzą Jincy z bliźniakami. Śpią przy nim; Jincy śpi w fotelu, z twarzą zaznaczoną księżycem, z otwartymi ustami czarnymi jak pieczara.

Wchodzi Dylan; wchodzi Cole; wchodzi szef wydziału Lutka.

Wchodzi Ellis, z książką w twardej okładce rozłożoną w rękach niczym ptak zrywający się do lotu. Trwa przy nim. Szepcze mu do ucha.

Nadchodzi noc, wchodzi Grete, wchodzi Astrid.

Wchodzi Gloria z muffinkami, mówi coś do niego gardłowym głosem, może to modlitwa.

W oknie wschodzi księżyc.

Na czytniku Grete wyświetla Yoko, której w końcu wolno było wrócić do Japonii; dziewczyna gra na skrzypcach, ale tak słabo, że Grete prychna i wyłącza ją.

Wchodzi Astrid z zupą z awokado i grzybów.

Wchodzi Ellis, kładzie jej głowę na kolanach, zimnymi dłońmi głaszcze ją po skroniach, szepcze.

Wchodzi Grete; wchodzi Grete; wchodzi Grete. Z nową pieśnią i pomidorem ogrzanym słońcem, z musem jabłkowym i wodą z lodem, z kościaną ozdobą, szorstką i żółtą, twarz Hanny rzeźbiona bez końca w kości. Grete, jak woda, jak świat, zawsze pozwoli sobie wejść.

Pierwsza rzecz to herbata. Odurzająca dzika róża pozwala wejść duchom, ciastka doprawione anyżem, biały pies jak wzdychająca poducha, duszna, zadymiona chata jego własnej opowieści.

Potem gwiazdy pojawiają się w oknie między gałęziami klonu, spod bujanego fotela mysz. Modli się do swoich różowych łapek, obserwując Lutka, wyglądem tłusty zad jak gospodyni w nowej sukience. Lutek śmieje się i ten głos straszy ich oboje; mysz czmycha. Kiedy znika, Lutek jest samotny.

Wkrótce strona w książce nabiera spójności w jego oczach; jedno zdanie może prowadzić do następnego. Może rozgryźć akapit i zjeść go. Teraz opowiadanie. Teraz powieść, jedno pełne życie zamknięte w okładkach.

Są w pokoju, kiedy budzi się znowu.

To już tydzień, tato, mówi Grete śpiętym głosem.

Pora wstać, odzywa się Ellis z fotela. Jest rozczochrana; Otto śpi pod jej stopami.

Astrid, w drzwiach, niczym kolumna światła.

Tato, mówi Grete. Proszę.

To taki wysiłek, jakby musiał wygrzebać się z kopca ziemi. Ale siada.

Jest chłodny poranek. Lutek widzi, że wiosna się skończyła. Grete zostawia mu czytnik, aby z niego korzystał, a on dowiaduje się, że choroba wycofała się na palcach. Koniec kwarantanny: siedemset pięćdziesiąt tysięcy ofiar, tylko trzydzieści tysięcy w Stanach. Większość zgonów nastąpiła na kilku obszarach, głównie w miastach. Prezydent wychwala technikę, możliwość wytropienia zarazy i podjęcia decyzji; wchodzi w czytnik, niebieskie odciski palców pod jego oczyma, i mówi: Bez techniki pandemia

stałaby się katastrofą o zasięgu nigdy nie widzianych na tej planecie. Musimy być wdzięczni. Lutek jest.

Grete ma zdrowe rumieńce i jest opalona. Dom, mówi z przebłyskiem tęsknoty na twarzy. Lutek widzi, że ich kamienica, którą kupili przed dziesięciu laty, jest dla Grete tym, czym Arkadia była dla niego. Wkrótce zostawią meble tam, gdzie stoją w Zielonym Domu, ubrania schludnie w szafach. Zakleją okna przed wiatrem i zaciągną zasłony. Zabezpieczą drzwi, które mają zamki, na wszelki wypadek: domy Tytusa, Midge, Scotta i Lisy, Zielony Dom pozbawiony stukania systemu solarnego. Załadują samochód. Ellis przyjedzie na tydzień, aby pomóc im się przeprowadzić. Mało jest Helle w kamienicy: krzesło, ten sam stół w kuchni, to samo łóżko. Wyobraża sobie, że szczupła, brązowa Ellis wypełnia te miejsca, i dziwi się, że nie odczuwa bólu.

Będzie mu brakowało tej ciszy pełnej odgłosów: lelków, oddechu lasu, niespodziewanych ruchów w ciemności. Ale zabierze z sobą pojemniki pełne zwarzonych obrazów i zazna przyjemności przeżycia ich na nowo. Nie są niczym, te wspomnienia.

W ostatnią noc przed wyjazdem Lutek nie śpi, patrzy, jak subtelnie śący się i przesuwa księżyc. W ciemności przegląda książki Abe'a i Hanny, aż trafia na to, czego szukał. Książka jest mniejsza, niż pamiętał, brzegi odchodzą jak ciasto pod palcami. Lecz kolorowe ilustracje zaskakują go: są tak szokujące, tak niewymownie piękne. Nie pamiętał takiego piękna.

Godzinami w śpiącym domu Lutek czyta stare opowieści, aż zlewają się w jedną. Potem odkłada książkę. Kiedy gasi światło, blask księżycy znowu wypełnia jasnością okno. To nie opowiadania poruszają go teraz. Są to twarde, drewniane skrzynie, ich wartość nie leży w tym, czym są, tylko w tym, czym mogą być, kiedy się je trzyma. Poruszają go ludzie jak cienie ukryci w tych historiach, robotnicy zmęczeni po dniu pracy, zbierający się wieczorami przed ogniem dającym pocieszenie, gdy krowy wydojone, kury śpią, dzieci uśpione kołysaniem, stare kości słuchaczy w końcu mogą odpocząć w fotelach. Świat wtedy był równie przerażający jak teraz, z naszymi koszmarami o bombach, chorobach i wojnie technologicznej. Wszystko miało zdolność wzbudzania strachu: gwóźdź upuszczony w stóg siana, wilki krążące na skraju lasu, nowe dziecko w zmęczonym łonie. Jego serce w owładniętym nocą domu rodziców reaguje na tych ludzi z dawno-dawno-temu, anonimowych w cieniu, na wiarę, jakiej potrzebowali, aby zjednoczyć się, odpoczywać i słuchać pośród straszliwości, cierpliwie wyczekując tego, co potem, szczęśliwego czy nie.

Lutek chodzi po domu, gasząc światła, które Grete bezmyślnie zostawiła zapalone. W ten sposób wpuszcza ciemność, by zajęła należne jej miejsce.

Lasy na początku czerwca tętnią życiem. Kiedy Lutek i Grete sznurują buty, Ellis wkłada też swoje, ale coś w twarzy Lutka każe jej usiąść na ganku z lekturą. Weź Otta, mówi. Będzie marzył o tym spacerze, jak stanie się miejskim psem. Lutek zostaje, aby popatrzeć, jak słońce odbite od kartki w książce pada na jej twarz. Ellis śmieje się do książki. Będę tu, jak wrócisz. Nie martw się. Z wdzięczności pochyła się, aby pocałować ją w miękki przedziałek w jej włosach. W połowie poranka ptaki robią się zmęczone i obserwują świat z rozdziawionymi dziobami, dysząc na najchłodniejszych konarach. W takim radosnym świetle nie da się zobaczyć lasu tak, jak go widział dawno temu, kiedy

był zagubionym dzieckiem, a las pazerny, cierpki, chciał go połknąć, gałęzie zamieniały się w paznokcie, korzenie wypęły z ziemi, aby go pochwycić i wciągnąć.

Grete opowiada mu długie, fantastyczne historie o uczniach w szkole. Skończyła ten rok z uczuciem drżącej ulgi: teraz opisuje wszystkich groteskowo, aby pozbawić ich grozy. Dziewczeta to ostrza w żeńskiej postaci; chłopcy pędzą korytarzami sielscy jak niedźwiedzie. Nauczyciele to bulgoczące ameby, pazerne na to, czego nie potrafią zrozumieć. Otto biegnie z powrotem, brzuch ma oblepiony błockiem, wciska się między ich nogi i znowu odbiega.

Przychodzą w miejsce, którego Lutek unikał przez te wszystkie lata, i wspinają się na przewrócony przez wiatr dąb, aby odnaleźć ścieżkę. Oto wyspa drzew między dwoma wężami, które kiedyś były strumieniami sięgającymi po kolana. Oto dom. Stare ściany jeszcze stoją. Dach zapadł się: ze środka domku Verdy, jakby z wielkiej kamiennej donicy, wyrasta drzewo. Jedno okno, aż niemożliwe, pozostało nietknięte. Czereśnie na progu zrodziły sad, a zeszłoroczne pestki są jak żwir na ziemi. Kiedy Lutek popycha drzwi, ustępują łatwo, proste we framudze. W środku domu jest las. Po podłodze z ziemi szurają liście; belki zamieniły się w omszałe kłody. Siadają i rozpakowują lunch, pies dyszy u ich stóp, a Lutek opowiada córce o Verdzie.

Hm, tyle tylko mówi Grete.

Lutec obserwuje ją oniemiały. Nie kłamie, zapewnia ją.

Nie powiedziałam, że kłamiesz, odpowiada Grete. Tylko że to jest takie fantastyczne. To znaczy... ona była dokładnie przeciwieństwem wszystkiego, czym ty byłeś. Wiedźmą, magiczną. Starą, samowystarczalną, z psem. Ty byłeś mały, przytłoczony komuną, tęskniący za kobietą, która by cię przyjęła. To ciekawe. Wzrusza ramionami.

Myślisz, że Verda była zmyśloną przyjaciółką – mówi Lutec, śmiejąc się z niepokojem.

Tato, to miejsce wygląda na opuszczone od wieków. Ale co tam. To nieważne. Znalazłeś to, co chciałeś, kiedy tego potrzebowałeś, pociesza go i ściska za kolano.

Ona ma mocniejszy kręgosłup, niż on będzie miał kiedykolwiek. Już patrzy na życie z dystansem. To jest dar od niego.

Lutec wie, że pokój może zostać zniszczony na milion sposobów: wielkie wizje końca, deszcz popiołów, wybuch w oddali, słońce umierające jak wyłączona lampa naftowa. I na drobniejsze sposoby: podsłuchana uwaga, kiepski nastrój córki, jego własne zawodzące ciało. Nie ma sensu przewidywać sposobu. Będzie czekał na wyciszone przestrzenie w życiu, na chrapanie Ellis w ciemności. Na pocałunek Grete znienacka, na ciepłe światło w galerii. Obrazy na ścianie podzielone na fragmenty i bąble pozbawione piękna i odzyskujące je pod jego wzrokiem. Głosy kobiet w nocy na ulicy, roześmiane; zawsze kochał głosy kobiet. Uważaj na nie, myśli. Nie na wielki gest, ale na przemijający oddech.

Siedzi. Przenika go popołudnie. Unosi się do niego słodkość ziemi. Wiewiórka utyskuje z wysokiego drzewa. Miasto nadal jest daleko, pełne pocziwych ludzi wracających do domu. W tej chwili, która rozkwita i marnieje z mijającym czasem, on sam sobie wystarcza i wszystko na tym świecie jest dobre.



## PODZIĘKOWANIA

Kieruję słowa wdzięczności do wszystkich, którzy udzielili mi schronienia podczas długiego powstawania *Arkadii*. Dziękuję wszystkim z wydawnictwa Hyperion, szczególnie Barbarze Jones, Elizabeth Dyssegaard, Claire McKean oraz Ellen Archer; Jasonowi Arthurowi z wydawnictwa Heinemann i Stephenie Sweeney z wydawnictwa Windmill w Wielkiej Brytanii; Mathilde Bach i Carine Chichereau z Éditions Plon we Francji. Dziękuję Billowi Cleggowi, mojemu dziarskiemu agentowi, za jego szczerość, cierpliwość i dobroć, oraz jego asystentowi Shaunowi Dolanowi. Dziękuję Ericie Rix, która poświęciła mi godziny swojego czasu. Dziękuję tym, którzy zapewnili mi fizyczną przestrzeń do pisania: rodzinie Groffów, rodzinie Kallmanów, rodzinie Drummondów, rodzinie Peddiech, rodzinie Herndonów, rodzinie McKune-Parrishów oraz Hannah Judy Gretz i Ragdale za ich cudowne wsparcie. Dziękuję the Bread Loaf Writers' Conference oraz programowi kreatywnego pisania MFA na Queens University of Charlotte. Dziękuję swoim czytelnikom: Sarah Groff, Stephowi Bedfordowi, Kevinowi A. Gonzalezowi, Jaime'emu Muehlowi, Ashley Warlick, Jamesowi Willettowi i Lucy Schaeffer. Dziękuję rodzinie, przyjaciołom i autorom wielu ukochanych książek, które uczyniły tę powieść bogatszą: jest was zbyt wielu, aby wymienić wszystkich, ale dziękuję wam.

Przede wszystkim jestem wdzięczna moim chłopcom w domu: Clayowi, mojej opoce, i moim dwóm synom. Ta książka jest dla Becka, który nauczył mnie, jak wielkie serce mogą mieć mali chłopcy.